

Daria Doncowa
ŻONA MOJEGO MĘŻA

Z rosyjskiego przełożyła Ewa Niepokólczycka
Świat Książki
Tytuł oryginału ŻENA MOJEGO MUZA
Projekt okładki Małgorzata Karkowska
Zdjęcia na okładce Flash Press Media
Redaktor prowadzący Tomasz Jendryczko
Redakcja Ewa RojewskaOlejarczuk
Redakcja techniczna Katarzyna Krznoczyk
Korekta Jadwiga Piller-Rosenberg
Copyright C by EKSMO Agency Inc.
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Ewa Niepokólczycka, 2004
Świat Książki
Warszawa 2004
Bertelsmann Media, sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa
Skład i łamanie Plus 2
Druk i oprawa Wrocławska Drukarnia Naukowa
ISBN 83-7391-409-9 Nr 4654

Rozdział 1

Szłam przez ciemny las. Droga wiła się między mokrymi pniami drzew, aż raptem skręciła ostro w lewo i pojawił się przede mną dość rozległy wiejski cmentarz. Mętny księżyc, który wymyknął się na chwilę zza chmury, wychwycił z ciemności stare nagrobki i krzyże. Żelazna brama, szarpana wiatrem, skrzypiała przeraźliwie. Zwolniłam, czując na grzbiecie ciarki. Ale jedyne, co mogłam zrobić, to iść dalej. Było zupełnie ciemno, nogi ślizgały się na gliniastym gruncie, gdzieś w oddali zahukała sowa. Byłam ledwo żywa z przerażenia.

- Dasza. - Głos dochodził jakby spod ziemi. - Daszutka, chodź tutaj. Całkiem ogłupiała, ruszyłam w tamtą stronę.

- Tutaj, tutaj - nawoływał głos - szybciej.

Wreszcie, brnąc z trudem w grząskim błocie, dotarłam do świeżo wykopanego dołu, zapewne czyjegoś przyszłego grobu, i zajrzałam do środka.

Na dnie leżał w kałuży mój były mąż Maksym Polański, ubrany, nie wiedzieć czemu, w sukienkę.

- Dario, pomóż - wyszeptał i wyciągnął ręce do góry. Otepiąłem, patrzyłam, jak jego przedramiona stają się coraz dłuższe i dłoń sięga już prawie skraju mogiły...

Lodowata obręcz ścisnęła mi serce, nogi zaczęły się trząść jak galareta, a z gardła wyrwał mi się nieludzki skowyt.

Nagle wszystko zniknęło, usłyszałam leciutkie posapywanie, a po chwili miękka, ciepła szmatka musnęła moją twarz. Otworzyłam oczy, ciało jakby bez mojego udziału usiadło na łóżku.

Na pościeli, zawzięcie machając ogonem, wiercił się pitbull

Bundy. Usłyszawszy zapewne, że pani drze się jak opętana, wskoczył na łóżko i zaczął lizać mnie po twarzy.

- Dziękuję, malutki - wybełkotałam. - Żebyś wiedział, jaki koszmar mi się przyśnił!

Budzik wskazywał ósmą rano, co dla mnie było porą barbarzyńską. Otworzyłam szufladę, wymacałam ulubione gauloise'y i łypiąc na boki, zapaliłam. I syn, i córka, i synowa kategorycznie zabraniają mi palić w łóżku. Ale moja sypialnia znajduje się na pierwszym piętrze w prawym skrzydle domu, a ich pokoje - w lewym. Nie poczują. Zresztą muszę się uspokoić po tym koszmarze.

Wyrzebałam się spod ciepłej puchowej kołdry i podeszłam do okna. W naszym ogrodzie wszystko kwitło bujnym czerwcowym kwieciem. Niebo

bezchmurne, słońko już przygrzewa. Zapowiada się piękny dzień. Straszny sen nie dawał mi jednak spokoju. Absolutnie nie wierzę w te wszelkie brednie o przeczuciach, ale przecież mnie się nic nigdy nie śni. A już zwłaszcza Maksym.

Maksym Polański był drugim z moich czterech mężów, przeżyliśmy razem ledwie dwa lata. W tamtych odległych czasach Maksym był podobny do Jesienina - jasny uśmiech, płowe włosy. Charakter miał anielski. Nigdy się nie denerwował, jadu, co mu dano, nie przeszkadzał mu brak czystych koszul i skarpetek, nie pił i prawie zawsze był w świetnym nastroju. Mogliśmy więc żyć dalej w pełnej błogości, ale przecież nawet na Słońcu są plamy. A Maksym miał dwie - patologiczną, nieprzewyciężoną słabość do płci pięknej i drogą mamę Ninę Andriejewnę.

No cóż, może bym i przywykła w końcu do niekończącej się procesji coraz to nowych kochanek, choć, oczywiście, widok męża, wracającego około pierwszej w nocy z rozbieganymi oczkami, do przyjemności nie należał.

- Dusik - kajał się małżonek, całując mnie w czoło. - Dusik, kocham cię nade wszystko, a reszta to było tylko tak, dla natchnienia. I szybko pędził do łazienki w obłoku obcych perfum. Kłopot w tym, że Maks był podobny do Jesienina nie tylko z urody, tworzył również wiersze i nawet wydał kilka tomików. Poetycka natura domagała się ustawicznego nawożenia, stąd niezliczone romanse i miłosne awantury. Ale jeśli z batalionami dam serca mogłabym się pogodzić, to przed ukochaną teściową spasowałam. Do tej pory pamiętam jej pierwszą wizytę u mnie. Mieszkałam wtedy w Miedwiedkowie, w dwóch pokojach z maleńką kuchnią.

Nina Andriejewna zdjęła buty, podała Maksowi płaszcz i radośnie zwróciła się do przyszłej synowej:

- Jak u was miło! Podoba mi się, gdy ludzie nie uganiają się za luksusem i wygodą, nie robią z mieszkania fetysza, ale po prostu żyją sobie skromnie jak wszyscy.

Aż mną rzuciło. Wczoraj trzy godziny sprzątałam jak szalona, żeby przypodobać się przyszłej teściowej. Ta usiadła przy stole i zaczęła się rozpływać nad poczęstunkiem:

- Torcik! Wspaniale, dawno nie jadłam gotowych wypieków. Już mi się znudziły te domowe pierożki, kulebiaki, jakie mi podtykają, gdziekolwiek jestem zaproszona. A u was kupne, jak miło. Masz rację, kochanie, nie daj z siebie zrobić kury domowej.

- Ależ, mamu - wtrącił Maks.

- Siedź cicho - skarciła go droga teściowa. - Nie pozwolę obrażać Daszy, zawsze stanę po jej stronie, nawet jeśli troszeczkę nie ma racji.

No właśnie! Po ślubie przeprowadziłam się z moim synkiem Arkadym do ogromnego generalskiego mieszkania na ulicy Woronowa. I potoczyło się życie rodzinne, które skończyło się po dwóch latach, kiedy z Kieszka zwialiśmy z powrotem do Miedwiedkowa.

Czmychnęliśmy o jedenastej wieczorem, wykorzystując dogodny moment, gdy Nina Andriejewna poszła spać, a Maks zabawiał się gdzieś z kolejną damą. Ja wzięłam niewielką walizkę ze skromnym dobytkiem, a zasapany Kieszka dźwigał w koszyku dużego, ciężkiego kota Sebastiana. Nie rościliśmy sobie żadnych pretensji do jakiegoś wspólnego majątku, zależało nam tylko na kocie.

Nina Andriejewna dzwoniła później do mnie przez kilka miesięcy, namawiała do powrotu. Ale po jakimś czasie Maks ożenił się z Luśką i kontakty się urwały. Choć muszę przyznać, że były małżonek nigdy nie zapomina złożyć mi życzeń na urodziny, na Nowy Rok i Dzień Kobiet. Bogiem a prawdą, jest całkiem miły, ale zdecydowanie lepiej być jego znajomą niż żoną. Owinęłam się w szlafrok i poczłapałam na dół do jadalni. Ile to minęło od rozvodu z Polańskim? Strach powiedzieć! Ludzie aż tak długo nie żyją! A przez te wszystkie lata wszyscyśmy przeżyli przedziwne metamorfozy.

W połowie lat osiemdziesiątych moja przyjaciółka Nataszka po rozwodzie wylądowała dosłownie na ulicy. Pracowałyśmy wtedy na

politechnice. Ja wtlaczałam do tępych głów studentów początki gramatyki francuskiej, a Natalia była laborantką. Biedactwo, przez kilka nocy spała w pracy na rozłożonej kanapce. Gdy się o tym dowiedziałam, natychmiast zabrałam ją do siebie. I tak oto zamieszkaliśmy wszyscy razem - Nataszka, Arkady, moja córka Masza, wielce rasowy pies Snapik, kotka Kleopatra, świnka morska Patryk, chomik Foma i moja skromna osoba. Jeść chcieli wszyscy, a zwłaszcza Foma, który wszczynął awanturę w swojej klatce, jeśli nie podano mu na czas kolacji. Zarabiałymy obie, jeśli dobrze pamiętam, dwieście rubli, dlatego wieczorami ganiałam na korepetycje i wyciągałam z tego półtora rubla za godzinę.

I pewnie byśmy tak wegetowały, gdyby na początku roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego Natalia nie poznała pewnego Francuza i nie wyszła za niego za mąż. Z nędzarki stała się baronową McMayer. Naturalnie, cała rodzinka przeniosła się do Paryża. Ale szczęście przyjaciółki nie trwało długo. Jeana McMayera, męża Natalii, zamordowano, a ona w jednej chwili przeistoczyła się w oszałamiająco bogatą wdowę. Jej własnością stało się świetnie prosperujące przedsiębiorstwo, wielki majątek, kolekcja unikatowych obrazów i dom na przedmieściach Paryża.

Tak oto zamieszkaliśmy w stolicy mody. Ale nostalgia to śmiertelna choroba i zaczęliśmy łamać sobie głowę, co by tu wykombinować, żeby mieszkać i we Francji, i w Rosji...

Traf chciał, że akurat wtedy zaczęły się w Rosji przemiany. Zezwolono nam na podwójne obywatelstwo. Życie nie umiera! Każde z nas ma teraz dwa paszporty, czerwony - rosyjski, i niebieski - francuski. Kryzysy ekonomiczne też nam niestraszne -

kapitały pozostają we Francji, a w Rosji mamy tylko konto, na które wpływają nam pieniądze. I tak sobie mieszkamy - pół roku tu, pół roku we Francji, dwa domy, dwa kraje.

Dom mamy teraz okazały. Jednopiętrowa murowana willa w osiedlu Łożkino, dwadzieścia pokoi, choć nie jest to wcale tak dużo, gdy się uwzględni liczbę domowników.

A jest to liczba pokaźna. Mój starszy syn Arkady, jego żona Ola i bliźniaki - Anka i Wańka. Następnie trzynastoletnia Marusia, ja i Nataszka. Na parterze urzędują: gosposia Irka, kucharka Katia i niania Serafina Iwanowna. Po bezkresnych korytarzach snuje się gromadka zwierzątek: pitbull Bundy, rottweiler Snap, pudliczka Cherry, angielski mops Hootch, kotki Kleopatra i Fifina, jorkszyrska terierka Julie. Czasami dołączają do nich zwiewające z klatek morskie świnki Maurice, Justyna i Patryk oraz papuga Koko. Mamy też często gości - rodzinę i przyjaciół z różnych stron Rosji. Biorąc to wszystko pod uwagę, można powiedzieć, że dwadzieścia pokoi to właściwie za mało.

Wzbogaciwszy się tak nieoczekiwanie, za jednym zamachem zmieniliśmy się w „nowych Rosjan”, choć ze starymi nawykami. Nadal staramy się pracować i uczyć. Arkaszka skończył prawo i jest adwokatem. Olga, na którą w domu wołamy Kicia, zgłębia języki obce, Mania jest jeszcze w liceum, ale równolegle uczęszcza na zajęcia w Instytucie Weterynarii, bo zamierza zostać „psim lekarzem”. Poza tym maluje okropne obrazy, które nie wiedzieć czemu są rozchwytywane. Natalia wzięła się do pisania, produkuje romanse. Ku mojemu osłupieniu, wydają je w jakichś szalonych nakładach.

Zakończywszy kolejne arcydzieło, przyjaciółka przynosi mi rękopis, a ja, zgrzytając zębami, czytam Namietność pod księżycem albo jakiegoś innego Tajemniczego kochanka. Nienawidzę takiej literatury! Całym sercem oddana jestem wyłącznie kryminałom. Zdarzyło się nawet kilka razy, że musiałam sama rozwikłać jakieś zagmatwane sprawy.

Najchętniej zostałabym prywatnym detektywem.

W domu wszyscy poza mną wstają wcześniej. Dlatego gdy o pół do dziewiątej wszłam do jadalni, zastałam tylko Kieszę, który w pośpiechu łykał poranną kawę. Kicia i Maszka już pojechały do szkoły. Nataszka wyjechała wczoraj do Paryża. Spod drzwi jej gabinetu niemiłosiernie wiało.

- Mama? - zdziwił się mój syn. - Co się stało? Jesteś chora?
Dlaczego się tak zerwałaś?
Wzruszyłam ramionami.
- Już się wyspałam, a poza tym mam parszywy nastrój.
I wtedy zadzwonił telefon, w dodatku nie komórka Arkaszki, ale stacjonarny. Też coś, komu strzeliło do głowy, żeby dzwonić o takiej porze?
- Dasza - usłyszałam - poznajesz?
Masz babo placek! Niczym dalszy ciąg snu, ze słuchawki dobiegał gorączkowy głos Maksyma:
- Daria, pomóż! Tylko do ciebie mogę się zwrócić. Proszę, nie opuszczaj mamy, została całkiem sama. Bardzo jej ciężko! Bądź człowiekiem, zajmij się staruszką!
Połączenie zostało przerwane. Patrzyłam w osłupieniu na aparat. Czyżbym nadal śniła, czy też Maks naprawdę zadzwonił?
- Co się stało? - zapytał zdumiony Kiesza.
- Pamiętasz Maksa Polańskiego?
- Drugiego męża? Dość mętnie. Opowiedziałam mu o śnie i telefonie.
- O kurczę! - Synek parsknął śmiechem. - Pewnie strzelił sobie głębszego i plecie głupoty.
Strzelił głębszego?! We wtorek, o pół do dziewiątej rano?! Jeśli dobrze pamiętam, Maks nie lubił wódki. Chociaż, ludzie się zmieniają. Ale co to znaczy, że Nina Andriejewna jest całkiem sama? A Weronika, siódma żona Maksyma? Byli małżeństwem od pięciu lat i żyli chyba całkiem zgodnie. Co tam się stało?
Złapałam telefon i wygrzebując z zakamarków pamięci numer, zadzwoniłam na ulicę Woronowa. Długo nikt nie odbierał, wreszcie z oddali zaszeleścił drżący głos staruszki:
- Halo?
- Poproszę z Niną Andriejewną.
- Słucham.
Zbaraniałam. Moja była teściowa przez całe życie mówiła tonem dziarskim, niczym pionierka na zbiorce. Dalsi znajomi, dzwoniąc, często mówili: „Dziewczynko, poproś mamę”.
- Nino Andriejewno, tu Dasza, była żona Maksa. Co się u was stało? Zapadła cisza. Wreszcie bojaźliwy głosik zaszeleścił:
- Daszuta, straszna bieda, nieszczęście, tragedia.
- Ale co się stało?
- Maks jest w więzieniu.
- Co takiego? A gdzie Weronika?
Teściowa chwilę milczała, wreszcie zaczęła płakać, a ja spośród łkań wyłowiałam nieprawdopodobną informację:
- Nika została zastrzelona...
- Kto ją zastrzelił?
- Maks.
O mało nie spadłam z krzesła. Teściowa zanosiła się płaczem, kompletnie nic nie mogłam zrozumieć.
Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam się miotać po pokoju. Natychmiast jadę do Polańskich.

Rozdział 2

Do domu przy ulicy Woronowa dotarłam około dziesiątej. Dawno nie byłam w tej okolicy, ale sześciopiętrowy budynek z kolumnami wcale się nie zmienił. No, może o tyle, że teraz był pomalowany na szaro, a na fasadzie przybyło kilka tablic pamiątkowych. Budynek należał do Ministerstwa Obrony i na każdym piętrze mieszkało po trzech generałów, a gdzieś tam nawet marszałek. Wielki marmurowy hol, stareńka winda - to wszystko od razu przywołało niezbyt miłe wspomnienia. Oto drzwi z numerem 7. Nacisnęłam dzwonek. W środku panowała martwa cisza. Dopiero po chwili szcęknięcie łańcuch, drzwi się uchyliły. Na progu pojawiła się nieznajoma siwowłosa staruszka w niezbyt czystym szlafroku. Zmierzwione, najwyraźniej dawno niemyte włosy, bosa nogi. Cóż to za dziwoląg i gdzie jest Nina Andriejewna?

- Daszeńko - wyszeptała staruszka - nic się nie zmieniłaś, nadal piękna. A u mnie takie nieszczęście!
Patrzyłam na nią osłupiała. To jest moja teściowa?! Boże, przecież dawniej nigdy nie wychodziła z sypialni bez lekkiego makijażu i nieuczesa. Kiedy przeszła taką metamorfozę? W ubiegłym roku spotkałyśmy się przypadkiem w teatrze, wyglądała wspaniale: elegancka, prosta jak trzcina, jak zwykle w pantoflach na obcasie. Szurając zdeptanymi kapciami, poprowadziła mnie w głąb ogromnego mieszkania. Ponownie osłupiałam. Nie pozostało nic, co przypominałoby wielkie sześciorokowe mieszkanie, w którym toczyło się nasze wspólne życie rodzinne. Przeprowadzono kapitalny remont. Poczerniałą podłogę wyłożono ozdobnym parkietem, ściany pomalowano na biało, zamiast drzwi wybito łuki. Między kuchnią i ówczesnym pokojem Arkaszki wyburzono ścianę, przez co kuchnia miała teraz ponad trzydzieści metrów. Wszędzie dywany, lustra, brązy i skórzane meble. Ciekawe, skąd Maks miał pieniądze?

Jeśli dobrze pamiętam, wcześniej mój mąż nie chciał i nie umiał zarabiać.

Nina Andriejewna zabrzczała czajnikiem. - Pewnie masz ochotę na kawę? Niestety, skończyła mi się zresztą herbata i cukier też. Usiadła na taborecie, podparła pomarszczony policzek wychudzoną dłonią i rozplakała się żałośnie. Serce mi się ścisnęło. Tak skomli na mrozie mała bezdomna psina, podkulając marznące łapki. Wcześniej nigdy nie widziałam, by teściowa płakała. Podeszłam do lodówki i otworzyłam drzwiczki. Na górnej półce tkwił samotnie półlitrowy kartonik kefiru, i to było wszystko.

- Czy dowiem się wreszcie, co tu się stało?

Nina Andriejewna wytarła nos ścierką i opowiedziała mi nieprawdopodobną historię.

Otóż na początku lat dziewięćdziesiątych Maksym zmienił się nie do poznania. Dawniej całymi dniami wylegiwał się w łóżku, pisał wierszyki, a teraz nagle gorączkowo zaczął szukać pracy. W ogniu rozbuchanych cen stopniały wszystkie oszczędności, jakie zgromadził zapobiegliwy ojciec generała. Sto osiemdziesiąt tysięcy rubli na książeczce oszczędnościowej zaczęło gwałtownie tracić na wartości. Za komunistów taka suma wystarczyłaby na trzy życia, dlatego Maksym mógł sobie wybrać

zawód poety. Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku żyli już tylko z groszowej emerytury matki. Nie nawykli do odmawiania sobie czegokolwiek, wydawali pieniądze, ledwo odeszli od bankowego okienka. Potem zaczęli wyprzedawać rzeczy. Życie pokazało zęby. Najpierw odeszła do innego żona Maksyma Lena, potem skończyły się precjoza matki. Aż wreszcie doszło do tego, że Nina Andriejewna zaczęła zbierać butelki.

Tego już Maks nie mógł ścierpieć. Matkę ubóstwiał. Myślał, deliberował i postanowił zająć się biznesem. Po kilku bezsensownych nocach obmyślił wreszcie, co to będzie.

W Moskwie w tym czasie w ogóle nie można było kupić jajek. Ludzie przynosili sobie w prezencie po jajeczku. Zresztą, brakowało wszystkiego. To właśnie wtedy powstał żart: „Jeśli, będąc z wizytą, umyjesz ręce mydłem, to herbatę wypij bez cukru”. Na dobrą sprawę można więc było handlować czymkolwiek. Ale Maks zapalił się do kurzych jaj.

Na początek pożyczył od kolegi samochód, pojechał do Glebowa, gdzie znajdowała się kurza ferma, i przywiózł tysiąc jaj kupionych po cenie hurtowej. Następnego dnia stanął przy wejściu do metra i sprzedał je w ciągu... dwudziestu minut. Dalej wszystko potoczyło się jak w bajce. Kupił dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące... Interes się rozkręcił. To nie znaczy, że zawsze szło gładko. Kilka razy nachodzili go bandyci i milicjanci. Ale Maks odkrył w sobie prawdziwy talent kupca i dyplomaty. W roku dziewięćdziesiątym piątym interes kręcił się już bez zakłóceń. Spokoju strzegła sowicie opłacana „czapa”. Milicja też dostawała swoją dolę. Maks zatrudnił sprzedawców, głównie pracujące na czarno Ukrainki i Białorusinki, a

jeszcze później otworzył biuro i zmonopolizował rynek. Obecnie w Moskwie ani jedno jajko nie może być sprzedane albo kupione z pominięciem Maksa. Kilkakrotnie się zdarzyło, że konkurenci usiłowali sprowadzić do Moskwy jajka z Polski, ale kiepsko się to dla nich skończyło. Odwiedziły ich dzielne chwaty i po prostu zrobiły jajecznicę z „lewego” towaru, nie omieszkawszy przy tym pogrozić palcem. Kolejnych chętnych nie było.

Pewnie gdyby zamiast jajek Maks wziął się do benzyny lub wódki, nie poszłoby mu tak gładko. To zbyt łakomy kasek. Ale jaja! W światku przestępczym uważano, że to towar niepoważny, wręcz śmieszny. A do tego zbyt kłopotliwy - szybko się psuje, łatwo tłucze, często jest zapaskudzony. Wśród handlarzy i kryminalistów Polański zyskał przydomek Żółtko.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku był już człowiekiem bogatym, ze wszystkimi zewnętrznymi oznakami dostatku: kosztowny džip, dom w Podmoskowi, telefon komórkowy, złoty łańcuch na szyi i drogi zegarek. Dwa razy do roku jeździł na urlop do Tajlandii i na Bahamy, zawsze zabierał matkę. Nina Andriejewna znowu była obwieszona biżuterią. W mieszkaniu przeprowadzono generalny remont, zmieniając ciemne, zapuszczone pokoje we wspaniałe salony. W listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku Maks był przewodniczącym jury w konkursie piękności. Polański jest prawdziwym psem na baby, toteż parada prawie gołych ślicznotek stanowiła dla niego prawdziwą ucztę. Zwycięzczyni, Weronika Miedwiediewa, odbierając z jego rąk nagrodę, szepnęła: - Uwielbiam pana.

Polański stopił się jak masło. Piękność wpatrywała się w niego wielkimi piwnymi oczyma, skromnie trzepocząc rzęsami. Z bliska była jeszcze ładniejsza. Naturalnie, Maks zaprosił „miskę” do restauracji. W styczniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego wyprawili huczne wesele.

Weronika marzyła o karierze artystycznej, dlatego latem Maks zasponsorował film fabularny pod tytułem Łabędzi śpiew. Nie było to bynajmniej wydarzenie artystyczne, ale umiejętnie posmarowani krytycy wysmążyli liczne przychylne artykuły o odtwórczyni głównej roli. W konsekwencji Weronika została obsadzona w serialu telewizyjnym Nasi przyjaciele. Tego nudziarstwa nie dało się oglądać, ale za to pani Polańska przez prawie dwa miesiące pojawiała się codziennie na ekranie, pracowicie odgrywając niewinną panienkę, na którą spadały wszelkie możliwe nieszczęścia. Gdy serial się skończył, Weronika zażądała, by nazywano ją Nicoletta. Kompletnie przewróciło jej się w głowie. Wieczory i noce spędzała na niekończących się balangach, była bohaterką głośnych skandali, często upijała się jak bela. I tak oto „aktorka” nareszcie zyskała popularność.

bulwarówki ze smakiem opisywały jej rozliczne osiągnięcia. A to Polańska podpaliła obrus w restauracji, gdy odkryła, że zawyżono jej rachunek, a to z maksymalną prędkością gnała Szosą Mińską, uciekając przed drogówką, to znów pojawiła się na przyjęciu w czarnej sukni, z przodu pod samą szyję, z tyłu praktycznie nieistniejącą. Zresztą, trudno wymienić wszystkie jej wybryki.

Nie wiem, jaki był stosunek Maksa do wyskoków żony, ale Nina Andriejewna mówiła o synowej, krzywiąc ze wstrętem usta:

- Kompletnie szurnięta. Bardzo ładna, twarz madonny, ale na tym koniec. Gdybyś posłuchała, jak klęła! Bez przerwy paliła jakieś śmierdzące papierosy, mnie nazywała Ninel. Wyobraź sobie, dwudziestego trzeciego lutego przyszedł do nas Oleg Siergiejewicz, bo była rocznica śmierci ojca. Weronika piła z nim łąb w łąb, ale to stary pierwszy odpadł.

Parsknęłam śmiechem. Przed laty dzielny generał Kowtun bez mrugnięcia okiem wlewał w siebie półtora litra wódki. Teraz obniżył zapewne poprzeczkę, ale wciąż jeszcze poczynił sobie dziarsko. A tu nagle Weronika! Wyobrażam sobie, jak się stary zawstydził.

- Co cię tak rozśmieszyło? - skarciła mnie władczo teściowa.

Przebudziła się w niej na chwilę dawna Nina Andriejewna. -Przecież

wiesz, jak się odnoszę do żon Maksyma - wszystko im wybaczam i zawsze stoję po ich stronie. Ale Nika jest po prostu z piekła rodem. Nie rozumiem, dlaczego to małżeństwo tak długo trwało.

Pod koniec dziewięćdziesiątego ósmego roku Polański miał najwyraźniej po dziurki w nosie niezliczonych skandali i ataków histerii, bo znalazł sobie kochankę. Już wcześniej zdarzały mu się romanse, chłop po prostu nie potrafił żyć bez bab. Ale tym razem było to prawdziwe uczucie. Studentka trzeciego roku Instytutu Mechaniczno-Matematycznego, zaledwie dwudziestoletnia Jana Sokołowa. Maksa zawsze ciągnęło do małolatek. Weronika właśnie zaczęła zdjęcia do kolejnego filmu, więc małżonek wpadł w nową miłość jak śliwka w kompot.

Studentka była całkowitym przeciwieństwem Niki - cicha, spokojna, mądra i roztropna. Niestety, z wyglądu umiłowana Maksa przypominała zabiedzoną myszkę. Szare włoski, oczka bez blasku, blade policzki i usta. Najwyraźniej Maksowi przejadły się słodczyce, jego organizm zażył sobie czegoś cierpkiego.

Do tragedii doszło w pierwszych dniach czerwca. Piątego wieczorem Weronika nieoczekiwanie została w domu. Mało tego, przyniosła wielki tort i zaprosiła teściową na herbatkę. Nina Andriejewna, ubóstwiająca ciasto, pochłonęła ogromną porcję i niebawem ogarnęła ją nieprzewyciężona senność. Położyła się do łóżka, nie czekając nawet na ulubioną audycję telewizyjną Wriemia. Maks jakoby uczestniczył w jakiejś naradzie.

Obudziła się późno, około dwunastej, i czując potworny ból głowy, poszła do kuchni. Początkowo myślała, że w domu nikogo nie ma. Ale w holu spostrzegła torebkę Weroniki, jej płaszcz i rozrzucone na podłodze buty. Drzwi do sypialni synowej były otwarte. Zajrzała do pokoju i stwierdziła, że Nika spokojnie śpi, przykryta aż po czubek głowy. Z łóżka zwisała jej goła noga. Nie było w tym nic szczególnego. Synowa często balowała do rana i potem odsypiała. W kuchni na stole Nina Andriejewna znalazła popielniczkę pełną niedopałków marlboro, pomyślała więc, że Maks nocował w domu. Wyrzuciła pety i zaczęła się krzątać po domu. Wtedy zadzwonił telefon. To był reżyser Motylew, wściekły jak sto diabłów, bo od południa czekał na Nike na planie zdjęciowym. Nina Andriejewna zawołała synową, ale ta nie odpowiedziała.

Trochę zaniepokojona, weszła do jej pokoju i krzyknęła:

- Nicoletta, wstawaj!

Weronika, która zazwyczaj budziła się na brzęczenie muchy, tym razem ani drgnęła. Teściowa, już zła, podbiegła do łóżka i zerwała koc. To, co zobaczyła, wryło jej się w pamięć na całe życie.

Od jedwabnej czarnej powłoczki odcinały się krótkie rude kosmyki. Przed kilkoma dniami Weronika obcięła piękne jasne loki i przefarbowała się na kolor wściekłego lisa. Teraz jednak włosy wydały się Ninie Andriejewnie szkarłatne. Bo też były ciemnoczerwone, jako że zamiast pięknej twarzy widniała krwawa miazga. Wszystko było zalane krwią - pościel, koc, przezroczysta nocna koszulka. Brunatna skorupa pokrywała szyję i pierś nieszczęsnej dziewczyny.

Nina Andriejewna zdrętwiała ze zgrozy, ściskając słuchawkę telefonu, z której dobiegał zagniewany głos Motylewa. I wtedy trzasnęły drzwi wejściowe i zjawił się rozpromieniony Maks. Pod pachą trzymał wielkie pudło wiśni w czekoladzie. Rażnym krokiem wszedł do sypialni żony i... zemdlał. Biegły zbierał potem po całej podłodze rozsypane czekoladki.

Zmobilizowawszy resztę rozsądku, Nina Andriejewna zadzwoniła po pogotowie. Lekarz popatrzył z odrazą na to, co zostało z pięknej Weroniki, i natychmiast wezwał milicję. Wkrótce przybyła grupa dochodzeniowa. Bezlitosna machina śledcza zaczęła się kręcić. Natychmiast aresztowano Maksa pod zarzutem zabójstwa. Zawieźli biedaka do więzienia na Butyrkach. W kilka dni później, martwiąc się o matkę, jakimś cudem zdołał do mnie zadzwonić.

Przez tych parę dni po aresztowaniu syna Nina Andriejewna postarzała się o dwadzieścia lat. W dodatku została bez grosza, bo wszystkie konta natychmiast zablokowano. Starych przyjaciół Maks pogubił w

drodze do sukcesu, a nowi, usłyszawszy o perypetiach Żółtka, woleli zapomnieć jego numer telefonu.

- Trzeba wynająć adwokata - zdecydowałam.

- Dziewczyno - chlipnęła teściowa - to nie ma sensu. On zabił tę biedaczkę.

- Skąd ta pewność?

- Wielu świadków utrzymuje, że widzieli, jak Maksym wracał do domu około dwunastej. Widziała go windziarka, dwoje sąsiadów. Wprowadził on się zarzeka, że nie nocował w domu, plótł coś o tym, że zasnął kamiennym snem w biurze, ale to takie nieprzekonujące. Poza tym widziałam niedopałki, a marlboro pali tylko on.

- Mówiła pani milicjantom o popielniczce?

- Nie.

- Świetnie, o jedną poszlakę mniej, ale i tak potrzebny jest adwokat - powtórzyłam.

Nina Andriejewna patrzyła na mnie z nadzieją. Musiałam zacząć energicznie działać.

Zacząłam od zakupów w najbliższym supermarkecie i po brzegi wypełniłam jedzeniem lodówkę teściowej. Następnie, poleciwszy, żeby czekała na wiadomości ode mnie, pojechałam do domu. Należało włączyć w to Arkadego. Po drodze, naturalnie, utknęłam w korku. Stojąc w kilometrowym sznurze samochodów na Sadowym Kolcu, nie mogłam się uwolnić od myśli: po co Maks miałby zabijać Weronikę? Była jego siódmą żoną. Z poprzednimi rozwiódł się spokojnie, co więcej, potrafił pozostać z nimi w przyjacielskich stosunkach. Nigdy nie był chciwy ani małostkowy i chętnie pomagał swoim „byłym”. Na przykład, kiedy pod koniec maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku złamałam nogę, a Natasza zachorowała na odrę, Polańscy wzięli Arkaszkę na całe lato do siebie na dachę. Nina Andriejewna zajmowała się chłopcem przez trzy miesiące i ani razu nie poskarżyła się na jego psoty. Warto dodać, że w tym czasie byliśmy z Maksem dawno po rozwodzie, a Arkady nie jest jego synem.

Co jeszcze? No cóż, Maks zapamiętał kocha kobiety. Każdą, niechby nawet była brzydka jak nieszczęście, obsypuje absolutnie szczerymi komplementami. Młodziutkie uwielbia, damami w średnim wieku się zachwyca, a staruszek potrafi słuchać godzinami z ogromnym szacunkiem. W żaden sposób nie można wyprowadzić go z równowagi. Należy do tej rzadkiej kategorii mężczyzn, którzy dostrzegają kolor sukni i odcień szminki. Wieczorem potrafi dziesięć minut majstrować przy zasłonkach, bo fałdy muszą się układać pięknie. Nie ma mowy, by cukiernica nie stała pośrodku stołu, a ręczniki w łazience ułożono nie pod linijkę. Widok rajstop pozostawionych na łóżku rani go do żywego. Organicznie nie znosi wyszczerbionych naczyń i pomiętych ścierek. Przez całe życie otacza się pięknymi przedmiotami. Nie do pomyślenia, by wypił herbatę z fajansowego kubka albo zjadł kartofle prosto z patelni!

Maks by nigdy nie strzelił żonie w twarz. Załatwiłby sprawę w typowy dla siebie sposób - dałby pieniądze, kupił mieszkanie... Ale przypuśćmy, że jednak postanowił ją zabić! Chwyciłby pistolet? Nigdy w życiu! Raczej by otruił, potem starannie ułożył na łóżku, przykrył narzutą, wyrównał fałdki... Musi być ładnie. I jeszcze coś. Mój małżonek nie znosi widoku krwi. Dlatego zawsze używał elektrycznej maszynki, żeby, broń Boże, się nie zaciać. Kiedyś Kiesza rozbił sobie kolano i Maks zemdlał.

I taki człowiek miałby strzelić prosto w twarz śpiącej żonie o anielskiej urodzie? A potem naciągnąć byle jak koc na buchającą krwią ranę i odejść? Nie uwierzę w to za nic na świecie. Coś tu nie gra.

Rozdział 3

Gdy wreszcie dotarłam do domu, Arkaszka siedział przy komputerze. Niedawno ukończył aplikanturę i nade wszystko pragnął się dorwać do jakiejś ciekawej sprawy. Ale nie miał szczęścia. Wszystkie mniej lub bardziej obiecujące przypadki przechwytywali jego koledzy po fachu.

Kiesza załapał na razie tylko dwóch klientów. Jeden sprzedawał przeterminowaną margarynę jako najwyższej jakości masło, drugi ukradł samochód na własnym podwórzu i usiłował sprzedać tę brykę sąsiadowi z następnej klatki schodowej. Sam Perry Mason by spasował, broniąc takich durniów! Przez ostatnie dwa miesiące biedny chłopak siedział w kancelarii, odpowiadając na rozmaite pytania interesantów. Żał mi go było serdecznie, bo klienci z prawdziwego zdarzenia mu się nie trafiali.

- Słuchaj - rzuciłam się na niego - wynajmuję cię na obrońcę.

Arkaszka odsunął się od komputera i prychnął:

- Rozbiłaś cudzy samochód, gdy parkowałaś swoje volvo? Dyżurne żarty domowników na temat moich wątpliwych

umiejętności jako kierowcy wychodziły mi już bokiem. Usiadłam i opowiedziałam, co się stało. Arkaszka przycichł i popadł w zadumę.

Następnego dnia z samego rana przystąpiliśmy do działania. Najpierw wpłaciliśmy w kasie kancelarii odpowiednią sumę, po czym Arkady udał się do sędziego śledczego, żeby się zapoznać ze sprawą. Ja pojechałam na Butyrki. Musiałam uzyskać widzenie, żeby porozmawiać z Maksem. Więzienie Śledcze nr 2, popularnie zwane Butyrkami, znajduje się przy ulicy Nowosłobodzkiej. Ponury budynek ukryto przed oczami przechodniów w podwórzu jasnoceglanego domu.

Byłam tu już kilka razy, a nawet przyczyniłam się do ucieczki więźnia, dlatego świetnie znałam tutejsze porządki.

W suterenie tłoczyło się z pięćdziesiąt osób. Do środka wpuszczano po dwadzieścia. Widzenie trwało godzinę. Na dzisiaj już miejsc nie było, zresztą na jutro i na piątek też. Słuchałam w milczeniu rozgdakanych kobiet, a potem wyszłam do przedsionka, gdzie kłębił się tłum z ogromnymi torbami. Zszedłszy cztery stopnie w dół, znalazłam się w innej suterenie. Tu było ciszej, bo przyjmowano jedynie paczki, i już wiedziałam, co należy zrobić.

Zbliżyłam się do jednego z otwartych okienek i odczekawszy, aż kolejna spocona babina odda kiełbasę i suchary, wsunęłam za kratkę dowód. Pызata blondynka warknęła na mnie niczym owczarek:

- Co mi tu dowód wpychasz? Tu tylko żywność, idź do pierwszego okienka.

- Spójrz na specjalne zezwolenie - mruknęłam, zasłaniając sobą okienko.

Baba otworzyła dowód, zgarnęła sto dolarów i burknęła:

- No, to czego chcesz? Szampon przekazać, golarkę?

- Nie. Dam drugie tyle, jeśli wepchniesz mnie do kolejki na dwunastą.

- Nazwisko, imię, imię ojca, rok urodzenia - powiedziała rzeczowo.

- Maksym Andriejewicz Polański, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty rok.

- Sala obok.

Poszłam tam. Punktualnie o dwunastej otworzyły się metalowe drzwi i gruby babiszon zaczął wyczytywać nazwiska. Moje było ostatnie.

- No? - odezwała się konwojentka, gdy podeszłam.

Kolejny zielony papierek zniknął w kieszeni bluzy, i ruszyłam po schodach na górę. Zaprowadzono mnie wraz z pozostałymi kobietami do wąskiego długiego pokoju, przegrodzonego brudną szybą. Po tamtej stronie już siedzieli więźniowie. Kobiety rzuciły się, żeby odnaleźć swoich. Szłam wzdłuż szyby, aż dostrzegłam wychudłego i zmienionego Maksa.

- Uwaga, wszyscy!

Baby przestały trajkotać i odwróciły się do drzwi. Na progu objawiło się wielkie chłopisko z czerwoną gębą. Rozpięty kołnierzyk odsłaniał koszulę w paski.

- Dość tego jazgotu, obywatelki, na widzonko macie dzisiaj czterdzieści pięć minut.

- Dlaczego, synku? - zaczęły zawodzić, bo w odróżnieniu ode mnie stały w kolejce kilka dni. - Należy się godzina.

- Obiad mamy - oświadczył klawisz. - Też chcemy jeść.

- Kochany - jęczały baby - wymyśl coś, pomóż! Nie wyganiaj nas

wcześniej.

- Wykorzystujecie moje dobre serce - westchnął facet. - Niech wam będzie. Teraz was zamknę, a potem wrócę. Tylko żeby mi tu było cicho!

- Będzie, będzie, dziękujemy! - rozległo się ze wszystkich stron. Strażnik prychnął i wyszedł. Szczęknął zamek. Chwyciłam słuchawkę:

- Maks!

- Witaj, Daszutko - odezwał się Polański apatycznie. - Co cię tu sprowadza?

- Słuchaj uważnie. Nina Andriejewną się zajmę, zrobię jej zakupy, dam pieniądze. Tobie przyślę paczkę. Przyjdzie do ciebie adwokat. Znasz go dobrze, to mój syn Arkady.

- Kiesza? - zdumiał się mój były. - Przecież to jeszcze dzieciak! Przemilczałam to. Co za sens uświadamiać mu, że „dzieciakowi” stuknęło dwadzieścia sześć lat.

- Przepraszam - odezwał się ktoś za moimi plecami. Odwróciłam się. Za mną stała jakaś kobieta.

- Proszę mnie tu wpuścić.

- Dlaczego? - spytałam zdziwiona. - To mój krewny.

- Tu jest dziurka - odparła - a w moim boksie nie ma.

- Dziurka?

- A, pani tu pierwszy raz - domyśliła się. - Pani patrzy.

Dziubnęła palcem w małą szczelinę, a zaraz potem bez najmniejszego skrępowania podciągnęła bluzkę i z ogromnego stanika wyciągnęła cienką rurkę i plastikową paczuszkę wypełnioną bezbarwnym płynem. Jeden koniec rurki wsunęła

w szczelinę, drugi do paczuszki. Przyssał się do niej momentalnie jakiś osobnik, bardziej podobny do zwierzęcia niż do człowieka. Płyn w paczuszce zaczął szybko ubywać.

- Co to jest? - zdziwiłam się, widząc, jak osobnik zachłannie łyka.

- Wódka - odrzekła baba spokojnie. - Trzeba czymś biedaka pocieszyć.

A pani niech przez ten czas zwija banknoty w rulonik, żeby je przepchnąć przez szczelinę.

Po paru minutach chłopina odpadł od słomki niczym syta pluskwa, a ja zaczęłam przepychać dolary dla Maksa. Wreszcie wszystko się uspokoilo.

- Słuchaj, powiedz mi szczerze, zabiłeś Weronikę? Maksym milczał.

- No, odezwij się!

- Nie, ani mi to przez myśl nie przeszło. Przyznaję, chciałem się rozwieść. Ale tej nocy nawet nie było mnie w domu.

- A gdzie spałeś?

- Ano, właśnie...

Okazało się, że około siódmej wieczorem do biura zadzwoniła jakaś kobieta i zaproponowała bajeczny interes. Chciała się pozbyć jaj po śmiesznie niskiej cenie. Maks został dłużej, żeby na nią poczekać. Sekretarkę, pięćdziesięcioletnią Tamarę Pawłównę, zwolnił do domu. Nieznajoma pojawiła się

o pół do dziewiątej. Najpierw mówiła, że jest dyrektorem nowej fermy kurzej pod Moskwą. Przedstawiła się jako Raisa Kułakowa. Dość apetyczna ognista brunetka w kwiecie wieku. Biust, najwyraźniej rozmiaru pięć, opięty jaskrawozielonym T-shirtem z elastycznej dzianiny, pełne usta uśmiechnięte kusząco. A co najważniejsze, ponętna pani dyrektor gotowa była zbyć jaja za jakieś śmieszne grosze. Rzecz jasna, Maks natychmiast roztoczył cały swój urok. Wszyscy pracownicy poszli już do domu, więc osobiście zaparzył kawę.

Brunetka, krygując się, zaczęła popijać aromatyczny płyn i chwilę później wylała go sobie na jaskrawożółtą spódnicę. Maksym skwapliwie pobiegł do łazienki i przyniósł mokry ręcznik, żeby zetrzeć fusy. Paniusia z grupsza wytarła plamę i spokojnie skończyli kawę. A potem stało się coś dziwnego. Przed oczami Żółtka zaczęły latać czarne muszki, ogarnęła go przemożna senność, ziewanie rozdzierało mu usta. Dama westchnęła i oświadczyła:

- Późno już, muszę się zbierać.

Wstała. Maks próbował powiedzieć, że ją podwiezie, ale język odmówił

mu posłuszeństwa. Więcej niczego nie pamięta.

O dziesiątej rano obudziła go Tamara Pawłowna, która przyszła do pracy. Dość sceptycznie wysłuchiwała relacji o wizycie tajemniczej paniusi. Maks, zupełnie nie pojmując, jak mógł tak nagle zasnąć, pospieszył do domu. Po drodze wstąpił do sklepu i kupił bombonierkę ulubionych czekoladek Niny Andriejewny. Matka zawsze miała mu za złe, jeśli nocował poza domem, nie uprzedzając jej o tym. Więc synek postanowił się podlizać. I to wszystko. Nic więcej nie miał do powiedzenia. Pięć dni po aresztowaniu Maksa milicjanci obszukali mieszkanie i w sypialni znaleźli pod materacem nowiutką berettę. Odcisków palców nie odkryto, ale kulę, która zabiła Weronikę, wystrzelono właśnie z tej broni. Wytrzeszczyłam oczy.

- Co? Pistolet? Maksym potwierdził.

- Ja sam nic z tego nie rozumiem. Daszka, słowo honoru, nie zastrzeliłem jej. W ostateczności bym otruił albo udusił. Nawet nie wiem, co trzeba nacisnąć, nigdy w życiu nie miałem w rękach pistoletu!

Szczęknęły drzwi i znów pojawił się w nich pyzaty strażnik.

- No, obywatelki, kończymy! Maks przycisnął czoło do szyby.

- Dasza, to nie ja! Jak mamę kocham! Pomóż mi, to nie ja! W tym momencie wyłączono telefony.

Maks nadal ruszał ustami, ale już niczego nie słyszałam. To było okropne. Od razu przypomniał mi się mój dziwaczny sen.

„Pomóż, pomóż!” - krzyczał bezdźwięcznie Maksym. Usta mu drżały, po policzkach płynęły łzy. Z całej siły rąbnął pięścią w rozdzielającą nas szybę. Za jego plecami natychmiast pojawili się strażnicy. Chwycili go i powlekli w głąb pomieszczenia. A że wszystko odbywało się bez głosu, wyglądało jeszcze bardziej groteskowo. Przez chwilę czułam się tak, jakbym oglądała głupawy film i ktoś wyłączył fonię. Ale to nie był wydumany thriller, tylko okropna rzeczywistość.

Kobiety otoczyły mnie w milczeniu, któraś poklepała po ramieniu, inna ścisnęła za rękę, jeszcze inna podała papierosa

- No, dobrze - westchnęła najstarsza z nich - dawajcie po dziesięć rubli.

- Po co? - zdziwiłam się.

- Jesteś tu widać pierwszy raz, więc się ucz - powiedziała młoda Ormianka. - Teraz zbierzemy dwieście rubli i zostawimy przy okienku.

- I co dalej?

- Ty wyjdiesz i powiesz: „Synku, tu ktoś zostawił pieniądze.

- Czy to konieczne?

- Oczywiście - wyjaśniała cierpliwie „nauczycielka”, prostując i układając zmięte banknoty. - Pani musi się do nich zwracać „synku”, a oni będą mówić „obywatelko”. Natomiast gdy stoi pani z nami w kolejce, to co innego. Jestem młodsza od pani prawda? Czyli musi pani zwracać się do mnie „córeczko” a do chłopaka w moim wieku „synku”. Do swoich rówieśników należy mówić „siostrzo”, „bracie”, a do starszych „mameczko” Ja będę panią nazywała „mamulka”. Tak tu się poznaje swoich

Położyła banknoty na podłodze i ruszyła do wyjścia, a ja potulnie stanęłam na końcu. Odczekawszy, aż wszystkie kobiety dotrą do schodów, zrobiłam minę idiotki i wydusiłam z siebie:

- Hej, synku...

- Co tam, obywatelko?

- Spójrz, kochaneczku, ktoś zgubił pieniądze!

- Proszę się tym nie kłopotać - uspokoił mnie klawisz podnosząc zmiętoszone banknoty - zaraz je zaniosę do biura rzeczy znalezionych i na pewno je zwrócimy.

Pogwizdując wesoło, wszedł na górę po żelaznych schodkach, a ja ruszyłam w przeciwnym kierunku. Przy wyjściu odebrałam swój dowód i półprzymtomna wypadłam na gwarną ulicę Nowosłobodzką. Mijali mnie weseli ludzie, ubrani w letnie kolorowe stroje. Wielu z nich jadło lody, bo robiło się coraz cieplej. Tłum spokojnie mijał bramę,

skrywająca wejście do więzienia. Tuż obok był dom towarowy. Weszłam do długiego jak

kiszka sklepu przemysłowego i zagapiłam się na szczoteczki do zębów. W głowie miałam mętlik. Biedny Maks! Siedzi w celi, gdzie stłoczono stu dwudziestu chłopów, je jakaś breję. Westchnęłam ciężko. Nie, nie mogę tak odejść. Muszę mu zanieść coś do jedzenia.

Wypaliłam papierosa i wróciłam do więzienia. W sali, gdzie przyjmowano paczki, kłębił się zbity tłum. Rozgorączkowani, zgrzani ludzie taszczyli ciężkie torby. W kącie stała kobieta z zeszytem i zapisywała na listę chcących przekazać lekarstwa. Pokręciwszy się z dziesięć minut wśród towarzyszy niedoli, dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy. Paczkę żywnościową przyjmowano raz na miesiąc, maksymalna waga - trzydzieści kilogramów. Można było do niej dołączyć: skarpety, slipy, mydło, miskę, łyżkę, kapcie... Zapisać się trzeba tydzień wcześniej, a potem dwa razy dziennie odhaczać się na liście. Spóźnionych na wyczytywanie bezlitośnie wykreślano. Można przekazać też lekarstwa, ale wyłącznie rosyjskie. Dla przesyłek medycznych istniała oddzielna kolejka, też według listy. Wielu więźniom przynoszono wiadro, miskę i telewizor. Na te przedmioty - oczywiście za specjalnym zezwoleniem naczelnika więzienia - też była, a jakże, oddzielna kolejka. Produkty spożywcze należało rozwinąć, powkładać do przezroczystych torebek. Co jeszcze? Aha, sypkiego cukru nie wolno, za to cukier w kostkach bez ograniczeń, mydło - owszem, szampon - wykluczone, papier toaletowy - nie wolno, zeszyty szkolne - ile dusza zapragnie.

Nie mam wątpliwości, że wszystkie te przepisy wymyślili ludzie, chcący wyciągnąć pieniądze od krewnych osadzonych. Tak czy owak, zamierzałam zapłacić paniusi w okienku, żeby bez kłopotu przekazać paczkę.

Nagle mój wzrok zahaczył o tablicę „Opiekun społeczny”. Zaciekawiona, weszłam do niewielkiego wydzielonego pomieszczenia i odkryłam tam... sklep. Dwie miło uśmiechnięte dziewczyny - co za kontrast z pozostałymi pracownikami - i góry towarów. Ale ceny! Półtora raza wyższe niż w mieście. Za to gdy tu kupuje się niezbędne rzeczy, nie trzeba już ich przepakowywać ani stać w kolejce. W dodatku miłe sprzedawczynie przymknęły oko na to, że wszystko, co kupiłam, ważyło czterdzieści kilogramów.

- Proszę się nie denerwować. - Dziewczyna machnęła ręką. - Nikt nie będzie tego ważył, jeśli jest opłacone.

Zaczęłam wypełniać druczek.

- Niech pani napisze na odwrocie kilka słów - poradziła mi - dla podtrzymania na duchu.

Naskrobawszy kilka zdawkowych słów, wyciągnęłam portmonetkę i zapłaciłam za wszystko sumę, za którą przeciętna rodzina spokojnie przeżyłaby dwa miesiące. Potem wróciłam do sali i ze współczuciem popatrzyłam na umęczonych ludzi, rozkładających na stolikach „obnażone” produkty.

No cóż, bogatemu łatwiej i na wolności, i w więzieniu.

Rozdział 4

W domu zjawiłam się dopiero koło czwartej.

- Fuj! - prychnęła Kicia, krzywiąc zgrabny nosek. - Czym tak cuchniesz?

Więzieniem, chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język. Po co straszyć synową.

- Powiesz, gdzie byłaś? - nie ustępowała Olga.

Szczęśliwie w tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanęła zarumieniona Marusia. Za nią czaił się niepewnie Bundy.

- Widzieliście takiego głupka? - zapiszczała. Popatrzyliśmy na masywnego psa, który wyraźnie się trząsał.

- Znowu go koty przegnały z ogrodu. - Marusia parsknęła śmiechem. - On się ich śmiertelnie boi.

Nasza „kolekcja” psów zaczęła się od pitbulla Bundy'ego i rottweilera

Snapa. Te groźne psy kupiliśmy specjalnie do obrony. Ale jako szczeniaki obydwaj przypominały zachwycające pluszowe maskotki, które nieustannie pieścili i domownicy, i goście. I oto rezultat. Groźne z wyglądu psy uwielbiały wszystkich! Wynajęty psi instruktor okazał się bezradny.

- Pierwszy raz widzę takie psy - oświadczył. - Wspaniale wykonują wszystkie komendy z wyjątkiem „Bierz!”. Z nich już się nie da zrobić ostrych psów.

Tak więc Snap i Bundy ograniczają swoją działalność głównie do jedzenia. Nieustannie coś żrą i nie są bynajmniej wybredne: zupa, kasza, mięso, chipsy, orzechy, ogórki kwaszone. Jakiś czas później znajomy poprosił nas, byśmy chwilowo zaopiekowali się jego pudelką Cherry, ale zapomniał ją odebrać.

Następny był angielski mops Hootch, ale jego historię opowiem kiedy indziej. Jako ostatnia zjawiała się jorkszyrska terierka Julie razem ze swoją właścicielką, nianią bliźniaków, Serafimą Iwanową. Gdybym miała sporządzić tablicę hierarchiczną naszych zwierząt, to na wierzchołku bezapelacyjnie usadowiłyby się kotki - trójbarwna Kleopatra i biała Fifina. Psy podporządkowują się im z całą pokorą. Bundy zaś poszedł jeszcze dalej - odważny pitbull z zębami jak rekin na wszelki wypadek boi się wszystkich kotów. A do naszego ogrodu często zaglądają bezdomne dachowce w poszukiwaniu pożywienia. Jeśli Snap, Cherry, Julie i Hootchuś udają, że nie dostrzegają nieproszonych gości, to Bundy zapiera się przy progu i odmawia wyjścia na zewnątrz. Tylne łapy zaczynają mu się trząść, pysk przybiera głupkowaty wygląd. Co prawda, z równym przerażeniem pies reaguje na włączony odkurzacz, młynek do kawy czy wiatraczek.

- Klepcia, Fifa - krzyknęła Mania - przybłądy w ogrodzie!

Kotki smyrnęły na dwór. Oto kto wyżywa się na bezczelnych natrętach. Za oknem rozległo się syczenie, przeraźliwe wycie, wreszcie zduszone miauczenie. W ciągu dwóch minut nieproszeni goście wynieśli się jak niepyszni. A domowniczkę, dumnie unosząc puszyste ogony, przemaszerowały do holu.

- Możesz już wyjść, dziwolażu - burknęła Marusia. Bundy, rozglądając się lękliwie, podreptał do ogrodu.

- No i proszę, a tu się mówi, że pitbulle są krwiożercze. Nasz zemdlałby na widok kotka - zakpiła Ola.

Arkaszka pojawił się dopiero około siódmej. Ponura mina nie wróżyła niczego dobrego.

- No i co?! - rzuciłam się na „Perry'ego Masona”.

- Jedynym wyjściem dla niego jest przyznanie się, że dokonał zabójstwa w afekcie.

- Uważasz, że to on?

- Nie, Duch Święty - zdenerwował się Arkaszka.

- Ale Maks przysięga, że...

- Matka - westchnął Kieszka ze znużeniem - każdy przestępca zapewnia, że jest niewinny jak dziecko! Ale są pewne granice. W tym przypadku zaprzeczanie czemukolwiek jest głupotą!

Okazało się, że około północy Maks wrócił do domu. Widziała go sasiadka z parteru, Anna Michajłowna. Noc była parna, kobieta nie mogła zasnąć i paliła papierosa na ławce przed domem. Towarzyszyła jej Natasza Simonowa z mieszkania numer dwadzieścia dwa, która wyprowadziła swojego psa. Obie utrzymują, że Maksym przyjechał dżipem, zaparkował i wszedł do bramy. Mijając obie panie, uklonił się uprzejmie, a nawet rzucił kilka słów na temat męczącego upału.

Wykluczone, by się pomyliły, bo obie świetnie znają Polańskich. Nie minęło piętnaście minut, gdy Maks wyskoczył z bramy jak oszalały. Pędem minał gawędzące kobiety, wskoczył do dżipa i odjechał. Natasza dostrzegła na jego spodniach duże ciemne plamy.

Podczas rewizji na dnie wielkiego kosza na brudną bieliznę milicjanci znaleźli spodnie koloru beżowego, zachlapane krwią. Maks się zarzekał, że dawno nie nosił tych spodni, ale grupa krwi zgadzała się z grupą krwi ofiary i ponad wszelką wątpliwość była to krew Weroniki Miedwiediewej. Co więcej, sekretarka Tamara Pawłowna zeznała, że jej

szef wieczorem okropnie pokłócił się z żoną. Nie omieszkała też wspomnieć o romansie Polańskiego z młodą studentką. Tak więc oficerowie operacyjni zrobili to, co wydawało się oczywiste: aresztowali Maksa pod zarzutem morderstwa. Milczałam. Tyle dowodów! Co za kretyn! Uciekać na oczach gadatliwych sąsiadek. Nie mógł się wymknąć tylnym wyjściem? Dom przy Woronowa zbudowano w końcu lat trzydziestych. Z kuchni było wyjście na schody dla służby. Swego czasu, gdy Nina Andriejewna wysyłała mnie na bazar, musiałam wracać z kartoflami właśnie przez kuchnię, żeby nie nabrudzić w holu. Maks też dosyć często korzystał z tych schodów, gdy chciał się przemknąć po kryjomu. Drzwi wyjściowe od tej strony prowadzą na małe obskurne podwórko, stoją tam pojemniki na śmieci. W takim miejscu raczej nikt nie spaceruje. Dlaczego nie uciekał tędy? I dlaczego zatrzymał tak obciążający dowód jak zakrwawione spodnie? Przecież aż się prosiło, by wyrzucić je jak najdalej od domu, uprzednio pociąwszy dla pewności na strzępy? A już zupełnym idiotyzmem było ukrycie beretty. Mógł ją utopić w rzece i szukać wiatru w polu. Maks nie jest wprawdzie zbyt błyskotliwy, ale to przecież nie debil. Czyżby chciał, żeby go złapano? Zaraz, Nina Andriejewna wspomniała o popielniczce pełnej niedopałków. A sąsiadki utrzymują, że Maks wyskoczył z domu niemal natychmiast, no, najwyżej po piętnastu minutach. Jakim cudem można wypalić tyle papierosów w tym czasie? I jeszcze coś. W więzieniu powiedział mi, że nie zabił Weroniki. Przysiągł na życie matki. A to nie żarty. Maksym kocha matkę bez pamięci, nigdy w życiu nie szermowałby taką przysięgą. Arkaszka westchnął.

- Jutro pojedę do więzienia, spróbujemy ustalić linię obrony. Założmy, że ona go zdradziła.

- Nie - zaproponowałam cicho. - To nic nie da. I tak go skażą!

- Za zbrodnię w afekcie nie dostanie dużo. Zwłaszcza gdy powołamy świadków, którzy opowiedzą, jakie życie prowadziła Weronika. Piła, włóczyła się po nocach, łajdaczyła się. Najważniejsze, żeby się przyznał i zaczął lamentować: nie chciałem zabić, to przypadek. Szczera skrusza robi na sędziach bardzo dobre wrażenie.

- Nie - upierałam się. - On jest niewinny.

- Matka, przestań się wreszcie wygłupiać - warknął Arkady.

- Znam dobrze Maksa. Zabić kobietę, w dodatku strzelić jej prosto w twarz - to absolutnie nie w jego stylu!

- To znaczy - Kieszka był już porządnie wściekły - że na procesie w odpowiedzi na przedstawione dowody mam wstać i z pełną powagą oświadczyć: „Oskarżony jest niewinny, bo bardzo nie lubi zabijać kobiet strzałami”!

- Przyznaję - mruknęłam - że brzmi to niezbyt przekonująco.

- Otóż to. Jeśli będzie się upierał, że jest niewinny, sędziowie przywalą mu tak, że się nie pozbiera. Jest tylko jedno wyjście: wyrazić skruchę, rozpaczać, opowiadać o wyrzutach sumienia, kładąc nacisk na działanie w afekcie. Albo...

- Albo... - powiedziałam ponaglająco, widząc, że syn zamilkł.

- Albo szukaj prawdziwego zabójcy, skoro tak bardzo wierzysz w niewinność Polańskiego. - Kieszka walnął pięścią w stolik na gazety i wyszedł.

Zacząłam powoli zbierać rozsypane gazety i świstki z reklamami. Taka myśl nie przyszła mi do głowy. No właśnie, a gdybym tak sama spróbowała rozwikłać tę ponurą historię? Wygląda na to, że ktoś Maksa wrobił, tylko w jakim celu?

Następnego dnia rano Kieszka pojechał do więzienia, a ja do biura Maksa.

Teraz kiedy Maksa nie było, zastępował go Lonia Koszkin. A ściślej - Leonid Siergiejewicz, chłystek z rozbieganymi oczkami.

- O co pani chodzi? - burknął niechętnie. - Maks jest idiotą. Kto to słyszał, żeby samemu zabijać! Rozumni ludzie wynajmują kilerów. Paranoja!

Tamara Pawłowna, siwowłosa dama, urzędowała przed drzwiami

opieczętowanego gabinetu. Swego czasu Maksym wybrał ją spośród wielu innych pretendentek. Odrzuciwszy panienki ze wspaniałymi nogami, zdecydował się na była nauczycielkę rosyjskiego.

- Nie potrzebuję bóstwa w miejscu pracy - żartował. - A Tamara Pawłowna nie budzi grzesznych myśli i nosi spódnice normalnej długości.

Nie pomylił się. Nauczycielka okazała się świetną pracownicą. Nigdy się nie spóźniała, nie piła, nie paliła, dokładnie wypełniała wszelkie polecenia.

- Siedzę tu bezpiecznie jak za murem - wyjaśniał Maks przyjacielom, gdy się dziwili, że w recepcji urzęduje prawie emerytka. - A tym wszystkim siksom tylko rozrywki w głowie. Nie, swojej sekretarki na nikogo nie zamienię.

- W czym mogę pomóc? - zapytała dama ceremonialnie, gdy stanęłam przy jej biurku.

- Mam pozdrowienia od Maksyma Andriejewicza z aresztu - szepnęłam.

- Chodźmy - odszepnęła w odpowiedzi, zerkając z ukosa na drzwi gabinetu Koszkin.

Cicho, prawie na palcach, wymknęłyśmy się z biura i weszłyśmy do małej kawiarni w pobliżu.

- Jak on się czuje, biedak? - zapytała Tamara Pawłowna. - Zawsze wiedziałam, że związek z Weroniką na dobre mu nie wyjdzie.

- Dlaczego?

- Kompletnie nieprzewidywalna kobieta, bez żadnych zasad. Potrafiła wpaść do biura i urządzić awanturę. W dzień przed zabójstwem zażądała od Maksyma Andriejewicza dwudziestu tysięcy dolarów na futro z soboli. Wrzeszczała jak opętana. Szef jej tłumaczył, że teraz to niemożliwe, nie ma takiej sumy do dyspozycji, ale ta nic.

Wrzeszczała, że dogadała się z projektantem Krutikowej i ta odstępuje jej futro taniej, za marne dwadzieścia tysięcy baksów! Słyszane to rzeczy? A tak między nami, ta, za przeproszeniem, dama miała romans z Leonidem Siergiejewiczem.

- Skąd pani wie?

Tamara Pawłowna się roześmiała.

- Wszyscy wiedzą. Weronika otwarcie przyjeżdżała po niego samochodem. Przez cały miesiąc tak się prowadzili, potem wszystko się skończyło. Nie mogłam się nadziwić, że Maksym Andriejewicz tak cierpliwie to znosi. Choć, nawiasem mówiąc, i on od pewnego czasu też miał inną. Młodziutką studentkę Janę, podobno uczęszczała do Instytutu Mechaniczno-Matematycznego. Kilka razy wpadała do biura. Szczerze mówiąc, nie było na czym oka zawiesić, gdzie jej do Weroniki.

- Kto teraz zajmuje się całym biznesem?

- Koszkin, choć formalnie szefem nadal jest Maksym Andriejewicz. Ale niby jak on ma teraz kierować firmą?

Przytaknęłam, że z więzienia to trudne, i zapytałam:

- Czy Maks miał wrogów? Może narobił długów?

- A pani kim jest dla niego? - zapytała nieufnie.

- Powiedzmy, że dalszą krewną.

- W takim razie powinna pani wiedzieć o niezwyklej uczciwości Polańskiego - skarciła mnie surowo. - Czy pani wie, dlaczego on się tak szybko wzbogacił?

- Nie.

- Maksym Andriejewicz zawsze od razu rozliczał się z dostawcami. Na przykład kupował ciężarówkę jaj z glebowskiej fermy kurzej i od razu uiszczał całą należność. Wielu płaci jedynie połowę, a resztę dopiero po sprzedaniu towaru. A potem często oszukują, płacą mniej, kręcą, że towar nie został sprzedany i się zepsuł... Ale pan Polański nigdy tak nie robił. Dlatego wszyscy właśnie z nim chcieli robić interesy. Dla wielu aresztowanie go to prawdziwe zmartwienie.

- A bandyci go nachodzili?

- Z naszą „czapą” - wyjaśniła spokojnie - nigdy nie było z tym kłopotu. Raz w miesiącu zjawiają się, odbierają swój procent i wszyscy są zadowoleni. Całkiem miłe chłopaki, żadnych tam wygolonych

głów czy złotych łańcuchów. Jednym słowem, Maksym Andriejewicz to bardzo przyzwoity handlowiec, nigdy niczego nie brał na kredyt, interes rozwijał bardzo ostrożnie. Nawet w biurze zatrudniał niewiele osób, żeby jak najmniej wydawać na pensje. Nie miał ani kierowcy, ani ochrony. Że też musiało mu się coś takiego przydarzyć!

- A pamięta pani, jak wyglądał jego ostatni dzień w pracy?

- Naturalnie. Rano pojechał do Możajska, miał rozmowy na temat dostawy brojlerów. Zamierzaliśmy zająć się też sprzedażą mięsa drobiowego. Maksym Andriejewicz upatrzył już nawet magazyn. Później w ciągu dnia przegryzł coś w gabinecie i rozmawiał z lekarzem z sanepidu. A jeszcze później nieoczekiwanie przyjechała Weronika i zrobiła dziką awanturę.

Około ósmej Maks zwolnił sekretarkę do domu, mówiąc, że sam jeszcze zostanie, bo lada chwila zjawi się nowy dostawca -jakaś kobieta z Pietuchowa.

- Zapamiętała pani dokładnie nazwę miejscowości.

- Najdokładniej. Śmieliśmy się z nim jeszcze - jajka z Pietuchowa*. Tamara Pawłowna poszła więc do domu. Gdy przyszła do pracy następnego ranka, zastała otwarte drzwi. Ku swojemu zdziwieniu, znalazła szefa śpiącego przy stole snem sprawiedliwego.

- Co mu strzeliło do głowy, żeby zapewnić sobie takie alibi - westchnęła. - Kto uwierzy, że przespał całą noc w pracy? Kompletna bzdura! Nie było żadnej dostawczyni ani picia kawy.

* Gra słów: Pietuchowo (ros.) - Kogutowo (przyp. tłum.).

Okazało się, że nie znalazła w gabinecie żadnych brudnych naczyń. Czyściutkie filiżanki stały w szafie, obok leżały czyste łyżeczki.

- Żal mi Maksyma Andriejewicza, ale musiałam milicji powiedzieć prawdę.

Cóż, drogi mi Sokrates, ale jeszcze droższa prawda.

Pożegnałam Tamarę Pawłownę z ciężkim sercem. Czyżby mój były małżonek okazał się takim idiotą, by po zabiciu Weroniki wrócić do pracy i udawać, że przespał tu całą noc? Ale był jeden fakt, który dawał do udlenia: założmy, że pojechał do domu około północy, przypadkowo strzelił do Weroniki, przeraził się, stracił głowę, pognał do pracy i wymyślił idiotyczną historyjkę o tajemniczej kobitce. W porządku, ale o wizycie tej dostawczyni powiedział swojej sekretarce około ósmej, gdy Nika, jak najbardziej żywa, raczyła tortem Ninę Andriejewnę. To by znaczyło, że historyjkę tę wymyślił wcześniej, a więc o żadnym afekcie nie może być mowy. Planował zabójstwo z premedytacją, zapewniając sobie kretyńskie alibi. A to już zupełnie inny paragraf i zupełnie inny, znacznie surowszy wyrok.

Samochód sam skręcił w ulicę Woronowa. Natalia Simonowa, jedna z dwóch sąsiadek, które widziały Maksa tej feralnej nocy, była w domu. Wpuściła mnie do przestronnego mieszkania i zaczęła biadolić:

- Oj, Dasza, co za nieszczęście!

Wiele lat temu, jeszcze jako młode i wesołe dzierlatki, trochę się przyjaźniłyśmy. Wpadałyśmy do siebie na kawę, z upodobaniem plotkowałyśmy. Potem rozwiodłam się z Polańskim i zniknęłam z horyzontu, znajomość się urwała. Ale teraz Natasza poznała mnie od razu.

- Kto by pomyślał - trajkotała, odsuwając nogą jazgoczącego jamnika.

- Przestań, Klara, co za głupi pies. Wystarczy, że pojawi się ktoś obcy, a ta dostaje amoku.

- Natasza, jesteś pewna, że widziałaś Maksa?

- Chryste - aż się zachłysnęła - jakżebym mogła go nie poznać? Całe życie na jednym podwórku. Owszem, szedł jakoś dziwnie, jakby był przybity i zmęczony. Zwykle pierwszy się kłaniał, a tym razem włókł się z opuszczoną głową.

Zawołała do niego. Odwrócił się, zrobił kilka kroków w jej stronę, ale bliżej nie podszedł. Zaczął kasłać, burcząc, że trzeba mieć pecha, by w taki upał się przeziębic. Rozmawiali najwyżej pięć sekund. Potem Polański wszedł do bramy.

- Nie zauważyłaś niczego szczególnego?

- Nie. Był taki jak zwykle, tylko bardziej zdenerwowany. Nawet go spytałam: „Coś taki posępny?”. Machnął jedynie ręką: „Kłopoty w pracy”, i zniknął w bramie. Tylko ta Klara...
Jamniczka Nataszy to istota niezwykle łagodna, lecz na widok nieznanego zaczyna ujadać jak opętana. Gryźć nie ma zamiaru, ale szceka do upadłego. Do znajomych natomiast podbiega i nadstawia do głaskania jedwabisty grzbiet. Ruszyła też w stronę Maksa, ale po kilku krokach stanęła i zaniosła się wściekłym ujadaniem. Natasza próbowała ją uspokoić, jednak bez skutku. Suczka umilkła dopiero wtedy, gdy Maks zniknął w bramie. Nie wiedzieć czemu akurat tego dnia Klara się wściekała na Polańskiego.

- Widziałaś też, jak odjeżdżał?

- Widziałam. Wskoczył na podwórze, jakby go wilki goniły. Twarz blada, włosy potargane, spodnie całe w plamach. Przebiegł obok nas, mrużąc: „Chryste, nie chciałem, nie chciałem”. Zastanawialiśmy się nawet z Anną Michajłowną, o czym on mówi.
No cóż, przy takim świadku trudno zaprzeczyć, że był w domu. Postanowiłam odwiedzić Annę Michajłównę. Staruszka najwyraźniej oglądała jakiś serial, bo z mieszkania dało się słyszeć: „Pedro, najdroższy!”.

- Skąd ja panią znam? - mruzczała, wpuszczając mnie do środka. - Z kliniki, prawda?

- Jestem Daria, była żona Maksyma Polańskiego.

- Daszeńka - wyraźnie się uradowała - jak to dobrze, że się z nim rozwidłaś. Widzisz, co jest. Niby był normalny, ale Nikoczkę zastrzelił. Choć i z niej, Boże odpuść, niezły był numer! A ubierała się! Czasami człowiek miał wrażenie, że zapomniała włożyć spódnice. Kiedyś, ze zwykłej życzliwości, mówię do niej: „Weronika, serdeńko, masz na sobie tylko bluzkę i rajstopy”. A ta łypnęła na mnie i jak się nie wydrze: „Teraz takie sukienki się nosi, a ty, starucho, na cmentarz lepiej się zabieraj, zamiast wszystkich wkoło podglądać”. Zakichana artystka. Ale śliczna jak obrazek, to trzeba przyznać. Szkoda tylko, że obcięła takie piękne włosy. Cała głowa w jasnych lokach, a po obcięciu wyglądała jak obskubany rudy wróbel. Nie, nie rozumiem tej dzisiejszej mody. Anna Michajłowna też mi nie powiedziała niczego ciekawego. Maksa widziała, rozmawiała z nim, a potem zauważyła, że dżip szybko odjechał.
Jeden świadek wystarczy, by pogrążyć biednego Maksa, a cóż mówić o dwóch, w dodatku obie są takie pewne swego!
Poszłam na drugie piętro. Nina Andriejewna wyglądała kiepsko, a jedzenie w lodówce było nietknięte.

- Kto to słyszał, tak głodować - zdenerwowałam się. - Niech pani zje przynajmniej jogurt.

- Nie mogę niczego przełknąć - rozplakała się. Popatrzyłam na nią, była skrajnie wyczerpana. Strasznie jej pewnie samej w tym wielkim mieszkaniu.

- W porządku, niech się pani zbiera, jedziemy do mnie.

- Och nie, dziecinko, nie trzeba - przestraszyła się. - Wy tam w dwóch pokojach i tak siedzicie sobie wszyscy na głowie. Nie słuchając jej biadolonia, poszłam do sypialni byłego męża. Musiałam wziąć trochę rzeczy, aby mu je zawieźć do więzienia. Kobiety poinstruowały mnie, żeby przynieść: dresy, podkoszulki, szorty, skarpety, najlepiej wszystko czarne, poza tym ręcznik i kapcie. Nigdy w życiu nie wpadłoby mi do głowy, żeby zanieść kapcie do Butyrek. Otworzyłam wielką trzydrzwiową szafę. No, no, Maksym najwyraźniej niczego sobie nie odmawiał. Dwadzieścia ekskluzywnych garniturów, niezliczone koszule i pulowery, pęki krawatów, pasków, szelek i skarpet. A wszystko w najlepszym gatunku. Wepchnęłam do torby najpotrzebniejsze rzeczy. Aha, jeszcze zegarek! Maksym prosił, by Arkady przyniósł mu zegarek, nożyczki do paznokci i zabawkę Tetris.
Ale nigdzie nie mogłam znaleźć zegarka. Musiałam zapytać o niego Ninę

Andriejewnę.

- Tutaj jest - powiedziała. - Gdy go aresztowali, zegarek kazali zostawić w domu. Nosił na ręku niezły majątek - longines, bransoletka platynowa, na cyferblacie brylanty. Potwornie drogi drobiażdżek. W więzieniu raczej nieprzydatny, lepiej kupię jakąś taniznę, choćby polota.

Nina Andriejewna nadal szperała w biurku.

- No, proszę, sygnet też tu leży.

- Jaki sygnet?

- Maksym zrobił sobie taki prezent na czterdzieste urodziny. Kupił w Paryżu u Cartiera sygnet ze szmaragdem. Na mój gust, wyjątkowe paskudztwo.

Zagwizdałam cicho. Wiedziałam, ile u Cartiera kosztuje biżuteria dla mężczyzn. Maksym wydał pewnie na to majątek. A i longines to droga przyjemność.

Zabrawszy na wszelki wypadek notes eksmałżonka, dźwignęłam dwie wypchane torby i zaczęłam popychać Ninę Andriejewnę do wyjścia. W holu zaczepiłam o wieszak, posypały się z niego kapelusze.

Zlekceważyłam to, do diabła z nimi, pozbieramy kiedy indziej.

Przez całą drogę do domu Nina Andriejewna milczała. Pisnęła dopiero wtedy, gdy Snap i Bundy wetknęły łby do samochodu.

- One nie gryzą - uspokoiłam ją - podobnie jak reszta zwierząt.

- Bardzo miłe pieski - szepnęła i odważnie pogłaskała lśniący nos Bundy'ego.

Nagle rozległ się ogłuszający trzask. Pełnym gazem wpadła na podwórze Mania na motocyklu. Spod jaskrawoczerwonego kasku spływały długie jasne włosy. Kragła, tłusta pupa wbita w opięte czarne dżinsy. Nie zdążywszy zahamować, Masza wpakowała się wprost na bagażnik Arkaszowego mercedesa.

- Ale kaszana - rozdarła się swoim zwyczajem. - Kiesza flaki ze mnie wypruje!

- To moja młodsza córka Masza - pospieszyłam uspokoić Ninę Andriejewnę.

- Bardzo miła dziewczynka - bąknęła lekliwie. Potykając się o psy i koty, ruszyliśmy do holu. Przy drzwiach wejściowych stały dwie ogromne walizy, ściśnięte paskami. Ponure przeczucie dźgnęło mnie prosto w serce. Z salonu wyszło kilka osób.

- Poznaje pani Kieszę? - zapytałam, wskazując na syna.

- To naprawdę on? - zdziwiła się.

- Muleczko - zapisała Mania przyjechała Rimma Borisowna i przywiozła Gierę.

Ale ja też zobaczyłam już gości zmierzających ku mnie z rozpostartymi ramionami. Przetrzymawszy powitalne cmokanie i czyniąc zadość nakazom savoir vivre'u, podprowadziłam Ninę Andriejewnę do przyjezdnych i powiedziałam:

- Poznajcie się, panie.

- Bardzo mi miło - odezwały się obie równocześnie, a potem dodały unisono: -Jestem teściową Daszki.

Przedstawiwszy się w ten sposób, obie popatrzyły na siebie osłupiałym wzrokiem.

Arkasza i Marusia parsknęli śmiechem. Niech to licho, że też mnie zawsze muszą się przydarzać takie głupie rzeczy!

Rozdział 5

Cztery razy wychodziłam za mąż i za każdym razem nietrafnie. Uznawszy więc, że nie zostałam stworzona do małżeństwa, machnęłam na wszystko ręką i zaniechałam dalszych prób. Choć, mówiąc szczerze, trochę za późno. Mężowie wprawdzie sobie poszli, ale reszta członków rodziny pozostała i nie zamierzała mnie opuszczać. Poczynając od Arkadego, który tak naprawdę był synem mojego pierwszego męża. Prawdziwa matka chłopca była archeologiem i całymi latami przebywała na pustyni. Kiesza mieszkiał z ojcem, a kiedy miał trzy lata, trafił do mnie.

Marusią obdarzył mnie ostatni małżonek. Po rozwodzie ze mną ożenił

się z kobietą, która miała malutkie dziecko. Wkrótce postanowili wyemigrować do Ameryki, ale przecież nie mogli ciągnąć ze sobą w nieznaną taką drobiny. Tak więc Mania trafiła na jakiś czas do mnie. Mniej więcej rok później jej matka umarła, a Giera poślubił Amerykankę... Tak oto do syna dołączyła córka. Między tymi małżeństwami były jeszcze dwa: z Polańskim i z Filippem Krasawinem. Rimma Borisowna jest matką Filipa, a Giera jego młodszym bratem, zwanym w rodzinie PK, co po rozszyfrowaniu znaczy „Permanenta Katastrofa”. Mieszkają w Skalsku koło Iżewska, ale raz do roku tradycyjnie zjeżdżają do Moskwy. Rimma Borisowna zapamiętała buszuje wtedy po sklepach. I powtarza, że Gierę trzeba ożenić. Chłopak, jak dotąd bezowocnie, chodzi na spotkania klubu „Po Trzydziestce” i zamieszcza ogłoszenia w gazetach. Swoje oczekiwania wobec przyszłej małżonki określa jako „minimalne”. Powinna być z dobrej rodziny, wykształcona. I musi mieć świetną pracę. Mile widziana byłaby blondynka około trzydziestki. Naturalnie, zdrowa, bez dzieci i sędziwych krewnych. Koniecznie własne mieszkanie. Giera nie żąda bynajmniej, aby wybranka miała europejskie wymiary 90-60-90. Ostatecznie gotów jest zaakceptować również 92-62-92. Ja takiego cudu natury do tej pory nie spotkałam, ale Giera nie traci optymizmu. Ulokowawszy teściowe w ich pokojach, poszłam do siebie i zaczęłam przeglądać notes Maksa. Strony były szczelnie wypełnione nazwiskami i numerami telefonów. Ale ja szukałam Jany. W notesie jej nie było. Następnego dnia w południe znalazłam się w dziekanacie Instytutu Mechaniczno-Matematycznego. Na szyi miałam aparat fotograficzny. Machnąwszy przed nosem miłej kobiecie ciemno wiśniową legitymacją, opowiedziałam jakąś wydumaną historię. Przygotowuję nowe pismo dla młodzieży, chcę, by się nazywało „Jana”. Teraz poszukuję wśród studentów dziewczyn o tym imieniu, żeby przeprowadzić z nimi wywiad.

Kobieta wpadła w szczerzy zachwyt:

- Akurat jest taka! Na czwartym roku, Jana Sokołowa. Niech pani idzie do audytorium numer dwanaście, ich grupa dzisiaj zdaje egzamin. Na korytarzu pod masywnymi drzwiami tłoczyła się gromadka zdenerwowanych studentów.

- Przepraszam - zwróciłam się do nich - gdzie jest Jana Sokołowa?
- Nie mam pojęcia - odpowiedział czarnowłosego chłopak. - Nie było jej już na poprzednim egzaminie, podobno jest chora.

- Czy ona jest z Moskwy?

- Tak.

- Znasz adres?

- Proszę zapytać w dziekanacie.

Wróciłam do dziekanatu. Zdziwiona sekretarka sięgnęła po teczkę personalną.

- No proszę, rzeczywiście jest chora. Dostaliśmy zwolnienie ze szpitala.

Popatrzyłam na druczek. Zdecydowanym charakterem pisma doktor Rewienko zaświadczał, że Jana Sokołowa została hospitalizowana 5 czerwca z rozpoznaniem wstrząśnienia mózgu.

- Biedactwo - rozczuliła się kobieta - to bardzo odpowiedzialna studentka, pracuje na dyplom z wyróżnieniem. Wyjątkowo zdyscyplinowana, zawsze wszystko zdaje w terminie, referaty najlepsze na roku.

- A kto przyniósł zwolnienie, matka?

- Lena! - zawołała moja rozmówczyni.

Z sąsiedniego pomieszczenia wyjrzało ostronose stworzenie z wąskimi ustami.

- Ty odbierałaś zwolnienie Sokołowej?

- No - burknęła pannica.

- Matka przyniosła?

- Nie, siostra. To aż śmieszne.

- Dlaczego? - zainteresowałam się.

- Jana wyglądała trochę jak szczurek. - Pannica parsknęła śmiechem.

- Lena - skarciła ją surowo urzędniczka. - Cieszyłabyś się, gdyby

dobry Bóg dał ci choć połowę jej rozumu! Poza tym, to niegrzecznie tak mówić.

- O co chodzi - zajazgotała - co takiego powiedziałam? Uważasz, że Janka nie wygląda jak szczur laboratoryjny? Ma małe oczka, ostry nos, kolanka jak u konika polnego. I ubiera się okropnie. W tym samym swetrze chodzi zimą i latem. A siostra - śliczna jak obrazek. Tylko włosy miała podobne, rzadkie i rude. Ale to całe podobieństwo. Wystrojona jak laleczka: pantofelki na obcasie, biała spódniczka, jedwabna bluzka - чудо. Perfumy przepiękne. Przyniosła zwolnienie i powiedziała,

że wybrali się na plażę, grali w siatkówkę i Janka oberwała w głowę.

- No dobrze. - Starsza kobieta machnęła ręką. - Wracaj do pracy.

Zapisałam domowy adres Sokołowej i pojechałam do szpitala.

Gruba niechlujna baba w niezbyt czystym białym fartuchu rozpieierała się groźnie za drzwiami z tabliczką „Informacja”.

- Na jakim oddziale leży Jana Sokołowa?

- Dzień - warknęła baba.

- Co?

- Dzień przyjęcia.

Lekko oszołomiona, zdołałam jednak zebrać myśli i powiedziałam, że piątego czerwca.

Babsko chwyciło pulchnymi paluchami mysz i dość nieudolnie zaczęło włączać komputer. Długo nie mogła natrafić na właściwy program, wreszcie pojawiła się lista.

- Nie ma takiej - oświadczyła.

- Proszę sprawdzić czwartego albo szóstego.

- A co, ja się tu najęłam, żeby co chwila coś sprawdzać? -szczeknęła gniewnie.

Zadziwiająca logika! Owszem, po to się najęłaś, skoro siedzisz pod tabliczką „Informacja”. Banknocik pięćdziesięciorurowy w zadziwiający sposób zmienił nastrój damy. Na jej twarzy pojawił się nawet uśmiech. Niezwykle skrupulatnie przejrzała listy z pierwszych dziesięciu dni czerwca. O żadnej Sokołowej nie było najmniejszej wzmianki.

- A gdzie jest doktor Rewienko?

- Na pierwszym piętrze, na chirurgii.

Ruszyłam niespiesznie korytarzem. Drzwi z napisem „Pokój lekarski” były na samym końcu. Otworzyłam je i znalazłam się w dużym pomieszczeniu, w którym stało kilka biurka. Na parapecie bulgotał czajnik. Dość młoda kobieta o lekko apatycznej twarzy powoli podniosła oczy znad gazety. Pani doktor w wolnym czasie rozwiązywała krzyżówkę.

- Czy jest może doktor Rewienko?

- To ja - odpowiedziała z ociąganiem.

Na jej twarzy nie odbijały się żadne emocje. Gdyby teraz wpadło do pokoju dziesięciu gołych Papuasów, pewnie nawet nie mrugnęłaby okiem.

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę Janę Sokołową?

Lekarka zapatrzyła się przed siebie wyblakłymi oczami. Minęła minuta, dwie... Zdecydowałam się powtórzyć pytanie:

- W której sali leży Jana Sokołowa, chciałabym się z nią zobaczyć.

Godna następczyni Hipokratesa zmarszczyła czoło i w końcu raczyła się odezwać:

- Kto to?

- Pani pacjentka, ze wstrząśnieniem mózgu.

- W sali numer piętnaście leży Sokołowa.

Podziękowawszy drętwej babie, znowu wyszłam na korytarz przesiąknięty zapachem chloru. Drzwi do sali numer piętnaście były szeroko otwarte. W środku stały cztery łóżka, leżały na nich blade kobiety. Trzy zagipsowane, podwiązane do wyciągów nogi, jedna ręka - „samolot”. Nijak nie wygląda to na wstrząśnienie mózgu. Na wszelki wypadek zapytałam:

- Czy któraś z pań nazywa się Sokołowa?

- Ja - odezwała się jedna, tak na oko pod pięćdziesiątkę.

- Jana?

- Olga Sokołowa. - Kobieta westchnęła. - Znowu coś pokręcili w informacji.

Wróciłam do gabinetu. Lekarka z melancholią wpatrywała się w krzyżówkę.

- W sali numer piętnaście leży Olga Sokołowa, a ja szukam Jany, która ma dwadzieścia lat.

- Innej nie ma - odpowiedziała beznamiętnie Rewienko.

- Chwileczkę, to na jakiej podstawie wypisała jej pani zwolnienie?

- Ja? - zdumiała się. - Nigdy nie wydaję żadnych zwolnień, tym zajmuje się u nas pielęgniarka.

Dźgnęłam palcem leżące na sąsiednim stole blankiety.

- Dokładnie taki druczek wystawiła pani Janie Sokołowej. Rewienko wzruszyła ramionami.

- Niech pani sama zobaczy, tam jest już wszystko, i pieczęć, i podpis, trzeba tylko wstawić imię i nazwisko.

- Niezłe porządki! - burknęłam.

Rewienko z całkowitą obojętnością powróciła do krzyżówki. Co za baba - bryła lodu!

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do gabinetu wpadła mocno umalowana dziewczyna. Biały półprzeźroczysty fartuch opinał ją niczym druga skóra, na głowie jakimś cudem trzymał się ogromny wykrochmalony czepek. Obrzuciwszy mnie spojrzeniem spod grubo wytuszowanych rzęs, zjawisko podbiegło do telefonu.

- Galu - wycodziła Rewienko - tu się dopytują o Janę Sokołową, czy u nas taka leżała?

- Może i leżała - odrzekła dziarsko Gala, dziobiąc krótkim palcem klawisze - a czy to można wszystkich zapamiętać!

- Podobno przyjęto ją piątego czerwca - wtraciłam.

- Nie ma tu takiej - ucięła Gala - pewnie pomyliła pani szpital.

Rada nierada, zabrałam się i wyszłam. Jedno było jasne: Jany nie ma w szpitalu. Prawdopodobnie przyjechała tu na jeden dzień zaraz po nieszczęśliwym wypadku, a potem wróciła do domu na rekonwalescencję. Jana Sokołowa mieszkała niedaleko od stacji metra Szczukińska. Ogromny blok sterczał niczym wieża między piętrowcami, zupełnie jak drugoroczniak wśród pierwszaków. Brudna brama, ani śladu dozorczy. Winda, szczerząca nadpalone guziki, z wyraźną niechęcią wjechała na czternaste piętro. Drzwi mieszkania otworzyły się i na progu stała monstrualnie gruba kobieta. Po prostu baba-góra. Mamucie cielsko okrywało coś na podobieństwo szlafroka. Tłuste, lśniące policzki cieszyły oko buraczkowymi rumieńcami, słupiate nogi tkwiły w kapciach tak na oko numer czterdzieści dwa. W tym miejscu, gdzie u zwyczajnych kobiet jest talia, damę opasywał sznur do bielizny. No cóż, nie było w tym nic dziwnego, niby skąd miałyby wytrzasnąć dwumetrowy pasek?

- Kogo pani szuka? - zapytało monstrum dość przyjaznym tonem, kokieteryjnie poprawiając bułową dłońią tłuste kosmyki.

- Jany Sokołowej.

- Proszę wejść.

Wcisnęłam się do waziutkiego korytarza. Sapiąc z wysiłku, gospodyni poczłapała do kuchni. Prawie całe pięciometrowe pomieszczenie zajmowała kuchenka i lodówka. Gdy hipopotamica stanęła przy zlewie, dla mnie został zaledwie skrawek wolnej przestrzeni.

- A do czego potrzebna pani Janeczka?

Powtórzyłam bajeczkę o nowym piśmie i wywiadach. Wysłuchiwała mnie z ciekawością i powiedziała:

- Janeczka wyjechała, służbowo.

- Dokąd?

- U nich na wydziale skompletowano drużynę na olimpiadę w Kijowie. Początkowo jej nie zakwalifikowano, a potem, ni z tego, ni z owego, powiedziano, że natychmiast ma się zbierać i jechać. Nawet nie wpadła do domu, tylko zadzwoniła, Tanieczka zawiozła jej walizkę na dworzec. Ciekawostka, a na wydziale powiedziano mi, że jest chora. Czyżby zapomnieli o olimpiadzie?

- Pani jest jej mamą?

- Nie, ciotka, ale wychowuję ją od dziecka.

Okazało się, że matka Jany umarła, gdy dziewczynka miała dwa lata.

Ojciec wkrótce ponownie się ożenił i dziewczynka mu zawadzała.

Przygarnęła ją Rada Iljiniczna, siostra ojca.

- Swoich dzieci nie mam - powiedziała z prostotą - a po operacji narządów kobiecych rozděłam się jak balon. Za mąż nie wyszłam, żyjemy sobie we dwie z Janeczka. Dziewczyna to prawdziwy skarb. Świetnie się uczy, posłuszna, miła, dostaje stypendium. Nie pali, nie pije, nie to co inne. Chce pani zobaczyć jej zdjęcia?

Nie czekając na odpowiedź, wyjęła z szuflady album.

- Niech pani spojrzy, jaka ślicznotka.

Szczerze mówiąc, nie bardzo było na co patrzeć. Na wszystkich zdjęciach widniało szczupłe, wręcz chude dziewczę. Włosy mocno ściągnięte w koczek albo w koński ogon. Drobną buzią z ostrym noskiem, wąskie usta, brwi i rzęsy trzeba by szukać przez lupę. Choć na ostatnich zdjęciach można dostrzec pewną zmianę. Włosy obcięte krótko, ufarbowane na rudo - prawdopodobnie nieśmiałe próby poprawienia wyglądu. Na wszystkich fotkach jest sama, ledwie na kilku z kotem.

- Chudziutka - uzaliłam się, by sprowokować ciotunię do rozmowy - ale ładna, pewno od chłopaków nie może się opędzić.

- A gdzie tam, nikogo nie ma. Na jej wydziale są widać sami dziwacy. Dziewcząt tam prawie nie ma. Pozalecaliby się, do kina zaprosili - gdzie tam! Choć po prawdzie, Janeczka nie bardzo ma czas. Chce zdobyć dyplom z wyróżnieniem, całymi dniami przesiaduje w bibliotece. A parę razy nawet nocowała u Żeni. Coś jej tam się przeciągnęło, a strach wracać po nocy. Metro wprawdzie blisko domu, ale po dziesiątej nigdzie żywej duszy, a mnie na ulicę ciężko wychodzić, mam zadyszkę.

- Kto to jest Żenia?

- Jewgienija Polakowa, koleżanka, są w tej samej grupie. Żenieczka mieszka obok uniwersytetu, mieszkanie ma duże i Janeczka czasami u niej nocuje.

W korytarzu zabręczał dzwonek i Rada Iljiniczna, sapiąc, poszła otworzyć drzwi.

- No proszę - ucieszyła się. - To Taniusza, koleżanka Janeczki, chodziły do tej samej klasy. A to redaktorka z pisma, chce napisać artykuł o córce - dodała chełpliwie.

Tanieczka rzuciła na mnie szybkie spojrzenie, postawiła na stole dużą siatkę i wyciągnawszy z kieszeni kilka zmiętych banknotów, powiedziała dźwięcznie:

- Kupiłam wszystko, dostałam nawet jogurt bananowy.

- Dziękuję, co ja bym bez ciebie poczęła - rozczuliła się Rada Iljiniczna.

No cóż! Ciotka najwyraźniej nic nie wiedziała o romansie bratanicy z Polańskim. Może najbliższe koleżanki są lepiej zorientowane.

- Szkoda, oczywiście, że nie ma Jany - westchnęłam - ale materiał można zebrać i bez niej. Jeśli, rzecz jasna, koleżanki zechcą odpowiedzieć na kilka pytań. Czy pani daleko mieszka?

Tania się roześmiała.

- Już dalej nie można - za ścianą.

Poszliśmy do niej. Ona też zaprosiła mnie do kuchni, żeby zrobić kawę.

- Od dawna przyjaźnisz się z Janą?

- Całe życie. - Taniusza się uśmiechnęła. - Poznałyśmy się, gdy miałyśmy po pięć lat, bawiłyśmy się razem w piaskownicy. Potem byłyśmy w tej samej szkole, dziesięć lat w jednej ławce.

Rozdzieliliśmy się dopiero na studiach. Ja do matematyki nie mam głowy.

- Czy wiesz, gdzie jest Jana?

- W Kijowie.

- Jesteś pewna?

Okazało się, że piątego czerwca, około trzeciej po południu, Rada Iljiniczna zawołała Tanieczkę. Janie zaproponowano nieoczekiwane

wyjazd do Kijowa i nie zdążyła wpaść do domu po rzeczy.

- Dziwne - mruknęłam. - Skąd taki pośpiech, nie mogli jej wcześniej poinformować?

Rada Iljinična powiedziała Tani, że do Kijowa miała pojechać drużyna z piątego roku, ale ktoś zachorował i Janę wstawili na zastępstwo. Tania posłusznie wzięła walizkę i pojechała na Dworzec Kijowski. Wpadła tam dosłownie w ostatniej chwili. Jana ledwo zdążyła chwycić walizkę, machnąć ręką i wskoczyć do wagonu.

- Jechała sama?

- Nie wiem, myślę, że z drużyną.

- Ciekawe, czy Maksym Polański ją odprowadził?

Tania zaczerwieniła się gwałtownie. Czoło, policzki, nawet szyja przybrały kolor piwonii.

- Skąd pani wie o Maksymie?

- Nie ma takiej tajemnicy, której nie dałoby się odkryć - wyrecytowałam z emfazą.

Po tych słowach dziewczyna dosłownie spurpurowiała.

- Przysłała panią jego żona?

- Ależ skąd. Prawda jest taka, że Maksym Andriejewicz znalazł się w bardzo przykłej sytuacji. Jestem jego adwokatem i muszę zbadać, co robił w nocy z piątego na szóstego czerwca. A nie chciałam niepotrzebnie denerwować Rady Iljiničnej. Powiedz, widziałaś na pewno, że Jana odjechała?

- Oczywiście, jeszcze konduktorka na nią nakrzyczała, że wsiadła w ostatniej chwili. Pociąg numer 13, wagon numer 13, taki zbieg okoliczności. A co się stało Polańskiemu?

- Jest w więzieniu, oskarżono go o zabójstwo żony.

- Boże - wyszeptła Tania - a Jana nie pójdzie do więzienia?

- Za co?

- Od jakiegoś czasu często się widywali. Poznali się we wrześniu i odtąd prawie się nie rozstawali.

Drugiego września około piątej po południu Jana szła spokojnie w stronę metra Uniwersytet. Jej uwagę zwrócił sympatyczny mężczyzna, stojący obok dżipa. Podniesiona maska prezentowała światu wewnętrzną auto. Mężczyzna majstrował coś przy przewodach, potem ze złością kopnął w koło, wyciągnął telefon komórkowy i zaczął mówić dość głośno:

- Mam, przepraszam, nie przyjadę. Stoję na drodze jak głupek, samochód się rozkraczył, wszystkie plany wzięły w łeb!

Wyłączył telefon i nie bacząc na to, że brudzi białe spodnie, usiadł na krawężniku.

Jana tego dnia nigdzie się nie spieszyła. Od dziecka interesowały ją silniki. Gdy inne dzieci bawiły się na podwórzu w klasy i skakały przez sznurek, Janoczka z zapartym tchem sterczała przy kierowcach i ich samochodach. Kiedy miała dwanaście lat, potrafiła już rozebrać i złożyć silnik żiguli. Z całego domu sąsiedzi znosili do Jany uszkodzone młynki do kawy, radia i telewizory. Dziewczynka miała złote ręce.

Gdy spostrzegła zdenerwowanego faceta, który mógłby być jej ojcem, podeszła i zaciekawiona zajrzała pod maskę. Od razu odgadła, co się stało.

- Zmykaj, dziewczynko - odezwał się kierowca zrezygnowanym tonem.

Jana podwinęła rękawy sweterka i wsunęła głowę do środka. Po kilku minutach dżip zawarczał wesoło. Oślupiały Maks pomógł niespodziewanej pomocnicy umyć ręce i podwiózł ją do domu. Tak rozpoczął się ich romans.

Jana zakochała się w Maksymie bez pamięci. Nie chciała od niego niczego: ani brylantów, ani futer, ani mieszkania. Pragnęła tylko przebywać w pobliżu ukochanego, oddychać tym samym powietrzem, siedzieć cichutko obok...

Teraz wszystkie wieczory spędzała z Maksymem. Czasami wpadała do Tanieczki i już od progu zachwycała się, jaki to Polański wspaniały, mądry, delikatny, taktowny, dobrze wychowany, subtelny i piękny... I mogła tak recytować przez kilka minut. Był

tylko jeden malutki feler - żona Weronika. Jana miała wyrzuty sumienia, nie chciała burzyć cudzego szczęścia. Ale Maksym ją uspokajał - jego małżeństwo nie istnieje, to wyłącznie zgłiszcza. Rozwód jest już od dawna postanowiony i bynajmniej nie ona jest jego powodem.

Janoczka wprost unosiła się nad ziemią, jaśniejac szczęściem. Po raz pierwszy w życiu zapragnęła być ładna. Dlatego, szykując się do wyjazdu z Maksymem do Tunisu, obcięła dość mizerne włosy i ufarbowała je na rudo.

- Wyglądała okropnie, ale jej się podobało - westchnęła Tania.

- Zamierzali jechać na wczasy?

- Tak. Bilety kupili na siedemnastego czerwca. Radzie Iljincznie miała powiedzieć, że jedzie na obóz studencki, na Krym.

Dziwne, pomyślałam, marzy o wyjeździe z ukochanym nad morze i ni z tego, ni z owego wyrusza na olimpiadę do Kijowa. Pal lichy, postrzelona pannica. Skoro Tania widziała, a przecież widziała, jak wieczorem piątego czerwca Jana wsiadała do pociągu, to znaczy, że dziewczyna nie spotkała się z Maksem feralnej nocy. Czyżby więc istotnie przesiedział noc w swoim gabinecie?

Rozdział 6

Do domu wróciłam około dziesiątej wieczorem, głodna, zgrzana i zła. W salonie, rozmawiając przyjaźnie, siedziały teściowe. W ich rękach migaly szydełka. No proszę, znalazły wspólny język. Obie z zapalem produkowały idiotyczne białe serwetki z cieniutkiego kordonku.

- Późno wracasz - rzuciła Nina Andriejewna.

- Tak na marginesie, Masza ogląda film, który jest absolutnie nie dla niej - dodała Rimma Borisowna.

- Dzieci są teraz strasznie rozpuszczone, a matki myślą tylko o pracy - westchnęła teściowa numer dwa.

- My swoich synów trzymałyśmy krótko - uzupełniła teściowa numer jeden.

Wpatrzony w nie Snap cichutko zaskowyczał. Nina Andriejewna sięgnęła do metalowej puszki z ciastkami i z rozanielonym uśmiechem wsunęła tłusty maślany smakołyk w szeroko rozdziawiony pysk. Natychmiast podbiegł Bundy i cała zabawa się powtórzyła.

- Aha, u Arkaszki siedzi jakiś mężczyzna, podobno to twój przyjaciel. A tak przy okazji, czy nie niepokoï cię żołądek syna? Przy obiedzie zjadł tylko sałatkę z ogórków, to prosta droga do nieżyty żołądka. Dam ci do przeczytania artykuł ze „Zdrowia” na ten temat, bardzo ciekawy.

- Przecież ona sama okropnie się odżywia - wtrąciła swoje trzy grosze Nina Andriejewna. - Przegryza coś od czasu do czasu i dzieci też nie nauczyła, żeby jadły normalny obiad. Aha, jeszcze jedno, nie powinno się pozwalać dziewczynce rozbijać na motorze. To takie wulgarne!

Uśmiechając się miło do harpii, cofnęłam się w stronę drzwi. Nie, dwie teściowe jednocześnie - tego nawet święty by nie wytrzymał. W gabinecie Arkaszki siedział Aleksander Michajłowicz. W rękach trzymał jakieś dokumenty. Przed nim stał pusty talerzyk z okruchami, spostrzegłam też nietkniętą filiżankę z jakimś jasnobrazowym płynem. O mało nie parsknęłam śmiechem - Kieszka uszczęśliwiał pułkownika „firmowym” napojem. Znajac się świetnie na winach, o parzeniu kawy nie miał bladego pojęcia. Nawet gdyby ktoś się bardzo starał, takiego paskudztwa by nie sporządził. Arkasza tkwi w błogim przekonaniu, że na cały ekspres wystarczy jedna łyżeczka kawy. Żeby poprawić smak, słodzi szcudrze i bez opamiętania dolewa mleka. Cieczy, która w ten sposób powstaje, nie chce pić nawet wszystkożerny Bundy.

- Mamo - odezwał się Arkasza - pułkownik przyjechał, żeby porozmawiać o sprawie Polańskiego.

Drgnęłam i popatrzyłam na syna z wyrzutem: zdrajca, wypaplał o zabójstwie! Pułkownik zaś uśmiechał się miło jak gdyby nigdy nic i pieszczotliwie szczypał Hootcha w grube fałdki na karku. Mops mrużył oczy z rozkoszy.

Aleksander Michajłowicz to nasz stary i wierny przyjaciel. Wiele lat temu ja, skromna nauczycielka francuskiego, połąkomiłam się na dodatkowy zarobek i zatrudniłam się jako lektorka w Akademii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Płacono tam świetnie, a w dodatku, co bynajmniej nie było bez znaczenia, przydzielano deputat spożywczy. To od tamtej pory na ptasie mleczko mówi się w naszym domu „milicyjne”.

Trafiła mi się szczególna grupa. Piętnastu młodzianów kompletnie zielonych we francuskim. Świetnie sobie radzili ze swoimi milicyjnymi przedmiotami, ale francuski stał się dla nich prawdziwą kulą u nogi. - Już lepiej przez tydzień uganiać się za przestępcami niż wkuwać te panine czasowniki nieregularne - jęknął któryś w chwili szczeroci. Im bliżej egzaminu, tym wyraźniej było widać, że większość z nich go nie zda. Gdybym jeszcze sama ich odpytywała, postawiłabym wszystkim czwórki, kto ich tam sprawdzi. Ale rektor kazał powołać komisję. Moi „Francuzi” ze strachu zapomnieli nawet to, czego zdołali się nauczyć! Postanowiliśmy więc wziąć się na sposób. Każdy z nich dostał po jednej kartce i musiał nauczyć się wszystkiego na pamięć! A ja obiecałam im, że tak to urządzę, aby każdy z nich wylosował swoją kartkę.

Następnego dnia rano za długim stołem ulokowała się komisja w składzie: lekarz anatomopatolog, nauczyciel strzelania i miła nauczycielka matematyki. Ja usiadłam u szczytu, uradowana, że nikt z nich nie zna obcych języków.

Gdy pojawiła się pierwsza grupa zdających, szybko wsunęłam im odpowiednie kartki. Egzamin poszedł jak po maśle. Studenci pewnie czytali teksty i gracko odpowiadali na pytania z gramatyki. Piątki sypały się jak z rogu obfitości. Uspokoiliłam się i trochę odprężyłam. Okazało się, że za wcześnie.

Krach nastąpił w chwili, gdy kartkę wyciągnął Aleksander Michajłowicz, wtedy jeszcze młody i z bujną fryzurą. Usiadł w ostatniej ławce i z wyrazu jego twarzy zrozumiałam, że coś nie gra. Z miłym uśmiechem, zaglądając do kartek tych, którzy przygotowywali się do odpowiedzi, podpłynęłam do niego i groźnie syknęłam:

- Co jest?

- Tego nie umiem - szepnął nieszczęśnik. - Wziąłem nie tę kartkę.

A niech to, prawdziwa katastrofa.

- Słuchaj - mruknęłam - nikt z nich nie zna francuskiego, przeczytaj jakoś ten tekst, nie będę cię pytała z gramatyki.

Spocony nieborak podszedł do komisji i drżącym głosem usiłował przeczytać tekst. Rety, jak on wymawiał! Aujourd'hui w jego wykonaniu brzmiało jak „auzurdois”, esł jak „est”, ale komisja wyglądała na zadowoloną: szybko i wyraźnie, czyli w porządku. Machnęłam ręką i przysunęłam do siebie indeks męczennika. I dokładnie w tym momencie nauczyciel strzelania ocknął się z drzemki i polecił:

- Teraz proszę przetłumaczyć!

Student rzucił na mnie spłoszone spojrzenie.

- No - podpowiedziałam mu - proszę się nie denerwować, widziałam, jak pan tłumaczył pisemnie, wszystko było w porządku, proszę wyjąć tę kartkę z teczki i przeczytać.

Pojętny chłopak wyciągnął jakiś świstek i zaczął czytać wykład „Anatomopatologiczne badanie zwłok”. Gdy dodam, że wszyscy przed nim mieli bajki Charles'a Perrault, to nic dziwnego, że zrobił piorunujące wrażenie.

- Jaki trudny tekst. - Nauczycielka matematyki pokręciła głową. - Niezbyt fortunnie dobrane pytania. Jedni mają Czerwonego Kapturka, inni - niezwykle trudne profesjonalne zagadnienie. Podejdz, młody człowieku, bez wątplenia zasłużyłeś na piątkę.

Muszę jeszcze dodać, że następnego dnia nieźle mi się oberwało za idiotyczny dobór tekstów do tłumaczenia.

Od tamtej pory pozostajemy z Aleksandrem Michajłowiczem w wielkiej przyjaźni. Przystojny, kędzierzawy porucznik zmienił się w tęgiego łysawego pułkownika. Ale ta metamorfoza nie miała żadnego wpływu na nasze wzajemne stosunki. Gdy zamieszkaliśmy w Paryżu, natychmiast

zaprosiliśmy go do siebie. Przyjechał i od razu zaprzyjaźnił się ze swoim francuskim kolegą, komisarzem Georges'em Perettem. Ja i Nataszka nie mogłyśmy pojąć, w jaki sposób tych dwóch się dogaduje. Georges nie zna ani jednego słowa po rosyjsku, a Aleksander Michajłowicz z okropnym akcentem potrafi wydusić jedynie, skądinąd prawdziwe, zdanie: „Moskwa jest stolicą ZSRR”. Ale to im nie przeszkadzało dyskutować o sprawach zawodowych i włóczyć się po niezliczonych paryskich kawiarniach. Odprowadzając przyjaciela, gdy wracał do Moskwy, Georges przyniósł na lotnisko mały koszyk.

- Niech ten piesek przypomina ci o mnie - powiedział - ma na imię Hootch i jest do mnie podobny.

Co racja, to racja. Tłusciutki, z krótkimi łapkami angielski mopsik w zadziwiający sposób przypominał obydwu - i moskiewskiego pułkownika, i francuskiego komisarza.

Początkowo Hootchuś zamieszkał w kawalerskim mieszkaniu pułkownika, ale szef milicji całymi dniami przebywał poza domem. Mops tęsknił, wreszcie rozchorował się z tęsknoty.

Maszy zrobiło się żal pieska i tak oto Hootch znalazł się u nas. Olga nadała mu drugie imię - Fiodor Iwanowicz. Układna psina reagowała na oba imiona. Hootchusia w naszej rodzinie lubią wszyscy, nawet zadziorne kotki.

W naszych idyllicznych stosunkach z Aleksandrem Michajłowiczem jest jedna - ale za to jaka! - łyżka dziegciu. Pułkownik pracuje w MSW i ma do czynienia z wszystkimi sprawami karnymi. Kilka razy zdarzyło się nawet, że przesłuchiwał mnie absolutnie formalnie, z protokołem. Ale na litość, czy to moja wina, że co rusz wplątuje się w niesamowite historie? Taki już los, widać urodziłam się pod nieszczęśliwą gwiazdą! To znajduję trupa na śmietniku, to najbliższa przyjaciółka umiera nagle w środku przyjęcia. I bynajmniej nie mnie należy winić, że funkcjonariuszom milicji nie chce się prowadzić śledztwa, tylko szybciuśko zamykają sprawę, uznając, że to samobójstwo albo nieszczęśliwy wypadek. Zgoda, ostatnim razem obiecałam, że już nie będę się „pętać pod nogami”. Ale przecież nie zostawię Maksa w potrzebie.

- Nie do wiary, cóż to za niezwykle zbieg okoliczności - spróbowałam się połasić - właśnie Arkaszkę Nina Andriejewna wynajęła na adwokata!

- Powiedziałbym, tragiczna koincydencja - podchwycił mój ton przyjaciel - jeśli się uwzględni, że to ja prowadzę sprawę.

Niech to licho! Ale mam pecha, teraz już kroku nie zdołam zrobić bez jego pozwolenia.

- Daszuta - zaczął zaskakująco przyjaznym tonem - rozumiem twoją żarliwość. W końcu to mąż, nawet jeśli były.

Naogół trudno uwierzyć, że człowiek, z którym się przeżyło ileś tam lat, jest mordercą.

- On nie zabił - powiedziałam cicho, ale z naciskiem.

- Posłuchaj. - Widziałam, że zaczyna się gotować. - Są sprawy, które budzą wątpliwości, i sprawy absolutnie jasne. Polański planował zabójstwo wcześniej, zapewnił sobie alibi. Inna rzecz, że zachowywał się jak idiota, widziały go sąsiadki, zaplamił spodnie, a na dodatek o swoim zamiarze powiedział przyjacielowi.

- Komu? - zdumiałam się.

- Siemionowi Worobjowowi. Znasz go?

A jakże. Był z Maksymem w tej samej grupie w Instytucie Literackim. Dostał się na studia w ramach specjalnej puli. Przyjechał do Moskwy niemal w łapciach. Wielki, płowowłosy, świńskie oczka, nieznośna prowincjonalna wymowa. W czasie pierwszej wizyty wprawił w osłupienie Ninę Andriejewną tym, że wysmarkał się w palce, po czym pretensjonalnie wytarł ręce w chusteczkę. Mierziło mnie w nim jednak nie zachowanie, ale wręcz chorobliwa zawiść, jaką żywił wobec Maksa. Dochodziło do sytuacji humorystycznych. Wystarczyło, że Maksym kupił sobie nie teczkę, tylko plecak, a Siemka natychmiast sprawiał sobie taki sam.

Siemion nieprzytomnie pragnął zostać po studiach w Moskwie. Maks

poznał go z Adelajdą Klein, starą panną, która straciła już nadzieję na zamążpójście. Ożeniwszy się z Adą i otrzymawszy meldunek w Moskwie, Worobjow zatrudnił się w wielkonakładowej gazecie, wydawanej w kombinacie mięsny. Ciepłutka posadka w tych głodowych latach. Ale pisarzem i tak nie został.

- Siemionowi - powtórzyłam ze zdumieniem.

- Tak - potwierdził Aleksander Michajłowicz. - Spójrz. Podał mi kartkę papieru.

Tak, Siemion Włodzimirowicz Worobjow, rok urodzenia, adres, dane z dowodu, w sprawie, o której mowa, mogę powiedzieć, co następuje... Czytałam i resztki włosów jeżyły mi się na głowie.

Maks przyjechał do Siemiona pierwszego czerwca na mocnym rauszu.

Na uwagę, że w takim stanie nie powinien siadać za kółkiem, machnął ręką i powiedział:

- Najwyżej się rozbiję, i dobrze, życie mi zbrzydło. Siemion, który zawsze z przyjemnością słuchał o niepowodzeniach Polańskiego, zaczął go wypytywać.

Maks poskarżył się na kłopoty w biznesie. Narobił długów. Kredytorzy włączyli licznik, który bije, i teraz Maks musi sprzedać mieszkanie, bo jak nie odda długu, to go wykończą.

- To daj im chałupę, życie cenniejsze - poradził życzliwy koleżka.

Sęk w tym, że Maks nie mógł tego zrobić, mieszkanie jest własnościowe, przepisane w równych częściach na niego i na żonę, a Weronika kategorycznie oświadczyła, że nie zrezygnuje ze swojej części.

- Zabiję ją - wściekał się Maks - normalnie zastrzelę tę sukę! Tak walnął pięścią w stół, że spadł mu z przegubu rolex i rozbił talerzyk. I zaczął wymachiwać przed nosem przerażonego Siemiona beretta. Po jakimś czasie udało się Worobjowowi uspokoić szalejącego Maksa. Następnego rana Maks zadzwonił, przeproszał, powiedział, że przez wódkę dostał małego rozumu. U niego wszystko gra, żadnych kłopotów. I na tym się pożegnali.

- Teraz rozumiesz, że Maksym jest mordercą? - spytał łagodnie Aleksander Michajłowicz.

- Tak.

- Obiecuj, że więcej nie będziesz się mieszała do tej sprawy.

- Dobrze.

- Wspaniale - uradował się. - A czy ja i Hootchus doczekamy się herbatki i ciastek, czy wszystko zjadły twoje teściowe?

Przeszliśmy do jadalni. Moje ręce machinalnie nalewały herbatę do filiżanek, przysuwały miseczki z ciastkami, usta wymawiały jakieś zdania, głowa natomiast zajęta była zupełnie innymi myślami.

Korzystając z tego, że pułkownik i Arkaszka włączyli telewizor i z samozaparciem pograżyli się w okropieństwach, które u nas noszą nazwę wiadomości, przysiadłam się do Niny Andriejewny.

- Szkoda, że nie zaniósłam Maksowi jego zegarka. Tak o to prosił.

Choć wydaje mi się, że tam lepiej mieć tańsze rzeczy. On zdaje się ma roleksa?

- Nie - odpowiedziała Nina Andriejewna - przecież ci pokazywałam, ma longinesa, przeraźliwie drogi, z brylantami, kosztował prawie trzydzieści tysięcy dolarów.

W zamyśleniu gryzłam ekierkę, która miała jakiś dziwny tekturowy smak. Longines! Oczywiście, pamiętam.

Dlaczego więc Siemion wspomniał, że Maksowi z przegubu spadł rolex?

Pomylił marki? Każdy, ale nie Worobjow. Już ten dokładnie wie, co nosi Polański. A może zazdrość go oślepiła, bo wiedział, że sam nigdy sobie takiego nie kupi. Ciekawe. Pojadę jutro do Sieni i wypytam o szczegóły.

Odwróciłam się, poczuwszy na plecach czyjeś spojrzenie. Aleksander Michajłowicz zapytał łagodnie:

- Dobrze ciastko?

- Nieszczerólnie!

- A ty zawsze zjadasz je z opakowaniem?

Spojrzałam uważniej na trzymane w dłoni ciastko i zobaczyłam, że

usiłuję je przeżuć razem z papierem. Ach, to stąd ten smak!
Parsknawszy beztróskim śmiechem, spróbowałam przełknąć to paskudztwo.
Pułkownik też się mile uśmiechał, ale wyraz jego oczu nie wróżył
niczego dobrego.

Rozdział 7

O pół do ósmej ktoś zapukał do drzwi mojej sypialni. Usiadłam, w
głowie mi huczało. Wczoraj do pierwszej czytałam swoją ulubioną
Georgette Heyer, potem jeszcze długo nie mogłam zasnąć.
Drzwi się otworzyły, do pokoju wpadła Mania.

- Wszyscy czekają na ciebie ze śniadaniem!

- Na mnie, a to dlaczego? Jakoś dotąd każdy pił kawę, o której
chciał.

- Chodź, chodź. - Marusia parsknęła śmiechem. - Mam nie wracać bez
ciebie.

Z lekka otumaniona, włożyłam szlafrok i zesłam na dół. Wokół
wielkiego, okrągłego stołu siedzieli domownicy w pełnym składzie.
Nina Andriejewna z dezaprobatą pokiwała głową.

- Chciałam się dowiedzieć, o której jecie śniadanie, ale
mania uświadomiła mnie, że każdy je, kiedy chce. Zgroza! Posiłek
powinno się spożywać wspólnie, to bardzo łączy. Może od dzisiaj
ustanowimy taki obyczaj - śniadanie jemy o pół do ósmej, obiad o
drugiej, a kolację o siódmej. I proszę, Daszeńko, wkładaj sukienkę,
bo w szlafroku trochę nie wypada.

- Otóż to - przytaknęła Rimma Borisowna - koniecznie ubranie. My
sobie nigdy nie pozwalałyśmy na to, by pokazywać się ludziom w
niedbałym stroju.

Spojrzałam na Ninę Andriejewnę. Starannie ułożone włosy, lekki
makijaż. Elegancki jedwabny golfik skrywał pomarszczoną szyję. Coś
takiego, jedna noc na nowym miejscu i taka metamorfoza!

- Dzieci - ciągnęła Nina Andriejewna, widząc, jak walczę z sennością

- powinny mieć pozytywny przykład. Mój syn tylko dlatego stał się
pełnoprawnym członkiem społeczeństwa, że jego ojciec i ja zawsze
uczuliśmy go jedynie dobra.

Aha, to dlatego siedzi teraz w Butyrkach pod zarzutem morderstwa.

- Cieszę się - tokowała - że Maria okazała się dziewczyną rozsądną,
zdjęła dzinsy i ubrała się normalnie. Jeśli jeszcze przestanie
jeździć na motorze, będzie cudownie.

- Musieczko - szepnęła do mnie córka - czy ta mumia egipska długo u
nas zostanie?

- Święta racja - zagdakała Rimma Borisowna - dopóki tu jesteśmy,
spróbujemy pomóc Daszy. Arkaszeńka, dlaczego nie jesz owsianki?

Specjalnie poleciłyśmy kucharce, żeby ugotowała ją na wodzie, to
nadzwyczaj zdrowe na żołądek i wątrobę. Żadnych problemów ze stolcem!

Kiesza wbił wzrok w znienawidzone płatki. Ostatni raz miał to
świństwo w ustach jako pięcioletnie dziecko! Kicia parsknęła
śmiechem. Syn z westchnieniem zanurzył łyżkę w lepkiej brei i
usiłował przełknąć łyk. Na jego twarzy malowała się niewymowna
udręka. Zrobiło mi się żal biedaka.

- Niestety, Kiesza jest uczulony na owies - oświadczyłam radośnie.
Syn spojrzał na mnie z wdzięcznością.

- Jakie to przykre. - Rimma Borisowna aż klasnęła w ręce. -A
Maszeńka?

- Ona też - szarżowała, widząc, jak Maruśka łyżką rozmazuje
owsiankę po talerzu, chcąc w ten sposób zamarkować, że coś zjadła.

Uwolniony się od tego paskudztwa, wyraźnie poweseleli. Rimma
Borisowna i Nina Andriejewna rozpoczęły zawiłą dyskusję o zaletach
codziennej lewatywy. W pewnej chwili Nina Andriejewna zwróciła się do
nas:

- A przy okazji, coś jest nie tak z żołądkiem Bundy. Dzisiaj
paskudnie kupkał, na rzadko.

Usiłując zachować powagę, wstałam od stołu.

- Obiad o drugiej - oświadczyły unisono teściowe.

- Mam zajęcia kółka weterynaryjnego. - Marusia wykazała się

błyskawicznym refleksem.

- Nie zdążę wrócić, jestem zajęty w kancelarii. - Kiesza rozłożył ręce.

- Na lato zadali nam takie trudne tłumaczenie, że muszę cały dzień spędzić w bibliotece - westchnęła Kicia.

Harpie utkwiły wzrok we mnie. Ponieważ wszystkie mniej albo bardziej dorzeczne wymówki zostały wyczerpane, musiałam powiedzieć prawdę:

- Pojadę do Butyrek, chcę zanieść Maksowi różne rzeczy. Rimma Borisowna coś burknęła, a milczący do tej pory Giera popatrzył na mnie z ciekawością. Nina Andriejewna poczerwieniała, ale zniosła ten cios ze stoickim spokojem.

- Nie zapomnij o zegarku! - zawołała za mną. Wyprowadziłam volvo i sprawdziłam, która godzina. Kilka minut po ósmej. Siemion śpi zapewne błogim snem, podjadę teraz do niego.

Worobjow mieszkał przy ulicy o miłej nazwie Słoneczna. O tej wczesnej godzinie na mieście nie było zbyt dużego ruchu, więc wkrótce znalazłam się na Słonecznej. Poczekalam jeszcze kilka minut w samochodzie, wreszcie machnęłam ręką na konwenanse i wybrałam numer telefonu Sieni. Natychmiast ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo - usłyszałam opryskliwy schrypnięty głos.

- Sienia, dzień dobry. Tu Dasza, była żona Maksyma.

- A! - W jego głosie nie było cienia entuzjazmu.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, ale osobiście, w cztery oczy.

- Wpadnij do dwunastej, później nie mam czasu. Zamknęłam samochód, ruszyłam w stronę domu i po kilku

minutach dzwoniłam już do drzwi. Po dłuższej chwili usłyszałam senny głos:

- Kto tam?

- Dasza.

Siemion otworzył drzwi. Włochaty szlafrok uwypuklał wielkie brzuszysko, jakie sobie wyhodował pod czterdziestkę.

- Ty? - zdumiał się.

- Przecież mówiłeś, że bym była przed dwunastą - powiedziałam z miną słodkiej idiotki.

- Myślałem, że to Adka wróciła z daczy - odrzekł trochę bez sensu.

Zaprowadził mnie do salonu i poprosiwszy, bym poczekała, wyszedł, starannie zamykając drzwi. Zaraz potem w holu rozległo się ciche szuranie. Podeszłam na palcach do drzwi i przykucnąwszy, zajrzałam przez dziurkę od klucza. Sienia wyprowadzał z mieszkania jakąś panienkę. Twarzy nie dostrzegłam, jedynie długie czarne włosy i zgrabną sylwetkę. W rękach trzymała lakierowaną czerwoną torbę. To ci figlarz! Adelajda na daczy, a ten się zabawia.

Rozległ się cichy chłopot wody, po chwili Siemion zajrzał do salonu:

- Chcesz kawę?

- Poproszę, ale w kuchni.

W dużym metalowym zlewie stała brudna filiżanka, widniał na niej ślad jaskrawoczerwonej szminki. Idąc za moim spojrzeniem, Sienia wyjaśnił:

- Wpadł wczoraj przyjaciel, posiedzieliśmy, wypiliśmy kawę.

Przyjaciel, który się maluje! Pewnie pedzio. Ciekawostka. Ale nie miałam czasu zastanawiać się nad głupotą Worobjowa.

- Wiesz, co się stało z Maksem?

- Co? - udał głupiego prawdziwy przyjaciel.

- Siedzi w więzieniu, za zabójstwo!

- Ach, to - prychnął Sienia. - Też mi nowina, myślałem, że coś się stało. Coś gorszego.

- Chryste! A co twoim zdaniem może być gorsze?

- No, w więzieniu dzieją się różne rzeczy, może go ktoś zabić, dostanie gruźlicy albo świerzbu...

Słuchając, jak serdeczny przyjaciel z lubością wylicza czyhające na Maksa przykrości, po raz kolejny zadumałam się nad potęgą zawiści. Do której przecież, Bogiem a prawdą, nie miał szczególnych powodów. Generał Polański i ojciec Sieni, też generał, przyjaźnili się od czasów, gdy jako kursiści spali na sąsiednich łóżkach. Razem się

uczyl, razem jako bardzo mlodzi chlopcy poszli na front, walczyli ramię przy ramieniu. Później życie rzuciło ich w różne strony. Polańscy osiedli w Moskwie, Worobjowów rzucało po kraju. Częste przeprowadzki nie najlepiej przysłużyły się Siemionowi. Niekiedy lądował z rodzicami w takim miejscu, gdzie nawet nie było szkoły. Dlatego gdy skończył dwanaście lat, odwieziono go do babci, do bogatej syberyjskiej wsi gdzieś w okolicach Krasnojarska. Babka dostawała na wnuka okragłą sumkę, zresztą syberyjski kołchoz to też nie to samo co podmoskiewskie zagrody. Na śniadanie, obiad i kolację Sienia jadł duszoną wołowinę i wieprzowinę, opychał się pielmieniami, zajadał pierogi z borówkami, z moroszką, grzybami, a ryb wręcz nie uważano tam za pożywienie. W dziewiątej klasie rzucił szkołę i wkręcił się do władz kołchozu „Nasza Droga”. Do jego obowiązków należało przygotowywanie przeglądu informacji z życia wsi, nadawanych codziennie w południe przez wiejską rozgłośnię. Rodzice niezbyt często odwiedzali syna. Potem umarła matka. Ojciec, odbywszy dla przyzwoitości półroczną żałobę, ożenił się powtórnie. Sienia wyruszył do Karagandy, żeby poznać macochę. I znów mu się udało. Miła, prostoduszna kobieta odczuwała wyrzuty sumienia wobec pasierba, tym bardziej, że jej rodzony syn mieszkał razem z nią. Prezenty posypały się na Sienie niczym z rogu obfitości, podniesiono mu kwotę na utrzymanie.

W 1976 roku Siemion przyjechał do Moskwy, żeby wstąpić do Instytutu Literackiego. Szedł na pewniaka – kołchoźnik, z dalekiej Syberii, organizator wiejskiej radiofonii! Kto w tamtym okresie odważyłby się obciąć takiego kandydata na egzaminach wstępnych, skoro każda uczelnia była zobowiązana kształcić dzieci ze wszystkich warstw społecznych. Dlatego Sienia dostał się bez kłopotu, mimo trójczyn za pracę pisemną, język obcy i historię. A dodać należy, że generał Polański musiał nieźle sypnąć groszem, żeby Maks dostał się na tę samą uczelnię. Nie trzeba chyba napomykać, że Sienia od razu zadowił się u Polańskich. Chłopcy się zaprzyjaźnili, ale była to dziwna przyjaźń. Sienia szybko pojął, że przyjaciel góruje nad nim we wszystkim. I nie chodziło bynajmniej o manieri! Do końca roku Worobjow nauczył się posługiwać nożem i serwetką, przestał używać zachwycających czasowników „szłem” i „wziełem”, zamienił papierosy Biełomor na Jawę. A jednak wszędzie to Maks wiódł prym. Siemion zaczął się ubierać tak jak przyjaciel, skrupulatnie naśladował jego sposób bycia, a nawet sprawił sobie zegarek cebulę. Maksym od niechcienia uchylał pokrywkę swojego bregueta, a gdy Sienia robił tak samo, budził jedynie śmiech. Tato generał nie skąpił grosza, więc Siemion nie miał kłopotów finansowych. Za Maksem dziewczyny szalały, pisały do niego listy, wisiały na telefonie. A Sieni trafiały się tylko takie, które patrzyły, jak by się zabawić i wypić na krzywy ryj. Maks swobodnie rozprawiał o egzystencjalizmie, rozczytywał się w Hemingwayu, zachwycał Updikiem i Iris Murdoch. Sienia, śmiertelnie znudzony, zmuszał się do czytania tych książek, nie czerpiąc z tego ani krzty przyjemności. Jego sercu bliżsi byli Lew Owałow i major Pronin. Ale w Instytucie Literackim miłość do pospolitych kryminałów była w złym tonie. W ostateczności można było przekartkować Agatę Christie albo Rexa Stouta, naturalnie w oryginale. Różnili się też bardzo wyglądem. Szczupły, pełen wdzięku Maks z arystokratycznymi dłońmi człowieka, który nigdy nie zajmował się pracą fizyczną, i przysadzisty, mocno zbudowany Siemion z rękami jak bochny.

Pod koniec piątego roku Maksym ożenił się już po raz trzeci. Sienia nijak nie potrafił znaleźć sobie narzeczonej. Trafiały mu się albo prowincjonalne gąski, albo nędzarki. A on chciał się ożenić wyłącznie z moskwianką, w dodatku zamożną. Wracać do wioski pod Krasnojarskiem „kołchoźnik” nie zamierzał.

Wreszcie, widząc, że chłopakowi nic nie wychodzi, Maks wziął sprawę w swoje ręce. Razem z matką wyswatali „pisarzowi” córkę starych przyjaciół, Adelajdę Klein. Jej nazwisko po

niemiecku znaczy „mała”, ale bynajmniej taka nie była - wzrostem nie ustępowała narzeczonemu, równie masywna, o grubych rysach twarzy. I liczyła już sobie dwadzieścia siedem lat. Ale wszelkie niedoskonałości poszły w cień wobec faktu, że Ada była rdzenną moskwianką, a na dodatek córką dyrektora wielkich moskiewskich delikatesów. A w tamtych czasach ktoś taki ledwo raczył rozmawiać z innymi i nie miało znaczenia, czy byli to kosmonauci, działacze partyjni czy artyści. Ranga ranga, a smaczną kielbasę, ser i maselko lubią wszyscy. Tatuś Ady zręcznie kierował przepływem towarów. W prezencie ślubnym młodzi dostali nowiutkie, dwupokojowe mieszkanie spółdzielcze i nieosiągalny dla zwykłego człowieka samochód Żiguli. Wreszcie Sieni udało się doścignąć Maksa! Ale zawiść to przedziwna sprawa. Siemion kupował takie same rzeczy jak Maks, meble takie jak u Polańskich, nawet Ada nosiła takie same futro jak Nina Andriejewna. Wyobrażam sobie radość Worobjowa na wieść, że generałowa Polańska zbiera butelki, i bezsilną złość, gdy widział, jak się Maksowi wiedzie w biznesie.

- Podobno tam do cel dwudziestoosobowych upychają po sto osób - upajał się Sienia. - To potworne, biedny Maks! Choć sam jest sobie winien - po co zabijał!

Postanowiłam lekko zmaćcić to zadowolenie.

- Dzięki Bogu, Maksyma to nie dotyczy. Teraz można opłacić celę komercyjną i siedzieć po ludzku, z lodówką i telewizorem, nawet posiłki przynoszą z restauracji.

Sienia wlepił we mnie świńskie oczka, obrośnięty tłuszczem mózg przetrawił informację o „celi komercyjnej”.

- Ile takie coś kosztuje?

- Jakies grosze - zmyślałam na poczekaniu - półtora tysiąca doków na miesiąc, ale pieniądze to nie problem, lepiej powiedz, wierzysz, że on zabił Weronikę?

Siemion spurpurowiał.

- Pewnie, sam powiedział. Przyjechał pijany jak bela, wymachiwał pistoletem, krzyczał, że dopadł go jakiś Obły. Pożyczył obłudne pieniądze - milion dolarów.

Nie spuszczałam z niego wzroku. Milion „zielonych”? No nie, skąd tyle forsy? Zgoda, handlował jajami, interes dochodowy, ale przecież nie aż tak!

Sienia tymczasem wyciągnął butelkę koniaku i napełnił lampki. Gdy odmówiłam, sam wychylił obydwie. Ciekawe, wcześniej tyle nie pił.

- Podobała ci się Weronika? - Postanowiłam wymacać grunt z innej strony.

Worobjow nagle oblał się potem i zbladł.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ależ nic. Ciekawi mnie po prostu, jak ze sobą żyli. Czy to możliwe, że doprowadziła go do zbrodni?

Jeszcze raz napełnił kieliszek. Jednym haustem przełknął prawie sto pięćdziesiąt gramów. Co jest, został alkoholikiem?

- Sienia, gdzie teraz pracujesz?

- Wydaję pismo „Skandale Tygodnia” - odpowiedział już trochę bełkotliwie. - Weronikę ledwo znałem. Prawie się nie spotykaliśmy, Adce bardzo się nie podobała, a ja, w odróżnieniu od Maksa, całe życie jestem z jedną żoną, nie skaczę na boki!

- Doprawdy? - zauważyłam sceptycznie. - Przede mną nie musisz kłamać, nie jestem z milicji. To co za babę próbowałeś ukryć, taką czarną, z czerwoną torebką?

Dość niewinna wzmianka o wiarołomstwie wprawiła chłopca w śmiertelne przerażenie. Taki sam szklany wzrok ma nasz Snap na widok weterynarza ze strzykawką. Worobjow znowu złapał butelkę napoleona. W tej chwili zadzwonił telefon.

- Tak - wychrypiał Sienka do słuchawki.

W miarę słuchania twarz coraz bardziej mu się wydłużała. Zakończył rozmowę: rzucił mi zaszczute spojrzenie.

- To nie kochanka, tylko współpracownica, dzisiaj zamykamy numer. Zrozumiałam, że najwyraźniej czegoś się piekielnie boi, i

postanowiłam kuć żelazo, póki gorące. Pogroziłam więc pijanemu zboreźnikowi palcem.

- No, no, ładnie to tak zmyślać! Na twoje nieszczęście świetnie znam tę damę i od razu ją poznałam. Chcesz, to powiem jej imię, kończy się na „a”.

To, co nastąpiło, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Worobjow rąbnął na kolana i wyciągnął tłuste ręce.

- Daszka, nie gub mnie! Wszystko powiem, wytłumaczę się, ale nie piśnij ani słowa. Jeśli chcesz, to ci zapłacę! Jestem teraz bogaty. Ile chcesz - dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy zielonych? Tylko nikomu nie mów...

W tej właśnie chwili szcęknął zamek i rozległ się miły mezzosopran:

- Musiu, gdzie jesteś?

Ada wróciła z daczy. Sieńka poderwał się na równe nogi, ale od wypitego koniaku gibnęło go i pacnął na pupę. Małżonka wkroczyła do pokoju, obrzuciła pełnym obrzydzenia wzrokiem nieszczęśnika, pustą butelkę, i przeniosła spojrzenie wypukłych oczu na mnie.

- Co tu się dzieje?

- Muleczko - wybełkotał Sienia, usiłując się pozbierać - przyjechałaś, stokroteczko!

- Jestem była żoną Maksyma Polańskiego - wyjaśniłam czym prędeż. - Przyjechałam, żeby porozmawiać z Siemionem.

- Widzę, bardzo gorliwie rozmawialiście - wycedziła przez zęby. W jej oczach pojawiły się złowieszcze ogniki, co nie wróżyło małżonkowi niczego dobrego. - Wszystko już pani wyjaśniła?

- Nie. - Poszłam na całość. - Proszę mi powiedzieć, czy pamięta pani, jaki zegarek nosił Maks?

- A jakże - prychnęła Ada - wściekle kosztowny, cały w drogich kamieniach, nazwy nie pamiętam...

- Rolex - czknął z podłogi otępiały Sienia - złoty rolex, spadł mu nawet i rozbił talerzyk.

Ada skrzywiła się z niesmakiem i wyszła. Podeszłam do głupkowato uśmiechniętego „przyjaciela” i powiedziałam wyraźnie:

- Dobrze, dzisiaj dam ci spokój, ale wrócę jutro, wtedy porozmawiamy.

Wsiadłam do samochodu i zaczęłam się zastanawiać. Co tak wystraszyło Worobjowa? Czyżby aż tak bał się Adelajdy, że na samo napomknienie o kochance nieomal dostał zawału?

Rozdział 8

Do więzienia dotarłam około dwunastej. Spocony tłum szturmował okienko. Wtaszczywszy do środka wielką wypchaną torbę, usiadłam przy niedużym drewnianym stoliku i rozejrzałam się. Nawet nie ma co marzyć, by przekazać paczkę drogą oficjalną. Poczekam, aż pod koniec urzędowania spłynie ten ludzki potok, i pokażę w okienku zielone „specjalne pozwolenie”. Nagle rozległ się przeraźliwy jazgot.

- Dranie, łajdaki, kanalie - szalała potargana babina, potrząsając workiem - synkaście wsadzili, ścierwy, a jedzenia nie chcecie przyjąć! Łapówkarze, złodzieje, nienawidzę was, klawisze!

Tłum przycichł, okienka zatrzęsnęły się jak na komendę, a baba nadal histeryzowała. Kątem oka dostrzegłam, że niektóre kobiety taszcza swoje toboły do wyjścia...

Nagle dało się słyszeć głośnie tupanie, przekleństwa i do zatłoczonej sali wpadł oddział OMONu. Zdrętwiałam, widząc, jak młóca pałkami Bogu ducha winnych ludzi. Jedno uderzenie taką pałą w głowę i koniec - resztę życia można spędzić, śliniac się, w psychiatryku. Dziarsko łomocząc litą gumą, urozmaicając pałowanie kopniakami i wyszukanyimi przekleństwami, gliniarze zaczęli wypychać odwiedzających na ulicę, depcząc torby z jedzeniem. Ocierając krew i wrzeszcząc z przerażenia, tłum, składający się głównie z kobiet, rzucił się do wyjścia. W drzwiach się zakotłowało, ktoś krzyczał: „Ratunku, tratuja!”.

Niezbyt świadoma tego, co robię, zanurkowałam pod chybotliwy stół i przyczaiłam się w nadziei, że nikt mnie nie dostrzeże. Krzyki oddalały się powoli, wreszcie zapadła dławiąca cisza. Szcęknęły

zamki przy drzwiach. Potem przy stoliku zatrzymały się nogi w polowych spodniach. Doleciał mnie dym tanich papierosów. Ściskając nie wiedzieć czemu rzemyk torebki w zdrętwiałych palcach, zagruchałam przymilnie:

- Syneczku, hej, syneczku! Nogi podskoczyły ze strachu.
- Kurde, kto tu jest? - wykrzyknęła niewidoczna głowa.
- Synku, pochyl się!

Przed moimi oczami pojawiła się osłupiała twarz prostego riasańskiego chłopaka z kropelkami potu u nasady nosa. Spocił się, robaczek, przeganiając kobiety.

- Jak się tu znaleźliście, obywatelko? - zapytał surowym tonem. - Wyłażcie stamtąd, ale już.

- Oj, nie mogę, syneczku - kwiliłam - wleźć jakoś wlażłam, ale z powrotem ani rusz. Podnieś stolik, kochanku, zlituj się!

Milicjant wyprostował się i parsknął śmiechem, a potem zawołał:

- Kątka, Wiero Aleksiejewno, spójrzcie!

Obok jego nóg pojawiły się dwie pary kobiecych, jedno w płóciennych pantoflach, drugie w japonkach.

- Skaranie boskie z tymi matkami - powiedziała, pochylając się, starsza - wychowują bandytów, a potem się męczą!

- Oj, nie mogę. - Młodsza zataczała się ze śmiechu. - Popatrz, Sieriożka, jak ta panusia siedzi, jak pies w budzie, i torebkę ściska z całych sił. Zuch kobitka - nie straciła głowy.

Dobroduszny Sierioża zachichotał w odpowiedzi.

- Dość tych śmichów-chichów - leciwa strażniczka przywołała do porządku rozdokazywaną młodzież.

We troje podnieśli stolik i wreszcie się wygramoliłam. Krzyż mi pękał, usiłowałam wstać na zdrętwiałe nogi, ale przygiął mnie okropny ból w kręgosłupie. Oczy zaszyły łzami, zawsze zaczynam płakać, gdy nałykam się kurzu. Wiera Aleksandrowna popatrzyła na mnie ze współczuciem, Sierioża i Kątka cicho rechotali.

- Idź już, matulu - ponaglił mnie srogim tonem milicjant. - Sameście sobie zasłużyły, że nie przyjmujemy już dziś paczek. Tego już za wiele - obrażać rządowe osoby!

Podniosłam torbę i poczłapałam do wyjścia. Potulne podporządkowanie się rozkazowi zmiękczyło lodowate serce przyjmującej paczki.

- Ech, nieszczęsne matki - burknęła Wiera Aleksandrowna. - Wracaj, kobieto. Kątka, przyjmij od niej rzeczy, toć my nie zwierzęta, rozumiemy. A myślisz, że dlaczego w więzieniu pracujemy? Bo dzieci i wnuczki trzeba wyżywić!

Rezulutna Kątka zaczęła przeglądać zawartość paczki.

- Biedy najwyraźniej nie klepiesz - skonstatowała, miętosząc dzinsy - ludzie przynoszą tutaj zwyczajne rzeczy, a tu same markowe. Tej gry nie przyjmę, nie należy się.

W milczeniu wyciągnęłam portmonetkę. Katierina pomiętoszyła w rękę banknoty.

- Posłuchaj, mam dyżur co drugi dzień. Podejdz o trzeciej i zapytaj o Katię Rogową. Co się będziesz tłoczyć ze wszystkimi, znowu wpadniesz w tarapaty. Możesz przynosić, co chcesz, wszystko przyjmę. Tylko nie narkotyki i wódkę, w to się nie bawię.

Umówiwszy się, że pojutrze podrzucę zegarek, wyszłam na Nowosłobodzką i zobaczyłam swoje odbicie w witrynie domu towarowego. Mocna rzecz!

Jasnopiaskowa garsonka zmieniła się w brudną burą szmatę, włosy stoja dęba, na kolanach czarne plamy, na twarzy rozmazana „niezmywalna” pomadka od Diora. Cud piękności. Doprowadziłam się jako tako do porządku i pojechałam na uniwersytet.

Miła urzędniczka w biurze do spraw studentów, przyjmując pralinki, zdumiała się:

- Jaka olimpiada? Jaki Kijów? Przecież u nas jest akurat środek sesji. Zresztą, już od dawna nie mamy żadnych kontaktów z Ukrainą. Za dużo zachodu - wysyłać tam studentów, przecież to teraz oddzielne państwo.

Usiadłam między kolumnami. Ciekawe, dlaczego wobec tego Jana wybrała się do stolicy „samostijnej Ukrainy”? Może koleżanka Żenia będzie

wiedziała?

Rada Iljinična miała rację. Żenieczka mieszkała tuż obok uniwersytetu w wielkim mrówkowcu z jasnej cegły. Zostałam ją w domu. Był upał i Żenia miała na sobie jedynie króciutką koszulkę i majteczki.

- Mamy nie ma - poinformowała mnie, otworzywszy drzwi - proszę przyjść później albo wezwać pogotowie.

- Przyszłam do ciebie.

- Ojej, myślałam, że to znowu sąsiedzi do mamy, żeby im ciśnienie zmierzyła. Przychodzą tu z całego bloku. Pani pewnie z ogłoszenia?

- Nie, nie, chciałam cię zapytać, czy dobrze znasz Janę Sokołową?

- Tak - odpowiedziała Żenia - a kim pani jest?

- Jestem adwokatem Maksyma Polańskiego.

Na te słowa Żenia, tak jak Tania, pokraśniała niczym piwoniam, a potem wydusiła:

- Panią pewnie wynajęła Weronika. Groziła Janie sądem.

- Nie, Weronika nie żyje, a Maksym znalazł się w więzieniu, oskarżając go o zamordowanie Weroniki.

Żenia zbladła.

- Zrobił to z powodu Jany, tak? Co teraz będzie? Przeszliśmy do małej, sterylnej czystej kuchni i przyjaciółka

Jany wypila duszkiem całą szklankę wody.

Przyglądałam się jej uważnie, gdy chciwie przełykała. Ładniutka okrągła buzia, zgrabna figurka. Jedyny nieładny detal - na środku kolana dość duża, odrażająca myszka, pokryta gęstymi czarnymi włoskami.

Dziewczyna zauważyła moje spojrzenie i bez cienia skrępowania wyjaśniła:

- Noszę tę „ozdobę” od urodzenia. Powinam ją usunąć, ale się boję.

- Powiedz mi - zapytałam - skąd wiesz, że Weronika chciała zaciągnąć Janę do sądu?

Żenieczka westchnęła.

- Przyjechała na wydział. Na początku czerwca, chyba pierwszego.

Właśnie zdaliśmy egzamin, gdy się pojawiła. Tak wysztafirowana, wyperfumowana. Podbiegła i mówi:

- Dziewczyny, gdzie mogę znaleźć Sokołową?

- To ja - powiedziała Jana.

Weronika wlepiła w nią wzrok i przeciągle przemówiła:

- Ty? No nie, Maksowi zupełnie odbiło.

Potem odeszły na bok i długo o czymś szeptały przy oknie. Żenieczka widziała, że przyjaciółka cały czas przecząco kręci głową. Wreszcie Weronika zdenerwowała się i wrzasnęła na cały korytarz:

- Chciałoby się i chłopca, i pieniądze, co? Wydaje ci się, że Maks jest taki milutki, chce się żenić? Nie ludź się, nie na długo.

Postąpi z tobą tak jak ze mną - przegoni precz. A tak nawiasem mówiąc, jestem jego siódmą żoną!

Kiedy skończyła tę swoją gwałtowną tyradę, nieoczekiwanie rozplakała się głośno. Na widok spływających po policzkach porzuconej małżonki czarnych od tuszu łez Jana i Żenia

przestraszyły się i zaczęły ją gorączkowo pocieszać, próbowały napoić kompotem przyniesionym z bufetu. Wreszcie Polańska się uspokoiła.

Chwyliła Janę w wymanikiurowane, upierścienione szpony i cicho wysyczała:

- Żebyś zdechła, przeklęta rozbijaczko małżeństw. Maks przez ciebie zupełnie stracił rozum. Wczoraj przyszedł do domu, wyciągnął pistolet, podetknął mi pod nos i wrzasnął jak opętany: „Nie dasz rozwodu, to zabiję!”. Tyle że ja nigdy nie rozwiodę się z Polańskim, naprawdę będzie musiał mnie zabić, żeby się ode mnie uwolnić.

Rabnęła pustą szklanką o podłogę i depcząc po skorupach, ruszyła do wyjścia.

Cała ta obrzydliwa scena rozegrała się na oczach studentów. Wprawdzie koledzy z grupy udawali, że czytają notatki, ale słowa Niki o zabójstwie wszyscy doskonale słyszeli.

Jana okropnie się zdenerwowała, lecz zdecydowała, że nie powie

kochankowi o wizycie żony.

- Ona jest bardzo delikatna. - Żenia westchnęła. - Inna wykorzystalaby sytuację i pognębiła rywalkę w oczach Maksyma. Piątego czerwca Jana zadzwoniła do Żeni i powiedziała, że wyjeżdża do Kijowa. Żenieczkę zdumiała ta dziwna wyprawa i zapytała, co takiego ma do załatwienia w stolicy Ukrainy.

- Maks poprosił, żebym coś odwiozła - wyjaśniła mętnie Jana.

- To nie jedziecie do Tunisu? - Żenia była coraz bardziej zdziwiona.

- Zamieniliśmy bilety na lipiec, Maksym ma teraz poważne kłopoty w biznesie.

Chwilę milczała niepewnie i dodała:

- Jadę po pieniądze.

Nie podała ani nazwy hotelu, w którym zamierzała się zatrzymać, ani numeru telefonu. Bardzo możliwe, że wcale nie wie, iż ukochany siedzi w więzieniu. Dopiero się ucieszy, gdy wróci! Dobrze chociaż, że milicja nie wpadła na to, by przyjść na wydział. Przecież cały tabun świadków słyszał o pistolecie i groźbie zabójstwa!

Wróciłam do samochodu i zastałam przy nim zadumanego milicjanta.

- Cóż, obywatelko - odezwał się karcąco stróż porządku,

wskazując paluchem znak zakazu zatrzymywania - zapłacimy mandacik.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy. Przyłożyłam go do ucha i usłyszałam znajomy głos:

- Daszuta!

- Maks! Wypuścili cię! Skąd dzwonisz?

- Stąd - westchnął były mąż - tu jeden dostał komórkę i pozwolili mi zadzwonić. Niech Arkaszka przyniesie zegarek, przybory do paznokci, igły, nici i udko kurczaka. Tutaj wszyscy adwokaci to przynoszą.

- Dobrze, jutro przekażę paczkę, powiedz, co chcesz jeszcze do jedzenia?

Ale w słuchawce rozległ się już sygnał. Wsunęłam komórkę do kieszeni i spojrzałam na milicjanta, który zapytał:

- Kłopoty? Aż pani zbladła.

- Nie, nic takiego. - Machnęłam ręką. - Mąż zadzwonił z więzienia, prosi o udko kurczaka. No, rozumiem, nożyczki, igły, ale po co mu surowe udo?

Milicjant łypnął na mnie, jeszcze raz popatrzył na volvo i odszedł sprężystym krokiem.

- Chwileczkę - krzyknęłam - a mandat?

- Daruję - machnął lizakiem - tylko odjeżdżaj stąd szybko. Włączyłam silnik i parsknęłam śmiechem. Odważny stróż prawa najwyraźniej wziął mnie za żonę bandyty. Mąż dzwoni z więzienia, nowiutki samochód... Wlepisz takiej mandat, a potem zarobisz kulkę w łeb.

Do domu dotarłam akurat na kolację. W garażu nie było ani volkswagena Kici, ani mercedesa Arkaszki. A to znaczyło, że sama muszę stawić czoło teściowym. Ale w jadalni czekała mnie niespodzianka.

Babcie i melancholijny Giera siedzieli przy stole. Przy oknie stała nieznajoma dziewczynka, rówieśnica Maszy. Jasne włosy ciasno splecione w dwa warkoczyki, związane nylonowymi kokardami. Jej strój przypominał pionierski mundurek: granatowa plisowana spódniczka do pół kolana i biała rozpinana bluzeczka. Całości dopełniały jasne ażurowe podkolanówki i czarne pantofelki.

Coś takiego, przemknęło mi przez głowę, to są jeszcze dzieci, które się tak ubierają!

- Bardzo to ładnie z twojej strony, że zdażyłaś na kolację - zauważyła Nina Andriejewna.

- Cześć, mamuniu! - wrzasnęła dziewczynka.

- Maszo - oburzyła się Rimma Borisowna - nie krzycz, mów normalnie.

No co, ładnie ją ubrałyśmy? Nareszcie wygląda jak dziecko.

Niech skonam, tak ją przebrały, że rodzona matka jej nie poznała!

Usiadłam przy stole, Manusia usadowiła się obok mnie.

- Wyglądam jak głupkowata dziumdzia, prawda? - szepnęła, potrzasając idiotycznymi nylonowymi kokardami.

- Maszo - wtrąciła natychmiast Nina Andriejewna - nie szepcz, to nie

comme il faut, jedz w milczeniu.

Moje szczęście, że dziecko ma złote serce, inne na jej miejscu wywaliliby miłym babuniom na głowy talerz z nieokreśloną zawartością. Wzięłam widelec i zaczęłam dziubać białą masę. Ciekawe, co to jest? Smakuje jak mokra wata, a z wyglądu do złudzenia przypomina piankę do golenia.

- Smakuje ci? - Rimma Borisowna się uśmiechnęła.

- Niesamowite! - odpowiedziałyśmy unisono ja i Mania.

- Danie firmowe - wyjaśniła ukontentowana - omlet z białka. W sam raz na kolację, lekkie, szybko się trawi, nie obciąża wątroby. Wyobrażam sobie minę naszej kucharki Katii, gdy preparowała ten specjał. Ze stołu wiało przygnębiającą pustką: ani sera, ani masła, ani kiełbasy. Szkoda, że nie wpadłam po drodze do McDonalda! Uważając, by się nie zadławić, zaczęłam łykać to jałowe obrzydlistwo, pozbawione jakiegokolwiek smaku.

- A wiesz co - powiedziała Rimma Borisowna - Giera umówił się na randkę. Opowiedz, synku.

Wiecznie milczący Giera wyciągnął z kieszeni pogniecioną kartkę i wcisnął mi w rękę. Po bliższym przyjrzeniu się poznałam stronę ogłoszeń matrymonialnych z gazety „Z rąk do rąk”. W oczy rzucały się linijki podkreślone czerwonym flamastrem: „Młoda brunetka, materialnie i mieszkaniowo niezależna, moskwianka z wyższym wykształceniem i dobrą pracą, bezdzietna, samotna, szuka bratniej duszy w celu zawarcia małżeństwa. Oczekiwania: mężczyzna około trzydziestki, samodzielny, bez nałogów, wzrost ponad 180 centymetrów, z mieszkaniem i dobrą pensją. Karani, rozwiedzeni. z dziećmi i alkoholicy mogą się nie fatygować”.

Jest mojego wzrostu, a ja wybujałam raptem na całe metr sześćdziesiąt cztery. Liczy sobie około czterdziestu lat, a tak z ręką na sercu, dokładnie czterdzieści pięć. Mieszkanko wprawdzie ma, ale za górami, za lasami, wspólne z mamą. Pensja oszałamiająca, całych siedemset rubli na miesiąc, jeśli wypłaca. Jedno się zgadza - bez nałogów: nie pali, nie pije, za babami nie lata. Bo też niby za co!

- Oczywiście - szczebiotała Rimma Borisowna - najpierw trzeba jej się przyjrzeć, poznać. Poprosiliśmy Reginę, żeby jutro przyjechała tu na kolację. Przepraszamy cię, ale powiedzieliśmy, że to nasz dom, by nie wystraszyć jej od razu prowincją. A później się zobaczy. Ładne rzeczy. No cóż, zobaczywszy piętrowy dom z garażem na trzy samochody, duży ogród, meble i obrazy, miła Regina z pewnością pokocha Gierę.

- Trzeba go tylko przyzwyciężyć ubrać - poradziła Nina Andriejewna - może pożyczymy garnitur od Arkaszy.

- Nie - powiedziałam szybko - Kieszka nosi inny rozmiar. Lepiej jedźcie jutro rano do sklepu i kupcie wszystko, co potrzebne. Potraktujcie to jako mój prezent dla Giery.

Około jedenastej wieczorem ktoś zaskrobał do moich drzwi. Do sypialni wszedł Kieszka z dużym pudełkiem.

- Masz - podał mi bigmaca. - Mańce już dałem, babki każą przyrządzać jakieś niejadalne paskudztwa, przyjdzie z głodu umrzeć.

Przepełniona wdzięcznością, wbiłam zęby w bułkę i zapytałam:

- Kieszka, dlaczego Maks prosił o udko kurczaka?

- Chce zjeść - wyjaśnił Arkaszka, zdziwiony moją niewiedzą. - Wszyscy adwokaci karmią oskarżonych, a udko łatwo przenieść, no i jest pożywne.

Przełknawszy ostatni kęs cudownego hamburgera, z lubością zamknęłam oczy. Czasami na trudne pytania istnieją absolutnie proste odpowiedzi.

Rozdział 9

Rano poszłam prosto do kuchni. Wypiję kawę i zjem spokojnie kanapki ze skazaną na banicję wędliną i serem. Ale nie ja jedna na to wpadłam. Przy kredensie czaiła się Mania z kawałkiem pieczeni.

- Ale będzie numer - parsknęłam śmiechem - jak babunie za chwilę zobaczą różowe dżinsy i kusy top!

Maruśka westchnęła ciężko.

- Potworność! Wyobrażasz sobie, że mieszkasz z takimi?! Nie mam pojęcia, jak inne dzieci wytrzymują ze swoimi babciami! Wiesz, Musik, nie wyjdę drzwiami, tylko przez okno.

Nie słuchając gderania kucharki Katieriny, Mania wepchnęła do buzi ostatni kęs mięsa i wyskoczyła do ogrodu. Chwilę później jej potargana głowa ukazała się nad parapetem.

- Tylko się nie martw! Wróć około dziesiątej! Po kółku wpadnę do Hejfeców.

Katka powiedziała skwaszona:

- Dziwni ci wasi goście. Dzisiaj na śniadanie znowu owsianka na wodzie, na obiad - zupa mleczna, a na kolację kotlety na parze z marchewką. Dopiero się Arkady ucieszy.

Z pewnością, bo to są akurat te potrawy, na które nawet patrzeć nie może. Kończyłam spokojnie kawę, gdy na korytarzu rozległy się kroki. Spotkać się teraz z którąś z teściowych? Za nic w świecie!

Błyskawicznie wyskoczyłam przez okno i zgięta jak pod ostrzałem przemknęłam do garażu. Pojadę jeszcze raz do Siemiona, kto wie, może już odespał, a Adka znowu pojechała na działkę.

Sienia był zupełnie trzeźwy i nawet nie próbował udawać radości na mój widok.

- No, czego jeszcze? - zajazgotał, zagrządzając mi wejście.

- Jeśli będziesz grubiański, to powiem Adzie, jak to tęsknisz za nią, kiedy wyjeżdża.

Niewierny małżonek westchnął i odsunął się na bok. Złośliwie nie włożyłam kapci, które mi podsunął, tylko pomaszero wałam prosto do kuchni.

- Gadaj, po coś przyjechała. A może teraz już codziennie rano będziesz tu wpadać? - ironizował.

Zamierzałam odpowiedzieć wyniośle, gdy nagle poczułam okropny ból brzucha.

- Zaraz ci wyjaśnię - burknęłam i wpadłam do toalety. Dom Worobjowów jest stary, z końca lat siedemdziesiątych.

Rozkład mieszkania ma standardowy, łazienka przylega do kuchni, co, przyznacie, nie jest zbyt miłe! Ktoś je śniadanie, a ktoś inny w tym samym czasie musi wprost przeciwnie. W dodatku między kuchnią a kącikiem dumania architekci nie wiedzieć czemu zaplanowali okno. Moim skromnym zdaniem to szczyt idiotyzmu.

Nie zdążyłam usadowić się wygodnie, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Sienia powlókł się do wyjścia.

- Adka? - rozległ się jego zbaraniały głos. - Spóźniłaś się na pociąg?

Ciężkie kroki poczłapały do kuchni, potem Adelajda zapytała:

- Pewnie się cieszysz, że zostałeś sam?

- O co ci chodzi? - warknął Sienia. - Wymalowana jak prostytutka, skąd wystraszyłaś tę idiotyczną sukienkę?

- Zaraz się dowiesz - zapewniła go uprzejmie.

- Nie! - wrzasnął nagle małżonek, a w ślad za tym rozległo się lekkie pyknięcie, jakby ktoś otworzył butelkę wina.

Szybciej niż najzwinniejsza kotka wskoczyłam na sedes i spojrzałam przez okienko.

Na widok tego, co zobaczyłam, omal nie zemdlałam. Sienia leżał na wznak na podłodze z nienaturalnie wykreconą lewą ręką. Spod głowy powoli wypływała ciemna, lśniąca kałuża. Nad ciałem na rozstawionych nogach stała wyraźnie zadowolona Ada. Faktycznie makijaż miała za mocny jak na taki słoneczny czerwcowy ranek. Pulchne masywne ciało wbiła w jaskrawoczerwoną sukienkę ze stretchu, obciskając ją niczym prezerwatywa. W rękach milutka żonka trzymała pistolet.

Oślupiała patrzyłam, jak Adelajda absolutnie profesjonalnym gestem rzuca broń na podłogę. Następnie prychnęła i nucąc pod nosem, odwróciła się do drzwi. Wysokie obcasy podkreślały dość szerokie i płaskie stopy. Coś mnie uderzyło w jej wyglądzie. Gdy ja stałam na sedesie niczym słup soli, pani Worobjowa pomaszero wała do wyjścia i... opuściła mieszkanie.

Wpadłam do kuchni. Sienia leżał nieruchomo. Ujęłam go za ramiona, przekręciłam ciężkie jak kamień ciało i krzyknęłam. Między brwiami widniała okragła dziurka. Ada strzelała jak snajper, Sieni nie można już było pomóc. Starając się nie wdepnąć w krwawą kałużę, wycofałam się i zadzwoniłam do Aleksandra Michajłowicza. Mam czekać w jednym pomieszczeniu z trupem, gdy w każdej chwili znów może się zjawić morderczyni - psychopatką? Za nic!

Wyszłam na ulicę i zapaliwszy papierosa, opadłam na ławkę obok młodych mamus. Te skrzywiły się, ale zmilczały. Po chwili jedna z nich wróciła do przerwanej rozmowy:

- Ta Worobjowa ubiera się bez odrobiny gustu!

- Jasne, taki rupieć, pięćdziesiątka na karku, a wbiła się w czerwoną obcisłą sukienkę.

- Żeby podkreślić, że wszystko jej obwisło!

- Naprawdę, w jej wieku trzeba mieć trochę rozumu w doborze stroju. Z takim dupskiem wbijać się w stretch.

Mamuśki wyzłośliwiały się, ile wlezie, a ja paliłam papierosa, nie odczuwając żadnej przyjemności.

Grupa dochodzeniowa przybyła mikrobusem. Jako ostatni wysiadł ekspert Żenia, mój stary przyjaciel.

- Cześć, Daszuta! - zawołał dziarsko „Pinkerton”. - Kogo tam masz, wisielca, topielca?

Nie odezwałam się - ani trochę nie było mi do śmiechu. W ślad za mikrobusem podjechało żiguli, wysiadł z niego pułkownik z nieznanym mi chłopakiem po cywilnemu. Zwartą grupą weszliśmy do mieszkania.

- Jak miło - mruknął Żenia - akuratnie i efektownie. No, Dario, czego dotykałaś?

- Przekręciłam tylko Siemiona, myślałam, że żyje.

- Był Sienia i się zmył - wymadrzył się Żenka, wciągając rękawiczki. Jęknęłam głośno.

- Co jest? - spytał groźnie Aleksander Michajłowicz. - Czego stękasz, odkrywczynie trupów?

- Już wiem, co mnie uderzyło. Ada miała rękawiczki, takie same jak ma Żenka, gumowe, białe...

- Czekaj, czekaj - przerwał mi Żenka - gadaj po kolei. Po co przyszłaś, kim jest Ada?

Westchnawszy, zaczęłam dokładnie opowiadać. No, prawie dokładnie. Swoją wizytę w toalecie i scenę zabójstwa opisałam bardzo dokładnie, natomiast na pytanie o cel wizyty u Siemiona odpowiedziałam:

- To najbliższy przyjaciel Maksa, chciałam się go poradzić, co zrobić teraz z jego firmą. Na razie nie została przecież skonfiskowana.

Kazali mi powtarzać to wszystko z dziesięć razy. Potem wzięli odciski palców i zabrali mnie na komendę.

Sekretarka Aleksandra Michajłowicza, milicjantka Nastieńka, ujrawszy mnie w otoczeniu rozzłoszczonych mężczyzn, westchnęła i zapytała:

- Znowu znalazła pani trupa?

Wprowadzono mnie do gabinetu, posadzono przy stole i chyba zapomniano o mojej skromnej osobie.

Pracownicy wchodzili i wychodzili, minęła trzecia godzina bezsensownego czekania, kiedy wreszcie na progu pojawił się Żenka.

- Masz - mruknął opryskliwie, podając mi plastikowy kubeczek z zimną kawą i kanapkę z obeschniętym serem.

- Wyobrażam sobie, jak traktujecie zatrzymanych, skoro świadka nieomal zamorzyliście głodem - burknęłam, przyjmując nieapetyczny dar.

- Wsadzamy do betonowej celi metr na metr i bijemy gumową pałką po nerach - zrewanżował się ekspert.

Drzwi znowu się otworzyły i do pokoju wprowadzono Adelajdę. Tym razem ubrana była w luźną sukienkę w drobne brązowobiałe kwiatki. Zniknął krzyczący makijaż, ale i tak od razu ją poznałam.

- To ona? - zapytał Aleksander Michajłowicz, który wszedł za nią. Kiwnęłam głową.

- Przeprowadzimy formalną konfrontację.

- Co tu się dzieje? - wrzasnęła Adelajda.

- A to - wyjaśnił jeden z milicjantów - że kiedy mordujesz męża, to najpierw sprawdź, czy w domu nie ma obcych! Daria Iwanowna była w toalecie i widziała moment zabójstwa.

- Powariowaliście tu wszyscy, razem z tą idiotką! Pierwszy raz ją widzę.

- Drugi - poprawiłam - pierwszy był wczoraj, gdy przyjechała pani z daczy.

- Nie zabiłam Sieni! - krzyknęła. - Niby po co miałabym strzelać do męża, z którym żyję prawie dwadzieścia lat? Nie było mnie w Moskwie od szóstej rano, pierwszym pociągiem pojechałam do Kratowa.

- Widziałaś ją? - spytał mnie pułkownik. Kiwnęłam głową.

- Bardzo dobrze, tylko wtedy miała na sobie czerwoną błyszczącą sukienkę ze stretchu. I umalowała się po kretyńsku: policzki malinowe, usta marchewkowe. A na nogach sandały na kilometrowych obcasach.

- Tego już za wiele! - zawołała płaczącym głosem Adelajda. - Jak można tak kłamać. Przecież ja nie mam czerwonej sukienki, zwłaszcza ze stretchu! Czy można z taką figurą nosić obcisłe rzeczy? A na obcasach nigdy nie chodzę. Przecież widzicie, jakiego jestem wzrostu - prawie metr osiemdziesiąt. Przez całe życie chodzę w czółenkach. I wyciągnęła zadziwiająco małą i zgrabną stopę, obutą w letni zamszowy pantofelek na doskonale płaskiej podeszwie. W moim mózgu drgnęły pierwsze, na razie jeszcze mętne podejrzenia.

- Nie wiem dlaczego - gorączkowała się Ada - ale wasz świadek kłamie.

- Nie - zaproponował Aleksander Michajłowicz - nasz współpracownik z pewnością niczego nie zmyśla.

- Jasne - wrzasnęła doprowadzona do ostateczności Worobjowa - nie chce wam się szukać zabójcy, to dopasowujecie dowody, podli gliniarze, nienawidzę was. Zawsze tacy byliście, kiedy rozstrzeliwaliście mojego tatę - też. Dranie.

- Adelajdo Gienrichowna, proszę się uspokoić; poza Daria widziało panią wiele osób na podwórzu: sąsiadki, dozorca, sprzedawca ze straganu, gdzie kupowała pani fantę.

- Nie piję fanty. - Ada tupnęła nogą. - Nigdy nie kupuję tego napoju.

Wpatrywałam się uważnie w jej małe, zgrabne stopy, wreszcie nie wytrzymałam i zapytałam:

- Ado, jaki ma pani rozmiar obuwia?

To pytanie tak ją zaskoczyło, że przestała płakać i odpowiedziała:

- Trzydzieści pięć, a o co chodzi?

- Coś takiego, taki wzrost, a nóżka jak u Chinki, ja jestem prawie dwadzieścia centymetrów niższa, a ledwo wbijam nogę w trzydzieści dziewięć.

- Właśnie - z nieoczekiwaną kokieteryą przytaknęła Adelajda. - To dość rzadkie, ręce też mam małe.

Wyciągnęła przed siebie wąskie, arystokratyczne dłonie ze szczupłymi długimi palcami.

- Dario - zdenerwował się pułkownik - rozmiar biustu i obwód talii wyjaśnisz potem.

- Posłuchaj - mruknęłam - to wszystko jest dosyć dziwne. Tamten babiszon na nogach miał sandały na niewiarygodnych obcasach, rozmiaru tak na oko czterdzieści, czterdzieści dwa. Pomyślałam wtedy, że musi się nieźle nabiegać, żeby kupić obuwie na takie kopyta. Gdyby tak Adę postawić na podobnych szczudłach, kobita miałaby ze dwa metry! Dłonie też miała szerokie, zupełnie męskie... Myślę, że to jednak nie była ona, tylko ktoś bardzo do niej podobny!

- Nareszcie - szepnęła z ulgą Adelajda.

- Posłuchaj - wysyczał Aleksander Michajłowicz - przestań strugać wariatkę. Worobjowa widziało siedem osób! Dwie mówiły, że na podwórzu ściągała z rąk rękawiczki. W domu dobrze ją znają, przywitano się z nią, odpowiedziała i poszła do metra. Co za głupota, stroić się w

taką sukienkę, planując przestępstwo. Cała ulica się na nią gapiła!
- Właśnie - zawołałam - ktoś chciał skierować na nią uwagę i stąd taki strój.

- Nie mam czerwonej sukienki ze stretchu - rozplakała się Ada. - Nigdy nie miałam.

- Pasza, pokaż - polecił pułkownik.

Nieznajomy młody człowiek wyjął z teczki dwa przezroczyste worki z metryczkami. Starannie otworzył jeden z nich i wytrząsnął na stół zmięty kawałek materiału.

- Poznaje pani?

Ada wpatrywała się uważnie w szmatkę.

- Po zastrzeleniu męża - oświadczył Pasza - wyszła pani na ulicę, wstąpiła do sklepu „Ubiory Damskie” i kupiła tam sukienkę w brązowobiałe kwiatki, tę, którą ma pani teraz na sobie. Poprzedni strój i - potrząsnął drugą torebką - gumowe rękawiczki wepchnęła pani do kosza na śmieci w przymierzalni. Personel dobrze panią zna, często tam pani kupuje. W dodatku dzisiaj wywołała pani awanturę, oskarżając sprzedawczynię, że źle wydała resztę. Rzekomo oszukała na sto rubli. Trzeba było podliczyć kasę. Konfrontacja z obsługą sklepu to dla nas żaden problem. Ale uważam, że lepiej się przyznać od razu. Sąd zawsze bierze pod uwagę to, gdy ktoś przyznaje się z własnej woli!

- O czym wy mówicie? - wyjąkała Ada słabym głosem. - Wy chyba naprawdę chcecie mnie posadzić? Owszem, kupiłam sukienkę w tym sklepie, ale dwa tygodnie temu.

- Zgadza się - potwierdził Pasza - dlatego sprzedawczyni w sklepie bardzo się zdziwiły, gdy dzisiaj przyszła pani po następną. Nawet o to zapytały, a pani im wyjaśniła, że wylała pani na sukienkę sok wiśniowy i musiała ją wyrzucić.

- Nie macie prawa mnie zatrzymywać - wyszeptała pobladłymi wargami.

- No, dobrze. - Aleksander Michajłowicz westchnął i wezwał konwojentów.

Widok funkcjonariuszy wstrząsnął Adą.

- Nie pójdę - potrząsnęła głową - nie pójdę. Mam prawo do adwokata.

- Jeszcze dzisiaj go przyślę - obiecałam skwapliwie. Ada wlepiła we mnie wzrok.

- Dasza, pani jedna jest tu normalna. Czy pani wierzy, że nie zabiłam Siemiona? Ktoś to specjalnie zainscenizował!

- Wierzę - odpowiedziałam poważnie.

- Dość tego. - Pułkownik stracił cierpliwość. - Worobjową do izolatki, a tę tu madralę do domu!

Rozegrała się okropna scena. Konwojenci usiłowali ściągnąć przypuszczalną zabójczynię z krzesła, ale kobieta jakby wrosła w siedzenie.

- Nie pójdę - miotając rozczochraną głową - nie pójdę.

Funkcjonariusze nie odważyli się przyłożyć podejrzanej w obecności wysokiego szefostwa. Wezwali wsparcie. We czterech z trudem powlekli wściekle opierającą się Adę do drzwi.

- Jestem niewinna, nie zabiłam, nie pójdę - zawodziła. Krzyk się oddalał, wreszcie ucichł. Westchnęłam. Było mi bardzo ciężko na duszy i nie wiedzieć czemu trzęsły mi się nogi.

- Uprzedzam cię - oświadczył surowo Aleksander Michajłowicz - że twojego chojraka Arkadego do sprawy nie dopuszczę.

- Nie masz prawa - odparowałam - przedstawi ci odpowiedni papier i w te pędy pokażesz mu dokumenty. A jeśli spróbujesz pchać patyk w szprychy, złożę skargę w prokuraturze!

To mówiąc, trzasnęłam z całych sił drzwiami i ruszyłam do wyjścia, zostawiwszy w gabinecie torebkę z telefonem komórkowym.

Podeszłam do volva i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że torebka została na stole w gabinecie. Ale nie chciałam wracać! Dobrze, że jak wszyscy roztargnieni ludzie, trzymam pod zderzakiem zapasowe kluczyki.

Wsiadłam do samochodu i zapaliłam papierosa. To, co się wydarzyło, było zadziwiające. Bo czyż to nie głupota wystroić się w sukienkę

koloru gaśnicy przeciwpożarowej, gdy się idzie zabić męża? I co za pomysł, żeby zabójstwa dokonać w biały dzień? Nie prościej w nocy, a potem zmyć się cichutko? Ja przynajmniej tak właśnie bym zrobiła. A już całkowicie kretyńska jest wizyta w sklepie i awantura z powodu pieniędzy. Jakby umyślnie zwracała na siebie uwagę, no i ten rozmiar buta i obcasy... Jeśli to nie Adelajda, to kto? Komu mogło zależeć na śmierci Sieni?

Wysiadłam i podeszłam do kiosku z gazetami.

Bulwarówka „Skandale Tygodnia” panoszyła się na honorowym miejscu. Kupiwszy to paskudztwo, weszłam do McDonalda, rozłożyłam ją na stoliku i zaczęłam przeglądać artykuły. Po pięciu minutach miałam ochotę przewracać strony czymkolwiek, byle nie palcami.

W gazecie roiło się od bzdurnych informacji. Na przykład osiemdziesięcioletnia babcia zabiła i zjadła własnego wnuka. Pacjent N. z Chabarowska wbił sobie w czaszkę dwa gwoździe. Zadzrosny lekarz zaraził kochankę HIV-em. Na rozkładówce biło w oczy wielkie zdjęcie znanej śpiewaczki. Biedaczka zaczęła skrajem sukienki o gwóźdź i fotograf uwiecznił gołą pupę diwy. „Junona Zong nie nosi bielizny!” - krzyczał tytuł.

No właśnie, ja na miejscu Junony z pewnością zapragnęłabym śmierci Siemiona. Może zabójcy należy szukać wśród „bohaterów” bulwarówki? Przeżuwasz tę nieoczekiwaną myśl, wyszłam na ulicę. Już wieczór, a parno jak w łaźni. Zegar przy metrze Twerska pokazywał punkt siódmą. Chryste Panie! Przecież Rimma Borisowna prosiła, bym koniecznie wróciła na kolację, żeby poznać ewentualną narzeczoną Giery. Jak człowiek się spieszy, to się diabeł cieszy. Tym razem też tak było: utykałam we wszelkich możliwych korkach i do Łożkina dotoczyłam się już po ósmej.

Z jadalni dobiegał śmiech i brzęk naczyń. Weszłam do pokoju. Niech mnie, przyjęcie cała gęba!

Na stole przykrytym koronkowym obrusem pysznił się srebrny serwis do herbaty, który do tej pory nigdy jeszcze nie opuścił kredensu. Najwyraźniej na dzisiejszy wieczór teściowie zapomnieli o żołądku i wątrobie, ponieważ na talerzach piętrzyły się eklery, keksy i ptifurki. Nieco z boku stała maselniczka i dwie miseczki - z czerwonym i czarnym kawiolem. Talerz z francuskimi serami, tartoiletki, paszteciki, sandwicze z kiełbasą...

- Daszeńka - zaszczębiotała radośnie Rimma Borisowna - usiedliśmy już, żeby coś przekąsić. Czy coś ci nałożyć?

„Omlet z białka” - miałam na końcu języka, ale w porę się opamiętałam i powiedziałam:

- Poproszę herbatę z cytryną.

- Wciąż dbasz o figurę - skarciła mnie Nina Andriejewna.

- Słusznie - włączyła się do rozmowy narzeczoną - chwila przyjemności w ustach, całe życie w biodrach.

Z westchnieniem popatrzyłam na mówiącą. Chyba nie wie, co mówi. Wyglądała jak szkielet. Buziułka niczym piastka, obciągnięta żółtawą skórą. Wokół oczu gęsta siatka drobnych zmarszczek, przy nosie ni to piegi, ni to drobne plamki wątrobiane. Włosy rzadkie, trochę jak obskubane, zęby też nie najlepsze - żółtawe i krzywe.

- Dla kobiety najważniejsze to zachować figurę - ciągnęła Regina - mnie od tyłu dają dwadzieścia lat!

Za to z przodu pięćdziesiątka jak w banku - pomyślałam i spojrzałam na wystrojonego Giere. Jasnolila modnie pomięta marynarka podkreślała wąskie ramiona i zapadniętą klatkę piersiową, natomiast na pękatym brzuchu wyraźnie się nie dopinała. Do tego żółta jedwabna koszula i jasnozielony krawat. Pewnie w jakimś butik sprytne sprzedawczynie wcisnęły biednemu prostaczkowi ten ubiór, wmawiając mu, że to najnowszy krzyk paryskiej mody. Odetchnęłam głęboko i łyknęłam herbaty, słuchając, chcąc nie chcąc, rozmowy.

- Jestem jednostką twórczą - perorowała Regina - wrażliwą, w mężczyźnie szukam pokrewnej duszy. Zarabiam dużo, ale uważam, że lepiej, jeśli mąż ma odpowiednie środki do życia.

- Gdzie pani pracuje? - zapytał nieśmiało Giera.
- Handluję egzotykami.
Zapadło milczenie. Wreszcie odezwała się Rimma Borisowna:
- Przepraszam, nie zrozumiałam, czym pani handluje?
- Egzotykami. No, małpkami, krokodylami, jeżozwierzami, żmijami.
- To ciekawe - pisnęły chórem teściowe.
- Bardzo dobre zajęcie, wyciągam kilka tysięcy dolarów miesięcznie, ale...
- Co? - zapytała Rimma Borysowa z szacunkiem w głosie.
- To trudny biznes. Część egzotyków zdycha, nim się je dowiezie, do tego różne dolegliwości: pchły, wrzody, robaki.
- Ale przecież zwierzęta można wyleczyć - wtrąciła się Nina Andriejewna.
- Jeszcze czego - prychnęła Regina - niech się właściciele na weterynarza wykosztowują. Mówię o sobie. W zeszłym roku zaraziłam się świerzbem od kangura, a w maju przewoziłam koczkodany i potem przez miesiąc nie mogłam pozbyć się pcheł. Żywotne draństwa, żadne mazidło nie pomagało, musiałam w końcu ostrzyć się do gołej skóry. Kiepsko mi te włosy odrastają.
Podrapała się w głowę. Nina Andriejewna odsunęła się trochę dalej. Ja przeprosiłam i ruszyłam do sypialni. Ale na progu jadalni przystanęłam i zawołałam psy. Tylko tego brakowało, żeby dostały pcheł i kłopot gotowy.

Rozdział 10

O siódmej rano ktoś zapukał do drzwi. Zła jak osa usiadłam i warknęłam:

- Nie przyjdę na śniadanie, chcę spać.
Ale pukanie się powtórzyło. Wściekła, włożyłam szlafrok i otworzyłam. Tym razem powiem już staruchom, co o nich myślę!
Ale na korytarzu, trzymając w wyprostowanej ręce moją torebkę, stał Aleksander Michajłowicz.
- Wiem, że jest wcześniej - odezwał się przeproszającym tonem - ale przywiozłem zgubę. Będzie zgoda? - I wyciągnął zagięty mały palec. Jak tu się gniewać na takiego?
Roześmiałam się i zaprowadziłam go na dół. Ledwo usiedliśmy przy stole, gdy do jadalni gęsiego wkroczyli domownicy.
- Daszeńko - zagruchała Nina Andriejewna z przebiegłym uśmiechem - dlaczego nie przedstawiś nam męża?
To nie mąż, tylko oficer śledczy, który oskarża pani syna o zabójstwo, przemknęło mi przez głowę, ale głośno mruknęłam:
- Poznajcie się - Aleksander Michajłowicz.
- Co za radość, jak to dobrze, dziecińko, kobieta powinna być mężatką - zaterkotała Rimma Borisowna.
- Nie jesteście małżeństwem - burknęłam.
- Jak to? - Nina Andriejewna osłupiała. - Spędziliście razem noc i nie jesteście małżeństwem?
Niech skonam, co za bigotka!
- Nie nocowałem tutaj, przed chwilą przyjechałem - wyjąkał pułkownik. - Dasza zostawiła torebkę.
- Ach tak. - Teściowa numer dwa pokiwała głową. - Pan zawsze odwiedza przyjaciół o pół do ósmej rano?
Aleksander Michajłowicz najwyraźniej zapomniał języka w gębie.
- Kto odwiedza innych rano, temu rozumu w głowę nalano, bim-bam-bo, bim-bam-bo, dobrze chodzić w gości rano - zaśpiewała Marusia.
- Masza - obruszyła się Nina Andriejewna - dzieci w twoim wieku siedzą cicho, gdy dorośli rozmawiają.
- A od jakiego wieku dziecko może wtrącić słówko? - zapytała Masza czupurnie.
Arkaszka poklepał ją uspokajająco po plecach.
- Kawa czy herbata? - usiłowała rozładować sytuację Kicia.
- Poproszę cyjanek - szepnął pułkownik. Masza parsknęła śmiechem.
- Mario, usiadź prosto i zdejmij łokcie ze stołu - ofuknęła ją natychmiast Nina Andriejewna. - Aha, a Bundy ma coś z żołądkiem.

Zrobił brzydką kupę, bardzo rzadką!

Pułkownik wzdrygnął się i odstawił niedopitą kawę z mlekiem.

Najwyraźniej kolor napoju po wystąpieniu teściowej przestał mu się podobać.

- Daszeńko - odezwała się jak gdyby nigdy nic Rimma Borisowna - dzisiaj przyjdzie na kolację inna narzeczona. Szczerze mówiąc, Regina nam się nie spodobała. Ja przez całą noc się drapałam. Jak myślisz, czy te pchły mogą przeskakiwać z człowieka na człowieka?

- Jak najbardziej - oświadczyła Maria - na uczelni mówiono nam, że małpie pchły to wyjątkowe paskudztwo. Wystarczy kilka minut, żeby przeskoczyły. A wyście wczoraj tyle godzin siedziały obok siebie. Czyli złapała babcia zarazę jak dwa razy dwa!

Rimma Borisowna zaczęła się drapać jak najęta.

- No właśnie - ucieszyła się Masza - już gryzą.

- Chryste, to co mam robić?! - zawołała starsza pani.

- Z tymi stworzeniami bardzo trudno walczyć - westchnęło cwane dziecko. - Ale tak się składa, że niedawno pisałam referat akurat o pasożytach. Jest jeden sposób. Przede wszystkim trzeba zgolić włosy.

- I na głowie? - przeraziła się teściowa.

- Na głowie można zostawić - zlitowała się mądrała, która postanowiła zemścić się za wszystkie pouczenia. - Potem należy grubo posmarować, najlepiej całe ciało, maścią ichtiolową i tak posiedzieć ze dwie godziny.

- Mario - zdenerwował się Kiesza - przestań robić z ludzi balona. Nie słuchajcie jej, głupstwa plecie. U nas nie ma żadnych pcheł, to wyłącznie autosugestia.

- No, nie wiem, nie wiem - powiedziała przeciągle córka, patrząc drwiąco na wierzącą się nerwowo Rimmę Borisownę. Następnie szybko przełknęła tost z serem i wyskoczyła za drzwi.

- Ira - rozległ się na korytarzu jej rozradowany głos - zamknij zwierzęta w kuchni, u nas w jadalni jest ognisko zakaźne pasożytów skórnych.

Aleksander Michajłowicz chrząknął i zapytał:

- Nie wybierasz się do miasta? Może podwieziesz mnie do pracy?

Samochód mi zdechł, tu przyjechałem taksówką.

Wsiadliśmy do mojego samochodu. Pułkownik się wzdrygnął.

- To dopiero dziwadła, słowo daję, że świetnie rozumiem Manię. Podwoziłam go do dużego kamiennego gmachu i patrząc, jak zmierza do bramy, zastanawiałam się, dokąd się udać. Ale się porobiło, będę teraz musiała pomagać obydwójgu równocześnie: i Maksowi, i Adzie. Dobrze, najpierw spróbuję wyjaśnić, jakie to kłopoty w biznesie miał Polański. Kim jest tajemniczy Obły, który zażądał od Maksa gigantycznej sumy pieniędzy, i dlaczego wysłano Janę do Kijowa po forszę?

W biurze Maksa na miejscu Tamary Pawłowny królowała jasnowłosa pannica z kilometrowymi nogami. Uniósłszy sztywne od tuszu rzęsy, popatrzyła na mnie rybim wzrokiem i wycedziła przez śnieżnobiałe zęby:

- Czego pani chce?

- A gdzie Tamara Pawłowna?

- Kto to jest?

- Poprzednia sekretarka.

- Babcię zwolnili - poinformowała niebiańska istota, nie przestając żuć gumy. - Jej miejsce w domu, wnukom kaszę gotować!

- Poproszę o jej adres.

Międłac w ustach gumę Orbit, dziewczucha leniwie kartkowała notes.

- Przejazd Syrowa 8, mieszkania 3.

Wyszłam na ulicę. W kiosku kupiłam „mroźną świeżość” i wsunęłam

pastylkę do ust. Kto wie, może to prawda, że to wybiela zęby?

Ruszając szczękami z wielkim samozaparciem, wyjęłam ze schowka mapę i zaczęłam szukać Przejazdu Syrowa. O Boże, Nowokosino! To już prawie Petersburg albo Mińsk, albo jakieś inne miasto, choć nie wiem jakie, bo cierpię na geograficzny kretynizm.

Zrobiło się gorąco i duszno. Pewnie będzie padać. Nad Sadowym Kolcem

wisiał smog, wyjechałam z tunelu i zaczęłam zjeżdżać na prawy pas. Przystanę na chwilkę i kupię coś orzeźwiającego.

Nagle z tyłu rozległo się wycie syreny i grzmiący głos wrzasnął: „Volvo, numer rejestracyjny 654 KE, proszę się natychmiast zatrzymać!”.

Przestraszona, gwałtownie zahamowałam. Boże, co ja zrobiłam, że mnie gonia! Rozjechałam dwie staruszki i nie zauważyłam?

Ze wspaniałego białego samochodu, ozdobionego wszelkimi milicyjnymi duperelami, leniwie wysiadł młody chłopak i machając pałką, ruszył w moim kierunku. Wysiłam się na najmiłszy uśmiech, bo a nuż zacnie strzelać.

- No - warknął stróż przepisów bez zbędnych ceregieli -dlaczego po wyjeździe z tunelu nie zgasiła pani światła?

O mało nie pękłam ze złości. Też mi przestępstwo! Przepełniona świętym oburzeniem, już zamierzałam otworzyć usta, gdy w tej samej sekundzie zrozumiałam, że nastąpiła nieodwracalna katastrofa.

Niestety, od dziecka mam paskudne zęby. Męczę się z nimi przez całe życie i już przed czterdziestką musiałam sobie sprawić protezy, niektóre wyjmowane. Wszelkim zabiegom stomatologicznym poddawałam się we Francji, dlatego błyskam śnieżnobiałym uśmiechem, budząc zazdrość naiwniaków, którzy sądzą, że oto patrzą na wyjątkowo zdrowe zęby. Jak wszyscy posiadacze sztucznych zębów, doskonale wiem, że guma do żucia to nie dla mnie. I oto teraz wstętny orbit przyłgnał do plastiku, szczelnie sklejjając mi szczęki.

- Dlaczego pani milczy? - Milicjant nie ustępował. Desperacko międlilałam językiem, usiłując odkleić paskudztwo.

- Pewnie pijana - ucieszył się, wężąc zdobycz. Gorliwie pokręciłam głową.

- Jest pani niemowa?

Cholera, jaki natarczywy. Nie obejdzie się bez mandatu. Wyjęłam z ust oklejona guma protezę i wysyczałam:

- Zapłacę za światła i daj mi spokój! Chłopak w osłupieniu gapił się na moją rękę.

- Co to?

- Zęby, a bo co? Między nami mówiąc, nocami robię za wampira, widzisz przecież, jaka jestem blada.

Oślupiałały, machnął pałką, odwrócił się i odszedł.

- Poczekaj - zawołałam - a mandat? Milicjant się obejrzał.

- Przecież nie będę brał pieniędzy od kalekiej staruszki! Włączył syrenę i ruszył na poszukiwanie następnej ofiary.

Wściekła odklejałam gumę. Kaleka staruszka! Co za gbur!

Dzielnica Nowokosino to koszmar, wszystkie budynki są takie same i mają ten sam numer, różnią się tylko literami. Odnalazłszy z trudem dom, o który mi chodziło, weszłam na pierwsze piętro. Tamara Pawłowna siedziała w kuchni i robiła skarpety na drutach. Jedną nogą kołysała wózek, w którym z zapamiętaniem puszczał bańki dzieciak niewiadomej płci. Dwoje chyba trzylatków usiłowało włożyć koszulkę apatycznemu tłustemu kotu. A na skraju stołu przycupnęła dziewczynka z książką do kolorowania.

- Ile ma pani wnuków? - wyrwało mi się.

- Och nie - roześmiała się Tamara Pawłowna - to dzieci sąsiadów.

Wyrzucili mnie z pracy, a z emerytury nie da się żyć. To założyłam coś na kształt przedszkola. Jeśli ktoś musi iść do sklepu albo do fryzjera, zostawia dzieci u mnie. Biorę dziesięć rubli za godzinę, nie zdieram, prawda?

Przytaknęłam i zapytałam:

- Tamaro Pawłowno, jest pani pewna, że Maks nie miał kłopotów w pracy?

- Absolutnie żadnych - odpowiedziała z przekonaniem. -Stabilny, świetnie zorganizowany biznes.

- Może nie dogadał się „z czapą”, tylko pani o tym nie wie?

- Ja wiedziałam wszystko, dlatego właśnie Kaszkin mnie wywalił - obruszyła się. - Z bandytami sama się rozliczałam. Maksym Andriejewicz zostawiał paczuszkę, a ja ją przekazywałam

jego zuchom. Za każdym razem było tak samo: ja im dolary, a oni mnie czekoladę. Całkiem miłe chłopaki, gdyby się nie wiedziało, co i jak, można by ich wziąć za studentów konserwatorium.

- Kim jest Obły?

- Nie mam pojęcia - zdziwiła się.

- Czyli jest pani absolutnie pewna, że Polański nie miał długów?

- Moja droga - powiedziała pobłażliwym tonem - Maksym Andriejewicz dlatego osiągnął taki sukces, że bardzo skrupulatnie obchodził się z pieniędzmi. Wciąż powtarzał: cudze bierzesz na krótko, swoje oddajesz na zawsze. U nas wszyscy dostawali, co im się należało, i to na czas, bez opóźnień. Czy pani wie, jak często milicja przyczepia się do sklepikarzy? A to książka sanitarna im się nie podoba, a to zezwolenie na sprzedaż nieprawidłowo załatwione, a to brak świadectwa jakości. Tych „od jajek” nikt nie ośmielił się nękać, bo dobrze wiedzieli, że swoje na pewno dostaną. Nie, wszystko szło jak w zegarku, powiem więcej, gdyby Polańskiego nie aresztowano, handlowalibyśmy teraz drobiowym mięsem. Chciał otworzyć sklep i nawet wybrał taką śmieszna nazwę „Cip-Cip”.

Nie dowiedziałam się niczego nowego od gadatliwej kobiety. Wyszłam na ulicę i z trudem odetchnęłam ciężkim powietrzem. Kim jest tajemniczy Obły? Przecież nie stanę na środku prospektu i nie zawołam: „Obły, odezwij się!”. Chociaż właściwie, czemu nie? Myśli pędziły mi przez głowę jak szalone. Jeśli dobrze pójdzie, wieczorem poznam tajemniczego osobnika!

W najbliższym sklepie kupiłam dwa tysiące jajek. Kartonowe opakowania nosił do samochodu sklepowy pomocnik, podpity typ koło pięćdziesiątki. Przy dziesiątym pudełku nie wytrzymał i zapytał:

- Po co ci tyle?

- Przyjęcie wielkanocne - odpowiedziałam bez zająknięcia. Zamilkł, ale po chwili wybałał:

- Jak to, przecież już świętowaliśmy, na wiosnę.

- Jestem buddystką.

Facet parsknął i wrócił do sklepu. Przeładowane volvo ruszyło ciężko. Miejsce na handel wybrałam świetne - przy wyjściu ze stacji metra Dynamo. Niewielki placzyk pełen był handlarzy, stali też dwaj „z jajami”. Wyciągnęłam z samochodu kilka opakowań i poszłam sprawdzić ceny konkurentów.

Aha, jeden ma po 12 rubli, drugi po 11,50. Świetnie. Wyrwałam kartkę z notesu i napisałam. „Świeże jaja, 6 rubli”. Po chwili przystanął pierwszy klient - kobiecina ze zmęczoną twarzą.

- Pewnie zepsute - oświadczyła.

- Dlaczego? - zdziwiłam się.

- Bo kto dobry produkt odda po takiej cenie?

- Pracuję bez pośredników, prosto od producenta.

Ale baba pokręciła głową i podeszła do innego handlarza. Głupia i tyle. Ale już po dziesięciu minutach sytuacja się zmieniła. Ustawił się ogonek. Ludzie łapali tanie jaja całymi kartonami. Ci z jajami”, wyraźnie zdenerwowani, zaczęli się naradzać. Żeby ich dobić, wyciągnęłam komórkę, postukałam w guziczki i wrzasnęłam na całe gardło: „Fiedia, dawaj tu ciężarówkę, jajeczka idą jak woda”.

Natychmiast pojawił się przy mnie gliniarz z tłustą gębą.

- Książeczka sanitarna, świadectwo jakości, zezwolenie na handel...

Wyjęłam sto dolarów i wsunęłam w wyciągniętą rękę.

- Proszę!

Milicjant starannie schował papierki, a odchodząc, odwrócił się jeszcze i zawołał:

- A jakby któryś z naszych się czepiał, to powiedz, że Filimonow ci pozwolił!

Dobrze jest, jedną „czapę” już mam, ale potrzebna mi jeszcze druga.

No i nie dała na siebie czekać! Chudy wyrostek o twarzy wilczka zaszczekał:

- Kto ci pozwolił pakować się tu ze swoimi zaszczekanymi jajami?

- Zaszczekanymi jajami tutaj są tylko jedne, twoje - odpowiedziałam miło - a pozwolił mi Obły. A dlaczego, to już nie twoja broszka. Przyrowadź

tu kogoś, kto się liczy, nie zamierzam gadać z plotkami. Chłopak łypnął spode łba na boki, ale odszedł. Nie przestawałam rozdawać na prawo i lewo pudełek z jajami.

- Kochana - rozległ się nad moim uchem miły głęboki baryton - co pani tu bredziła o Obłym, nic nie rozumiem.

Popatrzyłam uważnie na mówiącego. Około czterdziestki, usta wykrzywione w uśmiechu, ale oczy zimne, z przodu brak dwóch zębów, na środkowym i serdecznym palcu wytatuowane pierścienie. Ten pewnie stoi wyżej w hierarchii niż tamten szcurek.

- Mnie na tych jajkach zależy tyle, co na zeszłorocznym śniegu. Chcesz, to je zaraz podepczę.

- Coś ty, psychiczna? - zdumiał się bandzior. - Tylko zapytałem. Pilnujemy tu, żeby się obcy nie pętali.

- Posłuchaj, bracie - przypomniałam sobie lekcję z więzienia - znajdz Obłego i powiedz, że przy metrze Dynamo żona Polańskiego handluje jajami. I dodaj, że wiem, gdzie podział się milion dolarów. W razie gdyby się zainteresował, gdzie jest Maksym Andriejewicz, to powiedz, że w Butyrkach, cela numer 100, przy oknie, nie przy kiblu. Cwaniaczek zmył się w jednej chwili. Kątem oka obserwowałam, jak rozmawiał z kimś przez komórkę. Jaja się skończyły. Usiadłszy na pustych pudełkach, informowałam apatycznie chętnych, że ciężarówka utknęła w korku. Uwierzyli i zaczęli ustawiać się w kolejce. Minęło trzydzieści minut. Nagle przy chodniku zahamowało pokierosowane żiguli, pierwszy model. Numery, szyby, wszystko zabłocone. Dziwne, w Moskwie od kilkunastu dni nie padało. Zza kółka tego żalostnego pojazdu wylazł facet około trzydziestki i z wesołym uśmiechem ruszył w moim kierunku. Z zachowania handlarzy, którzy usuwali się i milkli, zrozumiałam, że to ważna figura.

- Weroniko Michajłowno - odezwał się przybyły ceremonialnie - Obły jest do pani usług, o co chodzi?

Zlustrowałam go od stóp do głów - dzinsy i koszulka od Lagerfelda, buty marki Pasolini, czarne okulary od Diora, ale zegarek to najzwyklejszy Seiko, nie zarobił jeszcze na lepszy.

- Weronika w kostnicy, Maksym Andriejewicz, który ją zabił, w więzieniu, a ja tutaj z informacją o wielkich pieniądzach. Wież mnie do Obłego.

Facet westchnął, po jego minie widać było, że wiadomość o morderstwie go zaskoczyła. Wrócił do samochodu, zamienił tam z kimś kilka słów i pokiwał na mnie palcem.

Drzwi się otworzyły, w środku siedział jeszcze jeden chłopak, całkiem młody, ubrany na czarno niczym grabarz.

- Wsiadaj - wskazał mi miejsce.

- Nie, pojedę za wami samochodem.

- Wsiadaj, mówię. Jak nam każą, przywieziemy cię z powrotem, jak nie, to i volvo ci się nie przyda. Trupowi bryka niepotrzebna. Uznawszy logikę tego wyводу, wsiadłam do gruchota. Uśmiechnięty facet usiadł za kierownicą i nim ruszył, starannie zasunął firanki w oknach. Po tym, jak niewygodne żiguli ruszyło z miejsca i chyżo pomknęło propektem, zorientowałam się, że pod maską rzęcha kryje się silnik bardzo wysokiej klasy.

Rozdział 11

Jechaliśmy około czterdziestu minut. Wreszcie kierowca ostro zahamował i oświadczył:

- Wsiadamy.

Wyszłam z samochodu i zobaczyłam, że stoimy na podwórku domu, który wygląda jak mój. Taka sama biała cegła, fińskie okna, nawet ścieżka wysypana czerwonymi kamykami, tak jak u nas, a z boku sterczy idiotyczna wieżyczka w stylu mauretańskim.

Nieomal wpełchnęli mnie do okrągłego holu.

- Siadaj! - warknął grabarz i wskazał na czerwoną kanapę. Ledwo usiadłam, gdy z bocznych drzwi wypadły dwa spalone rottweilery i zaczęły obwąchiwać moje nogi.

- Ajaks, Helmut, fu! - rozległ się arystokratyczny głos. - Proszę

się nie bać, one nie gryza, to wyjątkowo łagodne stworzenia.

- Wcale się nie boję - odpowiedziałam, gładząc psy po masywnych łbach.

- Lubi pani duże psy? - Gospodarz wyraźnie się zdziwił. - To bardzo rzadkie wśród pań.

- Jestem egzemplarzem unikatowym, produkcja jednostkowa.

Obły się roześmiał. Sprawiał niezwykle miłe wrażenie. Wysoki, zadbany, ani śladu brzucha. Zupełnie siwe włosy zaczesane do tyłu, błyszczące piwne oczy, nieskazitelnie ogolony. Tak na oko sześćdziesięcioletni. Ubrany po europejsku, w jasnopiaskowe welwetowe lewisy i ciemnoczerwoną koszulę.

- Przecież pani nie jest Weronika, a podała się pani za żonę Maksa. Małe kłamstwo budzi duże podejrzenia.

- Nigdy nie kłamię, a żoną Polańskiego jestem, tyle że była.

- Ach, tak - powiedział przeciągle. - Wobec tego nie bardzo wiem, o co chodzi.

Westchnęłam i zaczęłam opowiadać o wszystkim, co się ostatnio zdarzyło, a pod koniec wypaliłam:

- No więc jak, był pan winien milion dolarów? Obły roześmiał się wesoło.

- Pani jest niesamowita! Zawsze zazdrościłem Maksowi: co za kobiety mu się trafiały, po prostu marzenie! Ja nie miałem takiego szczęścia. Wszystkie, które mi się podobały, już dawno zajęte. Pani pewnie też jest od dawna mężatka!

- Mam dwoje wnuków - obwieściłam na wszelki wypadek. Obły znowu parsknął śmiechem.

- Wspaniale, uwielbiam dzieci. Może zadzwoni pani do męża i uprzedzi, że się spóźni? Za domem jest basen, zaraz każę podać koktajle.

Eksploadowałam jak rakietka.

- Myślałam, że pomoże pan Maksowi, a pan co!

- Moja droga - Obły spoważniał - naprawdę pani sądziła, że zacznę mówić? Wpadła tu pani prosto z ulicy i oczekuje ode mnie sprawozdania. To dosyć śmieszne, prawda?

- W porządku, widzę, że na próżno tu przyjechałam, to była głupota. Niech pan każe swoim psom odwiedzić mnie z powrotem do metra.

- I co będzie pani robić? - zapytał z wyraźną ciekawością.

- Będę szukać prawdziwego mordercy.

- Czyli nie wierzy pani, że Maksym zastrzelił Weronikę?

- Ani przez chwilę, na razie jeszcze tylko nie rozumiem, kto i po co go zrobił. Szczerze mówiąc, sądzę, że to pańska sprawa.

Milion dolarów to ogromna suma, więc ukarał pan dłużnika w tak oryginalny sposób. Chłopcy najmują kilerów, a pan Obły wymyślił coś bardziej wyrafinowanego - do więzienia, a potem do karnej kolonii, niech się męczy piętnaście lat!

- Nazywam się Iwan Michajłowicz - przedstawił się nieoczekiwanie. - Obły to tylko pseudonim dla określonych kręgów. A jak pani godność?

- Daria Iwanowna.

- Daszeńko - zamruczał łagodnie mafioso - nie boi się pani?

Przyjechała pani do mojego domu i wmawia mi pani, że jestem złodziejem. A jeśli to prawda? Co wtedy? Świadkowie, którzy wiedzą za dużo, rzadko wychodzą stąd żywi.

- Przyjechałam z pewną propozycją. Jestem bogata, choć oczywiście nie zdołam od razu oddać miliona dolarów. Jeśli ma pan wnuki, mogę zaprosić je do siebie do Paryża, powiedzmy na czas nauki, mogę kupić panu mieszkanie we Francji i pomóc w interesach, bo mam francuskie obywatelstwo.

Iwan Michajłowicz parsknął śmiechem.

- Nie mam ani dzieci, ani wnuków. Żona też mi się nie trafiła taka odważna jak pani. Wystarczyło, że poszedłem za kratki, a już prysnęli. Za zaproszenie do Francji dziękuję, ale mam już dom w Nicei. Właśnie wczoraj stamtąd wróciłem. A pieniądze... Czy aż tak kocha pani Maksa, że gotowa jest go wykupić?

Wzruszyłam ramionami.

- Trudno mi wyjaśnić powody...
- Niech pani spróbuje, a nuż zrozumie i się zgodzę.
- Moi rodzice wcześniej umarli, sama przebijałam się przez życie. Nie szło mi najlepiej. Zawsze brakowało mi pieniędzy, dobrze chociaż, że miałam własne mieszkanie. Nie mówię, że głodowaliśmy z dziećmi, ale zdarzało się, że kartofle kupowaliśmy na sztuki.
- Co to znaczy? - zdziwił się Obły.
- To znaczy, że nie kupuje się kilograma, tylko trzy sztuki na kolację. Z Maksem zaczęłam się spotykać w październiku, a w listopadzie ścisnął silny mróz. Z ciepłych rzeczy miałam jedynie lichą kurteczkę z kóz. Strasznie marzłam. Kiedyś poszliśmy do teatru: on we wspaniałej ciepłej pelisie, w futrzanej czapce. Ja w kurteczce i idiotycznej wełnianej czapce z pomponem. W antrakcie Maks zniknął na chwilę. A gdy po zakończeniu przedstawienia zeszliśmy do szatni, szatniarz wydał mi na mój numerek piękne karakułowe futro, mięciutkie, wspaniałe. Sądziłam, że się pomylił, ale Maks, uśmiechając się chytrze, zarzucił mi je na ramiona. Potem było raz dobrze, raz źle. W końcu małżeństwo się rozpadło, Maks założył nową rodzinę, ja również. Teraz prawie nie pamiętam, jak wyglądało nasze wspólne życie, ale to futerko... Tak więc, niech pan przyjmie, że mam dług u Maksa. Po raz pierwszy i ostatni w życiu dostałam wtedy prezent bez żadnego powodu. Iwan Michajłowicz zatarł ręce.

- Daszeńko, przejdźmy do gabinetu. Przecież nie będziemy rozmawiać w holu.

Weszliśmy na górę i znaleźliśmy się w ogromnym pomieszczeniu. W życiu bym nie uwierzyła, że człowiek o ksywce Obły może mieć taki pokój! Trzy ściany, od sufitu po podłogę, zajmowały półki z książkami. Było tu chyba wszystko: filozofia, psychologia, historia, klasyka rosyjska i zagraniczna. Na oddzielnych półkach kryminały, głównie zagraniczne. Na biurku obok komputera leżało kilka numerów „Medycyny sądowej w pytaniach i odpowiedziach” oraz „Kryminalistyki”.

- Pali pani? - zapytał, otwierając niewielki barek.

- Dziękuję, tylko własne, od innych kaszlę. - Wyciągnęłam z kieszeni gauloise'y.

Iwan Michajłowicz odwrócił się i obydwójce parsknęliśmy śmiechem. W rękach trzymał dokładnie taką samą paczkę.

- Przyzwyczaiłem się we Francji, szkoda, że w Moskwie tak trudno je dostać - powiedział, wciąż się śmiejąc. - Nie sądziłem, że spotkam osobę o podobnych upodobaniach. Napije się pani koniaku?

Pokręciłam przecząco głową.

- Prowadzę. Obły machnął ręką.

- Odwiozła panią do domu.

Wyjął z barku butelkę remy martin i mruknął:

- Moim zdaniem, całkiem niezły trunek.

- Moim też, choć osobiście od rocznika 1946 wolę 1949. Dla tego koniaku to był lepszy rok.

Drzwi uchyliły się i do gabinetu wszedł chłopak z tacą. W milczeniu postawił na stoliku deskę serów, talerzyk z krakersami i miseczkę z orzeszkami. Prawdziwie europejski poczęstunek. Za chłopakiem wpadły, sapiąc, rottweilery i oparły łby na moich kolanach. Machinalnie wetknęłam im do pysków po kawałku upragnionego sera i pogłodziłam miłe mordy.

Obły westchnął.

- Niech będzie. Przez całe życie cierpię przez baby. Gdy tylko mi się jakaś spodoba, tracę rozum i robię głupstwa. A pani bardzo przypadła mi do gustu. Dlatego powiem to, czego mówić nie powinienem, ale najpierw proszę obiecać, że żadna informacja nie wyjdzie poza cztery ściany tego pokoju.

Kiwnęłam potwierdzająco głową. Obły usiadł w fotelu.

- Między mną i Maksymem rzeczywiście była sprawa długu. Na sumę dokładnie taką, jaką pani wymieniła - milion dolarów. I tylko co do jednego się pani pomyliła. Nie Maks mnie, to ja jemu byłem winien. Ale zwróciłem na początku czerwca, dokładnie czwartego.

- Chryste - wyrwało mi się - cóż to za fantastyczny biznes ten

handel jajami!

Obły się uśmiechnął.

- Jaja nie mają tu nic do rzeczy. Zajmujemy się antykami, i to od dawna. Maks ma niebywałego nosa, zawsze wynajdywał jakiś rarytas! Niedawno u jakiejś babiny odkrył prawdziwego Goyę. Proszę sobie wyobrazić, staruszka powiesiła obraz w toalecie i zamierzała go wyrzucić, bo był strasznie ponury!

Zbaraniałam.

- A jaja?

- Co jaja? - zdziwił się Obły. - Biznes jak biznes, ale wielkie pieniądze szły z innego źródła. Nie afiszowaliśmy się tą naszą działalnością. Po co zwracać na siebie uwagę.

- W jaki sposób oddał pan pieniądze?

- Normalnie, włożyłem do reklamówki, a Bekas odwiózł, nie po raz pierwszy zresztą!

- Reklamówki - prychnęłam - chyba walizki. Obły się uśmiechnął.

- Za dużo filmów pani ogląda. Milion dolarów w nominałach po sto to wszystkiego zaledwie dziesięć tysięcy papierków, spokojnie wejdzie do torby prezentowej! Walizka - to już zupełnie inne sumy.

- Ten posłaniec oddał wszystko?

- Bekas?! A jakże, w takich sprawach się nie żartuje. Poza tym, Maks zadzwonił i potwierdził odbiór przesyłki.

- Gdzie Maks trzymał pieniądze? Iwan Michajłowicz rozłożył ręce.

- Cóż za intymne pytanie! W naszym środowisku się o to nie pyta.

Pewnie w Szwajcarii albo w Emiratach Arabskich.

- Ale chyba nie od razu je przekazał, jakiś czas musiał trzymać w domu!

Obły westchnął.

- Pamięta pani spizarkę przy łazience?

- Tak.

- Jest tam pawlacz z różnymi rupieciami. A w głębi w tylnej ścianie ukryty jest sejf. Tylko proszę nie pytać o szyfr, bo go nie znam.

- Gdzie pan poznał Maksa?

Obły z przyjemnością zaciągnął się papierosem.

- Moja droga, pani jest jak prokurator. Czy pani wie, że Polański trzy lata pracował za granicą?

- Tak. Nina Andriejewna opowiadała, że pracował w Polsce, uczył na kursach rosyjskiego. Pamiętam, że się dziwiła, dlaczego nie ożenił się z Polką, tylko wrócił jako kawaler!

- No cóż, historyjka o kursach to piękne kłamstwo. Maksym siedział w więzieniu.

- Jak to? Za co?

- Za nielegalny handel. Początkowo handlował zapalniczkami, potem džinsami, a dopadli go, gdy wziął się do dzieł sztuki. Siedziałem z nim w jednej celi przed rozprawą, razem spaliliśmy na jednej pryczy. On dostawał wielkie paczki, a ja figę z makiem. Ale Maks nie był skąpy, zawsze się dzielił przysmakami! Zaprzyjaźniliśmy się z czasem i tak jest do dzisiaj.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami. To ci nowina! Głowę dam, że nikt o tym nie wie! Widząc moją cielecą minę, Obły uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

- Niech pani lepiej opowie o zabójstwie Weroniki.

Powiedziałam wszystko, co wiedziałam o Nice i Siemionie. Zamyślił się na chwilę, a potem westchnął.

- Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem. Popytam, ale dopiero wczoraj wróciłem z Francji, do Maksa jeszcze nie dzwoniłem i o niczym nie wiedziałem.

Wstał, wyciągnął szufladę z biurka i wyjął nieduże pudełko.

- Proszę to wziąć.

W środku na aksamitnej wyściółce leżała zwykła złota obrączka, taka jak ślubna. Wkoło biegł delikatny rzeźbiony szlaczek, a na środku drobne niebieskie kamyki, zapewne szafiry, utworzyły literę K.

- Proszę to włożyć i nie zdejmować - powiedział władczo mafioso. -

Niech pani to traktuje jako list żelazny. Jeśli wplącze się pani w

jakaś awanturę, to przynajmniej nasi pani nie zastrzelą, tylko zawiadomią mnie. Absolutnej gwarancji dać nie mogę, ale... Ja w tym mieście sroce spod ogona nie wypadłem, członkowie mojej rodziny to też nie byle kto. Dam pani jeszcze telefon. W sytuacji bez wyjścia proszę dzwonić, znajdą mnie. Niech się pani nie zdziwi, kiedy telefon odbierze starsza kobieta, nie należy z nią rozmawiać. To po prostu telefonistka. Wystarczy powiedzieć „Do taty od...”. No właśnie, trzeba pani nadać jakieś imię!

Przygryzł wargi, popatrzył w zamyśleniu w okno i zachichotał:

- Duża Świnka! Otóż to! „Do taty od Dużej Świnki”. Wystarczy zostawić numer telefonu, zadzwonię do pani. Gdyby potrzebowała pani nagłej pomocy, proszę powiedzieć: „Pożar. Duża Świnka w ogniu”.

Roześmiała się. Stary chłop, a bawi się jak dziecko.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedział kamiennym głosem. - Pani nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje, a ja nie mam ochoty przysyłać kwiatów na pogrzeb. Proszę włożyć obrączkę!

Włożyła „list żelazny”. No proszę, pasuje jak ulał.

- Aha, Iwanie Michajłowiczu, czy pan pamięta, jaki zegarek miał Maks?

- Numerowany platynowy longines z brylantami. Drogie cacko.

Odradzałem mu to, po co się obnosić z bogactwem?

I drażnić wszelkie płotki! Teraz pojedzie pani do domu. Bekas panią odwiezie. Gdzie pani mieszka?

- W Łóżkinie. Ale lepiej niech mnie podrzuci do metra Dynamo.

- A to po co?

- Zostawiłam tam volvo.

- To żaden problem.

Zawołał tajemniczego Bekasa. Po paru sekundach do gabinetu wszedł chłopak w czarnym ubraniu, który mnie tu przywiózł.

- Odwieziesz Daszeńkę do Łóżkina, potem przyprowadzisz jej samochód

- poleciał Obły. - I wytłumacz pani, jak ma się z tobą kontaktować.

Bekas kiwnął głową i wymknął się jak cień. Obły nalał strzemiennego i odprowadził mnie do drzwi wejściowych. Psy podążały naszym śladem.

- Psom też się spodobałaś. A ja co, sądzisz, jestem rupieć?

Zadzwonię. Może znajdziesz trochę czasu, żeby zjeść z dziadkiem kolację?

Pocałował mnie w rękę, poszłam do samochodu. Tym razem na podwórzu stał lśniący mercedes. Bekas rzucił szybkie spojrzenie na obrączkę i zapytał z szacunkiem:

- Gdzie szanowna pani woli siedzieć?

- Z tyłu.

Pomknęliśmy z zawrotną prędkością. Przy wjeździe na szosę spostrzegliśmy patrol milicji. Bekas przyhamował i zawołał do śmiertelnie znudzonego gliniarza:

- Jak służba, Piętka?

- Lepiej nie mówić, Bekas - odkrzyknął ten. - Gorąco, można zdechnąć.

- Jak skończysz, to wpadnij, Fiedka poczęstuje cię zimnym piwkiem.

Krawężnik uśmiechnął się radośnie, a my pomknęliśmy dalej.

Do Łóżkina dotarliśmy błyskawicznie. Mój kierowca dziarsko zahamował i oświadczył:

- A teraz migiem przyprowadzę volvoszczaka.

Nie zdążyłam się nawet odezwać, gdy mercedes ryknął i zniknął mi z oczu. Kompletnie otumaniona, weszłam do domu i dopiero w holu uświadomiłam sobie, że nie dałam kierowcy kluczyków. Biedak przeleci się na próżno!

W domu podejmowano drugą narzeczoną. Tym razem Giera przyprowadził szczuplutką blondyneczkę. Przy stole, oprócz narzeczonych, siedzieli: Nina Andriejewna, Kiesza, Kicia i Mania.

- Gdzie Rimma Borisowna? - zapytałam cicho synową.

- Wysmarowała się rano maścią ichtiolową i do tej pory nie może się domyć. - Olga parsknęła śmiechem.

Przypominająca mysz doświadczalną kandydatka na żonę rozwlekle podawała przepis na swój firmowy pieróg. No nie, tego się nie da

wytrzymać.

- Pójdę zapalić - mruknęłam i wyszłam na podwórko. Za mną wymknęła się Mania z psami. Usiadłyśmy na schodkach. Cisza aż dźwięczała. Gdzieś w oddali kumkały żaby. Psy ułożyły się przy naszych nogach, posapując od czasu do czasu. Zrobiło się ciemno, na niebie pojawiły się gwiazdy.

Nagle dobiegł nas warkot silnika i na podwórko wpadł samochód. Biedne volvo, nigdy wcześniej nikt go tak nie potraktował. Zatrzymawszy się przy ganku, samochód jakby odetchnął z ulgą. Bekas wyskoczył i dostrzegł psy.

- Coś podobnego - zawołał. - Te duże znam, czarny to chyba pudel, ale te małe paskudztwa to co?

- To nie paskudztwa - obruszyła się Mania - to mops i terrier jorkszyrski, zresztą mąż i żona.

- Dziękuję, Bekas - odezwałam się. - Jak pan zdołał uruchomić go bez kluczyków?

Chłopak się uśmiechnął.

- Wiele osób trzyma zapasowe kluczyki pod tylnym zderzakiem. A i bez nich ruszyć to żaden problem. Jestem profesjonalistą.

- Chce pan herbaty? - zapytała Mania. Bekas zdębiał.

- Mnie pytasz?

- A kogo? Są jeszcze paszteciki, tort i eklerki, bardzo dobre.

Chłopak był wyraźnie zmieszany. Pewnie nieczęsto zapraszano go do stołu.

- Właściwie to powinienem już jechać... - wybąkał.

- No, jedną filiżankę - zachęciłam go.

- Chodźmy - podchwyciła Mania. - Pozna pan Fifinę i Markizę.

- Nie jestem odpowiednio ubrany - certował się Bekas. Ale Maniunia złapała go za rękę i powlokła do pokoju.

Ja zostałam jeszcze na ganku. Trafiają nam się czasem całkiem dziwni znajomi.

Rozdział 12

Rano znowu obudzono mnie jakimś bladym świtem. Starsze panie uroczyście urzędowały za stołem.

- Co myślicie o Lenoczce? - zapytała Rimma Borisowna.

- O kim? - nie zrozumiałam.

- No, o tej, która tu wczoraj była.

- Obłeci - mruknął Kiesza bez entuzjazmu - skromniutka, nie maluje się...

- A mnie się nie spodobała - oświadczyła Rimma Borisowna - i Gierze też nie przypadła do gustu. Będziemy szukać dalej, prawda, synku? Giera w milczeniu skinął głową.

- Aha, a dzisiaj jest piątek - ciągnęła Rimma Borisowna.

- No to co? - zapytała Nina Andriejewna.

- To przecież okropne, przyjechać do Moskwy i nie być w teatrze Bolszoj!

- A co za problem? - zdziwił się Kiesza. - Podskoczmy z Gierą i kupimy bilety.

- Nie, nie - zaproponowała Rimma Borisowna - sami nie pójdziemy, wyłącznie wszyscy razem.

O mało się nie zakrztusiłam. Nie znoszę rodzinnych procesji, jestem na nie uczulona. Ale Kiesza zgodził się pokornie.

- Dobrze, czyli kupię siedem biletów. A na co?

- Oczywiście na operę - krzyknęły jednym głosem starsze panie.

Irka przyniosła omlet. Wszyscy zajęli się jedzeniem.

- Aha - odezwała się Nina Andriejewna - Bundy ma coś z żołądkiem.

Paskudnie dzisiaj kupka!...

- Za rzadko - dokończyła Olga i parsknęła śmiechem.

Teściowa zmarszczyła brwi. Odsunęłam filiżankę i wstałam. Później będzie pewnie gorąco, lepiej z rana załatwić najwięcej.

Wziawszy klucze od Niny Andriejewny, pojechałam najpierw do

Polańskich. Otworzyłam drzwi i obrzuciłam spojrzeniem przedpokój. Coś tu się nie zgadzało! Po chwili już wiedziałam. Dziwne, dobrze

pamiętam, że gdy opuszczałam mieszkanie z teściową, zrzuciłam z wieszaka wszystkie kapelusze, które rozsypały się po podłodze. A teraz, proszę bardzo, znowu są na swoim miejscu. Kto je podniósł? Stara pani nie wyjeżdżała z Łożkina, Maks w więzieniu, Weronika w prosektorium. Może gosposia była?

Poszłam do schowka, weszłam na drabinkę i otworzyłam pawlacz. W środku zapaliło się światło. Żarówka oświetliła pudełka z zabawkami na choinkę. Zakląłam, wyciągnęłam pudła, kichając od kurzu, i obejrzałam tylną ścianę. Niczego, co by wyglądało na sejf! A więc to nie tu. Zamknęłam pierwszą szafkę i otworzyłam następną. Znowu zapaliło się światło, ale nie było kurzu. Z tyłu dostrzegłam małe drzwiczki z okrągłym uchwytem, a z boku płytkę z guzikiem.

Wystarczyło wybrać szyfr, ale jaki?...

Zeszłam z drabinki i ruszyłam do gabinetu Maksa. Może gdzieś zapisał? .W szufladach biurka panował idealny porządek. Rachunki, różne papiery, drobiazgi biurowe, książki telefoniczne. Maks nie miał komputera. O ile pamiętam, zawsze bał się wszelkiej techniki. Jak on się nauczył prowadzić dżipa? Właśnie, a gdzie są kluczyki? Trzeba by zajrzeć do samochodu, a nuż znajdę tam coś ciekawego.

Smętnie szperałam w papierach. Nie, niczego, co by przypominało szyfr. Co też on mógł wymyślić?

Znowu weszłam na drabinkę. Data urodzin Niny Andriejewny? Rok śmierci ojca? Drzwiczki ani drgnęły. Patrzyłam w zadumie na sejf. No nie, głupi pomysł, ale co mi szkodzi spróbować - 7117. Rozległo się ciche szczęknięcie. Coś takiego! Siódmego stycznia wzięliśmy nasz ślub, a pierwszego lipca się rozwiedliśmy. Maks mówił, że te cyfry - siedem i jeden - prześladowają go przez całe życie. Urodził się siódmego lipca, pierwszy

raz ożenił się pierwszego stycznia, ojciec umarł siedemnastego listopada, data z siódemki i jedynek...

Pociągnęłam dosyć ciężkie drzwiczki. Nieduża żelazna skrzynka świeciła pustką.

Postawiłam walizki na miejsce, zamknęłam pawlacz i usiadłam w kuchni, paląc papierosa i zastanawiając się, co robić dalej. Tak, najpierw zobaczę, co jest w dżipie, potem pojadę do Butyrek i zapytam Maksa, gdzie są pieniądze. Może to w nich cały szkopuł? Taka wielka suma. Zamknęłam mieszkanie i poszłam do garażu. Dżip lśnił czystością karoserią. Wdrapałam się na miejsce pasażera i rozejrzałam dookoła. Zgoda, piękna gabłota, ale zdecydowanie za wielka, siedzi się jak w trolejbusie. Co my tu mamy?

W schowku leżały rękawiczki, chusteczka do nosa, tabliczka czekolady i paczka papierosów Davidoff. W kieszeni przedniego siedzenia - pusta butelka po wodzie mineralnej Perrier, gazeta „Skandale Tygodnia”, opakowanie rozpuszczalnej aspiryny. I to wszystko.

Westchnęłam i znowu usiadłam na miejscu dla kierowcy. Nie, taki samochód to zdecydowanie nie dla mnie. Prawie nie sięgam do pedałów. W samym rogu dostrzegłam zmiętoszony papierek. Rozwinęłam go.

Papierek pomazany był tuszem z długopisu. „Kwit. Salon «Wyrocznia». Ulica Monetna. Zapłacono - tysiąc rubli za usługi”. Ciekawe, co to za miejsce?

Upał narastał. Volvo cicho toczyło się w stronę Butyrek. Tym razem od razu odszukałam uprzejmą Katierinę.

- Pędź na dół - poleciała, biorąc pieniądze - wpuszczając ostatnią grupę.

Pognałam do sutereny. Po pięciu minutach drzwi zabrzęczały i dyżurna zaczęła wyczytywać nazwiska. Moje było ostatnie. Ruszyłam do środka, ale dyżurna pokręciła głową:

- Przepraszam, twojego chłopca nie ma.

- Co się stało?

- Żółtaczką w celi.

- Jak to? - zdenerwowałam się.

- Nijak. Nie przyprowadzą go ani na widzenie, ani do adwokata, ani do sądu. U nas z tym nie ma żartów. Czekaj, aż minie kwarantanna.

- Długo?

- Na razie dwadzieścia pięć dni, a potem się zobaczy.
Wysłałam na rozprażoną Nowosłobodzką. Masz ci los! Biedny Maks! W taki upał w przepełnionej celi to przecież zgroza. Może Jana wie, co się stało z pieniędzmi? Wygląda na to, że Maksym wysłał ją do Kijowa właśnie po to, by zawiozła milion.
Ale w domu u Sokołowej nikt nie odpowiadał. Dziwne, przecież ciotka, gruba jak słoń Rada Iljinićzna, podobno rzadko wychodzi. Może się położyła, żeby odpocząć. Sąsiadki Tani też nie było, tak samo jak Żeni Polakowej. No cóż, dzień niepowodzeń! Wobec tego wykorzystam wolny czas i podjadę do „Skandali Tygodnia”.
Tygodnik miał swoją siedzibę na parterze jasnego budynku. Tuż pod jego oknami dudnił Dworzec Kijowski. Upał był niemiłosierny, asfalt się topił, otumanieni pasażerowie taszczyli na perony ogromne walizy, ocierając spocone twarze.
„Pociąg numer trzynaście MoskwaKonotop odjeżdża z toru siódmego. Prosimy odprowadzających o opuszczenie wagonów” - rozległ się nad moją głową metaliczny głos.
Dusząc się prawie z upału, ruszyłam w stronę budki z lodami, mimo woli podśpiewując „Pociąg numer trzynaście, MoskwaKonotop, hop, hop”. Nagle poraziła mnie myśl ostra jak igła. Numer trzynaście, MoskwaKonotop? Jak to! Dobrze pamiętam, jak miła sąsiadka Jany, Tanieczka, opowiadała, że zawoziła walizkę na Dworzec Kijowski, pociąg miał numer trzynaście i wagon numer trzynaście! Może są dwa pociągi z taką numeracją? Albo Konotop jest dalej niż Kijów? Odwróciłam się i pognałam w stronę kas. Niewzruszona panienska w informacji z absolutną obojętnością wysłuchiwała dziwacznych pytań i spokojnie na nie odpowiadała. Wysłałam na peron, machinalnie kupiłam niejadalną bułkę z parówką i rzucając po kawałku bezdomnemu psu, jako tako doszłam do siebie. A było po czym. Rzecz prosta, jest tylko jeden pociąg numer trzynaście, a od Konotopu do Kijowa jeszcze pół doby jazdy. Dokąd pojechała Jana? Wszystkim nakłamała, że jedzie do stolicy Ukrainy, a tak naprawdę? Dojechała do Konotopu? Mogła przecież wysiąść na jakiegokolwiek stacji. Jest tylko jeden sposób, by to wyjaśnić. Wziąć zdjęcie Jany i pokazać kierownikowi pociągu, a nuż sobie przypomni?
Plac przed Dworcem Kijowskim dudnił gwarem. Wsiadłam do volva. „Skandale Tygodnia” poczekają. Rada Iljinićzna wciąż nie odbierała telefonu, ale mimo to postanowiłam do niej pojechać. Może aparat się zepsuł? Nie, z pewnością działał, walc w drzwi, słyszałam, jak dzwoni. Do licha, gdzie też ją poniosło? Tanieczki też nie było. Ponownie wróciłam pod drzwi Rady Iljinićznej i zaczęłam w nie łomotać. Takiego rwetesu nie sposób nie usłyszeć! Usiadłam na schodach i zapaliłam papierosa. Jak to dobrze, że mieszkamy teraz we własnym domu, tu okropnie śmierdziało z niesprzątanego zsypu. Odór był obrzydliwy, słodkawy, natrętny.
Podeszłam do drzwi i pociągnęłam powietrze. Odór wyraźnie sączył się z mieszkania Rady Iljinićznej. Pełna złych przeczuć, wyjęłam komórkę. Jeśli zadzwonię teraz do Aleksandra Michajłowicza, oczywiście przyjedzie, ale wtedy mogę się pożegnać ze śledztwem! Po krótkiej chwili wahania wybrałam dyżurny numer policji.
Mniej więcej po godzinie, kiedy byłam już półprzytomna od upału i smrodu, przyjechała milicja.
- Co tu się dzieje? - zapytał jeden z nich.
- Przyszłam odwiedzić kuzynkę, ale nikt nie otwiera.
- Wielkie rzeczy - burknął drugi - pewnie śpi albo poszła do sklepu.
- Jest inwalidką, prawie nie wychodzi, a zwłaszcza w taki upał. A telefonu też od kilku dni nie odbiera! Czujecie ten zapach?
Stróżę porządku powachali i westchnęli.
- Kim pani jest dla lokatorki mieszkania?
- Siostrą.
- Wobec tego na pani odpowiedzialność otworzymy, żeby w razie czego nie było żadnych pretensji. Ale najpierw trzeba tu przyprowadzić administratora.
Jeszcze godzina zeszła na poszukiwaniach miejscowej władzy. Wreszcie

zjawiła się zasapana baba i dosyć trzeźwy chłopina. Milicjanci zaczęli wyłamywać drzwi. Nie musieli się zbytnio wysilać. Kilka uderzeń i cienkie drzwi, trzymające się na lichym zamku, stanęły otworem. Odór się nasilił. Milicjanci popatrzyli na siebie i ruszyli do pokoju. Ja, odepchnawszy dozorczynię, wpadłam do kuchni i zobaczyłam je obie.

Głowa Rady Iljiniaczki spoczywała w dziwnej pozycji na stole, między przewróconymi filiżankami. Tanieczka siedziała oparta o kuchenkę, oczy wytrzeszczone, usta otwarte. Twarz dziewczyny pokrywały jakieś paskudne plamy, gołe nogi miały zielonkawy odcień. A wszędzie pełno much.

Poczułam, że zaraz zemdleję, i cofnęłam się do przedpokoju. Jeden z milicjantów odsunął mnie i zajrzał do kuchni.

- Cholera - stęknął i zdjął czapkę - czyli tak, niech pani idzie do pokoju i czeka.

Za nic! Muszę jak najszybciej stąd nawiać.

- Poczekam przy wejściu do budynku - wybełkotałam, zasłaniając twarz chusteczką - okropny zapach, już mnie mdli.

- Dobra - machnął ręką - tylko proszę się nie oddalać. Jest pani głównym świadkiem.

Wspaniale, akurat tego właśnie nie chcę. Na miękkich nogach wypadłam za bramę. Paskudny moskiewski smog wydał mi się cudownym aromatem. Samochód potulnie nudził się w cieniu. Wskoczyłam za kierownicę i pognałam w stronę stacji Uniwersytet, do mieszkania Żeni Polakowej. I znów na dzwonek do drzwi odpowiedziała cisza. Przerażona, usiadłam na schodach i zaczęłam zapamiętane wachać. Pachniało jak zwykle: kotami, kapuśniakiem, praniem. Dziewczyna jest pewnie na uczelni albo poszła do biblioteki... I wtedy zazgrzytała winda i na korytarzu pojawiła się Żenieczka. W rękach trzymała dużą butelkę wody mineralnej.

- Na mnie pani czeka? - zdziwiła się.

- Czy masz zdjęcie Jany Sokołowej?

- Tak - odpowiedziała, otwierając drzwi - chłopcy zrobili nam zdjęcie w bufecie, a po co ono pani?

- Pan Polański prosił, żebym mu przyniosła do więzienia.

- Biedak - westchnęła Żenia, szperając na półce. Wreszcie znalazła zdjęcie. Przy stole siedzą trzy uśmiechnięte dziewczyny.

- To Jana - wskazała palcem najbrzydszą.

Trójkątna chuda twarzyczka rachitycznego dziecka. Ostry, trochę za długi w tej miniaturowej twarzy nos i blade usta. Na głowie język rudych włosów. Ładne były tylko oczy - duże, jasne, mądre. Może gdyby się odpowiednio ostrzygła, zrobiła lekki makijaż... Czym wzięła Maksa? Czyżby dojrzał pod tą niereprezentacyjną powłoką subtelna duszę? Och, to niepodobne do niego eksmeża. Żony wybierał, kierując się wyłącznie wyglądem zewnętrznym. Znam nawet typ: wysoka, zgrabna, głupawa blondynka z buźką Barbie. No cóż, ja wyłamałam się z tego szeregu.

Wsunęłam zdjęcie do torebki i ruszyłam ku drzwiom, ale na progu jeszcze spytałam:

- Żenieczko, Jana nie dzwoniła?

- Nie, to nawet dziwne, przepadła jak kamień w wodę, i w domu też nikogo nie ma.

- Bardzo cię proszę, bądź ostrożna, nie wpuszczaj do mieszkania nikogo obcego, żadnych ślusarzy, agentów reklamowych, domokrażców.

- Absolutnie - przyrzekła z powagą. - Dzisiaj wyjeżdżam na daczę i zostanę tam z rodzicami do środy. A do tej pory pewno i Jana się już zjawi.

Na Dworcu Kijowskim ruszyłam prosto do zawiadowcy. Drzwi gabinetu strzegła czujna sekretarka, dama około pięćdziesiątki z włosami zwiniętymi w staromodną „chałkę”.

- Andrieja Siergiejewicza nie ma - oświadczyła groźnie - biletami się nie zajmujemy, proszę iść do kasy.

Ale ja przygotowałam sobie łzawą historię. Otóż czwartego czerwca jechałam do Konotopu pociągiem numer trzynaście, w wagonie o tym

samym numerze. I co za pech! Zostawiłam w przedziale torebkę z dokumentami i dużą sumę pieniędzy. Kierownik pociągu znalazł zgubę i oddał do biura rzeczy znalezionych. Chcę odszukać tego uczciwego człowieka, by go wynagrodzić. Taka postawa to teraz rzadkość.

- A jakże - zgodziła się rozbrojona dama i szcześnie dzwignęła wewnętrznego telefonu.

Nie minęło dziesięć minut, a już znałam imię, nazwisko i adres dobrej samarytanki - Lubow Pawłowna Tanienko, ulica Czerwonego Szlabanu.

Zdumiona taką cudacką nazwą ulicy, otworzyłam plan miasta i znalazłam ten „Szlaban” prawie w centrum miasta, obok stacji Krasnaja Priesnia Towarowa. Z łatwością dostałam się na prospekt Żukowa, kłopoty zaczęły się potem. Wjechałam w dziwną dzielnicę, gdzie były jedynie garaże, warsztaty i jakieś fabryki. Przecięłam tory kolejowe i znalazłam się na ulicy, wzdłuż której z obydwu stron ciągnął się bez końca czerwony ceglany mur. Potem ulica gwałtownie skręcała w prawo i kończyła się na żelaznej bramie z otwartą furtką. Pewna, że zabłądziłam, zaparkowałam na wąziutkim chodniku i weszłam przez furtkę. Na dziedzińcu tłoczyły się kobiety z wielkimi torbami. Z prawej strony ciągnęły się tory kolejowe. W mojej duszy zrodziło się mętne podejrzenie. To miejsce coś mi przypominało. Podeszłam do niskiego budynku i przeczytałam adres: Zakłady Sylikatowe, bud. 10. Poniżej wisiała tabliczka: ZK 48/3. Więzienie etapowe! To dlatego te tory kolejowe, a na dziedzińcu kłębią się kobiety z paczkami. To ci zbieg okoliczności!

Wsiadłam do samochodu i znów rozłożyłam plan. Do licha, jak się dostać do tego przeklętego Czerwonego Szlabanu? Ktoś zastukał w szybę. Uśmiechała się do mnie dziewczyna o ładnej, choć dość prostackiej twarzy.

- Mamula, nie masz przypadkiem telefonu? Muszę cholernie pilnie zadzwonić, a do budki stąd trzy kilometry.

Podaliśmy jej komórkę. Dziewczyna wrzasnęła jak wściekła:

- Gałka, dzisiaj nie dali widzenia, zapisałam się na jutro. Uprzedź tam naszych.

Gdy ona wrzeszczała do telefonu, ja przeglądałam plan miasta.

- Dziękuję, mamula - rzekła wreszcie dziewczyna. - A czego szukasz, powiedz, może wiem.

- Wątpię, ulica Czerwonego Szlabanu.

- Phi! - Parsknęła śmiechem. - Mieszkam tam. Widzisz ten dom? - I wskazała palcem z resztką lakieru na paznokciu brudnoszare betonowe bloczydło. - Tyle że na przełaj nie można ani przejechać, ani przejść, przez to przeklęte więzienie. Jak mnie podwieziesz, to ci pokażę.

Zawróciłam i dosyć długo plątałyśmy się wśród krętych zaułków.

Wreszcie blok pojawił się tuż przed maską. Innych budynków przy tej uliczce nie było.

Weszłam na pierwsze piętro, ale nie zdążyłam nacisnąć dzwonka, gdy drzwi się otworzyły.

- Chwała Bogu! - zawołały równocześnie kobieta i dziewczynka, mniej więcej w wieku Maszki. - Myślałyśmy, że pani już nie przyjdzie.

Szybciej.

I popchnęły mnie do łazienki.

- Proszę umyć ręce, jeden już się zjawił - poinformowała kobieta i podała kawałek mydła.

- Mamo, mamusiu - zawołał płaczkliwie ktoś w głębi mieszkania.

Kobieta pociągnęła mnie do pokoju. Na rozłożonej kanapie leżał mały kudłaty piesek. Biedna sunia się szczeniła. Obok jej wstrząsanego drgawkami ciała leżał szczeniak, ale przyszedł na świat w „woreczku” i niezbędna była natychmiastowa pomoc. W pokoju klęczała jeszcze jedna zapłakana dziewczynka.

- Przestańcie się mazać - powiedziałam. - Potrzebne mi są ostre nożyczki do paznokci, butelki z ciepłą wodą i ręczniki.

Kobieta i dziewczynki zaczęły skakać niczym pchły. W godzinę było po wszystkim. Trzy czarne śliczne szczeniaczki o krótkich mordkach z wigorem ssały zmęczoną matkę.

- Dajcie jej ciepłego mleka i przez dwa dni nie karmcie mięsem.
- Też coś. - Dziewczynki się roześmiały. - I tak nie mamy pieniędzy na mięso. Suzi je kartofle, zupę i kluski.
- Cicho bądźcie - burknęła na nie matka. - Nie jesteśmy żebraczkami! Ile płacę?

Pokręciłam głową.

- Ależ nic. Niech się pani cieszy, że niedawno przyjmowałam poród własnego psa i pamiętam kolejność działań.
- To pani nie jest pogotowie weterynaryjne? - zdumiała się kobieta.
- Nie, szukam Lubow Pawłowny Fomienko.
- To nasza mama! - krzyknęły dziewczynki.
- Dacie nam wreszcie porozmawiać? - skarciła je matka. -A o co chodzi?

- Zapomniałam się przedstawić, major Wasiljewa, zajmuję się poszukiwaniem osób zaginionych.

Kobieta niespokojnie zerknęła na córki.

- Uciekajcie stąd.

Dziewczynki wyszły, ale najwyraźniej przyczaiły się za drzwiami, bo usłyszałyśmy zduszone chichoty.

- Czwartego czerwca ta dziewczyna jechała pani pociągiem z Moskwy, nie pamięta pani, gdzie wysiadła?

Lubow Pawłowna popatrzyła na zdjęcie.

- Pamiętam. To było dosyć dziwne.

- Co?

- Pasażerka pokazała bilet do Fomińska i tam wysiadła.

- A co w tym dziwnego?

- Do Fomińska można się dostać kolejką podmiejską, po co kupować bilet z miejscówką i przepłacać? Pociągi elektryczne chodzą regularnie.

- Może się spieszyła?

- Pewnie, wszystko możliwe, ale takich pasażerów u nas jak na lekarstwo. W dodatku pojawiła się bez bagażu, do ostatniej chwili czekała na peronie, aż ktoś jej przyniósł walizkę. A wysiadła w Fomińsku. Popatrzyłam jeszcze przez okno, gdy pociąg ruszył: usiadła na ławce i zaczęła jeść pasztecik.

Była ósma, gdy wróciłam do domu. Upał ani trochę nie zelżał, nad miastem wisiała rozprazona poducha i nawet w Łóżkinie oddychało się z trudem.

Na trawie przed garażem siedzieli Mania i... Bekas. Przed nimi leżał rozebrany na części motocykl.

- Musieczko - zapiała Mania - Kola może z każdego motoru zrobić raketę, obiecał, że mój będzie wyciągał dwieście na godzinę.

Domyśliwszy się, że Kola to Bekas, ostrożnie zapytałam:

- A po co ci motor z taką prędkością?

- Przyda się.

Bekas westchnął z zakłopotaniem.

- Zaraz to złożymy, będzie jak nowy.

- On w mercedesie Arkaszki też coś tam naprawił.

- Bendyks - wyjaśnił Bekas. - To w rozruszniku. Popatrzyłam na jego twarz, z której tajemniczym sposobem zniknęło napięcie.

- Ile pan ma lat, Kola?

- Osiemnaście. Ale niech pani nie myśli, że jak jestem młody, to niczego nie umiem. Znam się na silnikach, zawsze lubiłem mechanikę. Potrafię naprawić zegarek, żelazko, radio...

- Hau - potwierdził Snap.

Bekas błyskawicznie się sprężył, ale spostrzegłszy, że pies pomknął jak strzała do Kici, która właśnie przyjechała, znów się rozluźnił.

- Kończ, co zacząłeś - pogoniła go Mania. - Zaraz przyjdzie Kieszka i poproszą nas na kolację.

Bekas potulnie zaczął gmerać śrubokrętem w bebechach nieszczęsnego motocykla.

Weszłam do domu. Ani przez chwilę nie wątpiłam, Kola, w twoje umiejętności mechanika samochodowego. Zdumiewa mnie tylko, jak wiele

przeszedłeś w swoim zaledwie siedemnastoletnim życiu: i siedzieć zdażyłeś, i do stajni Obłego trafiłeś, i mnie, najwyraźniej, śledzisz.

Rozdział 13

Ranek zaczął się jak zwykle. Wiedząc już, że teściowe i tak nie dadzą mi pospać, zesłam punktualnie na śniadanie. Domownicy ziewali bez opamiętania. Natomiast paniusie, a jakże, były rześkie i pełne wigoru. Na stole dymiła waza z niezmienną owsianką.

- Muleczko - szepnęła Mania - podaj mi maselniczkę, posmaruję tost.
- Mario - odezwała się Rimma Borisowna - ile razy mam ci powtarzać, że nie należy szeptać, to bardzo niegrzeczne.

I podsunęła jej pudełko skandy.

- Nie cierpię margaryny, co to, nie ma masła? - zbuntowała się Masza.

- Masło - nie ustępowała Rimma Borisowna - jest wyjątkowo szkodliwe, cholesterol i nic więcej. To zabójstwo dla wątroby. Margaryna jest znacznie zdrowsza.

Maniunia umilkła i gmerała łyżką w kleistej mazi. Kicia spróbowała zmienić temat:

- Prawie przez całą noc ani ja, ani Serafina Iwanowna nie spałyśmy, Wańce i Ance wyrzynają się zęby.

Bliźniaki jak na razie nie dawały nam się we znaki. Nie umieją jeszcze chodzić i większość czasu spędzają w swoim pokoju na pierzonym pięttrze, a ich główne zajęcia to wciąż jeszcze spanie i jedzenie. Wyjątkowo ciche i niekłopotliwe dzieci. Protestują tylko wtedy, gdy się je kładzie w oddzielnych łóżeczkach. Chcą spać zawsze razem.

- Tak - mruknęła filozoficznie Rimma Borisowna - małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci, duży kłopot.

- Aha - włączyła się do rozmowy Nina Andriejewna - Bundy ma coś z żołądkiem...

- Znowu załatwił się na rzadko - dokończyła radośnie Marusia.

Westchnęłam. Może by tak wyszyć tę kwestię krzyżykami i powiesić w jadalni, żebyśmy ją wciąż mieli przed oczami?

Po śniadaniu poszłam z Niną Andriejewną do ogrodu. Z zapalem zaczęła wyrwać pieniające się na klombie mleczce. Wokół nas ganiały psy. Ale w sercu teściowej numer dwa niepodzielnie panował Bundy. Nieustannie głąskała go po tłustym boku i pouczała: „Bundziuszk, nie jedz trawy, bo cię brzuszki rozboli!”. Przykro mi było psuć jej nastrój, ale nie miałam wyjścia.

- Nino Andriejewno, czy to prawda, że Maks nie pracował w Polsce, tylko siedział w więzieniu?

Mleczce natychmiast poszły w zapomnienie. Eksteściowa nastroszyła się i usiadła na ławce. Bundy, wyczuwszy zmianę nastroju, zaskomlił i zaczął lizać jej pokryte starczymi plamami ręce.

- Kto zmyśla takie głupoty? - Wyraźnie usiłowała kłamać, zrozumiałam więc, że Obły powiedział prawdę.

A więc to druga odsiadka Maksa, tym samym stał się recydywistą. No cóż, takich zatrzymanych traktuje się zupełnie inaczej!

- Co za ludzie - zdenerwowała się Nina Andriejewna. - Każdą głupotę gotowi zmyślić! Maks przestępca! Pracował w Polsce, uczył rosyjskiego!

Westchnęłam. Zgoda, teoretycznie mógł być nauczycielem. Dyplom Instytutu Literackiego dawał mu taką możliwość. Ale w praktyce? Czy ona naprawdę nie rozumie, że to bardzo łatwo sprawdzić?

Jeszcze protestowała, ostentacyjnie zacietrizwiona, ale ruszyłam już w stronę garażu. Czyli Obły mnie nie oszukał. Może więc wszystko inne też było prawdą? Wobec tego, gdzie jest milion i czy nie z tego powodu ktoś wrobił Maksa? Skąd Siemion wiedział o pieniądzach, skoro Obły stanowczo utrzymywał, że nikt nie miał pojęcia o handlu antykami. Czyżby Maks powiedział o tym swojemu najlepszemu przyjacielowi?

W głowie mi się kręciło od niekończących się pytań. Chwileczkę,

kłopoty należy rozwiązywać, w miarę jak się pojawiają, tak mówiła moja babcia, a ja zwykłam jej słuchać. Najpierw pojedę do Fomińska i spróbuję odnaleźć ślady Jany. Bardzo bym chciała z nią porozmawiać. Podróż była przyjemna, słońko grzało lekko, w przydrożnym barze zjadłam smaczny posiłek. Nasze szosy nabierają coraz bardziej europejskiego wyglądu: tu i ówdzie stacje benzynowe z restauracjami i toaletami, prawie co krok jakieś sklepiki, aż miło podróżować. W świetnym nastroju wjechałam do Fomińska i zaparkowałam na placu przed dworcem. Stacyjka taka sobie - obłożony z farby jednopiętrowy budynek, najwyraźniej przebudowany w początku lat pięćdziesiątych. Pełno kolumn, rzeźb, obowiązkowe sierpy i młoty. Pociąg z Moskwy zatrzymywał się zawsze na torze pierwszym. Na peronie była tylko jedna ławka, obok niej stało kilka kobiet z koszami i wiadrami. Usiadłam na ławce. Już po paru chwilach nadszedł ekspres Moskwa-Lwów. Baby rzuciły się do wagonów, proponując różne paszteciki, gotowane kartofle, smażone ryby i parówki. Ale kupujących było niewiele, może nie zjedli jeszcze własnych zapasów, a może nie zdążyli zgłodnieć.

Pociąg zagwizdał i odjechał. Zziębnięte babiny opadły na ławkę, poczułam mocny zapach potu.

- Diabli nadali takie życie - sapnęła jedna.
- Lepiej nie mówić, kiedyś człowiek był kimś, w fabryce pracował, a teraz latamy z żarciem po wagonach - westchnęła druga.
- I tak dobrze, że to żarcie - włączyła się trzecia - bo Kławka prezerwatywami handluje, można umrzeć ze wstydu.

Umilkły, a ja zapaliłam papierosa. Zakasłały demonstracyjnie, a po chwili najgrubsza i najbardziej spocona spytała:

- Czekają pani na pociąg? Lepiej w poczekalni, bo teraz przez godzinę nic nie będzie.

Skwapliwie nawiązałam rozmowę:

- Nie, szukam córki, czwartego czerwca wyjechała i do tej pory nie wróciła.

- To dopiero zmartwienie. - Kobiety otoczyły mnie ze współczuciem. - Pewnie młoda i ładna?

Wyciągnęłam zdjęcie i wskazałam Janę. Patrzyły w milczeniu. Wreszcie najstarsza z nich wybałała:

- Wydaje mi się, że to ona przed Rajką czmychnęła, jeszcze pięć pasztecików kupiła.

- Jak to czmychnęła? - Nadstawiłam uszu.

Baba się zawahała, ale na widok pięćsetrublowego banknotu zrobiła się bardzo rozmowna.

Czwartego czerwca jak zwykle sprzedawała na peronie paszteciki i kartofle. Było gorąco i ludzie nieszczerze się rzucali na, owsem, smaczne, ale niestety gorące dania. Z moskiewskiego pociągu, który jechał do Konotopu, w ogóle nikt nie wyjrzał. Jedyne z wagonu trzynastego zwinnie wyskoczyła zgrabna dziewczyna. Handlarka zwróciła uwagę, że mimo upału dziewczyna była w rajstopach. Superkrótka spódniczka. Obcisła bluzka i twarz grubo pokryta fluidem. Oczy mocno umalowane, ich kolor podkreślały turkusowe korale na szyi. Dziewczyna opadła na ławkę, kupiła pięć pasztecików i momentalnie spałaszowała.

- Chuda niby patyk, a apetyt jak u chłopca! Połknęła paszteciki i spytała, gdzie jest toaleta.

Handlarka też się tam wybierała, więc poszły razem. Dziewczyna bez wysiłku niosła walizkę i małą torebkę. Toaleta na stacji jest płatna, ale obsługuje ją Raisa, była zmienniczka mojej rozmówczynie. Kiedyś razem pracowały w fabryce, lecz zakłady zamknięto i tak oto jedna musi biegać po wagonach, a druga myć klozet. Po starej znajomości Raja wpuszcza koleżankę bezpłatnie. Gdy dziewczyna szperała w portmonetce, szukając dwóch rubli, handlarka weszła do środka. Wyszła po jakichś pięciu minutach i spostrzegła, że przy stoliku Rai stoi walizka.

- Masz pojęcie - zachichotała przyjaciółka - ta głupia weszła do męskiej, nie do damskiej. Niech jej będzie, tam teraz nie ma nikogo. Pogadały jeszcze z dziesięć minut, ale dziewczyna nie wychodziła. Za

to z toalety wysunął się przyjemny czarnowłosy młodzian z wąsami, bez żadnego bagażu. Przeszedł obok zdębiałych kobiet i ruszył w stronę placu.

- Chryste! - zawołała Rajka. - Chyba wszedł, kiedy ja też byłam w kabinie. Co za ludzie, byle tylko przemknąć się za frajer. Czemu ta dziewczyna nie wychodzi, utopiła się czy co?

Poleciwszy koleżance, żeby poczekała, weszła do męskiej toalety, ale zaraz wypadła z powrotem. Dziewczyny nie było.

- A co się stało z walizką? - zapytałam.

- Spytaj Rajkę, jest w toalecie.

Udałam się do toalety. Przy wejściu drzemała na krześle chuda jak wiór kobieta o mizernej twarzy.

- Wejście dwa ruble - powiedziała, ocknąwszy się - ale na placu jest bezpłatna, jeśli za drogo.

- Proszę mi powiedzieć, czy pamięta pani tę dziewczynę?

- To nie dziewczyna, ale David Copperfield, rozplynęła się w powietrzu jak dym. - Raja uśmiechnęła się, powtarzając opowiadanie koleżanki.

- A gdzie jest walizka?

- Stoi u mnie w komórce. Myślałam, że sobie przypomni, roztrzepaniec, i wróci. Torebkę też zostawiła!

- Torebkę?

Kiedy Raja weszła do kabiny, znalazła kołyszącą się na gwoździu, zupełnie pustą torebkę. Kobięcina nadal nie mogła wyjść ze zdumienia. Toaleta mieści się na parterze, z powodu upału duże okno jest cały czas otwarte. Zdarza się, że sprytni pasażerowie, by nie płacić, wchodzą przez okno, ale wtedy Raja słyszy hałas i biegnie z awanturą. Natomiast ta dziewczyna uczciwie zapłaciła dwa ruble, dlaczego więc wychodziła przez okno?

- Czy mogę zobaczyć walizkę? - Raja się zawahała.

- Nie wiem...

Wyciągnęłam pięćset rubli, na co pędem rzuciła się do komórki i wyniosła nieduży kraciasty neser w biało-czerwono-czarną kratkę. W środku nie było nic ciekawego: jasna spódniczka, kilka par majtek, dwie koszulki, puszysty ciepły sweter, džinsy, nieznane mi lekarstwo o nazwie prednizolon oraz także torebka, zupełnie pusta.

- Walizkę otworzyłam - przyznała się Raja - wsunęłam do niej torebkę, a potem pomyślałam, że może znajdzie jakieś dokumenty... Zabierze pani te rzeczy?

Pokręciłam przecząco głową.

- Gdyby Jana się pojawiła, proszę jej oddać tę wizytówkę. Podałam Rai kartonik, na którym napisałam: „Maks ma duże kłopoty, proszę zadzwonić jak najprędzej”.

- Dobrze - zgodziła się.

Następna godzina nie przyniosła niczego nowego. Ani żebrak, siedzący na placu, ani sprzedawca lodów, ani sklepikarze - nikt nie widział dziewczyny wychodzącej przez okno toalety.

- To istne kino - poinformował mnie radośnie kioskarz. - Ludzie kompletnie powariowali, dwóch rubli im żal na toaletę i wyłażą przez okna. A tam już Rajka się wydziera, ścierką macha, ci w nogi. W ciągu dnia to i ze trzy osoby tak próbują. Mnie to nie przeszkadza, zawsze weselej, co rusz zerkam w tamtą stronę, czekam na widowisko, ale dziewczyny nie widziałem. To okno jest od męskiej toalety, baby wlażą przez inne, stąd nie widać!

Przepytałam i kasjerkę, i taksówkarzy - nikt nie widział chudej dziewczyny z egzotyczną dla Fomińska rudą czupryną. Jana po prostu rozplynęła się w powietrzu, zostawiwszy rzeczy.

Do domu dotarłam koło szóstej. Przed dużym lustrem w holu kręciła się Rimma Borisowna. Pulchne niemłode ciało opinała zielona aksamitna suknia, na szyi migotał „brylantowy” naszyjnik. Taka sama spinka zdobiła upięte wysoko włosy. Obok pętał się spocony Giera, wbity w solidny staromodny garnitur z szerokimi klapami.

- No wiesz, Daszo - skarciła mnie teściowa - jak można tak się spóźniać! Już się baliśmy, że pojedziemy bez ciebie.

- Dokąd? - spytałam zdumiona.

- Przecież do teatru, zapomniałaś?

Nie tyle zapomniałam, ile miałam nadzieję, że się gdzieś wyniesiecie, a ja spokojnie wezmę kąpiel, napiję się kawy, zapalę papieroska... No cóż, twarda rzeczywistość zdusiła naiwne marzenia.

- Pospiesz się - poganiała mnie Rimma Borisowna. - Przebierz się, tylko bardzo proszę, tym razem niech to nie będą wasze ukochane dżinsy. Idziemy całą rodziną do teatru Bolszój, ma być uroczyście, ładnie, jak u ludzi...

Nie słuchając jej bredzenia, pomknęłam na górę.

Sukienka! Przekopawszy szafę, wyciągnęłam biały płócienny kostium w jasne łódeczki, przygładziłam włosy i zeszałam na dół.

W holu stali domownicy z nieszczęśliwymi minami. My się bardzo lubimy, ale rodzinne wyjscia nas wkurzają, zwłaszcza wtedy, gdy nie mamy ochoty, a już szczególnie, gdy się nas zmusza do włożenia czegoś, czego nigdy nie nosimy. Najgorzej miała Marusia. Arkady po prostu zlekceważył babskie fanaberie i został w zwykłych jasnych spodniach i w koszuli z krótkimi rękawami, Kicia włożyła leciutką jak mgiełka sukienkę z wielkim dekoltem, natomiast nieszczęsną Marusię babki wystroiły po swojemu. Wcisnęły na nią idiotyczną sukienkę z atlasu, przystrojona wstążkami i koronką! Skąd one wytrzasnęły takie cudo! Włosy splotły w dwa ciasne warkoczyki i tym razem zawiązały na nich nie dwie, ale cztery kokardy. Tym sposobem Maniunia przypominała tort o nazwie „Świąteczny” - niebywałe paskudztwo z kremowych róż i kandyzowanych owoców. Na nogach miała białe ażurowe podkolanówki i czarne lakierki na guziczek.

- Prawdziwa piękność - rozczulała się Nina Andriejewna. - Giera dzisiaj specjalnie pojechał do Świata Dziecka, bo nie znalazłyśmy w szafie niczego, w co mogłybyśmy dziecko ubrać. Same wystrzępione spódniczki, kuse bluzeczki i te beznadziejne dżinsy, żadnej porządnej rzeczy. Ty, Daszeńko, też byś mogła ubrać się trochę bardziej elegancko, a nie w jakąś zmiętą szmatkę.

Zmiętą szmatkę! Ekskluzywna garsonka od Lagerfelda, bynajmniej nie seryjna, i odpowiednio droga. Choć istotnie, wygląda bardzo skromnie. Mania ścisnęła mnie za rękę, dodając mi otuchy.

- Nie przejmuj się, mamula. Pójdziemy w antrakcie do bufetu i zaszalejemy na całego.

W łoży zasiadłam ponura jak chmura gradowa. Po pierwsze, na ucho nastąpił mi słoń i musiał to być wyjątkowo duży egzemplarz, po drugie, nie lubię opery, a już szczególnie Aidy, bo przygębła mnie ponure zakończenie, i wreszcie po trzecie, w teatrze jest gorąco i duszno. Przymknęłam oczy, oparłam się wygodnie i usiłowałam udawać, że rozkoszuję się uwerturą. Kurtyna poszła w górę i rozpoczął się spektakl. Tyle że tym razem potoczył się nie tak, jak należało. Pulchna śpiewaczka nie zdążyła rozpocząć swojej partii, gdy rozległo się przeraźliwe kocie miauczenie. Diwa zbaraniała i zamknęła usta, orkiestra też straciła głowę. Ale już sekundę później, gdy orkiestra, udając, że tak miało być, jeszcze raz zagrała pierwsze takty, a śpiewaczka zaczęła wyciągać rulady, natychmiast dołączył do niej kot. Brzmiało to zachwycająco. Kotek w sposób zdumiewający utrzymywał się w rytmie i nawet próbował wyrażać różne uczucia: ból, strach, miłość. Przy męskich ariach - milczał. Zwierzęta też mają ambicję, kot zapragnął śpiewać w duecie z samą Aidą. Sala otwarcie chichotała. Z naszej łoży, zawieszanej prawie nad sceną, widać było czerwoną jak burak łysinę dyrygenta. Marusia wepchnęła pięść do ust, żeby nie ryknąć śmiechem, Kicia przygryzła usta, Arkady zasłonił twarz ręką, a obie panie nie kryły oburzenia. Wreszcie akt pierwszy się skończył. Pragnąc osłodzić babkom tę gorzką pigułkę, Kiesza zaprosił wszystkich do bufetu. Ale ja zostałam w łoży i zaczęłam rozmawiać z obsługą. Okazało się, że i artyści, i pracownicy teatru lubią zwierzęta i dokarmiają je. Pod sceną mieszkają koty, ni mniej, ni więcej, tylko dwanaście sztuk. I wszystko było dobrze, dopóki jedna z kotek się nie okociła.

Otóż jeden z kociaków odkrył w sobie pociąg do sztuki i zaczął

śpiewać. Przy czym młody talent reaguje wyłącznie na operę, na balecie siedzi cicho jak trusia. Aida należy do jego ulubionych dzieł. W Damę pikową i w Chowańszczyznę kiciuś włącza się tylko kilka razy, natomiast Aidę odśpiewuje od początku do końca. Nie zdołano jeszcze złapać tej „domorosłej diwy”, dlatego Aidę śpiewa piąta czy szósta obsada. Wszystkie primadonny odmówiły współzawodniczenia z Murką.

W drodze powrotnej obydwie damy aż kipiały świętym oburzeniem. Na pocieszenie Kiesza obiecał, że kupi im bilety na środę.

Rozdział 14

Następnego ranka zadzwoniłam do pracy do Oksany.

- Przepraszam, że tak wcześnie...

- Coś ty - zdziwiła się przyjaciółka - ja już jednego delikwenta zoperowałam, zaraz biorę się do następnego.

Oksana jest chirurgiem i ma właściwy tej profesji charakter. Tylko ona leczyła moje dzieci i to metodami, jakich nasza medycyna w tamtych latach nie stosowała. Ściągała z dzieci ciepłe kołdry, otwierała lufciki, zabraniała kwękać i kaprysić.

- A to co znowu - karciała siedmioletniego Arkadego - co to za leżenie w łóżku i jęki? Wielkie rzeczy, ospa wietrzna.

I malowała na buzi chłopca jodyną wasy, brodę, jakieś wzorki.

Dzieciak był zachwycony, a ospa kończyła się bez żadnych komplikacji. Nigdy nie widziałam Oksany w złym humorze, przyjaciółka nie skarżyła się na ciężkie życie, choć miała po temu wszelkie powody. Sama, bez żadnej pomocy, wychowuje dwóch synów, ma też w swoim małym mieszkanku dwa teriery szkockie, terierkę Rachel, cztery chomiki, świnki morskie, grubą i cierpiącą na zadyszkę kotkę Markizę. Tę menażerię uzupełniają pajak ptasznik i żółw. Oksana często powtarza, że wyjście z beznadziejnej sytuacji jest tam, gdzie wejście, i nigdy się nie załamuje. Dzisiaj też - dopiero pół do dziesiątej, a ona już szykuje skalpel na drugą operację.

- Ksiuta, na co się bierze prednizolon?

- Żeby nie umrzeć.

- A poważnie?

- Jak najpoważniej. Przystaniesz zażywać i szybko się przekręcisz.

- To znaczy, że jeśli dostaje się prednizolon, należy zażywać go ciągle, nie przerywać? Wszędzie ze sobą nosić, zabierać w delegację?

- Naturalnie. Może się zdarzyć, że znajdziesz się w miejscu, gdzie nie ma apteki.

- Czy chory może zapomnieć o lekarstwie?

- Mocno wątpliwe. Zapewne dostał to lekarstwo po operacji nadnerczy. Tacy pacjenci wiedzą doskonale, że jeśli nie wezmą tych hormonów - koniec. Tchnie są jakieś tam witaminki.

- To drogie lekarstwo?

- A co jest teraz tanie?

Racja, pomyślałam, odkładając słuchawkę. Co aż tak wystraszyło Janę? Dlaczego ziała z toalety przez okno? Czy niebezpieczeństwo było aż tak wielkie, że zapomniała nie tylko o rzeczach, ale też o lekarstwie, absolutnie niezbędnym? Liczyła na to, że kupi gdzieś w aptece? I dlaczego najpierw zupełnie spokojnie, z wielkim apetytem spałaszowała na peronie paszteciki, a potem nagle wpadła w panikę? Jedno tylko jest jasne - miliona ze sobą nie miała. Obły ma oczywiście rację - żeby zmieścić milion dolarów, nie trzeba wcale ogromnej walizki, ale przecież w stanik nie da się ich schować.

Torebka i walizka zostały w toalecie. Kierowniczka pociągu powiedziała, że Jana jechała sama w przedziale, dopiero w Fomińsku, gdzie wysiadła, do tego przedziału weszli inni pasażerowie.

Dziewczyna już w Moskwie położyła się na leżance i przespaa całą drogę, konduktorka ledwo ją dobudziła tuż przed Fomińskiem. Czyli że nikomu po drodze nie mogła oddać baksów. To gdzie są?

Z tych myśli wyrwał mnie dzwonek telefonu. Po drugiej stronie kabła warknął na mnie wściekle Aleksander Michajłowicz:

- Natychmiast przyjeżdżaj!

- Co się stało?

- Przyjedziesz, to się dowiesz.

Nie poczuwając się do żadnej winy, udałam się do niego do pracy. W małym gabinecie między biurkiem i parapetem przycupnął Żeńka, mieszając łyżką w plastikowym kubku z zupką błyskawiczną.

- Wsuwasz obiadek? - zapytałam radośnie. - Nie za wcześnie?

- Myślę, więc jem - odpowiedział z namaszczaniem.

Żeńka jest ekspertem, anatomopatologiem, a więc kimś takim, kto grzebie w zwłokach, żeby ustalić prawdziwą przyczynę śmierci. Zawód odcisnął niezmywalne piętno na jego charakterze, co przejawia się tym, że Żeńka nigdy niczemu nie dowierza. Gdy się go spyta, jaki jest miesiąc, najpierw spojrzy w okno, potem na kalendarz, przekartkuje gazetę, wreszcie po długim namyśle powie z wahaniem: „Zdaje się, że czerwiec, choć nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, mam za mało danych”. Z Aleksandrem Michajłowiczem pracuje od początku i rozumie się z nim w pół słowa. Nie od razu się zaprzyjaźniliśmy, ale teraz bardzo się lubimy. Niedawno Marusia wcisnęła mu dwa teriery jorkszyrskie, Lizzie i Charlotte. Żeńka, który nigdy nie miał żadnych zwierząt, przeobraził się w zapamiętałego miłośnika psów. Dla ukochanych czworonogów kupuje świeżą wołowinę i serek z bazaru. Aleksander Michajłowicz spojrział na mnie groźnie i zapytał:

- Numer rejestracyjny twojego samochodu to 624 KE?

- Tak.

- Granatowe volvo, a na lusterku kołysze się idiotyczny osioł.

- Dlaczego idiotyczny? - obraziłam się. - Mania dała mi w prezencie osiołka Kłapouchego.

- Ja na twoim miejscu bym się obraził. - Pułkownik zapalił papierosa. - Przecież to wyraźna aluzja do stanu twego umysłu.

- Mogę wiedzieć, co się stało?

- Nie, to ty mi wyjaśnij, jakim sposobem dowiedziałas się o dwóch trupach w mieszkaniu Sokołowej?

Masz ci los! Jak on to wywachał?

- Banalne, drogi Watsonie. - Aleksander Michajłowicz uśmiechnął się, widząc moją strapioną minę. - 'Dozorczyni i stróż wyszli za tobą na ulicę i widzieli, jak odjeżdżałaś. Na wszelki wypadek zapamiętali numer, a dalej to już rutyna. Teraz, aniołku, mów całą prawdę, szybko i bez krętactw. I walnął pięścią w stół.

Wiem, wiem, światło w twarz, mówić tylko prawdę, przyznanie się do winy złagodzi karę... Tyle że dobrze wiedziałam - jeśli tylko pisnę słowo, natychmiast zabroni mi zajmować się śledztwem. Ale kłamać też nie mogłam, bo z pewnością przyprą mnie do muru. Najlepszy sposób to przeplatać kłamstwa z prawdą.

- Widzisz, Maksym niedawno wdał się w romans z Janą Sokołową.

Dziewczyna najwyraźniej zapadła mu w serce, bo poprosił mnie na widzeniu, żebym przyniosła jej zdjęcie. Dlatego tam pojechałam i niestety znalazłam martwą i ją, i Radę Iljiniczną.

- To nie ona - mruknął Aleksander Michajłowicz - tylko sąsiadka Tatiana Gawrilina. A właściwie, skąd znasz imię ciotki?

- Od Maksa; i jeszcze mi powiedział, że ona prawie nie wychodzi z domu, dlatego pojechałam w ciemno.

- A dlaczego uciekłaś z miejsca zdarzenia? - zapytał, ale z jego tonu wywnioskowałam, że uwierzył w moją bajeczkę.

- Przeraziłam się, byłam w szoku.

Aleksander Michajłowicz zaczął mi udzielać reprymendy, gdy do pokoju wpadł jakiś pracownik z wykrzywioną twarzą i pułkownik pospiesznie podpisał przepustkę.

Podjechałam do McDonalda, wgrzyłam się w bigmaca i pomyślałam: a jeśli pieniądze były u Siemiona? Maksym najwyraźniej mu ufał, skoro opowiedział o milionie. Może razem robili interesy? Pojadę do „Skandali Tygodnia” i spróbuję się dowiedzieć, komu tak zalaż za skórę szanowny pan Worobjow.

Redakcja ulokowała się przytulnie na parterze staromodnej kamienicy. Krażyłam chwilę po wąskich, krętych korytarzach, aż stanęłam pod

drzwiami z tabliczką „Redaktor naczelny”.

- Proszę! - usłyszałam miły męski głos.

Pchnęłam drzwi i oniemiałam. Wszystkie ściany niewielkiego pokoju od sufitu po podłogę oklejone były fotografiami, ale jakimi! Znany polityk o nobliwym wyglądzie pokazuje komuś figę, piosenkarka, bożyszcze młodzieży, goła na motocyklu; duchowny kopiący bezdomnego psa.

- Robi wrażenie? - Mężczyzna się uśmiechnął.

- Ba! - mruknęłam, przyglądając mu się uważnie.

Na tle skandalizujących zdjęć wyglądał cudacznie. Włosy w miłym dla oka jasnozielonym kolorze, w uchu trzy kolczyki, na okazałym prawym bicepsie tatuaż.

- No - powiedział zachęcająco - co panią sprowadza?

- Pracowałam jako sekretarka u pewnego dygnitarza, ale mnie niesprawiedliwie wywalono.

- Kochana moja - przerwał zachwycony - nie musi pani kończyć, wiem, co dalej, chce się pani zemścić. Co pani ma - listy, notatki, taśmy wideo?

- Dwie walizki kompromitujących materiałów - palnęłam, sama nie wiedząc, skąd mi to przyszło do głowy.

- Ekstra - uradował się. - Bierzemy.

- Tylko że ja umówiłam się z kimś innym, z Siemionem Worobjowem, bo po prawdzie to obiecał mi tysiąc dolarów.

- Ptaszyno - zaszczebiotał redaktor - po co nam Sienia? I bez niego ubijemy interesik, pieniądze też się znajdą, jeśli będzie za co. Bez krępacji, koteczku, proszę pokazać te śmieci.

- Nie, chcę się zobaczyć z Siemionem - zaparłam się. - Dam to tylko jemu do rąk własnych.

- No, dziecino, nie wydziwiaj. - Zielonowłosy westchnął. Ruszyłam do drzwi.

- Chwileczkę, proszę poczekać! - zawołał nerwowo. - Nie chciałem pani wystraszyć. Sienia umarł.

Udałam przerażenie.

- Zawał?

- Och nie, żona go zastrzeliła.

- Potworne! Za co?!

Redaktor włączył ekspres do kawy.

- Diabli wiedzą.

- Może to wcale nie była żona, tylko wynajęty kiler?

- Skądże - prychnął „skandalista” - byli gliniarze, powiedzieli, że żona. Znam Adelajdę, byłem u nich w domu kilka razy. Taka spokojna kobieta, co ją tak rozwścieczyło? Choć jeśli się pomyśli, co Sieńka wyprawiał..

- Pił?

- Nie, latał za babami. Żadnej nie przepuścił. Nawet ja czasami potrafię przystopować, a Siemion nigdy! No to kobita miała dość, choć muszę przyznać, że ostatnio ciut przycichł, wyglądało, jakby się zakochał, ale nie wiem w kim. Często tu dzwoniła - głos dziecinny, cieniutki...

- Może to nie z powodu bab.

- A dlaczego?

- Publikujecie tu przecież mnóstwo skandali, może któryś z bohaterów wpadł w szal. Niezbyt miło przeczytać o sobie całą prawdę!

Redaktor się uśmiechnął.

- I tu się pani myli. Każdy myśli, że gwiazdy filmowe albo politycy strasznie się przejmują, gdy ktoś ich pstryknie z gołą pupą. Tak naprawdę to się cieszą. A jakże! Znowu są w centrum zainteresowania. Czy da pani wiarę, że niektórzy sami na siebie przynoszą kompromitujące materiały, proszą, żeby je opublikować, i obrażają się, gdy odmawiamy? W tym roku pamiętam tylko trzy osoby, które naprawdę się wściekły. To był generał Kałoszyn, aktor Andriej Jelizarow i projektant mody Epifan Blistatielny. No, niech pani pokaże swój pasztet.

- Muszę się zastanowić - zaczęłam się wycofywać - bo a nuż niechący

sprawie przyjemność swojemu szefowi.

- Jasne - zgodził się łaskawie. - Niech się pani zastanowi, tylko proszę nie iść do „Plotkarza”. To krętacze. Poza tym, my więcej płacimy i nakład mamy większy.

- Czy mogłabym obejrzeć rocznik „Skandali”?

- Czemu nie, proszę iść do pokoju numer dwanaście i powiedzieć, że Siergiej pozwolił.

Rozłożywszy na biurku gruby plik, dość szybko znalazłam interesujące mnie numery. W kwietniu opublikowano materiał Odznaczenia bojowe. Fotoreporter sfotografował dziarskiego staruszka w mundurze przy małym stoliku. Na blacie piętrzyły się pudełeczka. „Generał Kałoszyn handluje swoimi odznaczeniami” - brzmiał nagłówek. W krótkim artykule, podpisanym „Stary Wróbel”, mowa była o rozpaczliwym położeniu emeryta, który żywił się wyłącznie chlebem i kefirem. Wreszcie zmuszony był zacząć wyprzedawać swoje medale.

Notka o aktorze teatru Rampa Andrieju Jelizarowie ukazała się w kwietniu. Zdjęcie - dwaj półnaczy mężczyźni w namiętym uścisku na brokatowej kanapie. „Sekretne uciechy bożyszczą kobiet” - grzmiał tytuł. „Miliony kobiet na próżno wzdychają skrycie na widok aktora przecudnej urody - wyzłościł się ten sam Stary Wróbel - czar uwodzicielek nie podzielała na jego wyobraźnię. Męski idol przywykł szukać uciech w ramionach przyjaciela, którego imienia, niestety, jeszcze nie znamy!”.

Pod koniec maja pojawił się donos na Epifana Blistatielnego. Oczywiście, ze zdjęciami. Na jednym widnieje uśmiechnięta modelka w oryginalnej sukience, bynajmniej nie do chodzenia na co dzień. Staniczek i spódnica zrobione z cieniutkich paseczków do zegarka, metal i skóra. Pod zdjęciem podpis: „Model Paco Rabanne, styczeń 1999 r.”. Drugie zdjęcie bardzo podobne do pierwszego, ta sama idiotyczna sukienka, taka sama fryzura modelki, tylko twarz inna, rosyjska. I podpis: „Projekt Epifana Blistatielnego, kwiecień 1999”. I kilka zjadliwych zdań: „Stary Wróbel, przelatując nad wybiegami Paryża i Moskwy, pstryknął parę zdjęć. Zapytacie, czym się różnią te sukienki? Nie mam pojęcia, ale jedną pokazał w zimie słynny Paco Rabanne, a drugą zaprezentował początkujący Epifan Blistatielny. Zdziwiałające, że ów oryginalny pomysł wpadł równocześnie do dwóch tak różnych głów. Dotychczas Epifan nie wyróżniał się pomysłowością. Wybił się na oryginalność tylko raz, zmienił swoje imię i nazwisko Fiodor Sykunow na pseudonim Epifan Blistatielny”.

- Kto to jest Stary Wróbel? - spytałam kobietę piszącą na komputerze.

- Siemion Worobjow, nasz były naczelny, bardzo lubił pisać, bawił się tym jak dziecko.

Wyszłam na ulicę i wsiałam do samochodu. Zacznę od generała, on poczuł się chyba najbardziej urażony.

Nikt nawet nie podejrzewa, jak łatwo jest zdobyć czyjś telefon, wystarczy tylko uruchomić szare komórki. Podjechawszy pod gmach Sztabu Generalnego, zaparkowałam, weszłam do biura przepustek i wparowałam do kabiny z telefonem wewnętrznym. Na ścianie, a jakże, był spis numerów. Znalazłszy numer kadr, podniosłam słuchawkę.

- Halo, dzwonię z drugiego oddziału. Sporządzamy tu listy pomocy materialnej przyznanej weteranom z okazji 22 Czerwca, ale zgubiliśmy dane generała Kałoszyna. Dziewczęta, odszukajcie szybko adres, bo szef da nam popalić. Tanieczko, to ty?

- Tania jest na obiedzie - odpowiedziała moja rozmówczyni -tu Lena, a u was zawsze wszystko na łeb na szyję.

- Lenusik - zakwiliłam - przecież wiesz, co za bydlę nami rządzi.

- Wierka, to ty? -Ja.

- Dobra - zlitowała się - poczekaj!

Zaszeleściły papiery, rozległo się pokasływanie. Czekałam, patrzyłam w zadumie na tabliczkę wiszącą nad aparatem: „Nie mów za dużo. Wróg podsłuchuje”. Wreszcie usłyszałam:

- Wierka, pisz, prospekt Kisielowa 18.

Dostałam też numer telefonu. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku

kupiłam sobie porcję lodów i zaczęłam odgryzać lodowate kęsy. No proszę, jakie to łatwe! Skoro to Sztab Główny, to musi być w nim drugi oddział, a w dziale kadr na pewno znajdzie się jakaś Tania. Poza tym, Lena od razu mi uwierzyła, bo dzwoniłam z telefonu wewnętrznego. Niby skąd mogło jej przyjść do głowy, że dzwonię z biura przepustek.

Rozdział 15

Prospekt Kisielowa jest prawie w centrum miasta. Generał, gdy wcześniej do niego zadzwoniłam, polecił mi przyjść w porze obiadowej. No i akurat zdażyłam. Dom o numerze 18 przytłaczał swoim ogromem. Dół długiego przysadzistego budynku obłożony był granitowanymi płytami. Gdzieś tam wisiały granitowe tablice pamiątkowe. W różnych latach mieszkał tu kwiat naszej armii, generalicja. Staroświecka skrzypiąca winda powoli wwozła mnie na drugie piętro. Generał natychmiast otworzył drzwi i dudniącym basem zapytał:

- Jest pani dziennikarka?

- Tak - mruknęłam, przeciskając się między dość okazałym brzuszkiem generała a futryną.

- Kąpcie na nogi i marsz do gabinetu - zakomenderował. Potulnie wypełniłam rozkaz. W pokoju usadził mnie w przetartym skórzanym fotelu i burknął nieprzyjaźnie:

- Nie lubię takich jak wy.

- Zbulwersowała nas publikacja w „Skandalach Tygodnia” - zaczęłam. Stary wojak spurpurowiał.

- To dranie, niegodziwcy, na pojedynek by ich wyzwąć, szubrawców. I walnął pięścią w biurko. Mały kryształowy wazonik z żalonym brzękiem spadł na podłogę. Generał westchnął ciężko i bojaźliwie popatrzył na drzwi. Odwet nastąpił błyskawicznie.

- Rodia - rozległ się rozeźlony damski głos i do pokoju wkroczyła pulchna kobieta o królewskiej postawie. Miała na sobie czerwony szlafrok wyszywany w złote smoki. Ten domowy strój wyglądał na niej jak droga suknia wieczorowa.

- Na co pan sobie pozwala, Rodionie Michajłowiczu? - zapytała.

- Przepraszam, kochanie - wymamrotał biedak, kuląc się w sobie.

Nie było wątpliwości, kto tu jest marszałkiem.

- Z jakiej jest pani gazety? - zainteresowała się małżonka.

- Z „Pogranicznika”. Generałowa się rozpromieniła.

- Wspaniale, chodźmy teraz na obiad, pogadamy przy stole.

Zaprowadzili mnie do ogromnej jadalni. Na wielkim stole dymiła waza rozmiarów sporego wiadra. Pani domu napełniła po brzegi głęboki talerz, bardziej przypominający miskę, i podała mi.

- Dziękuję, ale to strasznie dużo!

- Natalia Michajłowna - przedstawiła się. - A pani, zdaje się, Dasza? Proszę jeść, bo chuda pani, oka nie ma na czym zawiesić. Kałoszynowie zaczęli zapamiętane wiosłować łyżkami, do swojego talerza każde dołało suto śmietany. Ja bezskutecznie usiłowałam opróżnić bezdenne naczynie. Zup w ogóle nie jadam, a tu tymczasem podano mi michę jak basen pływacki! Ratunek przyszedł z nieoczekiwanej strony. Natalia Michajłowna, przeprosiwszy, wyszła do kuchni, a generał, stuknąwszy się w czoło, powiedział: „Aha, wódeczka!”, i podreptał chyżo do gabinetu. Patrzyłam otępiała na barszcz. I nagle rozległo się stukanie pazurków, do jadalni wpadł młody pitbull z roziskrzonym wzrokiem i uśmiechniętym pyskiem. Złapałam michę i postawiwszy ją szybko na podłodze, powiedziałam:

- Wybacz, nie wiem, jak się wabisz, ale bądź kumplem, zjedz to szybko!

Nie dał się prosić i błyskawicznie wychleptał zupę. Wytarłam serwetką pysk wybawiciela.

- Zjadła pani? - ucieszyła się Natalia Michajłowna, niosąc ogromny półmich z pieczonymi kurczakami.

Pies usadowił się obok mnie.

- Bili, nie przeszkadzaj - skarcił go Rodion Michajłowicz.

- Ależ niech siedzi. - Złękłam się, że go przegonią. Generałowa

nałożyła mi na talerz niemal całego kurczaka i furę kartofli. No i proszę, „Skandale Tygodnia” łączyły jak najęte, nie odżywiano się tu bynajmniej chlebem i kefirem.

Generał zaczął wylewać swoje żale, a ja uważnie słuchałam, pchając ukradkiem w wielki pysk Billa kęsy apetycznie pachnącego kurczaka.

- Rozprawiliem się z draniem po żołniersku - oświadczył - bez tych tam inteligenckich sztuczek.

- Zabił pan! - jęknęłam. - Więc to pan zabił Sienie?

- Jakiego Sienie? - zdumiał się. - Kogo zabiłem? Przyłożyłem Dimce aż miło, niby młodszy, ale gdzie mu do mnie.

- Jaki Dima? - Teraz ja się zdziwiłam.

Okazało się, że nie tak dawno temu generał wyrzucił z pracy kierowcę, młodego chłopaka, wielkiego moczymordę. Wcześniej kilka razy mu wybaczał, bo ten udawał szczerą skruchę, ale wreszcie cierpliwość generała się wyczerpała i Dima znalazł się na bruku. Chłopak stracił nie tylko dobrą posadę z bardzo przyzwoitą pensją, ale i odroczenie z wojska. Przepelniony żądzą zemsty, wziął zdjęcie generała, które przedstawiało scenę wręczenia medali wyróżniającym się oficerom, i zaniósł je do „Skandali Tygodnia”. Zrobił się wielki szum.

Do Rodiona Michajłowicza natychmiast zaczęli dzwonić przyjaciele, koledzy, sąsiedzi. Wszyscy chcieli biedakowi pomóc. A z instytutu, w którym pracował na pół etatu, przysłano mu jako pomoc humanitarną dwadzieścia paczek spaghetti.

Ten makaron ostatecznie pognębił mężnego wojaka. Kipiąc wściekłością, generał zjawił się w „Skandalach”, gdzie natychmiast przyjął go Stary Wróbel.

Siemion czym prędzej pokajał się przed generałem i pokazał mu artykuł własnoręcznie napisany przez wrednego kierowcę. Rodion Michajłowicz zaczął krzyczeć, że w przyzwoitych

redakcjach sprawdza się fakty, ale wtedy pojawiły się dwie urocze dziewczyny w mini i wręczyły mu aparat fotograficzny. Rumieniąc się rozkosznie, poprosiły, aby się nie gniewał, któż bowiem jest bez winy. Podarowano mu jeszcze Antologię anegdoty i bezpłatną bezterminową prenumeratę na „Skandale Tygodnia”. A Siemion obiecał, że zamieści sprostowanie. Rozanielony i obsypany podarunkami Kałoszyn wrócił do domu. Antologię czytał głośno z żoną i obydwójce pokładali się ze śmiechu. „Skandale Tygodnia” zaczęły przychodzić regularnie i małżonkowie znaleźli nawet przyjemność w przeglądaniu przeróżnych plotek.

- Łżą jak najęci, to prawda, czasem można pęknać ze śmiechu. Ale wolę to niż oglądać wiadomości, od których włos się jeży. A „Skandaliki” przynajmniej bawia, żadnych negatywnych uczuć.

Z byłym kierowcą pogadał sobie po męsku. Pojechał do niego do domu i nakładł mu po pysku.

Wyszłam z gościnnego domu z paczuszką owiniętą w zatłuszczony papier. Generałowa wcisnęła głodnej „dziennikarce” naleśniki na drogę.

Wsiadłszy do samochodu i zapaliwszy papierosa, z czystym sumieniem wykreśliłam generała Kałoszyzna z listy podejrzanych. Podstępne fortele nie są w jego stylu, raczej wiałby pas i złał kogo trzeba. Zadzwoniła komórka.

- Musieczko - wrzeszczała Mania - babki się wściekają, że nie zdążą do teatru.

Ruszyłam spiesznie do Łożkina. Z garażu słychać było wesołe krzyki. Zajrzałam do środka.

Przy dużym stole podskakiwały radośnie Marusia i Sania Hejfec, z boku stał Bekas.

- Musiu - zapiszczała Mania - zobacz, co Kola zrobił z rowerem Sanki!

Sania Hejfec to najlepsza koleżanka córki. Są rówieśniczkami.

Sanieczka, tak chudziutka, że tylko patrzeć, jak się przełamie na pół, choć wygląda jak anioleczek, jest małą zarazą z ciętym językiem. Rodzice nie pozwalają jej jeździć motorem, więc Sańka ma do dyspozycji tylko rower. I oto do tego roweru zmyślny Bekas zamontował silnik.

- Super - krzyczały dziewczynki - po prostu bomba! Dumny Bekas w milczeniu słuchał pochwał.

- Teraz pojedę szybciej niż Mańka - zachłystywała się szczęśliwa Sonia.

- A co mama na to? - spróbowałam ściągnąć ją na ziemię.

- Spoko - prychnęła Saszka. - Pozwolili mi jeździć na rowerze? Pozwolili. To o co chodzi?

Tym razem trafiliśmy na operę Eugeniusz Oniegin, siedzieliśmy jak poprzednio w łoży nad parterem, prawie w tym samym składzie. Nie było tylko Kici. Sześciomiesięczne bliźniaki miały gile do pasa i Olga postanowiła zostać w domu, żeby pomóc niani.

- Ta to ma szczęście - szepnęła z zazdrością Masza i zaproponowała przewrotnie słodkim głósikiem: - Kiciuniu, pewnie chciałabyś iść do opery z Kieszka! Idź, ja zostanę z dziećmiakami.

- Nie, nie! - Kicia wyraźnie się przestraszyła, bo nienawidziła opery. - Nie ma mowy o takim poświęceniu! Idź, Maniunia, rozerwij się trochę.

Nieśmiertelne arcydzieło Czajkowskiego płynnie zmierzało do końca. Niemal zasnąłam, skulona w czerwonym aksamitnym fotelu. Oto scena balu. Ale brzuchaty generał Gremin nie zdążył odpowiedzieć Eugeniuszowi Onieginowi swoją słynną arią, „Widać, żeś dawno nie był w świecie”, gdy rozległ się okropny trzask, na scenie zakłębił się dym i na oczach osłupiałej publiczności Gremin zapadł się pod podłogę.

- Cóż za oryginalna reżyseria! - zachwyciła się Rimma Borisowna.

- Znowu wybijał takt nogą - wrzasnęła ze złością bileterka. Artyści z samozaparciem usiłowali dośpiewać operę do końca, a ja przysiadłam się do bileterki i zapytałam:

- Dlaczego on tam wpadł?

- Bo jest idiota! - rozzłościła się kobieta, najwyraźniej bardzo przejęta niepowodzeniem.

Okazało się, że śpiewak wykonujący arię Gremina ma zwyczaj wybijać nogą takt. Rzecz sama w sobie niewinna, tyle że pod sceną siedzi specjalny robotnik. Dla niego stukanie z góry to umówiony sygnał - co prawda, z innego spektaklu, z Fausta. A oznacza: „Mefistofeles znika przez luk, na scenie dym”. Usłyszawszy stukanie, odruchowo usunął śpiewaka ze sceny i puścił dym. Ponieważ wydarzyło się to już nie po raz pierwszy, poproszono Gremina, by nie stukał nogą. Ale on zapomina, a maszynista działa jak automat - słyszy umówione stukanie i otwiera luk. Dalej opera toczy się bez Gremina.

Następnego dnia postanowiłam odwiedzić aktora Andrieja Jelizarowa. Zadzwoniłam do teatru „Rampa” i powiedziałam, że chcę być sponsorem spektaklu, w którym główną rolę gra ten wyjątkowy przystojniak. Zachłystując się z radości, dyrektor administracyjny dał mi nie tylko telefon, ale i adres. Aktorzy to nocne marki, pojedę do niego od razu, pewnie znajdę amanta w łódeczku.

- A kogo tam niesie? - zapytał z niezadowoleniem aksamitny baryton.

- Sponsor pańskiego nowego spektaklu - odpowiedziałam kokieteryjnie. Drzwi natychmiast się otworzyły.

- Przepraszam - wybąkał wysoki blondyn - nie sądziłem, że tak szybko pani przyjedzie.

- A na co czekać? - powiedziałam i ruszyłam za gospodarzem do salonu, umeblowanego z pretensją do oryginalności.

Styl „wiejska izba” - wszędzie drewniane rzeźbione ławy i krzesła, malowany stół, wielki telewizor i zero książek.

Andriej usadowił się na bardzo niewygodnej kanapie i spojrzał na mnie pytająco. Bezlitosne światło padało wprost na twarz aktora. No cóż, nie dało się ukryć, że bynajmniej nie ma dwudziestu pięciu lat, ale jest dobrze po trzydziestce. Skóra na twarzy i szyi utraciła świeżość, wokół oczu rozsypały się „kurze łapki”. Usta też już zatracaly mocne, męskie kontury. Jeszcze roczek, dwa i trzeba się będzie przekwalifikować z amanta na nobliwego ojca. Ale pewnie zrobi sobie kilka liftingów i znów będzie udawał chłoptasia. Andrieusza

potrząsnął złocistą fryzurą i dostrzegłam zdradziecki ciemny odrost przy przedziałku. Ładne rzeczy, na dodatek farbuje włosy. Jakies pięć minut wyjaśniałam, że jestem przedstawicielką tajemniczego mecenasa, wielkiego teatromana, gotowego wyłożyć pieniądze na przedstawienie, najchętniej coś z klasyki. Jelizarow był podekscytowany. Zaczął biegać po pokoju, chwilami przystając i z nawyku przyjmując malownicze pozy. Postanowiłam z lekka otrzeźwić rozmarzonego aktora.

- Jest tylko jeden szkopał...

- Jaki? - Zahamował przy oknie, efektownie odrzucając z czoła farbowaną grzywkę.

- Mój szef to człowiek bardzo surowych zasad, można wręcz powiedzieć, bigot...

- Tak? - Najwyraźniej nie rozumiał.

- Bardzo lubi wasz teatr, ale nigdy nie da pieniędzy dla osoby o nietradycyjnej orientacji.

- Nie rozumiem - wycedził amant. Westchnęłam i palnęłam wprost:

- Jest pan gejem?

Jelizarow szarpnął się wściekły i wrzasnął:

- Przecież ja przeleciałem co drugą babkę w Rosji!

- Możliwe - powiedziała z powątpiewaniem - ale mój mocodawca przeczytał „Skandale Tygodnia” i ogarnęły go wątpliwości.

- To plugawe ropuchy - wycedził ze złością i wzniosłszy ręce ku niebu, zadeklamował: - Oszczerstwo to straszna rzecz, potrafi zabić niczym kula z pistoletu.

Ciekawe, z jakiej to sztuki?

- Nie wierzy mi pani - wyrzucił niemal z rozpaczą. - Zaraz wszystko wytłumaczę.

Okazało się, że któryś z „przyjaciół” wysłał do „Skandali” zdjęcie zrobione na próbie nowego przedstawienia. Mowa w nim istotnie o homoseksualistach, a Andriej gra w nim główną rolę. Scena, w której na kanapie tuli do siebie partnera, to zakończenie pierwszego aktu. Aktorzy są prawie nadzy i jeśli się nie wie, gdzie zrobiono zdjęcie, trudno nie pomyśleć, że oto właśnie uwieczniono schadzki kochanków.

- Wiem, kto mi zrobił takie świństwo - Weronika Miedwiediewa!

Podstępna suka!

Poczułam, że z emocji zaczynają palić mnie uszy, ale najspokojniej jak mogłam powiedziałam:

- Tak nie można! Czy to ładnie obwiniać bez dowodów taką ładną kobietę, widziałam ją w telewizji - śliczna jak obrazek, po prostu anioł!

- Szkoda, że nie słyszała pani, jak klnie, najgorszy żul przy niej to mały pikuś - wycedził przez zęby. - Niech pani posłucha.

Do nowego spektaklu potrzebna była wykonawczyni głównej roli. Reżyser przyprowadził Weronikę. Owszem, jest ładna, ale aktorka z niej żadna. Andriej odbył kilka prób i zdecydowanie oświadczył, że nie będzie grał z taką partnerką. Reżyser, wiedząc doskonale, że publiczność przyjdzie do teatru na Jelizarowa, wycofał Weronikę. Aktorka od siedmiu boleści nie zamierzała tak łatwo ustąpić. I pewnego wieczoru zjawiła się u Andriusza, żeby porozmawiać „od serca”. Poprosiła, aby dał jej szansę, ale Jelizarow nie zamierzał przyczynić się do klapy i był nieugięty. Wtedy Nika rzuciła na szalę ostatni atut. Andriej nie zdążył mrugnąć, gdy króciutka obcisła sukienka sfrunęła z jej ramion i dziewczyna stanęła przed nim zupełnie naga. Doskonalszego ciała Andriusza w życiu nie widział, zupełnie jak rzeźba Rodina. Nie zdołał się oprzeć pokusie, no i wieczór, ku obopólnemu zadowoleniu, skończył się w sypialni.

Rano Weronika szczebiotała o tym, że na nowo przemyślała swoją rolę w nowym spektaklu, ale Andriej ją zgasił. Powiedział, że do roli zaangażowano już inną aktorkę, a łóżko to nie powód do zażyłej znajomości!

Rozłoszczona dziewczyna rzuciła w niego najpierw dzbankiem do kawy, a następnie patelnią z omletem. Uchyliwszy się zręcznie przed jednym i drugim, wystawił piekielnicę na schody. Weronika zaczęła kopać w

drzwi i kłać jak woźnica.

Dlatego gdy w „Skandalach Tygodnia” zamieszczono to zdjęcie, od razu zrozumiał, czyja to sprawa. Przepęnlony świętym oburzeniem, pojechał do redakcji.

- Moi fani to głównie kobiety - wyjaśnił - jeśli się dowiedzą, że ich idol jest homo, z miejsca przestaną przychodzić na moje przedstawienia.

Rozjuszzonego aktora uspokajał Siemion Worobjow. Poutyskiwał na nieuczciwość niektórych osób i poczęstował Andrieja koniakiem. I wtedy wpadło kilka babek w różnym wieku. Przewracały oczami z zachwytem, poprosiły o autograf i zdjęcie na pamiątkę. Zadufek roztopił się jak masło. On też dostał Antologię anegdoty i roczną prenumeratę. Wyszedł z redakcji prawie zadowolony.

Ale historia ma ciąg dalszy. W tydzień później aktor wszedł do Domu Dziennikarza i w restauracji spostrzegł przy stoliku rozkosznie uśmiechających się do siebie Siemiona i... Weronikę. W pierwszym odruchu zaprzagnął nakłaść im po pyskach, ale wziął się w garść i szybko wyszedł z sali.

- Ale ze mnie idiota, prawda? Poszedłem na skargę do redaktora, a tu się okazało, że to kochanek tej suki! Może nawet wspólnie wszystko wymyślili.

- Dlaczego zaraz kochanek? - przerwałam. - Może są tylko przyjacielami.

- Akurat! - parsknął. - Czy z taką nimfomanką można się przyjaźnić? A zresztą, oni tak się migdalili, tak na siebie patrzyli...

Czym prędzej zakończyłam rozmowę, wyskoczyłam na duszną ulicę i kupiwszy w sklepiku puszkę paskudnego ciepłego sprite'a, zaczęłam przetrawiać informacje.

Weronika i Siemion! Może naprawdę był to jedynie przyjacielski obiad? Chociaż, dobrze znam takich jak oni. Bardziej prawdopodobne, że jednak mieli romans. Oboje niewybredni, chciwi i zawistni - dobrana para. Weronika! A co ja właściwie o niej wiem? Czy ma krewnych? Kto ją pochował? A może zabito ją z powodu tego przeklętego miliona? Zadzwoniłam do Niny Andriejewny i otrzymawszy jej zgodę, pojechałam do mieszkania Polańskich.

Rozdział 16

Wystarczyło, że raz przekręciłam klucz w zamku, a drzwi się otworzyły. Dziwne, czyżbym nie zamknęła ich poprzednio jak należy? W mieszkaniu panowała cisza i czuć było mocny zapach francuskich perfum. No proszę, jakie trwałe! Tyle czasu nikt tu nie mieszka, a zapach pozostał.

Przeszłam do gabinetu i z namysłem popatrzyłam na półki. Może zacząć od fotografii? Znalazłam jedynie dwa albumy. W jednym były zdjęcia Polańskich z urlopu, w drugim kilka ślubnych. No cóż, nie da się ukryć, Weronika była skończoną pięknoscią, już choćby same włosy - gęsta szopa jasnych, wijących się pukli. Co jej odbiło, żeby je obciąć i pomalować? Wsunęłam jedno zdjęcie do torebki i zaczęłam przeglądać różne dokumenty, ale zainteresowało mnie jedynie świadectwo ślubu.

Pójdę do sypialni, może tam coś znajdę.

Nagle w korytarzu rozległo się lekkie klaśnięcie.

- Kto tam? - zawołałam, podskakując ze strachu. Usłyszałam stuk drzwi. Wskoczyłam do holu, potem na klatkę schodową. Winda ze zgrzytem zjeżdżała w dół. Pognałam na łeb na szyję po schodach, ale się spóźniłam. Na parterze stała pusta kabina, na ulicy nie było nikogo. Tylko na ławce spał otumaniony od upału kot.

Pełna złych myśli wróciłam do mieszkania. W holu na podłodze leżał obraz w drewnianej ramie, przedstawiający Trafalgar Square. Wiele lat temu przywiózł go z Londynu ojciec Maksa. Wisiał fatalnie, tuż przy drzwiach wejściowych. Otwierając i zamykając drzwi, często zrzucałam go na podłogę. Ale Nina Andriejewna nie zamierzała przewiesić „malowidła”.

- Ojciec sam je tu powiesił - argumentowała. Podniosłam obraz. Ciekawe, kto też uciekł z mieszkania? Może nie domknęłam drzwi i jakiś złodziejasek zakradł się do holu, zrzucił obrazek i wtedy usłyszał mój głos...

Przeszłam do sypialni i otworzyłam gigantyczną szafę. Na ramiączkach wisiały równiutko niezliczone sukienki, bluzki i spodnie. W torbach antymolowych znalazłam trzy futra, w komodzie mnóstwo bielizny, na toaletce - góry kosmetyków i różnorodne flakony francuskich perfum. Nie przestawałam szperać w cudzych rzeczach. Zadziwiający był brak jakiegokolwiek biżuterii. U takiej elegantki jak Weronika powinno być jej zatrzesienie. A nigdzie nie znalazłam choćby najskromniejszego pierścionka. I absolutnie żadnych papierów: ani listów, ani rachunków, ani pamiętników. Wysprzątany pokój przypominał numer w hotelu, który goście opuścili w pośpiechu, zapominając o ubraniach w szafie.

Obeszłam jeszcze dla porządku inne pokoje, a potem postanowiłam porozmawiać z Epifanem Blistatielnym.

Dom mody, w którym projektant tworzył swoje nieśmiertelne dzieła, znajdował się w pomieszczeniach dawnego przedszkola. Na parterze był sklep z ekskluzywnymi projektami autorskimi. Weszłam do środka i zaczęłam przeglądać wieszaki. Urocze szmatki! Zwłaszcza zielona sukienka z czerwonymi duszkami i czarnymi guzikami. Poleciałabym ją paniom, które mają mężów obżartuchów. Wystarczy włożyć to cudo w domu, a mężusiowi z przerażenia odejmie apetyt. Ale zerknąwszy na cenę, pomyślałam, że nieszczęśnik straci również sen. Obrzydlistwo kosztowało równiutko dwa tysiące zielonych. Oglądałam w zadumie kostiumy, gdy podeszła do mnie chuda, wysoka dziewczyna o dziwnie nerwowej twarzy. Biedula miała tik nerwowy. Lewy policzek nagle zaczynał drżeć, zniekształcając harmonijne rysy.

- Czy coś pani wybrała? - zapytała z profesjonalną uprzejmością. Westchnęłam.

- Czy istotnie są to rzeczy ekskluzywne?

- Krótkie serie - wyjaśniła - najwyżej pięć, sześć egzemplarzy.

- Ba... - mruknęłam nadasana - to mnie nie urządza, kupię, a potem natknę się na kogoś w tym samym ciuchu. Cóż to, nie macie tu projektów autorskich?

- Ma pani na myśli pojedyncze sztuki? Są na pierwszym piętrze, ale te kosztują dużo drożej.

Machnęłam władczo ręką.

- Proszę mnie zaprowadzić!

W dużej sali z lustrzanymi oknami paliło się miękkie, żółtawe światło. Chytrze pomyslane - przy takim oświetleniu nawet Matuzalem wyglądałby na młodego chłopca. Wkoło stały paskudne czarne manekiny z niebieskimi włosami. Sukienki, garsonki i coś, co przypominało worki na cukier... Właśnie do jednego z takich worków podprowadziła mnie ekspedientka.

- Proszę, to absolutnie ekskluzywny egzemplarz, projekt autorski. Spojrzałam na metkę. „Projektant Galina Bieriestowa, suknia wieczorowa «Oczarowanie». Cena 120 tysięcy”. Wykrzywiłam się lekceważąco.

- A któż to ta Bieriestowa? Chcę model Epifana Blistatielnego! Dziewczyna westchnęła.

- Modele wykonane przez pana Blistatielnego są unikatowe, to wręcz dzieła sztuki. Na co dzień nie da się ich nosić, zresztą cena jest zawrotna. Niech pani lepiej poszuka czegoś na parterze. - Popatrzyła z pogardą na moją sukienkę od Gucciego, prościutką i niepozorną. Tej impertynentce należała się nauczka.

- Dziecino - rzuciłam protekcyjnie, wyciągając z torebki platynową kartę - moich zasobów starczy nie tylko na to, by kupić te pokrowce na armaty, ale i cały wasz budynek z przyległymi terenami. Dlatego weź swoje nienaganne nogi za pas i migiem poinformuj pana Blistatielnego, że przyszła super-klientka.

Tiknąwszy policzkiem, dziewczyna umknęła. Wyjęłam gauloise'a, usiadłam w fotelu i zaciągnęłam się z rozkoszą, strącając popiół na

podłogę. W końcu jestem „nową Rosjanką” czy nie?

Nie minęło pięć minut, gdy zza białych, pozłaczanych drzwi wyskoczył człowieczek mierzący mniej więcej metr sześćdziesiąt. Niedostatek wzrostu kompensowała długość włosów. Na głowie kurdupla powiewała lwia grzywa bujnych, farbowanych pukli. Pękaty brzusek wylewał się z białych lewisów, górna połowa ciała tkwiła w błyszczącej koszuli bez śladu rękawów.

- Chciała mnie pani widzieć? - zapytał piskliwym głosem.

Niech mnie, nazwisko Dyszkantów znacznie bardziej by do niego pasowało.

- Jeśli mam przed sobą pana Blistatielnego, to tak. Czy tu zawsze tak po chamsku wita się klientów? Odnoszę wrażenie, że nie ma ich tu zbyt wielu, należałoby hołubić każdego!

- O co chodzi? - zdumiał się Epifan.

- Gdy idę do salonu Chanel, częstują mnie kawą, a modelki prezentują stroje, u Paco Rabanne'a zawsze są ciastka, a u was w ciągu dziesięciu minut trzy razy usłyszałam, że rzeczy są zbyt drogie i lepiej ubierać się na wietnamskim bazarze.

Projektant wręcz szerniał ze złości.

- Zmiataj mi z oczu, pokurczu - wyszczał do krzywogębej pannicy. - Nie mam serca jej zwolnić, trzymam ją tu z litości. Pani będzie łaskawa.

I wprowadził mnie do gabinetu, który przypominał bardziej sypialnię podstarzałej kokoty. Wszędzie biały atlas, różowy tiul, riuszki, kokardki, zakładeczki...

Natychmiast pojawiła się kawa rozpuszczalna i keks. Skubnęłam łaskawie kęs zakalcowatego ciasta i oświadczyłam:

- Widziałam w gazecie suknię z pasków do zegarków! Chcę taką.

Epifan rozłożył ręce:

- Niestety, sprzedana. Ale jest wiele innych modeli. Rozrzucił przede mną zdjęcia.

W Paryżu często chodzę na pokazy mody. Lubię to oszałamiające widowisko, blichtr niemal teatralnych strojów, nieprawdopodobne fryzury i makijaż. Na zdjęciach, które pokazał Epifan, spostrzegłam wiele znanych mi modeli. Tę oto sukienkę, jak z sieci rybackiej, pokazywał Paco Rabanne, a garsonkę z błyszczącej „metalowej” tkaniny - Gucci.

- Wobec tego proszę zrobić jeszcze jeden egzemplarz z pasków - zażądałam.

- To niemożliwe.

- A „Skandale Tygodnia” zapewniały, że pan ściąga fasony od innych projektantów - poszłam na całość.

I z powrotem. Epifan podskoczył jak użądlny.

- Oszczerstwo, obrzydliwe oszczerstwo!

- Zamieszczono nawet zdjęcie, rzeczywiście wygląda zupełnie jak model Paco Rabanne'a.

- Absolutnie co innego - krztusił się gniewem. - U mnie jest jasna skóra z metalem, u niego - czarne paski lakierowane i matowe. Poza tym, moja suknia nie została zrobiona na pokaz, ale na zamówienie pewnej piosenkarki. Gdyby nie Weronika, nikt by nie zrobił z tego skandalu.

- Jaka Weronika? Epifan westchnął.

- Otaczają mnie same kobiety: krojczynie, krawcowe, guzikarki, artystki... Dno, mogiła. Wieczne sprzeczki - jedna drugiej coś nie tak powie, krzywo popatrzy i gotowe. Ale najgorsze są modelki. Da pani wiarę, to tak, jakby człowiek pracował z drapieżnikami.

Wystarczy ciut popuścić i już awantura. Chłopów sobie odbijają, żrą się o zagraniczne wyjazdy, skarża, piszą donosy. Do makeupu dodają kleju, do pantofli wkładają żyletki. I, paradoksalnie, im dziewczucha ładniejsza, tym większa kanalia. Każdy pokaz kończy się prezentacją sukni ślubnej. Taki zwyczaj. Wyjście na wybieg w stroju panny młodej jest bardzo prestiżowe.

Epifan aż poczerwieniał. Okazało się, że dobrze znał Weronikę jeszcze z czasów, gdy usiłowała zostać modelką. Dopiero potem, kiedy wyszła

za Polańskiego, zapragnęła zostać aktorką. Wiosną Weronika zjawiała się u Epifana z pewną propozycją. Chciała wystąpić na tradycyjnym pokazie „Lato” i zaprezentować się w sukni panny młodej. Kiepsko jej szło na niwie artystycznej, więc postanowiła w taki sposób zwrócić na siebie uwagę. Ale Blistatielnyj nie zamierzał tańczyć, jak ona mu zagra. Suknia panny młodej uszyta została dla młodej piękności Katii Riabczenko. Poza tym, ślubny strój powinna prezentować modelka o naiwnej buzi, a nie cyniczna dziwka.

Nika wysłuchiwała Epifana w milczeniu i wyszła. A po kilku dniach ukazał się artykuł.

- Ale skutek był odwrotny - triumfował Blistatielny. - Ludzie obejrzeli „Skandale Tygodnia” i runęli do mnie na pokaz. Czyli powinienem podziękować Weronice. Gdybym wiedział, że sprawa przyjmie taki obrót, to sam bym ją wcześniej rozdmuchał. I nie zwolnił Giulnary.

- Kim jest Giulnara?

- Modelka, przyjaciółka Niki, razem u mnie zaczynały. Potem Miedwiediewa wygrała konkurs i wkręciła się do teatru, a Giulnara nadal lata po wybiegu. To ona sfotografowała „paskową” suknię, nikt inny nie mógł tego zrobić!

Jeszcze ze dwadzieścia minut paplaliśmy o kompletnie niepotrzebnej mi sukni wieczorowej, wreszcie wyrwałam się na ulicę z paskudną fioletową bluzką, usianą strasami, fałszywymi perełkami i koralikami. Ale w mojej torebce spoczywał adres wrednej Giulnary.

Zerknęłam na zegarek i postanowiłam wrócić do domu. Była siódma. O tej porze modelka z pewnością gdzieś wybyła. Panny jej pokroju najlepiej łapać rano, gdy odsypiają nocne eskapady. Poza tym, strasznie chce mi się jeść, pić i palić. Ale gauloise' y się skończyły, a w kioskach ich nie ma.

Niebo zaciągnęły chmury, pociemniało i nim dotarłam do Łożkina, zaczęło lać niczym przed biblijnym potopem. Wielkie krople tłukły mnie po plecach, gdy biegłam z garażu do domu.

W holu przy dziecięcym wózku deliberowali Mania z Bekasem.

- Co się stało? - spytałam.

- Chcemy zamontować silniczek - mruknął Bekas. - Ma pani pojęcie, jak by to było fajnie, muszę tylko pogłówkować, co zrobić, żeby się dało sterować pilotem...

Aż się wstrząsnęłam, widząc oczami wyobraźni, jak wózek z bliźniakami gna pod górę, a za nim, ściskając pilota i ledwo łapiąc oddech, stara niania Serafina Iwanowna.

- Żadnych wózków z silniczkami - powiedziałam kategorycznie, odganiając wizję.

- Dobrze - zgodzili się potulnie i podreptali do gabinetu.

Ruszyłam za nimi. Zdaje się, że Kieszka kupił niedawno nowe kryminały, wybiore coś ciekawego. Maszka z Bekasem włączyli komputer, w rogu cicho mruczał swoje głupoty telewizor.

- No już, śmiało - zachęcała Mania Bekasa - nauczysz się szybko.

Pisz - krew.

Bekas zaklekotał klawiaturą.

- Nie - wrzasnęła Maszka - gdzie pchasz ten paluch, zobacz, co napisałeś - kref.

- A to niedobrze? - zdziwił się.

- Na głowę upadłeś czy do szkoły nie chodziłeś? Zapadła cisza, wreszcie chłopak mruknął:

- Skończyłem tylko trzy klasy.

- Jak to? - Mania aż się zachłysnęła. - Rodzice zabronili ci się uczyć?

Bekas milczał czas jakiś, a potem zaczął mówić:

- Tatuszka nie pamiętam, nigdy go nie widziałem, a matka chodziła wciąż pijana. Miała nas pięcioro, co rok to prorok, i wszystkich trzeba było nakarmić. A mamuszka myślała tylko o butelce. Jak się zdarzyło, że kupiła nam bułkę, to było święto. Dlatego skończyłem naukę na trzeciej klasie, trzeba było utrzymać braci i siostrę. Jestem najstarszy. Najpierw myłem samochody, a potem chłopaki

przyuczyli mnie fachu.

- Jakiego? - zapytała Maniunia surowo.

- W garażu. Najpierw rozbierałem gabloty, potem zacząłem je kraść. A jeszcze później mnie wsadzili. Na szczęście chłopaki nie dali mi za długo garować.

- A teraz co robisz? - ciągnęła swoje przesłuchanie Mania. Byłam zdumiona, że Bekas tak potulnie odpowiada na jej wścibskie pytania.

- Teraz jestem kierowcą u mojego szefa. Dobrze zarabiam, mam własne mieszkanie, kupiłem samochód.

- A gdzie są twoi bracia?

- Kiedy matka całkiem się rozpiła, wszystkich szurnęli do domów dziecka. Siostrę i dwóch najmłodszych adoptowano, Piętka zginął w bójce, a Loszka tańczy w zespole „Rytmy Ziemi”.

- No cóż, Mikołaju - wymądrzyła się Mania - to prawda, że dzieciństwo miałeś ciężkie, ale pisać w wieku osiemnastu lat „kref” to po prostu wstyd. Od jutra zaczynamy lekcje. Rosyjski, matematyka, historia, literatura, może też francuski. Z komputerem szybko się oswoisz. Przez lato sporo zrobimy.

- E tam, nie dam rady, wszystko zapomniałem - jęknął chłopak.

- To sobie przypomnisz.

Znow zaklekotała klawiatura. Cichutko przewracałam kartki, wybierając książkę. Biedny Bekas, podłe miał życie. A taki utalentowany mechanik, prawdziwa złota rączka.

Telewizor coś bredził, wzięłam do ręki pilota, by go wyłączyć, gdy nagle na ekranie pojawiła się znana mi twarz. „Wyszła z domu i nie powróciła - czytał obojętnie spiker zza kadru - Jewgienija Polakowa, wiek z wyglądu około dwudziestu lat, włosy jasne, krótko obcięte, oczy piwne, drobnej budowy ciała. Ubrana w białą koszulkę i żółte spodnie, na nogach chińskie tenisówki, na kolanie duża myszka.

Wszystkich, którzy ją widzieli lub wiedzą, gdzie przebywa, prosi się o informację na numer telefonu 02”.

Przez chwilę uśmiechnięta wesoło Żenieczka patrzyła na mnie z ekranu. Wskoczyłam z gabinetu i dopadłam telefonu. U Polaków słuchawkę podniosła jakaś starsza kobieta.

- Przepraszam, właśnie powiedzieli w telewizji...

- Wie pani, gdzie ona jest? - przerwała mi. - Błagam, niech pani powie, zapłacimy.

- Niestety nie, nic nie wiem, jestem jej wykładowcą na uniwersytecie. W jaki sposób zaginęła?

Otóż tego dnia, gdy ją odwiedziłam, Żenia zamierzała pojechać wieczorem do rodziców na daczę. Czekali na córkę prawie do północy, a potem pomyśleli, że pewnie została w mieście. Ale gdy dwa dni później wrócili do Moskwy, nie zastali córki w domu. Sąsiadka, która spacerowała z psem, powiedziała, że widziała Żenię w piątek. Ta zawołała do niej: „Dzień dobry, ciociu Leno, jadę do mamy na daczę!”. To było około piątej po południu. Od tej pory nikt jej nie widział. Usiadłam na kanapie i ścisnęłam rękami głowę. Jak to możliwe? Co się z nią stało?

Rozdział 17

Zeszłam na śniadanie, gdy reszta domowników zajęła się swoimi sprawami. Giera, a jakże, udał się na poszukiwanie narzeczonej, Rimma Borisowna - do galerii obrazów. Nina Andriejewna była zajęta w łazience - kąpała Bundy'ego. Zajrzałam do nich. Obydwoje byli uszczęśliwieni. Pitbull uwielbiał kąpiel. Siedział w wannie pokryty pianą, jego trójkątny pysk wyrażał absolutną błogość. Teściowa tarła go szczotką i mruzczała:

- Daj łapkę, mądry piesek.

Dostrzegłszy mnie, zwróciła w moją stronę starannie uczesaną głowę i powiedziała:

- Nie można mu podawać tłustej karmy. Dzisiaj znowu paskudnie kupkał, na rzadko.

Kto by pomyślał, że właśnie Bundy tak jej przypadnie do serca! Nie

mały Hootchuś, nie pełna wdzięku Julie, nie przymilna pudliczka, ale masywny pitbull. Bądź tu mądry, człowieku, z tymi teściowymi.

- A w dodatku - użalała się - biedaczek wczoraj tak się zmęczył, ledwo trzymał się na nogach...

Bundy się zmęczył? To coś nowego. Ten pies mógłby przebiec z Moskwy do Petersburga i nawet by tego nie zauważył!

- W mercedesie Kieszki zepsuł się autoalarm i ten zapakował psinkę do samochodu. Cały dzień taskał biedaka w tym skwarze, maleństwo omal ducha nie wyzionęło. Czyż to nie głupota?

Moim zdaniem, wręcz przeciwnie, bardzo rozsądne posunięcie. Ciekawe, czy znalazłby się choć jeden złodziej, który spróbowałby włamać się do samochodu ze swobodnie rozwalonym pitbullem na tylnym siedzeniu? A on nie ma napisane na łbie, że za słodką bułeczkę psią duszę by sprzedał. Na oko wygląda groźnie.

Opłukawszy ulubieńca pod prysznicem, teściowa wytarła go puszystymi ręcznikami i przykazała:

- A teraz idź i schnij, tylko nie na podwórzu, bo tam wieje, jeszcze się przeziębisz.

Bundy, który uwielbiał się taplać w pierwszych marcowych kałużach, potruczał wesoło do salonu. Oczekałam, aż teściowa powiesi ręczniki, i zapytałam:

- Nino Andriejewno, kim są rodzice Weroniki?

- Ona nie kwapiła się zbyt do zwierzeń, ale Maks opowiedział mi tę tragiczną historię.

Przeszliśmy do salonu.

- Dlaczego tragiczną?

- Bo to wręcz wzorcowy przykład, jak można nadopiekuńczością zniszczyć dziecko - westchnęła teściowa. - Znasz przecież mój stosunek do żon Maksa. Zawsze i w każdej sytuacji stawałam po ich stronie, nie dostrzegałam wad, nikogo nie osądzałam. Ale Nika była z piekła rodem. Jej rodzice to pedagogzy Miedwiediewowie.

- Niemożliwe! To oni? Teściowa kiwnęła głową.

Około roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pojawiła się w księgarniach książka autorstwa Anny i Michaiła Miedwiediewów. Młodzi pedagogzy, rodzice siedmiorga czy ośmiorga dzieci, dzielili się swoją wiedzą, jak należy wychowywać młode pokolenie. Przykładem miało być ich własne życie rodzinne. Małe dzieci budzili o siódmej rano. Oblewali je lodowatą wodą z wiadra w każdą pogodę. Potem mniej więcej godzinę prowadzili z dziećmi gimnastykę. Czas do obiadu poświęcano na naukę.

Wszystkie dzieci Miedwiediewów, gdy szły do szkoły, umiały pisać, liczyć i miały tyle wiadomości, że od razu przyjmowano je do trzeciej klasy. Od godziny szesnastej do dwudziestej mali Miedwiediewowie grali na różnych instrumentach, trenowali wschodnie sztuki walk, malowali i majsterkowali. Rodzice nie odstępowali nieszczęśników ani na chwilę. Nawet przed snem czytali im klasykę: Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa. Latem dochodziła jeszcze terapia pracą. Na działce hodowali kartofle, kapustę, cebulę i marchew. Dzieciaki sadziły warzywa, podlewały je, okopywały, pielili. I zawsze razem, z pieśnią na ustach.

Do Miedwiediewów sznureczkiem pociągnęli dziennikarze. Maluchy, cytujące Szekspira po angielsku i potrafiące obrać kartofle, budziły szczerą zawiść i tysiące rodziców zaczęło stosować te metody wychowawcze.

Nieśmiałe głosy sprzeciwu były tłumione w zarodku. Za pensję pedagoga trudno wyżywić taką gromadkę, więc państwo Miedwiediewowie rzucili pracę. Postawili przed sobą szlachetny cel - wychować wyjątkowe jednostki. Chcieli jak najlepiej, a wyszło jak zwykle.

W rodzinie nowatorów panował prawdziwy komunizm wojenny. Przez cały rok dzieci chodziły półgołe, młodsze donaszały odzież po starszych, ale starsze też nie miały niezbędnego ubrania. Para spodni i koszula dla chłopców, byle jaka sukieneczka dla dziewczynek. Jedzenia dostawali głodowe porcje. Teorie Bregga nie były jeszcze zbyt znane w Rosji, ale Miedwiediewowie wychwalali korzyści płynące z leczniczej

głodówki i zmuszali dzieci, by w środy i soboty w ogóle nie jadły. Bomba wybuchła, gdy starszy, Mitya, nie dostał się na fizykę. Chłopak po prostu nie wytrzymał napięcia, miał załamanie nerwowe i trafił do szpitala psychiatrycznego. Jego młodszy brat, Kostia, opowiedział wszystko dziennikarzom. Osłupiali z przerażenia, wysłuchali gorączkowej opowieści chłopca o latach głodu, oskarżeń pod adresem rodziców, zdręczających dzieci dietą, gimnastyką i grami edukacyjnymi. Wezwani lekarze stwierdzili u dzieci niezbyt żołądka, chroniczne zapalenie płuc, zepsute zęby i głęboką nienawiść nie tylko do ojca i matki, ale i do siebie nawzajem.

Wybuchł straszny skandal. Przez cały miesiąc w gazetach prowadzono dyskusję, czy można pozwolić rodzicom znęcać się nad dziećmi.

Przypomniano sobie, że było to drugie małżeństwo Michaiła Miedwiediewa. Pierwsze rozpadło się właśnie z powodu innowacji pedagogicznych. Co więcej, dwaj synowie z poprzedniego małżeństwa nie utrzymywali z ojcem żadnych kontaktów. Sąd nakazał Miedwiediewom natychmiast przerwać eksperymenty. Władze miasta przyznały pomoc materialną na ubrania dla dzieci. Ale cóż, w tym czasie rodzina właściwie się rozpadła. Mitya pozostawał w szpitalu psychiatrycznym, Kostia wstąpił do szkoły morskiej. Trzecia była Weronika. Dziewczynka miała szczęście, bo natura obdarzyła ją niezwykłą urodą, a lata głodu sprawiły, że jej przejrzysta twarz jaśniała jak na obrazach renesansowych mistrzów. Ale mało kto wiedział, jakie demony kryją się za anielską powierzchownością. W tym czasie Miedwiediewowie przeprowadzili się pod Moskwę. Rodzice uważali, że poza miastem łatwiej wychowają najmłodsze dzieci. Aby uniknąć wyjazdu z Moskwy, Nika wstąpiła do budowlanki, żeby zostać tynkarzem. Wybierając zawód, kierowała się wyłącznie tym, gdzie najłatwiej się dostać i gdzie ma szansę na akademik.

Zdarza się czasami, że los wytrząśnie asa z rękawa. Pewnego razu Weronika spostrzegła ogłoszenie, że poszukuje się modelek. Pokonując nieśmiałość, zjawiła się w agencji. Przyjęto ją natychmiast i już po trzech miesiącach prezentowała sukienki.

Najbardziej na świecie pragnęła mieć pieniądze. Głodne, nędzne dzieciństwo obudziło w niej patologiczną interesowność. Jej pragnienie posiadania nie znało granic. Chciała mieć wszystko od razu: mieszkanie, samochód, ciuchy, biżuterię i... pieniądze, pieniądze, pieniądze.

W Moskwie w tym czasie właśnie zaczęto organizować konkursy piękności z nagrodami. Pragnienie łatwego zysku przyciągnęło Weronikę na taki konkurs. Jedna z rywalek wskazała jej nieskazitelnie ubranego faceta o nobliwej twarzy.

- To główny sponsor - szepnęła - potwornie bogaty handlowiec Polański.

Weronika oczyma duszy ujrziała dostatnie, bajkowe życie. Zaczęła osaczać Maksa. Polowanie się udało. Już na wiosnę Nika miała na palcu kosztowną ślubną obrączkę.

Ani rodzice, ani bracia i siostry nie zostali zaproszeni na wystawne wesele w restauracji „Praga”. Weronika po prostu wykreśliła rodzinę ze swojego życia. Zresztą, oni też nie okazali żadnego zainteresowania jej losem.

Zostawszy panią Polańska, wpadła w szal zakupów.

- To był jakiś amok - wyrzekała Nina Andriejewna. - Codziennie kupowała nową sujedkę, a pierścionki mogła nosić na palcach w trzech rzędach.

- To znaczy, że miała dużo biżuterii? - spytałam.

- Całe góry: łańcuszki, wisiory, bransolety, kolczyki... Raz nawet zwróciłam jej uwagę, że przesadza.

- Gdzie to wszystko trzymała?

- Pewnie w sypialni.

Zapaliłam papierosa. Ciekawe, co się z tym stało? Może do domu włamał się złodziej, który wiedział o namietności gospodyni do błyskotek?

Pogoda się popsuła. Z piętra słychać było wściekły wrzask bliźniąt.

Poszłam na górę i zajrzałam do pokoju dziecinnego. Czerwony ze złości

Wańka wierzgał nogami i darł się wniebogłosy. Anka najspokojniej puszczała bańki ze śliny.

- Coś nie tak? - spytałam Serafinę Iwanownę.

- Złości się, bo położyłam ich do oddzielnych łóżeczek, a on chce spać tylko koło siostry. Dlatego urządza taki koncert.

Z zaciągniętego burymi chmurami nieba sypnął drobny obrzydliwy deszczyk, znacznie się ochłodziło. Do mieszkania Giulnary jechałam dość długo. Dziewczyna mieszkała w północnym Butowie. Między wysokimi blokami przycupnęły niezgrabne, jakby niedokończone czteropiętrowce. Właśnie w jednym z nich mieszkała najlepsza koleżanka Weroniki. Giulnara spała, gdy zadzwoniłam do drzwi. Twarz miała lekko obrzmiała, długie lśniące włosy w kolorze antracytu opadały na ramiona spleciona grzywa.

- O co chodzi? - burknęła, ziewając.

- Major Wasiljewa z Wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną.

- Co się stało? - powiedziała szybko. - Nic nie wiem, cały ranek przespałam.

- Wejdziemy do środka czy tu będziemy rozmawiać? - zapytałam groźnie.

Przeprosiła i zaprowadziła mnie do dość dużego salonu, zapchanego meblami. Na stole poniewierały się resztki wczorajszej uczy: pusta butelka po szampanie, kilka brudnych salatek i popielniczka pełna niedopałków.

Skrzywiłam się - jak wielu palaczy, nie znoszę widoku i zapachu petów. Giulnara dostrzegła moją minę i otworzyła drzwi balkonowe. Do środka wdarło się świeże powietrze pachnące deszczem.

- Zna pani Weronikę Miedwiediewą?

- Tak, a co się stało?

- To pani nic nie wie? Zamordowano ją.

Giulnara wydała jakiś dziwny bulgoczący dźwięk i opadła na fotel. W jej twarzy nie było nic wschodniego, jedynie wysokie kości policzkowe i granatowoczarne włosy.

- Jak zginęła? - wybełkotała.

- Strzał w głowę. Teraz trwa śledztwo, musi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

- Napijmy się kawy - zaproponowała słabym głosem i przeszłyśmy do kuchni. Modelka włączyła ekspres i zaczęła opowiadać o swojej znajomości z Weroniką.

Razem zjawiły się w agencji, razem podjęły pracę. Nieprzytomnie potrzebowały pieniędzy, więc nie gardziły żadnym zajęciem. Próbowaly znaleźć bogatych kochanków, ale jakoś im się nie wiodło. Giulnara od czasu do czasu zarabiała striptizem, lecz Weronice słoń nadepnął na ucho i nie potrafiła poruszać się w rytm muzyki.

Pewnego razu Giulnara pracowała w restauracji „Dwa Księżycy”.

Blistatielny prezentował tam fragment swojej paskudnej kolekcji. Dziewczeta nie miały miejsca na zmianę ubiorów, robiły to w jakiejś ciasnej komórce. Gulia nie zdążyła zdjąć wieczorowej sukni, gdy drzwi się otworzyły i wszedł jakiś facet około trzydziestki. Gołe modelki zapiszczały, sądząc, że to któryś z gości. Ale Weronika uciszyła je zdecydowanie. „To do mnie” - oświadczyła i wymknęła się z nim za drzwi.

Po pokazie podeszła do Giulnary i powiedziała, że to był jej brat Anton. Chłopak studiuje w szkole filmowej i pracuje nad filmem dyplomowym. Potrzebna jest mu młoda, zgrabna, czarnowłosa dziewczyna. Za dni zdjęciowe dobrze płaca, może Giulnara chce spróbować?

Gulia natychmiast się zgodziła. Tak jak większość dziewczyn, bardzo chciała zostać aktorką.

Anton, nie wiedząc czemu, pracował nie w studiu Mosfilmu, ale w domu. Gdy Giulnara przyszła do niego, dał jej do przeczytania „scenariusz”. Dwie wymięte kartki z zeszytu zapisane bazgrołami. Miała zagrać młoda i niewinna hrabiankę, którą gwałci narzeczonny. Akcja toczyła się w sypialni na wielkim łożu. W roli uwodziciela

występował masywny chłopak o tępawej twarzy. Gdy zaczął się rozbierać, Gulii zrobiło się niedobrze, bo po pierwsze, dotarło do niej poniewczasie, że Anton kręci filmy pornograficzne, a po drugie, partner odznaczał się monstrualnych rozmiarów genitaliami. Chciała się wycofać, ale już leżała na łóżku. Anton dał znak i debilny olbrzym rzucił się na dziewczynę. Giulnara się broniła, facet sapał, kamera terkotała, reżyser chrząkał z zadowoleniem. Wszystko razem trwało pół godziny. Anton wręczył zaryczanej „aktorce” kopertę z pieniędzmi i wypuścił ją. Wściekła, pognąła do Weroniki z pretensjami, ale ta przyjęła wszystko z zupełnym spokojem.

- Myślałby kto - obruszyła się - zajrzyj lepiej do koperty, to spora kupa baksów. Też mi coś, małe barabara. Pierwszy raz, czy co? A niby kiedy ostatni raz zarobiłaś tyle za pół godziny? Za kogo się uważasz, za Sharon Stone, czy co? Nie przejmuj się, to było robione na zamówienie, film obejrzy tylko ten, kto zapłacił. Zarobek w przyzwoitych warunkach, to przecież dużo lepsze niż trząść gołymi cyckami przed bandą facetów.

Ale Giulnara była innego zdania.

- To dlaczego sama nie zarabiasz w pornosach, tylko mnie napuszczasz? - rzuciła się na Nike.

Weronika się uśmiechnęła.

- Widzisz, Anton jest moim bratem i ubrdał sobie, że mnie do tej roboty na pewno nie weźmie, a szkoda, bo ani chwili bym się nie wahała - taki zarobek!

Ale Gulia nie zamierzała wpłatywać się w pornobiznes i ograniczyła swoje kontakty z Niką do minimum.

- O zmarłych nie należy mówić źle - westchnęła - ale nie da się ukryć, że Nika była szurnięta. Wydała się za tego starucha Polańskiego i zaczęła szastać pieniędzmi na prawo i lewo. Spotykałyśmy się czasami na pokazach, wtedy zawsze przechwalała się a to biżuteria, a to futrami...

Niedawno Weronika wpadła nagle do Gulii i zaczęła się uskarżać na ciężki los. Nie proponowano jej żadnych ról, a mąż znalazł sobie inną, wdał się w romans z młodą studentką, żonie zaczął wydzielać pieniądze i na wszystkie swoje zachcianki miała teraz jakieś nędzne dwa tysiące zielonych. Próbowwała się buntować, ale wtedy mąż pokazał pazury.

- Wiesz co, moja droga - wycedził - taniej mi wypadnie zabić cię niż utrzymywać.

Weronika nie straciła głowy, tylko oświadczyła mężulkowi, że nigdy nie da mu rozwodu. Sprawę sądową można przeciągać w nieskończoność, nie stawiając się na rozprawy, wysyłając zaświadczenia lekarskie. A potem powie, że jest w ciąży...

Maks, opowiadała, zsiniał ze złości i warknął:

- Jeśli staniesz mi na drodze, to zabiję jak psa.

- A teraz, nie wiedzieć czemu, przestał domagać się rozwodu - skarżyła się wyraźnie przestraszona. - Może naprawdę zamierza się mnie pozbyć. Pamiętaj, jeśli coś mi się stanie, to Maksym maczał w tym palce.

Giulnara wyrzuciła z głowy te brednie, ale teraz na wieść o śmierci Niki przypomniała sobie, że przyjaciółka była wtedy wyraźnie przestraszona.

- Proszę się nie denerwować - uspokoiłam ją - Polańskiego już aresztowano, choć może się okazać, że jest niewinny. Pan Blistatielny jest wściekły na Miedwiediewą za artykuł w „Skandalach Tygodnia”. Gulia parsknęła śmiechem.

- Z tym akurat Nika nie ma nic wspólnego, to Lena Zajcewa zemściła się za to, że Sykunow nie wziął jej do Paryża. Tylko proszę tego nie powtarzać, Nice jest już wszystko jedno, a Lence Epifan dopiero by dał popalić. A to dobra dziewczyna, tylko głupia.

Poplotkowawszy jeszcze trochę o kompletnie nieznanym mi ludziach, opuściłam mieszkanie Giulnary. Dziewczyna pamiętała adres brata Niki, więc prosto od niej pojechałam na ulicę Miasnicką. Stary dom chyba jeszcze z lat trzydziestych wyglądał bardzo solidnie.

Podłogę w holu tworzyły wytarte marmurowe płyty, poręcze szerokich schodów były wręcz dziełem sztuki giserskiej. Mieszkanie numer osiem pyszniło się solidnymi metalowymi drzwiami. Z głębi tej fortecy rozległ się męski głos:

- Pani do kogo?
- Do Antona.
- Tu taki nie mieszka.
- Przepraszam, a dokąd wyjechał?
- Nie mam pojęcia - szczechnął głos. - Spadaj stąd, bo wezwę milicję. Zeszłam na dół, kupiłam torebkę chipsów i zaczęłam chrupać słone plasterki. Gdzie tu szukać szanownego braciszka? Może rodzice będą wiedzieli?

W domu zjawiłam się około piątej. Natychmiast rzuciła się na mnie Rimma Borisowna, cała w nerwach:

- Daszutka, szykuj się, idziemy na koncert. Kupiłam bilety. Matrony spragnione były widowisk, a wredne dzieci gdzieś się rozpiezchły. Olga wykręciła się zakatarzonymi bliźniakami, Arkady miał jakieś niecierpiące zwłoki sprawy służbowe. Nawet Mania czmychnęła, krzyknawszy w przelocie, że ona i Sania są zaproszone na urodziny. Giera był na randce z kolejną narzeczoną. Toteż teściowe z troską zerkwały na zegarek w nadziei, że przynajmniej ja zjawię się wcześniej.

W pierwszym odruchu chciałam się wykręcić od tej eskapady. Ale dostrzegłam błagalne spojrzenie teściowej, więc poczłapałam pokornie, żęby się przebrać. Nie mam serca odbierać dziecku cukierka!

Rimma Borisowna, podskakując prawie z niecierpliwości, wdarła się do mojej sypialni. Ryła w szafie, szukając jakiegoś ubrania.

- Jakie to piękne! - zawołała.

Obejrzałam się. Trzymała w dłoniach fioletową bluzkę, połyskująca sztucznymi brylancikami - nieśmiertelne dzieło Epifana Blistatielnego.

- Podoba się pani?

Rimma Borisowna, mająca gust sroki, w milczeniu kiwnęła głową.

- Kupiłam to w prezencie dla pani.
- Och, Daszeńko - zachłysnęła się - pójdę włożyć to cudo.

Bezbrzeżnie szczęśliwa, wypadła za drzwi.

Koncert odbywał się w sali Czajkowskiego. Gdy teściowe kokosiły się, ustępując sobie nawzajem miejsca, ja zaczęłam przeglądać program. Schubert, Chopin, Schumann i na dodatek Mozart. No i dobrze, co za różnica.

Orkiestra dudniła, moje towarzyszki z zachwytu przewracały oczami. Spróbowałam się odprężyć i mieć z tego jakąś przyjemność. Naiwna Rimma Borisowna uznała, że miejsca w pierwszym rzędzie są najlepsze, i teraz mogłyśmy do woli obserwować czerwone twarze muzyków. Zagrano Sceny na polowaniu. W muzyczną tkanę tego utworu wplecione są dźwięki z polowania - słycać rożek i wystrzał z pistoletu. Ledwo bębniasta wystrzelił w powietrze, gdy na sąsiednich fotelach zapanowało dziwne poruszenie. Dwaj krzepcy młodzieńcy o szerokich barach i byczych karkach poderwali z miejsca korpulentnego jegomościa w eleganckim garniturze. Osłupiała patrzyłam, jak rzucili męczyznę na podłogę. Jeden z nich błyskawicznie zwałił się na niego, a drugi wyciągnął spod marynarki wielki rewolwer i zaczął strzelać w stronę orkiestry. Nieszczęśni muzycy porzucili skrzypce, bębny, wiolonczele i padli pod pulpity. Dyrygent runął jak podcięty. Zza kulis wyskoczyli ochroniarze i zaczęła się bijatyka. Ale dość szybko wszystko się wyjaśniło. Otóż koncert uświetnił swoją obecnością jeden z prominentów. Jego czujna obstawa, niezbyt znająca się na muzyce, uznała wystrzał z pistoletu startowego za zamach na ich podopiecznego i natychmiast podjęła niezbędne środki.

Kajając się, goryle podnieśli nieszczęśnika, otrzepali z kurzu, wygładzili garnitur i posadzili faceta w fotelu. Zdenerwowana publiczność nie przestawała rozmawiać. Wzburzeni muzycy zaczęli stroić skrzypce, każdy sobie, wybity z rytmu dyrygent nijak nie mógł zgrać orkiestry. „Szkoda, że Maszka nie przyszła - pomyślałam - jej by

się to bardzo spodobało".

Rozdział 18

Domowy adres Miedwiediewów znalazłam bardzo łatwo, zadzwoniłam po prostu do pisma „Pedagogika” i podałam się za Francuzkę, zainteresowaną ich niebywałymi osiągnięciami.

A czcigodni pedagodzy nie wyjechali ze stolicy zbyt daleko -zaledwie do Bołotowa. Dotarłam tam w pół godziny. Ciche, senne, prowincjonalne miasteczko, jedynie na placu przed dworcem widać oznaki jakiegoś życia. Przy budkach z niezbyt wyrafinowanym wódczanopapierosowoczokoladowym asortymentem pałętali się przedstawiciele miejscowego beau monde'u z przepitymi gębami. Ulica Proletariacka zaczynała się przy stacji i biegła prosto jak strzelił aż do wyjazdu z Bołotowa.

Dom numer trzydzieści sześć - ciemny, drewniany, z krzywym dachem - wyglądał dość ponuro. Pchnęłam skrzypiącą paskudnie furtkę i znalazłam się na sporym, zapuszczonym podwórzu. Po lewej stronie był mizerny ogródek, trochę dalej kołysały się „łany” ziemniaków. Na sznurach schła mocno wysłużona bielizna pościelowa i niebywała liczba męskich gatek.

W izbie czuć było jakiś nieprzyjemny skisły odór. Zaniedbana kobieta w poplamionej kretonowej sukience przelewała mleko do trzylitrowej kanki. W małej kuchni piętrzyły się stosy brudnych naczyń. Tu i ówdzie wisiały poplamione ścierki, walały się przedmioty, których w kuchni raczej nie powinno być: grzebienie, puste opakowanie po szamponie, butelka wody kolońskiej Goździk.

- Pani do kogo? - spytała kobieta apatycznie.
- Czy tu mieszkają państwo Miedwiediewowie?
- Michaił umarł - odpowiedziała obojętnie.
- A można poprosić panią Annę?
- To ja - burknęła i z westchnieniem postawiła cebrzyk na taborecie.
- O co chodzi?
- Zwyciężyliście państwo w konkursie „Moja rodzina”, ogłoszonym przez pismo „Pedagogika”. Oto nagroda.
Podałam jej kopertę, w której było sto dolarów. Wzięła obojętnie i wycedziła:

- O co wam chodzi, najpierw krytykowali, szczuli, a teraz nagradzają. Lepiej byście się postarali u naszych władz o zasiłek dla dzieci, dwa lata nie płacą.

- Pracuję dopiero od niedawna - zaczęłam się tłumaczyć -w piśmie zmienił się cały skład.

- Parfienow też już nie pracuje? - ożywiła się kobieta.

- Nie.

- A co z nim, może umarł?

- Właśnie - postanowiłam ją uradować, uśmiercając nieznanego mi faceta - atak serca, szast, prast i po wszystkim.

Kobiecina aż poróżowiała z radości i natychmiast złagodniała.

Przeciagnęła ścierką po oblażym z farby taborecie i zaprosiła:

- Proszę usiąść, pewnie pani zmęczona. Może ma pani ochotę na mleko? Własne, od młodej krowki.

Przerażona, potrząsnęłam głową. Nie cierpię mleka, nie piję go w żadnej postaci.

- Muszę sfotografować panią razem z dziećmi - zmieniłam pospiesznie temat, wyciągając kupiony po drodze polaroid. -Pani też zostawię zdjęcia.

- Zaraz, proszę wejść - otworzyła gościnnie drzwi do części mieszkalnej. Ogromny pokój miał ze trzydzieści metrów i był umeblowany zupełnie po miejsku. Trzy ściany zajmowały regały z książkami: historia, geografia, chemia, botanika... Na wielkim stole piętrzyły się pudełka z gramami: warcaby, szachy, lotto, domino. Pod oknem z bujnie kwitnącymi pelargoniami stał absolutnie zaskakujący w tej sytuacji sprzęt - nowiutki komputer, najwyraźniej podłączony do Internetu, bo biegł od niego biały kabel zespolony z gniazdkiem telefonicznym. Miedwiediewowie wcale nie byli takimi ciemniakami.

Brakowało tylko jednej rzeczy - telewizora.

Anna przeszła przez pokój, otworzyła jakieś drzwi i zapytała:

- Andriej, a gdzie reszta dzieci?

- Nastia jest w ogrodzie, Simka jej pomaga, a Pawlik poszedł po wodę.

- A ty co się tak migasz?

Chłopak nie odpowiedział. Matka poleciła mu zawołać pozostałych i pięć minut później w pokoju stawiała się grupka umorusanych dzieciaków. Najstarsza miała jakieś szesnaście lat, sprana sukienka opinała zgrabną dziewczęcą figurę. Reszta dzieci nosiła tylko majtki. Bose nogi, potargane włosy, szyje czarne od brudu. W tym domu stanowczo przedkładano piękno moralne nad fizyczne. Napstrykałam trochę zdjęć, kilka dałam dzieciom i udając zdziwienie, zapytałam:

- Gdzie reszta dzieci? Chciałabym napisać o wszystkich. Anna westchnęła.

- Mieliśmy ośmioro. Najstarszy zachorował nieuleczalnie i, niestety, umarł. Drugi z kolei wyuczył się na kapitana i stale jest w rejsach. Córka Weronika jest aktorką. Wciąż kręci, nie ma czasu, żeby przyjeżdżać do domu, Anton też cały czas pracuje, zajmuje się handlem. Ze mną są tylko najmłodsze.

Popatrzyłam na chude, wyraźnie niedojadające dzieci i powiedziałam zniechęcona:

- Poproszę o adresy starszych.

Anna się zawahała. Wyraźnie nie miała ochoty zwierzać się dziennikarce, że potomstwo zapomniało o domu rodzinnym.

- To nie ma sensu, szkoda szukać, jedno na morzu, drugie kręci film. Lepiej niech pani napisze, że wszystkie dzieci otrzymały wykształcenie i stały się pełnowartościowymi członkami społeczeństwa.

- A Weronika? - spróbowałam docisnąć.

- Co Weronika? - zdziwiła się. - Nie uznaję telewizji, uważam, że oglądanie ogłupia dzieci, ale wiem, że córka występuje w wielu filmach i jest sławna. No cóż, co komu przeznaczone. Skoro wybrała taką drogę, niech tak będzie. My, ojciec i ja, zrobiliśmy, co do nas należało, daliśmy im skrzydła, a teraz niech same fruwać.

Jasne, prosto na cmentarz. Wychodzi na to, że kochająca mamusia nie wie ani o śmierci starszej córki, ani o losie synów. Ładny mi pedagog! Nic jej nie powiem, niech o nieszczęściu zawiadomi ją milicja. Niepotrzebnie tu przyjeżdżałam. Nie zdobyłam adresu Antona, trzeba szukać gdzie indziej.

Wracałam do Moskwy, zmagając się ze smutnymi myślami. Jakie to dziwne! Wcześniej nigdy nie miałam czasu na, jak to się mówi, wychowywanie dzieci. Każdą wolną chwilę przeznaczałam na dorabianie, inaczej nie mielibyśmy z czego żyć: jeść

chcieli wszyscy, a zaopatrzeniowiec był jeden - ja. Niekiedy ścigałam do domu koło jedenastej wieczorem, zjadałam podsuniętą mi przez Kieszkę kanapkę i dosłownie padałam na łóżko. Rzadko chodziliśmy do teatru, kina czy cyrku, nigdy nie graliśmy w totka. Ale kiedy spadło na nas nieoczekiwane bogactwo, poradziłam Arkaszce, żeby zbudował sobie oddzielny dom. Obok, na tej samej działce, ale własny.

- Coś ty - machnął ręką - ja i Kicia nie wytrzymamy bez was.

Natomiast Anna, jej zdaniem, oddała dzieciom wszystko, co mogła, a osiągnęła coś wręcz przeciwnego.

Moje filozoficzne rozmyślenia przerwał dziwny stukot, samochód zniósł na bok. Zdołałam zahamować, wysiadłam i obejrzałam tylne koła. Niech to diabli, kicha! Koło zapasowe mam, narzędzia też, do koloru, szkoda tylko, że dobry Bóg obdarzył mnie cherlawymi rękami. Odkręcić mutry może i zdołam, ale dokonać odwrotnej procedury...

Trudno, trzeba szukać fachowca.

Droga była całkiem pusta. Jakiś czas stałam pod palącym słońcem, wreszcie zamknęłam samochód i ruszyłam w stronę widniejącego w oddali dwupiętrowego białego domu. Piaszczysta ścieżka wiła się wśród kupek śmieci, upał był nieznośny i już wkrótce oblepił mnie szary pył.

Zbliżywszy się do budynku, dostrzegłam tablicę: Szpital Miejski. No i proszę, ma się to szczęście, zaraz się umyję i znajdę jakiegoś wujka Wasię. Toaleta mieściła się na parterze. Na drzwiach kolebała się wywieszka „Brak wody”. Ciężko westchnęłam i ruszyłam długim, cuchnącym chlorem korytarzem. Nigdzie ani żywej duszy. Podeszłam do drzwi, na których widniał napis: „Chirurgia urazowa”. Pchnęłam je i stanęłam jak wryta.

Waski korytarz zapchany był łózkami. Tu i ówdzie wyrastały nad nimi zagipsowane ręce i nogi, radio ryczało, czuć było odór moczu, lekarstw i ścierki do podłóg. W środku tego koszmaru młodziutka pielęgniarka z absolutnym spokojem czytała opasły romans.

- Odwiedziny od czternastej - burknęła niechętnie, nie odrywając oczu od lektury.

Westchnawszy, wyciągnęłam portmonetkę i zaczęłam wyluszczać sprawę. W siostrzyczce obudziła się niezwykła życzliwość i, chowając szybko banknot, pomknęła na poszukiwanie mechanika, poinstruowawszy mnie:

- Jeśli ktoś poczuje się gorzej, to niech poczeka.

Rozejrzałam się po zapchanych chorymi dusznym korytarzu. Jasna sprawa, jeśli tylko któryś z nich zacznie umierać, natychmiast każe mu czekać na powrót pielęgniarki. Choć tak na oko śmiertelnie chorych raczej tu nie było, sami połamańcy. Tylko nad jednym łóżkiem nie piętrzyły się żadne wyciągi i nie dostrzegłam zagipsowanego nieszczęśnika. A może tam nikt nie leżał? Prześcieradło naciągnięto równiutko, jakby pod nim nie było żadnego ciała. Podeszłam bliżej. Na łóżku leżała kobieta. Wychudzona żółtawa twarz o ostrych rysach, na głowie namotany opatrunek niczym kask hokejowy. Ze zbyt szerokiego wycięcia koszuli wychylała się chudziutka szyja z paskudną ciemnosiną pręgą. Samobójczyni - przemknęło mi przez myśl -usiłowała się powiesić. Kobieta oddychała tak słabo, że gdyby nie unoszące się leciutko prześcieradło, ani przez chwilę nie pomyślałabym, że żyje. W nogach łóżka wisiała tabliczka: „Tożsamość nieustalona, przyjęta 20 czerwca”. Goła noga biedaczki zwisała na podłogę. Leżeć w takiej pozycji musi być bardzo niewygodnie.

Spróbowałam wsunąć zaskakująco ciężką kończynę pod prześcieradło i natrafiłam spojrzeniem na duże znamię na kolanie. Brązową plamę porastały krótkie czarne włoski.

„Powinnaś usunąć to znamię - zadzwieczęła w mojej głowie głos Żeni Polakowej - ale się boję, no i chodzę z tą myszką”.

- To pani chce, żeby wymienić koło? - usłyszałam za plecami grzmiący głos.

Jegomość koło czterdziestki, w brudnym niebieskim fartuchu i podartych adidasach, trzymał w rękach skrzynkę z narzędziami. Ale mnie teraz nie to było w głowie. Wcisnęłam mu kluczyki, poleciałam, aby po naprawieniu podprowadził samochód pod drzwi szpitala, i rzuciłam się na poszukiwanie jakiegoś lekarza.

Eskulapowie siedzieli w pokoju lekarskim. Dwie baby dobrze po pięćdziesiątce i młodziutki chłopak. Nie przejmując się spiekotą, opychali się tortem biszkoptowym z tłustym kremem i pili gorącą herbatę.

- Skąd zabraliście tę niezidentyfikowaną, która leży pod oknem? - zapytałam.

- Po pierwsze, dzień dobry - usadziła mnie gruba lekarka.

- Krewnych informujemy od szesnastej - dodała szczekliwie chudsza.

- Nie widzi pani, że jesteśmy zajęci? - wybełkotał chłopak z ustami wypchanymi tortem - co za ludzie, zjeść nie dadzą.

Ach tak, no to zaraz zaczniecie skakać jak pchły. Ignorując zrzedzających lekarzy, wyjęłam z kieszeni komórkę, wcisnęłam dla niepoznaki kilka guzików i zawołałam do buczonej słuchawki:

- Iwanie Iwanowiczu, proszę przysłać ekipę, zdaje się, że odnalazłam Polakową, zaraz przesłucham lekarzy.

Chłopak nie trafił łyżeczką do ust i z radością zobaczyłam, że kremowa róża pacnęła prosto na jasne spodnie bojownika o spokojne picie herbaty.

- Kim pani jest? - Grubaska nie traciła rezonu.

- Major Wasiljewa z Moskiewskiego Wydziału do Walki z Przystępczością Zorganizowaną. A teraz proszę powiedzieć, kto, kiedy i skąd przywiózł kobietę.

Chuda lekarka rozłożyła ręce:

- Sami niewiele wiemy.

Przed kilkoma dniami mieszkaniec Bołotowa, Wiktor Siergiejewicz Razumnow, przywiózł do izby przyjęć całkowicie naga, bardzo pobita kobietę. Biedaczkę najpierw ktoś ogłuszył, a potem dusił, zapewne kapronowym sznurem.

- To się zdarza - westchnął chłopak - piszą o tym w książkach. Morderca zaciąga sznur na szyi, głowa ofiary obwisa, mięśnie wiotczeją, odchodzi mocz, oczy się otwierają... Ewidentna śmierć. Drań myśli, że to już koniec, porzuca ciało. Po kilku sekundach wraca oddech, człowiek ożywa. Wprawdzie bardzo rzadko, ale się zdarza. Pewnie tak było w tym wypadku. Dobrze, że trafił się przywoity człowiek, zapakował biedaczkę do żiguli i przywiózł do nas. Ledwośmy ją odratowali. Powiedziała pani, że jak się nazywa?

Wzięłam od nich namiary na Razumnowa i zadzwoniłam do rodziców Polakowej z informacją, gdzie znajdują córkę. Matka powiedziała z płaczem, że natychmiast ruszają.

Dziwnym trafem dobry samarytanin Wiktor Siergiejewicz mieszkał po sąsiedzku z Miedwiediewami. Zwracać się do niego na pan było zdecydowanie przedwcześnie. Rudy chłopak miał najwyżej szesnaście lat. Dumny jak paw, że pofatygował się do niego „oficer operacyjny” z samej Moskwy, zaczął ze swadą opowiadać.

Tamtego dnia, korzystając z tego, że rodzice handlowali na rynku mięsem, wziął żiguli starszego brata i pojechał zaszpanować przed swoją dziewczyną w sąsiedniej wiosce Kastino. Droga była wyboista, a po niedawnym deszczu zostały kałuże, więc tuż przed wioską Witka skręcił nad jezioro. Wziął z bagażnika wiadro i poszedł po wodę. Na brzegu, tuż nad wodą, leżała goła dziewczyna. Chłopak przeraził się, bo pomyślał, że znalazł trupa, ale dziewczyna poruszyła się lekko. Witka okazał się dobrym człowiekiem. Najpierw przewrócił dziewczynę na wznak, ale jej twarz była mu nieznaną.

- Wiadomo - perorował - że najpierw powinienem wezwać milicję i pogotowie, ale najbliższy telefon diabli wiedzą gdzie, a karetka jedna na całe miasto. Nie miałem czasu czekać, bo z dziewczyną było bardzo kiepsko. Twarz sina, z trudem oddychała.

Zebrał się w sobie, podniósł dziewczynę, ulokował jak mógł na tylnym siedzeniu i zawiózł do szpitala. A jedyną nagrodą za ten dobry uczynek był szturchaniec, jakiego zarobił od starszego brata za poplamione krwią siedzenie.

- Nic się nie martw - powiedziałam, podając mu sto dolarów - opowiem wszystko jej rodzicom, myślę, że nagrodzą cię po królewsku.

- Bo zasłużyłem - ożywił się Razumnow - przecież uratowałem jej życie. Inaczej umarłaby na brzegu, tą drogą rzadko kto jeździ, wszyscy wola objazdem, po szosie. Ona już prawie konała, gdy się tam zjawiłem, mruzczała tylko o jakiejś Janie.

- Co? Co takiego?

- Kiedy kładłem ją do samochodu, jęknęła i powiedziała bardzo cicho: „Nie rób tego, Jana, nie zabijaj mnie”.

Do domu wróciłam około piątej. W głowie miałam mętlik. Kto usiłował zabić Żenię? Czy naprawdę niepozorna i cicha Jana? Za co? A może Sokołowa wróciła do domu?

Wykręciłam numer Jany i długo wsłuchiwałam się w miarowy sygnał. Albo nikogo nie było w domu, albo wyłączono telefon. W gabinecie Bekas zmagął się z nauką pisania.

- Pisze się szklany czy szklany?

- Szklany, drewniany, miedziany.

Zaczął pisać w skupieniu. Poszłam do kuchni, zaparzyłam kawę i usiadłam przy oknie. Och, jak dobrze! Olga z bliźniętami na spacerze, Arkady w pracy, Mania musztruje Bekasa, a teściowe gdzieś przepadły. Z domowników ulokowały się koło mnie tylko psy i koty, a one mają jedną zachwycającą cechę -nie umieją mówić.

Zaczęłam rozmyślać, pociągając aromatyczny napój. Czego zdołałam się dowiedzieć? Jak na razie, nic pocieszającego. Maks zastrzelił Weronikę w wyjątkowo podły sposób, we śnie. Wierzyłam, że nie miał z tym nic wspólnego, ale wszelkie poszlaki świadczyły przeciwko niemu. Co za idiota! Skoro już chce się ukatrupić małżonkę, trzeba zrobić to cicho. A ten nie, rozповідаł na prawo i lewo, że chce zastrzelić najdroższą żoneczkę, i wymachiwał pistoletem. Czyżby tak się zakochał w tej Janie, która przepadła jak kamień w wodę, że stracił rozsądek? Gdzie się podział milion dolarów? Maks otrzymał go wieczorem, a następnego dnia został aresztowany za morderstwo. Na pewno nie zdążył złożyć pieniędzy w banku. Oddał kochance albo Siemionowi? Mało prawdopodobne, ja bym nie powierzyła Sieni nawet dwóch rubli. Czemu Adelajda tak się wściekła? I dlaczego odniosłam wrażenie, że to nie ona strzelała? Przecież doskonale widziałam przez okienko jej twarz. Pantofle na obcasach ogromnego rozmiaru? Bzdura! Specjalnie je włożyła, żeby zostawić mylące ślady na podłodze. Jaka przebiegła, miała nawet rękawiczki, nie wiedziała tylko, że ja siedzę w toalecie! Może naprawdę wszystko jest jasne jak słońce? Nika obrzydła Maksowi, więc ją zabił, a Sienia ciągłymi zdradami doprowadził Adelajdę do ostateczności. Radę Iljiniczną i Tanieczkę zabił włamywacz, Żenię zaatakował gwałciciel...

Westchnęłam. Nie, jasne, że wcale tak nie było. Ale jak?

Rozdział 19

Rano zadzwoniłam do Aleksandra Michajłowicza.

- Daszuta - ucieszył się - dawno nie rozmawialiśmy. Jak tam Hootchuś?
 - Tyje - zapewniłam go i zapytałam: - Możesz mi powiedzieć, komu wydaliście ciało Weroniki Miedwiediewej?
 - Prosiłem, żebyś się nie mieszała do tej sprawy! - wybuchnął natychmiast.
 - W nic się nie mieszam - obraziłam się. - Po prostu byłam na widzeniu u Maksa, denerwuje się, to chyba zrozumiałe.
 - Jeśli wziąć pod uwagę, że ją zastrzelił, to chyba nie bardzo - odciął się. - A zwłoki Miedwiediewej są jeszcze u nas, mamy pewne wątpliwości.
 - Jakie?
 - Daszuta, nie wybierasz się latem do Paryża? - spróbował zmienić temat.
 - Nie - rozczarowałam go. - A przy okazji, nadal nie ustaliliście, kto zabił ciotkę Jany Radę Iljiniczną i sąsiadkę Tanie?
 - Jestem bardzo zajęty - oświadczył - zdzwonimy się później. Proszę bardzo, tylko nie zapominaj, że w twoim oddziale załęgła się piąta kolumna. Skumałam się z Żenka. Mam coś takiego, za co zwariowany psiarsz wyśpiewa każda tajemnicę.
 - Żeniulku - zaczęłam w słuchawkę - nie odzywasz się, co u was?
 - Mów, o co ci chodzi, tylko krótko, bo nie widać mnie spod spraw do załatwienia.
 - Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać, tylko mam coś dla jorkszyrów, przywieźli mi z Paryża, ale nie ma sprawy, porozmawiamy o tym kiedy indziej.
 - I odłożyłam słuchawkę. Ciekawe, czy zaraz oddzwoni, czy przejdzie do innego gabinetu? Telefon zadzwonił po pięciu minutach. Aha, czyli przeszedł gdzieś, gdzie nikt mu nie przeszkodzi.
 - Co mówiłaś o jorkszyrach?
 - A nic, głupstwo, pracuj spokojnie - znęcałam się nad biedakiem.
 - Nie wygłupiaj się, mów.
 - W Paryżu w specjalistycznych sklepach pojawiła się pewna nowinka. Specjalne kapsułki witaminowe, tylko dla jorkszyrów.
 - I co? - zapytał niecierpliwie.
 - Podajesz po dwie sztuki i po pięciu dniach sierść się nie płacze, nie ma kołtunów, nic a nic.
- Ekspert milczał wstrząśnięty. Zrozumie go tylko ten, kto co wieczór, przyciskając do kanapy wrywającego się psa, rozczesuje splątane

kudły.

- Ale to pewnie szkodliwe dla zdrowia - wydusił wreszcie.
 - Skądże - nawijałam radośnie. - To zwykły zestaw witamin, nie pamiętam, czym tłumaczyli takie działanie.
 - Fantastyczne - rozentuzjasmował się. - I dasz mi je?
 - Dam, tylko powiedz, czy znaleziono zabójcę Rady Sokołowej?
- Zenia chwilę myślał, wreszcie wydusił z siebie:
- Wiesz co, lepiej przyjedź tutaj, to rozmowa nie na telefon, i weź ze sobą ten środek.

Odłożyłam słuchawkę i parsknęłam śmiechem. I proszę, jak łatwo manipulować ludźmi, jeśli zna się ich pasje. No dobrze, ale przed wyjściem nie zaszkodzi wypić kawkę.

W jadalni siedziały teściowe.

- Odbyliśmy taki piękny spacer po lesie - zawołały unisono - i pieski wzięliśmy, Bundiuszę i Snapika.

Jasne, Nina Andriejewna bez ukochanego pitbulla nigdzie się nie ruszała.

Nalałam sobie kawy i westchnęłam. Teściowa numer dwa jak nic zaraz zaczęła swoją starą śpiewkę.

- Bundy nie może jeść nic tłustego, dziś znowu brzydko kupkał. Wiemy, wiemy, „za rzadko”. W tym momencie zadzwonił telefon. Nina Andriejewna podniosła słuchawkę. Jej wesoła twarz poblądła, policzki się zapadły, nos dziwnie wyostrzył.

- Kochany - krzyknęła - synku, jak się masz?

Ale zaraz wyciągnęła słuchawkę w moją stronę i wyszeptwała:

- Mówi, że ma niewiele czasu, prosi ciebie. Głos Maksa przebijał się poprzez szumy i trzaski:

- Daszuta, tu jest kwarantanna, bo panuje żółtaczka, nie dopuszczają adwokata, nie ma widzeń, przyślij lekarstwa i jedzenie, nie zapomnij o papierosach, tu nie ma żadnych...

- Maks - wrzasnęłam jak opętana - gdzie schowałeś milion dolarów od Obłego?

- Jak to gdzie? - zdumiał się eksmałżonek. - W sejfie na pawlaczu, zapytaj mamę, ona wie.

- Maks! - zawołałam, ale w słuchawce rozległo się buczenie. Rimma Borisowna patrzyła na nas z wielkim zdziwieniem.

- Mój syn - zaczęła Nina Andriejewna, próbując powstrzymać drżenie ust - wyjechał do Ameryki, dzwoni stamtąd, choć dosyć rzadko, bo to dużo kosztuje.

- A - powiedziała przeciągle Rimma Borisowna, nie wierząc w ani jedno jej słowo - oczywiście, tylko zdaje mi się, że Dasza mówiła coś o paczce do więzienia.

- Pójdę się przebrać - wybąkała Nina Andriejewna i wyszła z jadalni. Żelazna kobita, niezwykła siła woli. Ale i ja musiałam już wyjść.

Żeńka siedział przy mikroskopie, wpatrzony w okular.

- Przyniosłaś? - zapytał niespokojnie.

- Dowiedziałaś się?

- Dobra, dawaj witaminy.

- Najpierw towar, potem zapłata - odgryzłam się.

- Szantażystka - wycedził. - Pułkownik mnie zabije, jak się dowie.

I podzielił się ze mną tajemnicami służbowymi.

Przed bramą bloku Jany Sokołowej stoją dwie budki. W jednej sprzedają chleb, mleko i inne produkty spożywcze, w drugiej gazety, papierosy i różne drobiazgi. Sprzedawcy doskonale widzą bramę. Na dodatek mieszkają w tym domu i świetnie znają wszystkich sąsiadów, którzy często robią u nich zakupy. Sprzedawczyni z kiosku założyła nawet zeszyt i niektórym daje towar na kreskę. No więc sprzedawczynie mówią, że Tanieczka codziennie przychodziła do sklepiku i kupowała świeży kefir dla Rady Iljinczy. Nagle przestała się pokazywać, Jana też się nie pojawiała. Aż tu niedawno Jana weszła do bramy swojego domu. Po blisko dwudziestu minutach wyszła z jakąś dziewczyną, wsiadły do samochodu i odjechały. Od tej pory nikt jej nie widział. W mieszkaniu znaleziono odciski palców wyłącznie członków rodziny i Tanieczki. Drzwi wejściowe nie były wyłamane. Mało tego, zabójca,

wychodząc, zamknął je na klucz. Z mieszkania nic nie zginęło. Milicja wszczęła poszukiwania Jany, ale na razie bez rezultatu. Całą sprawę utrudnia też fakt, że w domu nie znaleziono ani jednej fotografii. Wygląda na to, że Sokołowowie nie mieli żadnych zdjęć. Rada Sokołowa i Tania zostały zastrzelone. Inna bliska koleżanka Jany Żenia Polakowa padła ofiarą bandyckiego napadu. Studenci z roku pozdawali egzaminy i rozjechali się w różne miejsca. Milicja dysponowała jedynie dwoma niezbyt wyraźnymi zdjęciami dziewczyny. Jedną znaleziono w biurku, Jana ma na niej około szesnastu lat, drugą otrzymano w dziekanacie. Oba zdjęcia są czarnobiałe, małe i bardzo trudno na ich podstawie zidentyfikować Sokołową. Niemniej rozdano je patrolom. Ale Jana jakby się pod ziemię zapadła.

Do Rady Sokołowej i Tanieczki strzelano z pistoletu TT. Ciotce najpierw przestrelano szyję, a potem dla pewności strzelono w głowę. Tania została trafiona prosto w serce i też w głowę. I to wszystko. Niczego więcej nie udało się ustalić. Początkowo próbowano szukać zabójcy wśród znajomych Tani. Ale Tania nie była zbyt towarzyską, na dyskoteki, do restauracji, na studenckie imprezy nie chodziła. Chłopaka nie miała, z facetami w ogóle się nie zadawała, żadnych biznesów nie prowadziła. Jej jedyną koleżanką była Jana Sokołowa. Rada Sokołowa przez ostatnie lata nie wychodziła z domu. Zakupy robiły Jana i Tanieczka. Jej bliską znajomą była jedynie Amalia Gienrichowna Klein, sąsiadka z poprzedniego mieszkania. Ale Amalii nie ma w Moskwie, wyjechała na urlop do Turcji, co uwalnia ją od wszelkich podejrzeń. Wyruszyła dziesiątego czerwca, a wtedy Tania i Sokołowa jeszcze żyły.

Pozostawiłam Żeńkę nad upragnionymi witaminami i wyszłam na ulicę. Natychmiast oblepił mnie wilgotny, gęsty upał. Powietrze było całkiem nieruchome. Powoli pojechałam na ulicę Nowosłobodską. Skąd ja znam to imię i nazwisko: Amalia Klein? Kto się tak nazywał?

W więzieniu, jak zwykle, kłębiła się kolejka. Obeszłam okienka i znalazłam znajomą Katierinę.

- Cześć - ucieszyła się i zatrzasnąwszy drewniane drzwiczki, wyskoczyła do mnie.

- Masz ci los, poszła sobie - burknęła gruba baba, ściskając w rękach torebkę z karmelkami bez papierków.

- A ja to niby nie człowiek, wysrać się nie mogę? - rozdarła się na babę Katierina. - Będiesz się tu wymądrzać, to w ogóle nie wrócę!

- No dobrze, już dobrze, przepraszam - przestraszyła się biedaczka.

- Co za ludzie - wściekała się Katierina - złośliwe jak te małpy, chodź stąd.

Wepchnęła mnie do małego pokoiku z metalowymi szafkami, najwyraźniej przebieralni.

- O co chodzi?

- Chcę przekazać lekarstwa i żywność. A co jeszcze powinno się przynieść?

- Wiadro, miednicę, wentylator, proszek do prania - zaczęła wyliczać - prześcieradło, pled, bieliznę pościelową...

Coś takiego, całe gospodarstwo.

- Leć do domu towarowego, kup wielką torbę, chińską. Włóż do niej wszystko i przyjdź po trzeciej. Tylko nie kupuj nic drogiego, bo zabiorą. A papierosów kup jak najwięcej, z dziesięć kartonów tych lepszych, jakie twój pali, i ze dwa tańszych, żeby miał czym częstować. Chamiry i psychy nie kładź, tym się nie zajmuję.

- Czego? - nie zrozumiałam.

- Wódki i narkotyków nie przekazuję, boję się - wyjaśniła.

Przez następne dwie godziny ganiałam po sklepach. W rezultacie w bagażniku w volvie wylądowały trzy torby, ciężkie jak nieszczęście. Kątka prychnęła, podnosząc jedną z nich.

- Może być - burknęła, przeglądając zawartość - ale i tak jesteś chyba stuknięta, po kiego mu woda kolońska, przecież wypije!

- On nie jest alkoholikiem.

- No to inni mu zabiorą i wypiją - poinformowała mnie radośnie. - A to co?

- Telefon komórkowy.
- Też coś, znajda, przyłożą mu raz i drugi, i natychmiast powie, kto mu go przekazał.
Szybciutko wyciągnęłam jeszcze jedną studolarówkę. Katia wpatrywała się przez chwilę w zielony papierek i wsunęła aparat za pazuchę. Igły, nożyczki i szczyryk nie wywołały żadnego protestu.
- Dobrze zapłacę temu, kto umożliwi mi spotkanie z Polańskim, ale bez szyby, oko w oko.
Katierina pokręciła głową.
- Nie, ja tylko przesyłki.
Wróciła jakieś czterdzieści minut później i podała mi wyświechtaną kartkę z zeszytu: „Wszystko dostałem, dziękuję, Maks”.
Ocierając pot i próbując się pozbyć okropnego więziennego zapachu, pojechałam na bazar na Gorbuszce. Rzędy budek biegły w dal. Sprzedawcy na wyprzódki zachwalali swój towar. Ale ja nie potrzebowałam ani Titanica, ani Armagedonu, ani Głupi i głupszy. Interesowała mnie wyłącznie pornografia. Wreszcie natrafiłam na stoisko z poszukiwanym towarem i zaczęłam się rozglądać za sprzedawcą. O, ten będzie dobry.
Czerwony na pysku byczek pociągał piwo z ciemnej butelki. Leniwym spojrzeniem wodził po tłumie. Podeszłam do pudeł i zaczęłam przeglądać kasety. Wesołe wakacje, Zakonnice na urlopie, Stalowa maszyna...
- Mocna rzecz - pstryknął palcem w Zakonnice - dopiero dostałem. Skrzywiłam się:
- E tam, nic nowego, wszędzie tylko te baby...
- A co byś chciała? - zdziwił się. - Filmów o miłości platonicznej? To nie u mnie.
- Wcale nie, ale to jest na jedno kopyto, wszystko już widziałam - i o lesbijskach, i o gejach, i o zoofilach. Już mnie to nie bawi.
- Mam porno rodzinne, kręczone ukrytą kamerą, nic ustawianego, wszystko na żywo.
- Łee, jeszcze gorzej. Jakies stare baby i obrośnięci faceci z brzuchami do kolan, niedobrze się robi.
- To czego chcesz? - zdenerwował się.
- Podobno można zamówić film według własnego scenariusza, na przykład z nieletnimi albo sadomaso.
- Można albo i nie - burknął czerwonogęby - ale wiesz, ile to będzie kosztować?
- To nie ma znaczenia - machnęłam lekceważąco ręką - byle męża podniecić.
- Kup mu viagrę, wyjdzie taniej.
- Posłuchaj, doktorku - uznałam za wskazane warknąć - sama wiem, co komu kupić. Nie przyjmujesz zamówienia, to nie, znajdę innego.
- Pożartować nie można? - spokorniał natychmiast. - Przyjdź za dziesięć minut.
Posłusznie snułam się po bazarze. Słońce piekło niemilosiernie, między stoiskami uwijały się dziarskie babcie, sprzedające napoje i domowe wypieki. Kupiłam od jednej puszkę pepsi, wypić ją jednym haustem obrzydliwą ciepłą cieczą i wróciłam do byczka od porno. Obok niego siedział facet w brudnych dżinsach i palił papierosa.
- To tobie zachciało się filmu na zamówienie? Kiwnęłam głową.
- Scenariusz twój czy mój? Co byś chciała?
- A kto kręci? -Ja.
- Powiedziano mi, że najlepszym specem jest Anton Miedwiediew.
- Kto?-zdziwił się „reżyser”.
- Anton Miedwiediew.
- Nie znam takiego, o różnych słyszałem, ale tego nazwiska nie znam. To co, zamawiasz?
- Coś ci powiem, przyjadę tu jutro, a ty się rozpytaj o Miedwiediewa. Jeśli go znajdziesz, złożę u ciebie zamówienie. Chłopak popatrzył na mnie podejrzliwie.
- Myślisz, że głupiego znalazłaś. - Splunął i odszedł. Byczek popatrzył za nim i wycodził:

- Czego tu sterczysz? Idź, jak ci się towar nie podoba, i kup swojemu impotentowi Śpiącą królową.
Podeszłam do niego i wysyczałam mu prosto w oczy:
- Licz się ze słowami, bo pożałujesz.
- Oj, oj, ale się wystraszyłem - zarżał - zaraz się rozplączę. Może się przekonamy, kto będzie żałował. - I zagwizdał na dwóch palcach. Jakby spod ziemi wyrosły nagle dwa typki, ubrane mimo upału na czarno.
- Co jest, Andriusza? - zapytał jeden.
- Paniusia rozrabia - poinformował go czerwonoogęby. - Kupić nie kupuje, tylko mi wymyśla.
Typki, uśmiechając się krzywo, ruszyły w moją stronę. Wyciągnęłam rękę z „listem żelaznym” od Obłego i rzekłam władczo:
- No już, gnojki, przyprowadzić mi tu szefa. Ochroniarze przystanęli, następnie jeden podrapał się w głowę i zniknął, a drugi pozostał w bezpiecznej odległości. Zaledwie po pięciu minutach pojawił się mężczyzna, na oko trzydzieści pięć lat, z paskudnymi, przebiegłymi oczkami. Jednym spojrzeniem ocenił pierścione i rozciągnął w uśmiechu wąskie jak szczelina usta.
- Proszę wybaczyć chłopakom, to zwykłe pieski, nie znają się na subtelnościach.
- To nie do pomyślenia - oświadczyłam. - Przyszłam kupić kasetę, a tu nie dość, że nie ma z czego wybrać, to jeszcze pyskówkę mi urządzają.
- Dlaczego obrażasz porządnego człowieka? - zapytał spokojnie mordziastego.
- Nie chciałem, przepraszam, skąd mogłem wiedzieć, że ona jest od was - zaczął się jąkać. - Myślałem, że baba chce się poawanturować.
- Później ci wszystko wytłumaczę - powiedział cicho „subtelny” i zwrócił się do mnie:
- Proszę za mną, pokażę pani prawdziwy towar, nie taki chłam. Ruszyliśmy w stronę małego piętrowego baraku. Na parterze był zaciszny gabinet z telewizorem, wideo, ekspresem do kawy i małą lodóweczką. Facet uśmiechnął się, prezentując perfekcyjnie zrobione zęby, wyjął komórkę i rozkazał:
- Szary, przynieś wszystko, co masz. Tylko przypilnuj, żeby to były pierwsze kopie.
Następnie zwrócił się do mnie i zapytał:
- Może wody? Upał jak w Afryce. Przełknąwszy łyk lodowatej wody, poszłam na całość:
- Koniecznie muszę się skontaktować z Antonem Miedwiediewem, który kręci filmy porno.
Znowu wyjął komórkę.
- Kolka, do mnie.
Kolka przez dłuższą chwilę zagryzał w zamyśleniu dolną wargę.
- Miedwiediew, Miedwiediew, kto to taki? Nie wiem.
- A możesz się dowiedzieć?
- A jakże, niech pani zadzwoni do Anatola Igoriewicza jutro. Jeśli tylko ten Miedwiediew jest w Moskwie, spod ziemi go wydostanę.
- Proszę się kłaniać Iwanowi Michajłowiczowi. - Anatol Igoriewicz podał mi wizytówkę. - A to kasety.
Wręczył mi paczuszkę. Sięgnęłam po portmonetkę.
- Nie, nie, co za pomysł! - roześmiał się.
Wrzuciłam do auta całkiem niepotrzebne filmy i ruszyłam do domu. Mam dość, muszę odzipnąć i przezuć uzyskane informacje. Miedwiediewa nikt nie zna, może już od dawna nie robi filmów, może nakręcił tylko jeden film i zarzucił „sztukę”.
Ciekawe, dlaczego milicja nie znalazła w mieszkaniu Sokołowej żadnych zdjęć? Doskonale pamiętam, jak Rada wyciągnęła z szafki w kuchni gruby album i pokazała mi mnóstwo zdjęć Jany. I skąd znam to nazwisko - Amalia Klein, z pewnością dość rzadkie.
Volvo toczyło się spokojnie zosą. Z radia dobiegał kretyńsko entuzjastyczny głos didżeja:

- A teraz nasza niezrównana Ada Kuncyna przekaże nam ciekawostki. Twoja kolej, Adoczka!
Rażona nagłą myślą, z całej siły wcisnęłam pedał hamulca. Z tyłu rozległy się głośne przekleństwa i klaksony.
- Co za kretynka zatrzymuje się na środku drogi! - wściekał się jakiś facecik, oglądając rozbity reflektor swojego żiguli. -Szurnięta baba...
Awanturował się, przywołując na moją głowę wszelkie nieszczęścia z puszki Pandory, ale ja nie słyszałam ani słowa.
Ada! Adelajda Klein, żona Siemiona i jego przypuszczalna morderczyni. Ciekawe, co łączy ją z Amalią Klein, serdeczną przyjaciółką zamordowanej Rady Sokołowej?

Rozdział 20

W domu natknęłam się na Bekasa.

- W życiu nie zrozumieję, po cholere Francuzi piszą jedne litery, a na głos czytają inne.
Złożona sprawa, sama nie wiem. Nauczyciele zwykle wykręcają się okrągłą formułką, że to wynika z logiki struktury języka.
- Wzięliście się do francuskiego?
- Aha - kiwnął głową i pokazał mi podręcznik Maugera -pierwsza lekcja Moja rodzina. Mańka powiedziała, że jeśli w sierpniu zdam egzaminy, to weźmie mnie na tydzień do Paryża. Pokaże Disneyland. Fajnie by było z nią pojechać, wszystko tam zna i mówi po francusku jak po rosyjsku.
- Egzaminy? - zdumiałam się. - A co masz zdawać?
- Rzeczowniki, zasady pisania „o” i „je” po spółgłoskach szczelinowych, zadania z fizyki na ruch, streszczenie Martwych dusz i Eugeniusza Oniegina, a z francuskiego tematy: Moja rodzina, Ogród zoologiczny, Żywność - wyliczał starannie.
Chwilę milczał i dodał:
- Eugeniusz Oniegin to pół biedy, ale Martwe dusze - paskudztwo. Cziczikow to normalny oszust, spokojnie podpada pod artykuł 147, paragraf trzeci. Też wymyślił - nieboszczyków kupować, na coś takiego nawet nasi nie wpadli.
- Przed kim zdajesz? - przerwałam mu.
- Przed Manią - westchnął. - Straszna piła. Wczoraj nie odrobiłem ćwiczeń domowych, po prostu nie zdażyłem, to przyłożyła mi linijką i na dzisiaj zadała aż cztery. Iwan Michajłowicz strasznie się śmiał, a potem powiedział, że ma rację.
Poszłam do jadalni. Domorosły Makarenko popijał kakao.
- Tak przy okazji - rzuciłam - uczniów nie wolno bić, najwyżej skarcić.
- Ale on niczego nie może zapamiętać i w dodatku jest leniem - żołądkowała się. - Podobno u jego szefa była jakaś rozróżba. A ja mu powiedziałam, że to nie moja broszka, czy oni tam sobie strzelają, czy nie... Ma odrabiać lekcje, no i dla porządku przyłożyłam mu linijką. Skarżypyta.
- Wcale się nie skarżyłem - obraził się Bekas, który właśnie wszedł do pokoju - tak się zgadało.
Zgarnęli talerz z ciastkami i przeszli do gabinetu.
Wyciągnęłam się w jadalni na kanapie. Czasami życie mojej rodziny przypomina kiepską sztukę absurdu. Mania absolutnie poważnie uważa, że Bekas, uporawszy się ze swoimi bandyckimi sprawami, ma bez gadania odrabiać ćwiczenia z pisowni.
Następnego ranka obudził mnie telefon komórkowy. Miły męski głos zapytał:
- No, Daszeńko, jak idzie śledztwo?
- Kto mówi? - zdumiałam się. Mężczyzna westchnął.
- Okrutna, mogłaby pani choć udawać, że mnie pamięta. Cóż, wczoraj przydał się pani pierścionek.
- Przepraszam, Iwanie Michajłowiczu - powiedziałam szczerze.
- Gdybym podjechał teraz na chwilkę, nie będę przeszkadzał?
- Nie, skądże! - Pobiegnęłam się ubrać.

Dosłownie po dziesięciu minutach na podwórzu wjechał niepozorny rżęch. Za kierownicą dostrzegłam nieznanego chłopaka, drugi, który siedział obok niego, wyszedł i otworzył tylne drzwi.

Z samochodu wysiadł zwinnie Iwan Michajłowicz. Białe spodnie, świeża koszulka polo, prosty jak świeca i bez śladu brzucha. Gdybym nie wiedziała, ile ma lat, nie dałabym mu więcej niż pięćdziesiąt. Jak spod ziemi pojawiły się psy i rzuciły się do przyjezdnych. Na czele z dumnie podniesionym ogonkiem grzał pitbull.

- Co za śliczności - zachwylił się Obły, obrzucając szybkim spojrzeniem nasz dom. - Chodźcie tu, zuchy.

Psy tylko na to czekały. Runęły jeden przez drugiego, żeby się przywitać. Pitbull oparł się przednimi łapami o koszulę gościa i usiłował polizać go po twarzy.

- Bundy! - zawołała Nina Andriejewna, która właśnie wyszła z domu. - Jak ci nie wstyd.

- Poznajcie się państwo - powiedziałam - to moja teściowa.

Iwan Michajłowicz szarmancko pocałował ją w rękę i ruszyliśmy do salonu. Przy oknie stała Mania ze stosem kaset w rękach.

- To pani leje Bekasa linijką, gdy nie odrobi lekcji? - uśmiechnął się Obły.

Mania się zaczerwieniła.

- Też mi coś, raz mu przyłożyłam, a on już wszystkim rozpowiedział, pleciuga.

U nas w domu nie ma mowy, by zrobić coś w tajemnicy. Do salonu natychmiast wparowała ciekawska Rimma Borisowna.

- Poznajcie się państwo - powtórzyłam jak nakręcona - to moja teściowa. Matka trzeciego męża.

Wypiliśmy kawę i Iwan Michajłowicz powiedział:

- No, Daszeńko, a teraz pokaż mi rachunki, zmierzmy się z problemami. Jako księgowy, lubię najpierw zapoznać się z dokumentami. Weszliśmy do gabinetu, zapaliliśmy ulubione gauloise'y, spojrzeliśmy na siebie... i wtedy wszedł Kiesza. No nie, następnym razem musimy się umówić w McDonalddie.

Znów nastąpiła ceremonia przedstawiania się, a potem Obły zapytał:

- Pan jest adwokatem, prawda? Chciałbym zlecić panu drobną sprawę. Jeśli się z nią pan upora, klienci sypną się jak z rogu obfitości.

Kieszce zaświeciły się oczy. Iwan Michajłowicz ciągnął:

- Czekam na pana dzisiaj o szóstej po południu w restauracji Domu Literatów, tam porozmawiamy.

Po tym, jak do gabinetu po kolei zajrzeli wszyscy domownicy - Olga po niezbędnej jej w tym momencie książkę, Mania w poszukiwaniu papieru do pisania, Nina Andriejewna z pytaniem, czy jest w domu Waleriana, i Rimma Borisowna, która musiała natychmiast znaleźć długopis - wreszcie zostaliśmy we dwoje.

Iwan Michajłowicz pokiwał głową:

- Spore gospodarstwo. Machnęłam ręką.

- Już od dawna nie liczę na to, że uda mi się pobyć w domu samej.

Zawsze ktoś czegoś potrzebuje.

- Jeśli coś się pani stanie, wszyscy na tym ucierpią. A pani, Daszo, pcha się na oślep tam, gdzie na każdym rogu czyhają pułapki. Zrobimy co innego. Maks przez długie lata był moim kumplem, dobrym, przyzwoitym i, co szczególnie cenne, lojalnym kolegą. Z chwilą jego aresztowania dużo straciłem i materialnie, i moralnie. Dlatego jestem zainteresowany jak najszybszym zwolnieniem Polańskiego. Mam przyjaciół tu i ówdzie, naciśniemy na wszystkie guziki i szybkoć do doprowadzimy do procesu. Spowodowanie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku, dostanie tyle co nic, załatwimy mu zwolnienie warunkowe i już jest na wolności!

Potrząsnęłam głową.

- To znaczy, że Maks zostanie oskarżony o morderstwo? Obły potwierdził.

- Ale za to szybko wyjdzie. Zresztą, w dzisiejszych czasach wyrok w zawiąsach to żadna hańba.

- Tylko że on nie zabił!

- A kto?

Nie odpowiedziałam.

- No właśnie, tylko mu pani szkodzi. Pani się bawi w prywatnego detektywa, a on tam siedzi. Czy pani wie, ile czasu ludzie czekają na rozprawę? Po dwa, trzy lata kiszą się w Butyrykach. A w celi śpią po kolei, bo miejsca brakuje.

- Spróbuję przenieść go do celi pięcioosobowej - mruknęłam.

- To wcale nie będzie madra, bo po pierwsze, okaże się, że w celi jest dziewięciu klientów, a nie pięciu, a po drugie, kilku z nich pewnie z gruźlicą albo jakąś inną parszywą chorobą. Brzmi to paradoksalnie, ale lepiej już siedzieć w celi, gdzie jest stu dwudziestu chłopów, jeśli znajdzie tam sobie kumpla. I nie da się ukryć, że nikomu poza Maksym Weroniką nie przeszkadzała. Miała kochanków, choćby Siemiona Worobjowa czy Lonię Koszkiną, który przechwycił teraz jajowy interes. Może to on upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu - uwolnił się od kochanki i załapał się na biznes. Westchnął głęboko.

- Ale Koszkin to drobna, niezbyt rozgarnięta płotka, gdzie mu tam do kierowania biznesem. Rządzi tam już zresztą mój człowiek. Maks wróci, to znów stanie przy sterze. Jeśli mnie pani posłucha - za rok Polański będzie wolny. Jeśli natomiast będzie pani działać na żywioł, posiedzi z osiem lat.

Wciąż milczałam. Obły też zamilkł. Wreszcie uderzył dłonią w stół.

- Dobrze, pójdziemy na kompromis. Daję pani dwa tygodnie. Znajdzie pani zabójcę - wspaniale, nie - zaczynam działać po swojemu.

- Nie zawadzi zapytać Maksa, co o tym myśli - powiedziałam i przysunawszy telefon, zaczęłam wybierać numer przekazanej Maksowi komórki.

Ale w słuchawce słychać było tylko sygnał.

- Do kogo pani dzwoni? - zapytał Obły.

- Do Maksa, do celi.

Obły zaczął się śmiać jak szalony.

- Komórkę pani przemyciła! Jakim cudem przekazała mu ją pani na widzeniu? Pewnie w ciągu dnia wyłącza dzwonek, chłopaki zazwyczaj dzwonią w nocy, żeby nikt nie doniósł.

- Na widzeniu byłam tylko raz, teraz nie wpuszczają, bo żółtaczką. Z adwokatem też nie ma kontaktu.

Obły spowaźniał.

- Bardzo nie lubię puszczać spraw na żywioł. Oto co proponuję. Jutro zadzwoni człowiek i poinformuje panią, kiedy ma pani widzenie. Proszę porozmawiać z Polańskim, przedstawić mu moją propozycję. Myślę, że się zgodzi. Pani niech tymczasem spróbuje znaleźć zabójcę w ciągu dwóch tygodni. Ale proszę się mieć na baczności, bo jeśli ktoś taki istnieje, to jest przebiegły i niebezpieczny.

Gdy Obły odjechał, zadzwoniłam do Amalii Klein. Żeńka miał rację, nikt nie podnosił słuchawki. W porządku, skontaktuję się z Anatolijem Igorowiczem. Ale gdzieś mi się zapodziała wizytówka. Wytrząsnęłam zawartość torebki na stół i zaczęłam szperać w stercie rzeczy. Paczka chusteczek do nosa,

klucze, grzebień, notes, dropsy miętowe, papierosy... A to co za papierek?

Obróciłam w palcach kwit zapłaty. Salon „Wyrocznia”. A, to papierek znaleziony w dziupie. Ciekawe, co Maks robił w tym salonie, może się strzygł?

W „Wyroczni” natychmiast podniesiono słuchawkę.

- Słucham uprzejmie.

- Chcę się zapisać do mistrza.

Zapadła cisza, a po chwili żeński głos podjął:

- Czy chodzi pani o medium?

- Przepraszam, to nie jest zakład fryzjerski?

- Nie, salon „Wyrocznia”, seanse jasnowidzenia, wróżenia z ręki i tarota, korekcja karmy...

- Cudownie, gdzie mogę was znaleźć?

Zapisałam adres i pomknęłam się przebrać. Czasu jest bardzo mało,

zaledwie dwa tygodnie, a muszę sprawdzić wszystkich podejrzanych. „Wyrocznia” zajmowała pomieszczenia po byłej przychodni. W rejestracji życzliwie uśmiechnięta kobieta usiłowała dodać mi odwagi:

- Proszę mi powiedzieć o swoich kłopotach, wybiorę pani specjalistę.
- Moja koleżanka - zaczęłam kłamać jak najęta - odwiedziła tu wróżkę, która bardzo jej pomogła, nie pamiętam, jak się nazywała, ale mam kwit opłaty.

Podaliśmy rejestratorce wymięty i brudny papiererek.

- A, Marina Mak - ożywiła się - nasza najlepsza jasnowidząca, ależ ma pani szczęście, do niej trzeba się zapisywać na miesiąc wcześniej, a tymczasem dziwnym trafem ma dzisiaj okienko. Proszę iść do gabinetu numer siedem, zaraz zadzwonię do Mariny.

Ruszyłam szerokim korytarzem i znalazłam wspomniany numer obok toalety. Zapukałam kilka razy, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, pchnęłam drzwi.

Znalazłam się w dziwnym pokoju. Na zewnątrz był słoneczny, upalny dzień. Tutaj - zaciągnięte szczelnie zasłony i sączące się nie wiedzieć skąd miękkie światło, ledwo rozpraszające mrok. W prawym rogu szafka z ikonami i płonąca lampka.

Prawie cały środek niezbyt dużego pokoju zajmował stół, przykryty aksamitną serwetą, opadającą do ziemi. Na blacie leżało mnóstwo ciekawych przedmiotów. Podeszłam bliżej i zaczęłam przyglądać im się z ciekawością. Duża, zapewne kryształowa kula na czarnej podstawie, kilka talii kart, świecznik, jajko kurze i jakieś dziwne, migotliwe kryształy niezwykłego ciemnofioletowego koloru. Dotknęłam ich palcem. Nagle dziwne kamyki niczym żywe sturlały się ze stołu. Ukucnęłam i klnąc pod nosem, zaczęłam je zbierać. Jeden potoczył się pod stół. Uniósłszy zakurzony obrus, poczołgałam się po zgubę.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i usłyszałam kobiece głosy.

- Proszę wejść, póki nikogo nie ma, choć z rejestracji zadzwonili, że przyszła klientka - powiedziała jedna z kobiet mezzosopranem.

- U was też pustki? - zainteresowała się druga, o ostrzejszym i wyższym głosie.

- Nędza i tyle, może to przez ten upał, a może ludzie nie mają pieniędzy - poskarżył się mezzosopran. - W tym miesiącu, jeśli się nie mylę, było najwyżej z dziesięć osób.

- A ja z prośbą, Marinoczko.

Zamarłam pod stołem. Znalazłam się w idiotycznej sytuacji. Muszę natychmiast wyjść i wytłumaczyć, co się stało. Ale ta z piskliwym głosem znów się odezwała:

- Nie można by tego Antona Miedwiediewa poprosić, żeby znowu pomógł w rozwodzie?

- Dlaczego nie, bardzo proszę - odezwał się uprzejmie mezzosopran. - Zna pani warunki. Proszę przysłać klientów ze zdjęciem, cena jak zawsze.

- Złoty chłopak - rozanieliła się piskliwa - jak sprytnie to załatwił. Sędzia od razu dał rozwód, nie wyznaczył nawet terminu do namysłu. Dziewucha ryczała i gdyby nie Anton, na pewno wszystko nie skończyłoby się tak szybko. I niech pani spojrzy, Ania tyle wysiłku w to włożyła, a syn od żony za nic nie chciał odejść. Za to teraz nawet nie spojrzy w jej stronę. Marinoczko, kochana, zadzwoń od razu.

- Czekam na klientkę - wykręcała się Marina.

- Jeszcze tylko minutkę, błagam.

- No dobrze - zgodziła się jasnowidząca i wyszły na korytarz.

Wyczołgałam się spod serwety, rzuciłam zebrane kamyki na stół i wymknęłam się do toalety. Myjąc zakurzone ręce, patrzyłam w lustro i usilnie myślałam. Zgoda, Anton Miedwiediew to dość popularne imię i nazwisko, może chodzi o kogo innego, ale był to jedyny Anton Miedwiediew, jakiego spotkałam do tej pory.

Zapukałam, weszłam do gabinetu i powiedziałam nieśmiało:

- Przepraszam, wstąpiłam do toalety.

Siedząca przy stole kobieta królewskim gestem wskazała mi krzesło. Malownicza osoba. Ciemne gęste włosy z przedziałkiem, gruby warkocz przerzucony przez lewe ramię i opadający poniżej talii. Duże piwne

oczy jakby bez źrenic, niezwykle blada twarz. Jedynie usta z wydatnymi, zmysłowymi wargami nie pasowały do świętoszkowatego oblicza. Na pięknej pełnej szyi błyszczał gruby łańcuszek z krzyżykiem.

- Proszę usiąść - poleciła Marina Mak śpiewnym głosem - i opowiedzieć wszystko, co panią niepokoi.

Splotłam ręce, przewróciłam oczami i jak rasowa histeryczka zaczęłam nawijać.

Pokrótkie było to tak. Mój syn ukochany, krew z krwi, znalazł sobie żonę, bezczelną dziewczuchę z Kijowa. Wredna synowa całkowicie omotała inteligentnego chłopaka. Zmusza go, by pracował od rana do wieczora, a sama kupuje futra i złotą biżuterię. Z matką w ogóle przestał się liczyć. I nie zamierza się rozwieść z tą plebejuszka, ona go najwyraźniej zaczarowała. A mnie zaczął nękać ból głowy, straciłam apetyt, nie mogę spać, czuję się rozbita i zmęczona.

- Proszę się odprężyć - poleciła Marina - i położyć dłonie na kolanach.

Zaczęła energicznie machać rękami za moją głową.

- Czuje pani przyjemne ciepło?

- Cudownie wyciszające - odrzekłam, choć za cholere niczego nie czułam.

- Wszystko jasne - zawyrokowała Marina - rzucono na panią urok.

Synowa zwróciła się do czarnej czarownicy i rzuciła zaklęcie na śmierć.

- Chryste! - perfekcyjnie udałam przerażenie. - I co teraz, umrę?

Pani Mak podniosła ręce uspokajającym gestem.

- Ależ skąd, dobrze, że przyszła pani w samą porę. Zaraz oczyszczę aurę.

Zapaliła trociczkę i wzięła się do pracy. Urok odczyniała jajkiem. W efekcie jej działań biała skorupka pociemniała, a żółta woskowa świeca stała się ciemnofioletowa. Wręczyła mi szpilki, które należało nosić ostrzem w dół, wpięte w skraj sukni. Do tego specjalny piasek i talizman.

Wreszcie Marina się zmęczyła. Popatrzyłam na nią i zapytałam:

- A nie dałoby się rzucić uroku na synową?

- Ja jestem biała czarownicą - obruszyła się jasnowidząca.

- Szkoda. Dostałam pani adres od znajomej, jej bardzo pomógł Anton Miedwiediew.

- Jak się nazywa znajoma? - zapytała napastliwie.

- To znaczy nie tyle znajoma, ile sąsiadka z tej samej klatki schodowej.

- Jak się nazywa?

- Weronika Miedwiediewa - powiedziała szybko.

- Nika? - zdziwiła się. - Skierowała panią do mnie Nika? Trzeba było od razu tak mówić. A ja tu jak głupia latam dookoła z jajkiem. Nie wie pani, gdzie ona się podziewa? Wydzwaniam do niej, ale komórka wyłączona, a w domu nikt nie odbiera.

- Wyjechała z mężem do Paryża. Marina westchnęła.

- Pani wie z grubsza, co i jak? Pokręciłam przecząco głową.

- Nie, po prostu poskarżyłam się Nice, a ona powiedziała, że jest taki jeden, Anton Miedwiediew, który może zrobić tak, że syn rozwiedzie się z żoną.

- Anton jest płatnym kochankiem - wyjaśniła Marina. - Proszę opowiedzieć teraz trochę o synowej, jaka jest, co lubi, jakie ma hobby, gdzie najłatwiej spotkać ją samą. Potrzebne jest zdjęcie i pięćset dolarów. Anton zajmie się dziewczyną, a potem pošlemy zdjęcia pani synowi.

- Nie uwierzy, a ona się wyprze, powie, że to fotomontaż.

- Wtedy zorganizujemy scenę łózkową.

- Jak?

- Zwyczajnie. Anton jest niesamowicie przystojny i niektóre dziewczyny chętnie wskakują z nim do łóżka. A jeżeli synowa nie zechce, kilka kropli środka nasennego i szampan załatwią sprawę, będzie spała snem sprawiedliwego do przyjazdu pani syna. Trzeba tylko

dopilnować, by nieszczęsny małżonek zjawił się pod wskazanym adresem. Drzwi będą otwarte, i tak oto zastanie niewierną żonę w objęciach innego. Po całej akcji dopłaci pani jeszcze pięćset baksów. A gdyby się zdarzyło, że dotknięty mąż przyłoży Antonowi, dorzuci pani jeszcze pięćset. Za dowody do sądu płaci się oddzielnie.

- Trochę drogo!

- Wolna wola, jeśli chce pani dalej męczyć się z synową. Urok urokiem, ale nerwicę i wrzód żołądka ma pani jak w banku. A tak zapłaci pani i problem z głowy.

- A jeżeli się nie uda?

- Daję pełną gwarancję. Anton pomógł już niejednemu, ani razu nie nawalił. Ma pani zdjęcie?

- A czy mogę się z nim spotkać osobiście?

- Nie - odmówiła zdecydowanie - kontaktuje się pani tylko ze mną i mnie płaci. Anton spotyka się wyłącznie z obiektem.

Westchnęłam i zaczęłam szperać w torebce. Z portfela wyciągnęłam małą fotografię roześmianej Kici i Arkadego. Marina obróciła ją w rękach i zaczęła zadawać pytania.

Rozdział 21

Z „Wyroczni” wyskoczyłam mokra jak mysz, przesiąknięta wonią trociczek. Tajemniczy Anton miał przystąpić do działania już dzisiaj. Wsiadłam do samochodu i na wszelki wypadek wykręciłam numer Amalii Klein, nie licząc na powodzenie, i oto usłyszałam w słuchawce napięty kontralt:

- Słucham!

- Przepraszam, kim pani jest dla Adelajdy Klein, żony Siemiona Worobjowa?

- Boże, jestem jej siostrą! - zawołała. - Niech pani mówi, dzwoni pani z więzienia od Adeli? Jeśli ma pani dla mnie list, wynagrodzę po królewsku.

Bąknęłam coś niewyraźnie i zapowiedziałam, że wpadnę za pół godziny.

- Błagam, tylko niech pani nie zwleka, umieram ze zdenerwowania.

Punktualnie o piętnastej wchodziłam do bramy ceglanego domu, najwyraźniej spółdzielczego, zbudowanego w latach sześćdziesiątych. W bramie zasuszona staruszka podniosła senne oczy i zapytała:

- Pani do kogo?

- Do Amalii Klein.

- Pierwsze piętro - wysepleniła, ale z góry dał się już słyszeć głos:

- Tutaj, tutaj, czekam.

W drzwiach mieszkania stała jasnowłosa kobieta przy kości, można powiedzieć - Brunhilda z bujnym biustem i krągłymi biodrami. Nie była pulchna, raczej masywna. Około metra osiemdziesięciu, grube rysy, niebieskie, lekko wyłupiaste oczy, kształtny nos. Kiedy indziej wyglądałaby pewnie ładnie, ale teraz jej twarz pokrywały czerwone plamy, a zaskakująco drobne ręce szarpały nerwowo to, co jeszcze niedawno było chusteczką do nosa.

- Proszę mi dać list.

- Bardzo przepraszam, jeśli panią rozczarowałam, ale nie przychodzę od Ady. Jestem adwokatem Maksyma Polańskiego, pani go zna, prawda?

- Owszem. A co, Maks chce pomóc Adzie?

Usunęła się, poprosiła, bym zdjęła sandały, i zaprowadziła mnie do dużego pokoju z wykuszem. Całe umeblowanie, trochę staromodne i dość niegustowne, świadczyło o tym, że mieszkają tu ludzie, którzy nie mają kłopotów finansowych. Aksamitne zasłony, na oko dość zakurzone, piękny uzbecki dywan i komplet mebli salonowych Ludwika XII. Paskudne brązowe szafy, obficie zdobione złoceniami. U sufitu wielki żyrandol z brązu, po kątach fotele obite błękitnym brokatem, w wykuszu także kanapa.

Amalia opadła na kozetkę i wyjęczała:

- Zgroza, koszmar! Maks to jedyny człowiek, który próbuje nam pomóc. Uwierz pani, że przyjaciele, wszyscy co do jednego, odwrócili się ode mnie. Nie chcą mieć nic wspólnego z krewną morderczynią.

Westchnęłam i opowiedziałam jej wszystko: o zabójstwie Weroniki, aresztowaniu Maksyma, o tym, że widziałam przez okno w toalecie Adę, i o swoich wątpliwościach.

Amalia na zmianę bladła i czerwieniała, szarpiąc na strzępy chusteczkę. Gdy skończyłam, załamała rękę.

- To koniec. Adoczkę wsadzą na co najmniej dziesięć lat, ona umrze w więzieniu. Boże, jakieś przekleństwo przesładuje rodzinę, najpierw tata, potem ona.

Spojrzałam na nią pytająco. Amalia zapaliła papierosa i zaczęła opowiadać starą historię.

Henryk Klein pochodził z rodziny etnicznych Niemców. Ale po przodkach pozostało mu jedynie nazwisko. W domu nie mówiono po niemiecku.

Kleinowie osiedli w Rosji tak dawno, że z powodzeniem mogli się uważać za Rosjan. Pradziada przywiózł z Holandii Piotr I. W ciągu wieków mężczyźni z rodu Kleinów zajmowali się jedną profesją - handlem. A szło im tak dobrze, że przed 1917 rokiem stali się konkurencją dla Jelisiejewa i Riabuszyńskiego. Ale podczas gdy tamtych wichler rewolucji porwał i zniszczył, to Klein utrzymał się na powierzchni. Otóż Karl Klein, dziad Amalii i Ady, był sympatykiem bolszewików. Jako człowiek niezwykle zamożny, wspierał Lenina finansowo, za co otrzymał od niego kilka listów z podziękowaniami.

Stały się one gładem dla rodziny w latach trzydziestych, gdy zaczęły się aresztowania. Czekał nie odważyli się podnieść ręki na człowieka, który w workach z żywnością nieraz przewoził gazetę „Iskra”. A może zawdzięczał to temu, że nie mieszał się do polityki, nie przyłączał się do żadnych nurtów czy odchyłań. Po prostu kierował dużymi delikatesami, umiejętnie lawirując między klientami i władzą. Po jego śmierci u steru stanął syn Henryk. Było to w roku 1957.

Stalin umarł, kserokopie listów Lenina ozdobiły gabinety w pracy i w domu Kleina. Oryginały ukrył, nie oddał do archiwum.

Adelajda i Amalia urodziły się rok po roku. Ładne, dorodne, jasnowłose dziewczynki, całe w ojca. Po matce odziedziczyły jedynie piękne dłonie, stopy w rozmiarze trzydzieści pięć i potulny charakter. Siostry trzymały się zawsze razem, zbyt nieśmiało, by zdobyć przyjaciół. Że rodzina żywności miała pod dostatkiem, to rozumiały. Ale na dodatek ubierali się wszyscy w GUMie, w wydzielonym dziale, dostępnym jedynie dla wyższych władz partyjnych, jeździli na urlopy za granicę. I nie do jakiejś tam Czechosłowacji czy Bułgarii, ale do absolutnie niedostępnych dla zwykłego obywatela Francji i Włoch. Dwupiętrowa dacza w Kratowie, za żelaznymi drzwiami garażu nie jeden, ale dwa samochody - wołga i coś, co trudno sobie wyobrazić w tamtych czasach - volkswagen.

Pierwsze przykrości zaczęły spotykać dziewczynki, gdy umarła ich zawsze cicha i milcząca mama. Ojciec najpierw pił na umór przez kilka tygodni, a potem przyjął dwie służące. Do domu wracał późno, prawie w nocy. Ada i Amalia chowały się same i, mimo bogactwa, rosły jak zwykłe radzieckie dzieci: najpierw były pionierkami, potem wstąpiły do Komsomołu. Jedna po drugiej zdały na studia, następnie dostawały się na asystenturę. Ich przyjaciółmi był jedynie Maks Polański i córka zastępcy ojca, Ilji Kaca. Gdy Ada skończyła naukę, ojciec nagle się spostrzegł, że w domu ma dwie kandydatki na stare panny. Z właściwą sobie przedsiębiorczością wziął się do urządzania córkom życia i pół roku później odbyły się dwa wesela. Każda z dziewcząt dostała w wianie samochód, mieszkanie z wyposażeniem i książeczkę oszczędnościową z dużym wkładem.

Szczęśliwe życie skończyło się nagle, gdy pewnego zgniętego marcowego dnia Kleina aresztowano pod zarzutem zawłaszczenia mienia społecznego. Amalii i Adzie zezwolono tylko na jedno widzenie z ojcem. Śmiertelnie blady, pożegnał się z córkami, bo wiedział, że już nie wyjdzie z więzienia. Udzieliwszy im paru przykazań, a zwłaszcza, by trzymały się razem, wypowiedział dziwne słowa: „Najważniejsze, żeby nie uciekł od was zając. Dziewczeta, błagam was, odwiedzajcie grób mamy każdego dnia. Pamiętajcie, że zając może przeżyć nawet dziewięćdziesiąt lat”.

Żadna z nich nie zrozumiała, co ojciec chciał im powiedzieć. Sześciopokojowy dom rodziców przy ulicy Gorkiego skonfiskowano, podobnie jak daczę, samochody oraz książeczkę oszczędnościową ojca. Ale ani służby operacyjne, przeprowadzające rewizję, ani komornicy nie znaleźli żadnej biżuterii, złota czy waluty.

Henryk Klein został rozstrzelany. Córki nie wiedziały, gdzie i kiedy się to odbyło. Rodzinie nie wydawano ciał rozstrzelanych. Ale los wykręcił wszystkim niezły numer. Posłuszne ojcowskiemu przykazaniu, dziewczęta często jeździły do kolumbarium przy krematorium klasztoru Dońskiego, gdzie złożono prochy matki. Pewnego razu Amalia pojechała tam sama i w dziwnym otępieniu przesiedziała przy niszy prawie do nocy.

Około dziewiątej wieczorem, gdy stróż kazał jej iść do domu i ruszyła główną aleją do wyjścia, przy drzwiach krematorium spostrzegła dwóch milicjantów, którzy przenosili na wózek trumnę z nieheblowanych desek.

Zdziwiona takim nietypowym i późnym pogrzebem, podeszła bliżej. Milicjanci potoczyli wózek do środka. Sama nie wiedząc, dlaczego to robi, Amalia poszła za nimi i zobaczyła, jak stróże porządku, klnąc pod nosem, przenoszą trumnę na szyny. Podeszła dyżurna, nacisnęła guzik, trumna zjechała w dół. Gliniarze odeszli, ocierając pot. Dyżurna skierowała się już do kantoru, gdy spostrzegła ukrytą za kolumną kobietę.

- Kogo tak dziwnie skremowano? - spytała Amalia. Pracownica krematorium nie była skłonna do udzielania informacji, ale banknot sturublowy rozwiązał jej język.

- A to - burknęła - przywożą nam tu czasami ciała straconych, i to był jeden z nich.

- Proszę sprawdzić nazwisko - poprosiła Amalia drżącym głosem.

- Henryk Karłowicz Klein, urodzony w 1923 roku, dzisiaj rozstrzelany.

Amalia złapała ją za rękę i podała swój dowód. Ta poszarzała na twarzy i zaprowadziła Amalię do kantoru. Tam, nalawszy kobiecie wódki, w milczeniu wysłuchiwała jej prośby. Trudno przesądzić, czy dlatego że miała dobre serce, czy też przekonały ją cenne kolczyki z brylantami, ale około północy przyniosła do kantoru puszkę po kawie rozpuszczalnej, wypełnioną popiołem.

Kilka dni później córki postawiły ją w niszy, gdzie znajdowała się urna z prochami matki.

Po aresztowaniu ojca mąż Amalii rzucił ją, uznawszy, że nie będzie wiązał swojego losu z córką skazanego na rozstrzelanie. Ada miała więcej szczęścia. Siemion został z nią, choć, po prawdzie, nie bardzo się między nimi układało. Sienia nie przepuścił żadnej spódniczce, dzieci nie mieli. Adelajda rozmiłowała się w ogrodnictwie i cały wolny czas spędzała na daczce, hodując tam kwiaty i różne dziwne warzywa.

- Za nic nie mogę zrozumieć, dlaczego zabiła - szlochała Amalia - przecież już dawno pogodziła się z jego zdradami, właściwie machnęła na nie ręką. Sienia jako mąż nie był taki zły, troszczył się o nią. To futro kupił, to pierścionek, pieniędzy też nie skąpił. Szczerze mówiąc, Adzie nawet odpowiadało, że Sienia stracił zainteresowanie nią jako kobietą. Temperament nie jest jej mocną stroną. Siemion nie zamierzał się z nią rozwodzić. Spokojna, kulturalna żona, przymykająca oczy na awanturki, w pełni go urzędowała. No cóż, takie małżeństwo! Więc zupełnie nie rozumiem, dlaczego nagle tak się wściekła. Przecież ostatnio, wracając z daczki, zawsze najpierw dzwoniła do męża, żeby ani siebie, ani jego nie stawiać w głupim położeniu.

- Dziwne, że użyła pistoletu - westchnęłam - i zadziwiające, że trafiła, nie umiejąc strzelać.

Amalia popatrzyła na mnie uważnie.

- Ja i Ada przez wiele lat należałyśmy do sekcji strzeleckiej. Jesteśmy mistrzyniami. Ada po ciemku trafi w muchę.

Rozdziawiłam usta: to dopiero nowina.

- Czyli pani myśli, że to Ada zabiła? Amalia zapaliła następnego papierosa.

- Przykro mi, ale tu nie ma co myśleć. Zadzwoiła do mnie wczoraj, w jej celi ktoś ma komórkę.

- Wczoraj? To kiedy pani wróciła?

- Tydzień temu, ale ciągle biegam, zanosila jej żywność i różne inne rzeczy.

- A co powiedziała?

- Kiepsko było słycać, szum, trzaski. Prosiła, żeby jej wybaczyła.

Tak właśnie zawołała: „Wybacz mi, Amelko, nie wytrzymałam, zastrzeliłam drania, tyle cierpienia ci przysporzyłam. Zapomnij o mnie jak najszybciej!”.

Pochlipując, podeszła do kredensu i wlała do szklanki jakieś mocno pachnące lekarstwo.

Postanowiłam zmienić temat:

- Czy zna pani Radę Sokołową?

- Naturalnie, to jedyna bliska koleżanka moja i Ady, córka zastępcy naszego taty, Ilji Kaca.

- Jak to? - zdumiałam się. - Mężatką nie była, a zmieniła nazwisko.

- Ilię Kaca aresztowano razem z ojcem, ale go nie rozstrzelano, dostał piętnaście lat. Umarł w więzieniu. Jego żona wyszła drugi raz za mąż i dała córce nazwisko ojczyma. Radeczka jest bardzo schorowana, za mąż nigdy nie wyszła, wychowuje bratanicę, niezwykle zdolną dziewczynę. A dlaczego pani o nią pyta?

Poczekalam, aż znowu usiadzie w fotelu, i powiedzialam jej o śmierci przyjaciółki.

Biedna Amalia poszarzała i znów chwyciła krople.

- Mówiłam jej, ostrzegałam, radziłam, żeby złożyła w banku, ale nie, trzymała w domu. I co, złodzieje zwachali, a może Jana wypaplała.

Gapiłam się na nią, nic nie rozumiejąc. Zaczęła opowiadać.

Henryka Kleina aresztowano nieoczekiwanie, natomiast Kaca dopiero dwa dni później. Dlatego zdażył jeszcze schować trochę kosztowności.

Milicja nie odkryła schowka i córka dostała wszystko, co miał. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, Rada bardzo sensownie korzystała z bogactwa. Od czasu do czasu sprzedawała carskie złote czerwonce.

Pieniądże wydawała ostrożnie, nie kupowała drogich ubrań, mebli, samochodów, ale starośći się nie bała.

Szkatułkę z kosztownościami trzymała w szafie, pod dolną szufladą w małej wnęce. Kiedyś pokazała przyjaciółkom schowek. Jeśli nagle umrę

- powiedziała - weźcie to i sprzedawajcie po trochu, a pieniądze dawajcie Janie. Młoda jest, nie chcę, żeby wszystko przepuściła. Może jej też strzelić do głowy, żeby się w coś wystroić, popisać przed koleżankami.

A było się czym popisować. Przepiękny stary garnitur ze szmaragdów, kolia, wisiorek i pierścionek. Diadem z osiemnastoma czystymi brylantami, około dziesięciu par kolczyków z szafirami, rubinami i brylantami. Platynowe łańcuszki, każdy po sto gramów, kilka męskich pierścieni, naszyjnik z prawdziwych różowych pereł i wiele innych rzeczy.

Ada i Amalia błagały Radę, żeby złożyła kosztowności w banku.

- Teraz są inne czasy - przekonywały przyjaciółkę. - Nikogo nie interesuje, skąd masz pieniądze. Schowaj swój skarb w bezpiecznym sejfie.

Ale Rada nie chciała ich słuchać.

- Pewnie Jana komuś wypaplała - zawodziła Amalia - i zabili biedaczkę. Bogactwo nie przyniosło jej szczęścia. Nasz tata zapodział kosztowności nie wiadomo gdzie, a mama miała unikatowe rzeczy, że nie wspomnę już o jajkach Faberge i trzech osiemnastowiecznych tabakierkach. Wszystko zniknęło jak kamień w wodzie. Natomiast Ilja Kac uratował swój majątek, no i co z tego wyszło?

- A może te rzeczy nadal leżą we wnęce pod szufladą? Milicja nie przeszukiwała mieszkania zbyt starannie, zdjęli odciski palców i się wynieśli.

- Dobrze by było - westchnęła Amalia. - Rada ma brata ciotecznego, który jest inwalidą i kiepsko mu się wiedzie. Pomagała mu. Ale podzielić się z nim nie chciała, boby przepił. Mogłybyśmy zabrać kosztowności i oddać jego żonie i córce. Wprawdzie nie było między nimi szczególnej zażyłości, ale przecież lepiej, żeby wszystko zostało w rodzinie, a nie trafiło w obce ręce... Popatrzyła na mnie.

- Możemy pojechać i sprawdzić?
- A jak się dostaniemy do mieszkania?
- Mam klucz.

Jednym ruchem zerwałam plomby milicyjne i weszliśmy do mieszkania. Zaduch był nie do wytrzymania - pachniało kurzem, stęchlizną i nadal czymś obrzydliwie słodkawym, choć już trochę mniej. Amalia przeszła do kuchni i zbladła. Bałagan był taki sam jak w dzień przyjazdu milicji, tylko ciała zniknęły.

Na stole stały filiżanki i talerze ze spleśniałymi resztkami, gdzieś tam widniały rdzawe plamy, a wszystko pokrywał biały proszek - to milicja szukała odcisków palców.

W pokojach było prawie porządnie. Najwyraźniej ekipa śledcza szukała tylko dokumentów i fotografii.

Amalia podeszła prosto do dużej szafy, wysunęła najniższą szufladę. Ukucnęła, obmacała podłogę, wyciągnęła trzy deszczuki.

- Nic - powiedziała rozczarowana.

Zbliżyłam się do szafy i włożyłam dłoń do schowka - ledwo się zmieściła w wąskiej szparze. Zgadza się, pusto. Majątek, uratowany przez zapobiegliwego Ilię Kaca, wyparował bez śladu.

Popatrzyliśmy na siebie z rozczarowaniem.

I wtedy zadzwoniła moja komórka. Obcy męski głos zapytał:

- Daria Iwanowna? Niech pani przyjedzie o dziewiętnastej do więzienia na Butyrkach i wejdzie do budynku na pierwsze piętro. Niech dyżurny zadzwoni 3-84. Proszę czekać, ktoś do pani zejdzie. I proszę zabrać dowód osobisty.

Rozdział 22

Za dziesięć siódma zaparkowałam na Nowosłobodzkiej i popędziłam do budynku. Małe podwórko było prawie puste, jedynie pod ścianą tłoczyła się gromadka kobiet, sporządzających listę na następny dzień.

Na pierwszym piętrze obok bramki wykrywacza metalu siedziała w drucianej klatce kobieta w uniformie. Przywitała mnie sympatycznym więziennym pytaniem:

- Czego?
- 3-84.

Baba wykręciła ospale numer i zapytała:

- Kto mówi? Ach, Aleksiej Borysowicz; jakaś kobieta przyszła.
- Daria Iwanowna - odpowiedziałam.

Ale baba już rzuciła słuchawkę. Przysiadłam na parapecie.

Wreszcie rozległy się kroki. Wysoki, barczysty chłopak o prostackiej twarzy kiwnął na mnie palcem:

- Zostawić dowód.

Podaliśmy funkcjonariuszce dokument, w zamian dostałam blaszany numererek. Ruszyliśmy po schodach na górę, minęliśmy jeszcze jeden posterunek i znaleźliśmy się na długim korytarzu. „Oddział śledczy” - głosił napis.

Chłopak otworzył jeden z pokojów, wepchnął mnie do środka i odszedł. Rozejrzałam się. Pokoik był maleńki, około sześciu metrów, prawie całą powierzchnię zajmował stary obdrapany stół. Kilka krzeseł pod ścianą. Na jednym walała się skarpetka. W oknie kraty.

Znów rozległy się kroki i jasnowłosy chłopak wprowadził Maksa.

- Macie czterdzieści minut - powiedział i odszedł.

Maks usiadł na krześle, a ja wzięłam go za rękę i zaczęłam opowiadać. Słuchał uważnie, od czasu do czasu pokasłując.

- Dziękuję, przekaż Iwanowi Wasiljewiczowi, żeby mnie stąd wyciągnął, wszystko jedno w jaki sposób. Jeśli będzie trzeba, przyznam się do zabójstwa.

- Maks, coś ty!

- Nie mogę dłużej. - Podniósł ręce. - Dziękuję ci, Daszka, ale prawdziwego zabójcy i tak nie znajdą.

- Chwileczkę, powiedz, gdzie jest milion dolarów.

- Jak to gdzie? Na pawlaczu, w sejfie. Aresztowano mnie natychmiast, nie zdążyłem ich przełożyć. Ale się nie denerwuj, milicja niczego nie znalazła, bo inaczej już by mnie pytano. A ci tu tylko o Weronikę mnie szarpia.

- I nie wysyłałeś nigdzie Jany z pieniędzmi?

- Jany? Nie. A właśnie, co u niej? Nie pisze, pewnie uznała, że nie będzie się wiązać z mordercą.

Musiałam powiedzieć mu prawdę o tym, że pieniądze zniknęły, Jana przepadła, i o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło.

- Co robiłeś w salonie „Wyroczni”?

- Ja? - prawie wrzasnął. - Nigdy tam nie byłem.

- Kto wiedział, że trzymasz w domu taką furę pieniędzy?

- Tylko Weronika. Była wprowadzona w moje interesy z Obłym.

- Opisz mi swój zegarek.

- Po co?

- To ważne.

- Klasyczny w kształcie, biały metal, cyfry z drobnych brylancików, wskazówki ozdobione szafirami, numerowany longines, kupiłem go w Paryżu. Zrobiłem sobie prezent na urodziny.

- Biały metal! Jesteś pewien, że zegarek nie był złoty?

- Platynowy - rzucił krótko.

Zazgrzytała zasuwka, wszedł jasnowłosy i oświadczył:

- Już czas.

Maksa zabrano, dyżurny odprowadził mnie do wyjścia, poczekał, aż odbiorę dowód, i mruknął, zerkając na pierścionek:

- Proszę przekazać pozdrowienia Iwanowi Michajłowiczowi.

Zniknął, nim zdążyłam otworzyć usta. Ciekawe, ilu swoich ludzi ma w tym więzieniu czarujący Iwan Michajłowicz?

Rozdział 23

W domu byli prawie wszyscy. Mania z Bekasem siedzieli przy komputerze. Kicia robiła na drutach kolejny sweterek dla Wańki, panie w zapamiętaniu oglądały wiadomości w telewizji. Tylko Giery nie było.

- Trafiła mu się taka miła dziewczyna - zwierzyła mi się Rimma Borisowna - córka profesora, z mieszkaniem i daczą. Gieroczek był u niej wczoraj. Rodzice pracują za granicą, Tamaroczka mieszka teraz sama. Powiedziałam synowi - to twoja szansa, kochany. Możliwe, że jutro przywiezie ją z wizytą.

No, no, nieźła siurpryza dla uczonego tatulka - narzeczony z głuchej prowincji.

Ale najbardziej podekscytowany był Kiesza. Wreszcie trafił mu się najprawdziwszy klient, nie jakiś złodziejaszek. Chłopaka oskarżono o napad na inkasenta. Ma dopiero dwadzieścia lat, ale za sobą już dwie odsiadki, jedną jeszcze jako małoletni.

„Jeśli skosisz mi z dziesięciu przynajmniej do siedmiu lat - oświadczył Arkaszce - to nasi pociągną do ciebie jak pszczoły do miodu”.

- Nie boisz się zadawać z takimi? - zapytałam ostrożnie.

- Matka - zdziwił się nasz mecenas - chyba nie myślisz, że w więzieniach przesiadują łagodne baranki? Zgoda, czasem trafi się jakiś niewinny albo po prostu głupek, ale reszta z pewnością ma za co siedzieć. Zresztą, niedaleko pada jabłko od jabłoni! Kto mnie skontaktował z Iwanem Michajłowiczem? A ten twój Bekas!

Najprawdziwszy zbir, chociaż mnie akurat bardzo się podoba.

Westchnęłam. Nie da się ukryć, że synek ma absolutną rację. A Bekas i mnie się podoba, bo chociaż bandzior, ale taki miły, rozczulający jak szczeniak!

Tak mnie te myśli rozrzewniły, że pacnęłam na kanapę obok Kici, żeby obejrzeć malutki jak dla lalki sweterek.

- Masz pojęcie, co mi się przytrafiło? - zachichotała Olga. -Od stu

lat żaden facet na ulicy się za mną nie obejrzał, tymczasem dzisiaj kupuję wełnę w sklepie, a tu nagle przystawia się do mnie chłop jak marzenie. Wszystko jak należy - wzrost, sylwetka. Oczy niebieskie, jasnowłosey, ubrany jak z igły. Zaczął zagadywać. Z miejsca powiedziałam, że kupuję wełnę na sweterki dla moich bliźniąt. A ten jakby nie słyszał! Obsypał mnie komplementami i zniknął. Mów, co chcesz, ale czasem przyjemnie poczuć, że się jeszcze podobasz mężczyznom. To człowieka nakręca!

Mruknęłam coś i poszłam do sypialni. Najwyraźniej Anton Miedwiediew zaczął działać. Muszę powiedzieć o wszystkim Oldze, uprzedzić ją. Ale dopiero jutro, bo dziewczyna tak się ucieszyła, że ktoś się nią zainteresował. Praca praca, ale Kieszka powinien jednak poświęcać żonie więcej uwagi.

Następnego ranka zeszłam na śniadanie w chwili, gdy Nina Andriejewna pasła Bundy'ego tłustym placuszkiem posmarowanym grubo powidłami. Wkoło ślinili się pozostali członkowie naszej gromadki. Na mój widok teściowa zaczęła się tłumaczyć:

- Wiem, że nie powinnam mu dawać takich tuczających rzeczy, zrobił brzydka kupkę, całkiem rzadką.

Nie słuchając jej, wykręciłam numer Żeni Polakowej. Odebrała matka i uszczęśliwiona powiedziała, że córka jest jeszcze w szpitalu, ale już odzyskała przytomność i rozmawia.

Pojechałam do kliniki Drugiego Instytutu Medycznego. Żenieczka leżała w separacie. Jej twarz straciła już ten przerażający żółtawy odcień, ale dziewczyna nadal wyglądała okropnie - zapadnięte oczy, wklęsłe policzki, usta koloru poszewki na poduszce.

Gdy ostrożnie otworzyłam drzwi, uniosła z wysiłkiem powieki i zaraz je opuściła. Usiadłam koło niej, ujęłam chudziutką gorącą dłoń i cicho zapytałam:

- Żenieczko, słyszysz mnie?

- Tak - zaszemrała, ledwo ruszając wargami.

- Kto cię tak... pamiętasz?

- Z milicji - zaczęła dziewczyna i umilkła.

- Była u ciebie grupa operacyjna - domyśliłam się. Kiwnęła lekko głową, nagle otworzyła szeroko oczy i dość wyraźnie, szybko powiedziała:

- To Jana kazała mnie zabić. Za co?

- Sokołowa? - zdziwiłam się. - Widziałaś ją? Żenieczko, spróbuj opowiedzieć mi wszystko, żebym mogła ci pomóc.

Powoli, cedząc informacje, odpoczywając co chwilę, opowiedziała mi, co zaszło. Z jej opowieści wyłaniała się historia straszna i niezrozumiała.

Dosłownie kilka minut po moim od niej wyjściu zadzwoniła Jana, powiedziała, że wróciła, ale znów musi wyjechać w ważnych sprawach, i poprosiła, by jej nie szukano. Żenieczka spytała, czy wie, co się stało z Maksymem. Ta odpowiedziała, że nie chce mieć nic wspólnego z mordercą, i prosi, by w jej obecności więcej nie wymawiać tego imienia.

Dodała, że nazajutrz zawozi ciocię na daczę, gdzie zaopiekuje się nią jej koleżanka Tanieczka.

- Jak to - zdziwiła się Żenia - przecież wy nie macie daczy?

- Znajomi nas zaprosili.

A potem poprosiła, żeby Żenia poszła w poniedziałek do dziekanatu i podpisała w jej imieniu podanie o urlop dziekański z powodu złego stanu zdrowia. Żenia, nic z tego nie rozumiejąc, obiecała, że to zrobi.

Już prawie spakowana do wyjazdu na daczę, około ósmej wieczorem zaczęła szukać konspektu z wykładów, musiała bowiem przygotować się do egzaminu. Przekopała biurko i wtedy przypomniała sobie, że zeszyt z mechaniki teoretycznej pożyczyła Janie. Zadzwoniła do niej, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wiedząc, że Rada Iljinićzna wyłącza telefon, gdy zasiada przed telewizorem, postanowiła do nich pojechać. Daleko, bo daleko, ale co robić, skoro egzamin za pasem.

U Sokołowej nikt nie otwierał. Wystraszywszy się, że coś się stało Radzie Iljinicznie, Żenia zaczęła walić w drzwi z całej siły i wołać: „Ciociu Rado, proszę otworzyć, to ja, Żenia”.

Wreszcie drzwi się uchyliły i wyjrzała Jana. Żenia nie kryła zaskoczenia, bo koleżanka wyglądała jakoś dziwnie.

- Czego chcesz? - warknęła Jana, zamykając nogą drzwi do kuchni.

- Notatki - wybełkotała Żenia. - W poniedziałek egzamin, a ty je zabrałaś i wyjechałaś.

- Powiedziałaś rodzicom, że jedziesz do mnie? - spytała grubiańsko Jana.

- Są na dacy. - Żenia zdenerwowała się nie na żarty.

- Musimy pojechać po notatki do innego mieszkania - wycedziła Jana.

- Dokąd?

- Tu, niedaleko, zobaczysz. - Popchnęła koleżankę do windy.

Na ulicy podeszła do brudnego wiśniowego żiguli. Za kierownicą siedziała chuda czarnowłosa dziewczyna, bardzo przypominająca Cyganekę.

- To Lala - przedstawiła Jana - moja koleżanka, konspekty są u niej, to blisko.

Żenia, niczego nie podejrzewając, ulokowała się na tylnym siedzeniu, obok niej usiadła Jana, Lala z piskiem ruszyła z miejsca. W chwilę później Żenia otrzymała cios w głowę i straciła przytomność. Ocknęła się, gdy Lala i Jana wlokły ją dokądś w gęstych ciemnościach.

- Widzisz, Anton - powiedziała jedna z nich - przytomnieje. Skończ z nią, Miedwiediew, tylko szybko.

Żenia chciała krzyknąć, ale na jej szyi zacisnął się gruby sznur i znów straciła przytomność.

Teraz, cudem ocalała, za nic nie mogła pojąć, dlaczego Jana chciała ją zabić. Ja zresztą też. A co to za Lala? I czy Żenię naprawdę dusił kochanek do wynajęcia Anton Miedwiediew?

A może gość ma drugą specjalność - kilera? Gdzie się podziała Jana? Im bardziej usiłuję się w tym połapać, tym bardziej wszystko się gmatwa.

Jedno jest pewne - muszę jak najszybciej zadzwonić do Kici i ostrzec ją, że Anton może być niebezpieczny. Wyciągnęłam komórkę, ale nie było sygnału. Masz ci los! Akurat dzisiaj! Prawda jest taka, że czasami zapominam naładować komórkę. Przeklinając własną głupotę i lekkomyślność, pognałam na łeb, na szyję do Łożkina.

Kicia spokojnie bawiła się z bliźniakami na pledzie w ogródku...

Klapnęłam obok niej i wszystko opowiedziałam.

- To znaczy, że wykorzystujesz mnie w charakterze przynęty - westchnęła.

- Tylko na trochę - uspokoiłam ją. - Jutro pojedziemy do miasta, będę cię śledzić! I coś wykombinuję, żeby poznać tego lalusia.

- A skąd pewność, że jutro się przyplącze? - Olga była wyraźnie zaciekawiona.

- Myślę, że zechce jak najszybciej wykonać zamówienie. Żeby dostać pieniądze. Rano pojedź do instytutu, usiądź w bibliotece i spokojnie pracuj. Sądzę, że zjawi się około dwunastej. Pamiętaj, nie zdradź się, że się znamy, a reszta to już nie twoje zmartwienie.

- Jak się Kieszka dowie, nie będzie zachwycony.

- Wcale mu nie powiemy - uśmiechnęłam się.

Weszłam do domu. Skoro już tu jestem, to przynajmniej napiję się czegoś zimnego.

W salonie przed wyłączonym telewizorem siedziała teściowa numer dwa. Nina Andriejewna wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną.

- Dlaczego pani nie ogląda serialu? - zapytałam. Westchnęła.

- Dzisiaj jest rocznica śmierci męża. Tego dnia zawsze mam taki nastrój! W dodatku nie pojechałam na cmentarz.

- Dlaczego?

- A jak się stąd wydostać? Metra nie ma, autobusu też, jedynie samochodem, jeśli ktoś zechce podrzucić.

Popatrzyłam na zgniebioną biedaczkę i zrozumiałam, że dzisiejszy dzień mam już z głowy.

- Proszę się zbierać, jedziemy na cmentarz.

Prochy generała Polańskiego spoczywają w kolumbarium klasztoru Dońskiego. W czerwcu miejsce to wygląda jak piękny park. Kupiliśmy przy bramie kwiaty. I ruszyliśmy alejką prowadzącą do starej części. Zabrałam składane krzeselko, teściowa usadowiła się naprzeciwko wnęki. Niech sobie posiedzi, pomyślałam i ruszyłam wzdłuż ściany, czytając wypisane na tabliczkach imiona i nazwiska.

Przyszła mi do głowy banalna, niestety, myśl: jedni mają szczęście, a inni nie. Na przykład Roza Kostina umarła w wieku dwudziestu siedmiu lat, a Piotr Makarow dociągnął aż do dziewięćdziesięciu ośmiu. To zwyczajnie niesprawiedliwe.

Odeszłam dość daleko od Niny Andriejewny i zatrzymałam się w cieniu rozłożystego drzewa. Wzrokiem zahaczyłam o znajome nazwisko - Klein. Z owalnej fotografii patrzyła ciemnowłosa kobieta o kształtnym nosie i delikatnych ustach. Zaciekawiona zaczęłam czytać epitafium: „Zgasłaś jak gwiazda, opuściwszy świat pełen chaosu. Drogiej żonie i matce pogrążeni w żalu mąż i córki. Anna Władimirowna Klein, 1935-1975”.

Coś takiego, natknęłam się na grób matki Adelajdy i Amalii. Poniżej na tabliczce dopisano wyraźniejszymi literami: „Henryk Karłowicz Klein, niech spoczywa w pokoju”. Daty nie było.

Przypomniawszy sobie opowieść o puszcze po rozpuszczalnej kawie, napełnionej popiołami nieszczęsnego ojca, wzdrygnęłam się i szybko odeszłam. Do sandała wpadł mi kamień i stojąc na jednej nodze, usiłowałam się go pozbyć. Wreszcie mi się udało i znowu zaczęłam odruchowo czytać napisy. No proszę: niemowlę Nikifor, ledwo się urodził - umarł. Za to facet o śmiesznym nazwisku Zajac przeżył aż dziewięćdziesiąt lat. Urodził się w 1879, zmarł w 1969. Jakież długie życie. No cóż, Zajac zapewne nie pił, nie palił, mył się zimną wodą.

Nagle poraziła mnie myśl niczym błyskawica. Zajac! Dożył do dziewięćdziesiątki! Co mówił na ostatnim widzeniu Henryk Klein swoim córkom? „Wspierajcie się wzajemnie, chodźcie codziennie na grób mamy, ważne, żeby nie uciekł od was zajac, pamiętajcie, zajac może przeżyć do dziewięćdziesiątki”.

Biedne dziewczyny nie zrozumiały, co ma z tym wszystkim wspólnego miłe długouche stworzenie. Ale ja chyba zaczynałam się domyślać. Ledwo się doczekawszy, aż Nina Andriejewna zechce opuścić cmentarz, odwiozłam ją czym prędzej do Łóżkina i zadzwoniłam do Amalii.

Właśnie wróciła do domu i bez cienia entuzjazmu wysłuchała prośby, aby przyjechała do kolumbarium klasztoru Dońskiego. Ale senność i zmęczenie spłynęły z niej bez śladu, gdy wskazałam grób Zajaca.

- Sądzi pani, że tata ukrył tam kosztowności?

- Jasne, inaczej po co miałybyście chodzić na cmentarz codziennie i po co plótlby te bzdury o dziewięćdziesięcioletnim zajacu!

- Szczerze mówiąc, myślałyśmy, że tacie przez to więzienie rozum się pomieszał - westchnęła Amalia. - Ale jak sprawdzić, czy mamy rację?

- Otworzyć niszę i zajrzeć.

- Łatwo powiedzieć. To przecież nie szafa, nie da się łatwo otworzyć. Nisza jest zamurowana. Kiedy składałyśmy prochy ojca w niszy mamy, najadłyśmy się tyle strachu! Wyobraża sobie pani, robotnik nocą odkuwał niszę, w pełnych ciemnościach! Przecież nie mieliśmy pozwolenia.

Chwyciłam ją za rękę.

- Tym razem odbędzie się to znacznie prościej, wiem jak. Jutro wszystko załatwimy.

Rozdział 24

Następnego ranka zerwałam się o siódmej i pognałam budzić Kicię.

Otworzyła drzwi i zapytała szczerze zdumiona:

- Coś się tak zerwała bladym świtem?

- Ubieraj się i zmykaj do biblioteki. Olga parsknęła śmiechem.

- Przecież biblioteka jest otwarta dopiero od dziesiątej. Pięć minut po naszym przyjeździe pod bibliotekę jakaś tłusta

pannica otworzyła drzwi. Olga usiadła przy oknie w prawie pustej czytelni, ja ulokowałam się przy regałach z książkami. Stopniowo przybywało coraz więcej studentów. Ani o jedenastej, ani o dwunastej do Olgi nikt nie podszedł. O pół do drugiej zamknęła Sztukę Odrodzenia i poszła do bufetu. Kręciłam się w pobliżu, starannie udając, że się nie znamy.

Kupiłam kawę i pijąc ją powoli, zobaczyłam nagle wstrząsająco przystojnego faceta. Wiek na oko między dwudziestką a trzydziestką. Wspaniałe jasne włosy zdradzały rękę drogiego fryzjera. Niebieskie oczy w oprawie tak czarnych rzęs, że można by pomyśleć, iż chłopak mocno się napracował, by je tak wytuszczać. Wyraziste usta, męski podbródek, wypisz, wymaluj z reklamy płynu po goleniu. Do tego słuszny wzrost, szerokie ramiona, białe zęby, ujmujący uśmiech i świetna cera. Gust najwyraźniej też świetny. Doskonale skrojona płócienna marynarka, nienagannie wyprasowane spodnie. Pachniał wodą kolońską Paco Rabanne'a XL.

Piękny chłopak, wyglądający, jakby zszedł ze zdjęcia w żurnalu, podszedł z szerokim uśmiechem do Kici i usiadł obok niej. Proszę, proszę, to tak wygląda brat Weroniki Miedwiediewej. Zadziwiające, że taka nieładna kobieta jak Anna urodziła takie piękne dzieci. No, ale pora ruszać do boju.

Z mina słodkiej idiotki zawołałam:

- Anton!

Chłopak obejrzał się, wyraźnie zaskoczony. Kiwnęłam do niego ręką.

- Proszę tu podejść!

- Pani mówi do mnie? - zapytał, wstając.

- Mam nadzieję, że dama się nie obrazi - wdzięczyłam się.

- Ależ skąd - zapewniła Kicia, przełykając ogromne kęsy bułki i podrywając się od stolika. - Muszę lecieć, książki czekają.

- Co słyhać u Weroniki?

- U kogo?

- U Weroniki, pańskiej siostry, żony Maksima Polańskiego.

- Myli mnie pani z kim innym - odpowiedział twardo.

- To wykluczone - mizdrzyłam się - jest pan tak przystojny, że o żadnej pomyłce nie ma mowy.

Ale facet nie chwycił tej nieco stęchłej przynęty.

- Nie znam żadnej Weroniki.

- Poznała nas Lila, koleżanka Jany Sokołowej - walnęłam z grubej rury.

Anton sekundę milczał, a potem uśmiechnął się miło i prawie zaśpiewał aksamitnym głosem, obrzucając mnie łagodnym spojrzeniem:

- Przykro mi, ale to naprawdę pomyłka. Nie znam żadnej z tych pań.

- Mariny Mak też nie? - poszłam na całość.

- Przykro mi, ale nie - odpowiedział bez zająknięcia i odwrócił się, by odejść.

- Chwileczkę, chcę tylko panu powiedzieć, że Weronika umarła, jej ciało znajduje się w kostnicy, ktoś powinien biedaczkę pochować.

Miedwiediew zmierzał już szybkim krokiem do wyjścia. Ruszyłam za nim, ale zaczął biec i błyskawicznie wskoczył do odjeżdżającego trolejbusu. Patrzyłam bezradnie, jak w tylnym oknie przemknęła jego teraz pełna złości, ładna, zdemoralizowana twarz. No cóż, pierwsza runda dla niego.

Kicia grzecznie siedziała nad książkami.

- I co? - zapytała, widząc moją rozczarowaną fizys.

- Zostań tu, może jeszcze wrócić. Pod żadnym pozorem nie przyznawaj się, że mnie znasz, i spróbuj wydebić od niego numer telefonu i adres.

Popatrzyłam na zegarek. Zbliżało się pół do trzeciej, a o trzeciej byłam umówiona z Amalią na cmentarzu. Czekająca już przy bramie.

- Bardzo się boję - wyznała, gdy szłyśmy w stronę biura. -A jeśli nas aresztują?

W ciemnym gabinecie utrzymanym w szarych barwach siedział tęgi mężczyzna z dużą łysiną i mięsistym nosem. Dobrze, najpierw zagramy rolę idiotki. Zmrużywszy kokieteryjnie oczy, zaczęłam improwizować

łzawą historię.

Pan Zajac jest naszym dziadkiem. Teraz zachorowała mama, córka Zajaca, już bardzo leciwa. Ze starości najwyraźniej pomieszało się jej w głowie, bo już od dwóch miesięcy nie przestaje płakać, nie chce jeść ani pić, w nocy chodzi po mieszkaniu, wszystkich budzi. Biedaczce wydaje się, że plastikowa urna z prochami jej ojca zbutwiała i rozpadła się. Jedyne sposoby to otworzyć niszę, zrobić zdjęcie urny i pokazać babci... Psychiatra utrzymuje, że to powinno pomóc.

- Jak plastikowa urna może zbutwieć w takim krótkim czasie? - zdziwił się administrator.

Dobra nasza, to najwyraźniej przygłup.

- Pewnie, że to niemożliwe, ale mamie tak się wydaje, to obsesja... Zaczął się drapać po nosie.

- A zaświadczenie, że to wasz grób, macie? Wyciągnęłam skwapliwie dokument z torebki. Amalia ze sztywniała. A wcale nie było się czym denerwować. Wczoraj wieczorem Mania wzięła bordową książeczkę, należącą do rodziny Klein, i za pomocą komputera, drukarki laserowej i skanera sporządziła jej dokładną kopię, ale na moje nazwisko, czyniąc mnie w ten sposób właścicielką niszy Zajaców. Żeby książeczka była bardziej przekonująca, trochę ją pogniotliśmy i pobrudziliśmy. Administrator obejrzał apatycznie fałszywkę.

- Zgubiła pani stara, czy co? Potwierdziłam skwapliwie.

- Właśnie, to nowy wzór, wcześniej były inne.

Amalia zbladła i wyraźnie trzęsła się ze strachu. No, czyż nie głupia? Ale jej zachowanie nieoczekiwanie przekonało władzę cmentarną.

- No, no - powiedział facet życzliwie, nalewając wody z karafki. - Nie trzeba się denerwować. Możecie panie otworzyć tę niszę, kiedy chcecie, nie mam prawa odmówić. Co prawda nie bardzo się godzi zakłócać spokój prochom, ale skoro taka sprawa! Tylko trzeba będzie zapłacić za robotę.

- Naturalnie - potaknęłam czym prędzej - tyle, ile się należy. Czy można zrobić to teraz?

Administrator zawołał jakiegoś Wadima. Do gabinetu wszedł wymięty chłopina w nieokreślonym wieku, ubrany w umorusany kombinezon.

- Otwórz paniom niszę Zajaca - polecił mu szef. Wadim rozłożył ręce.

- Przecie, no... tego...

- Zapłacimy - powiedziałam, wyciągając demonstracyjnie portmonetkę.

Wadim westchnął i burknął:

- Potem muszę zamurować...

- Spokojnie, wszystko opłacimy.

Amalia zupełnie straciła głowę i trzęsła się jak galareta. Na zewnątrz, mimo wściekłego upału, zaczęła szczerkać zębami. Całe szczęście, że pracownicy cmentarza uważali takie zachowanie za naturalne zdenerwowanie wnuczki, która boi się spotkania z prochami dziadka.

Wadim długo szukał narzędzi, potem palił papierosa, poszedł napić się wody, ponarzekał na ciężkie życie, małą pensję, zmęczenie i wredne dzieciaki. Wreszcie, doprowadziwszy mnie niemal do szału, sprawnie otworzył niszę. Prawie stuknęliśmy się czołami, zaglądając do środka. Stała tam plastikowa urna, wyglądająca trochę jak puszka na produkty sypkie. Brakowało tylko naklejki „Mąka” albo „Cukier”. Niczego więcej nie było. Amalia z wyraźnym rozczarowaniem przesunęła palcami po ścianie niszy. Urny stawiano tam tak ciasno, że mowy nie było, aby ukryto kosztowności w ścianie, na dole albo na górze. Na zdrowy rozum skarb powinien się znajdować obok urny. A tymczasem nic!

Amalia bezsilnie oparła się o ścianę. Ja pstryknęłam kilka zdjęć dla pozorów, a Wadim błyskawicznie doprowadził wszystko do porządku. Dałam mu trzysta rubli, co skwitował z rozczarowaniem:

- Kiepsko, wasza siostra poprzednio dała mi pięćset.

- Jaka siostra?

Chłopina zrozumiał, że się wygadał, i burknął:

- Nie moja sprawa. Poprosili, żeby pomóc... Żal mi było dziewczyny - płakała, rozpaczała po dziadku. I sami wszystko zrobili, ja tylko potem zamurowałem, żeby było jak trzeba...

Wyciągnęłam z portmonetki nowiutką pięćsetkę i pomachałam mu nią przed nosem:

- Dobra, opowiadaj po kolei!

Pod koniec maja, już po zamknięciu cmentarza, około dziesiątej wieczorem przyjechali dziewczyna i chłopak. Dziewczyna była chudziutka, krótko obcięte włosy, sterczące na wszystkie strony, chłopak czarnowłosy, z bujnymi włosami. Zwracał się do dziewczyny Jana. Wadim dorabiał jako stróż, dlatego spokojnie siedział sobie w dyżurce i oglądał telewizję, gdy do jego komórki wpakowało się tych dwoje. Chłopak wyjął dużą butelkę wódki, dziewczyna - pięćset rubli. Poprosili, żeby otworzył niszę Zająca. Wadim oponował trochę dla fasonu, ale poszedł do kolumbarium. Najpierw grzebał się jak zwykle, prawie przez godzinę szukał narzędzi.

Gdy wrócił, tablica z nazwiskiem Zająca stała równiutko oparta o ścianę. Chłopak miał ze sobą dużą torbę, najwyraźniej przyniósł w niej młotek i łom. Cała robota Wadima ograniczyła się do ustawienia tablicy na miejscu. Po co tych dwoje dobierało się do niszy, nie miał pojęcia. Urna z prochami stała na miejscu i nic nie wskazywało, by jej dotykano. Przybysze poczekali w milczeniu, aż Wadim zacementuje niszę, następnie Jana wzięła torbę i ruszyła do wyjścia. Chłopak natomiast uśmiechnął się złowieszczo i powiedział łagodnie:

- Nie mów o tym nikomu, tak będzie najlepiej. - I jakby od niechcenia rozpiął marynarkę. Za paskiem spodni Wadim dostrzegł połyskującą matowo w świetle latarni rękojeść pistoletu.

Ale jeszcze bardziej przeraził się, gdy spojrzał w niebieskie lodowate oczy chłopaka.

- Ten pani kuzynek to kawał drania, dla takiego zabić to tyle co spluć. Zastrzeli, wsadzi do pieca, a to przecież tuż obok - perorował grabarz. - Dlatego jeśli w niszy coś nie tak, niech pani ma pretensję do tamtych. Słyszane rzeczy, dwa razy w tym samym miesiącu prochom spokój mać. Zły to znak, tylko patrzeć, a w rodzinie znowu będzie pogrzeb.

Burczał ze złością, rozchlapując rzadki cement na dróżkę. Następnie chwycił wiaderko i nadal mamrocząc o dziwnych krewnych Zająca, poczłapał do biura.

Spojrzałam na Amalię. Siedziała na trawie, ani trochę nie zważając na nową spódnice. Widać było, że jest oszołomiona.

- Uprzedzili nas - wyszeptła - ale kto? Żadna z nas nikomu nie mówiła o ostatnim spotkaniu z ojcem.

- Nawet mężom i Radzie?

Amalia nerwowo zaciągnęła się papierosem.

- Mężowie i przyjaciółka wiedzieli, oczywiście. Ale mój były wieki temu wyjechał do Ameryki, rozwiedliśmy się dawno, Siemion już nie żyje, a Radecka to bardzo uczciwa, kulturalna osoba.

Owszem, Sokołowa z pewnością była taka, ale jej bratanica, milutka Jana, to dość dziwaczne indywiduum. Najpierw nie wiedzieć czemu wieje z Moskwy, potem usiłuje zabić najlepszą koleżankę, a teraz się okazało, że jeszcze zakłóca spokój spoczywającym w urnie prochom. Poczulałam przemożną chęć odszukania cwaniary, żeby zadać jej kilka pytań!

Gdy wróciłam do domu, miałam mętlik w głowie. Nawet jeśli Henryk Klein okradł socjalistyczną ojczyznę, to zgromadzone kosztowności powinny jednak trafić do jego córek, a nie do kutej na cztery nogi Jany. Może Aleksander Michajłowicz wie, gdzie ona jest?

Pułkownik był w pracy. Nie mogłam tak z głupia frant zapytać o Sokołową, musiałam się uciec do podstępu.

- Dawno się nie widzieliśmy!

- E, lepiej nie mówić. Roboty tyle, że nie wiem, na jakim świecie żyję.

- Szkoda, myślałam, że wpadniesz wieczorem...

- Nie, nie dam rady.
- Szkoda - mruknełam.
- Coś się stało? - zaniepokoił się.
- Nic takiego, tylko Katierina wymyśliła, że upiecze tarte serową. Nataszka przysłała przez okazję prawdziwy rocambole, chevre, błękitny dru. Pomyślałam, że cię poczęstujemy. A wiesz, że te sery długo nie poleżą.

Aleksander Michajłowicz przełknął ślinę.

- Zostały chyba jeszcze ze dwie butelki bordeaux rocznik 1957 - dorzuciłam od niechcienia.

Przyjaciel kocha jeść. Kiedyś jego gust kulinarny, zresztą jak i nasz, nie był zbyt wyrafinowany. Sałatka „Olivier” uważana była za potrawę świąteczną, pieczone kartofle ze szprotami uchodziły za przysmak. Na serach absolutnie się nie znaliśmy, uważając, że poszczególne gatunki różnią się wyłącznie ceną. Mogliśmy bez zmuszenia oka wypić z przyjaciółmi butelczynę obrzydliwej owocowo jagodowej cieczy zwanej powszechnie „Łzy Miczurina”. Pobyt we Francji wszystkich zmienił. Teraz krzywiliśmy się ze wzdargą na widok butelki wina zamkniętej plastikowym korkiem. Sałatki „Olivier” staramy się nie jeść, słusznie uważając, że jest zbyt kaloryczna.

Nasza kucharka znakomicie gotuje, a w dodatku świetnie przyrządza potrawy, jakie polubiliśmy w Paryżu. Jedną z nich jest właśnie tarta serowa. Żeby ją zrobić, potrzeba kilku gatunków sera, w dodatku takich, jakie trudno kupić w Moskwie. Niezbyt dobrze znoszą one transport, tracą w czasie drogi część smaku i aromatu. Niekiedy Nataszka, która spędza we Francji więcej czasu niż my, przysłała przez przyjaciół skrzyneczkę pełną aromatycznych serków. Można, naturalnie, upiec tarte z żółtym rosyjskim serem, ale to absolutnie nie to samo. Natomiast sporządzona według wszelkich reguł sztuki - palce lizać!

- O której jest kolacja? - Pułkownik nie oparł się pokusie.
- Wpadnij około ósmej.

Teraz musiałam tylko namówić Katierinę, żeby wzięła się do roboty. Kucharka nie znosi, gdy żywność się marnuje, a wczoraj oświadczyła ponuro, że przysłany rocambole zaczyna się psuć.

W domu było zaskakująco cicho. Żadnych dzieci i tylko jeden pies, grubiotki Hootchuś, beztrudno pochrapujący na kanapie. Starsze panie poszły na spacer do lasu w towarzystwie pitbulla, rottweilera, pudła i jorkszyrki. Hootchuś, posiadacz krótkich krzywych łapek, nie jest miłośnikiem pieszych eskapad. Bliźnięta pełzały w ogromnym kojcu, który wyniosła do ogrodu Serafina Iwanowna.

Wyciągnęłam się na łóżku, usiłując poskładać w całość strzępy zdobytych informacji. Czas ucieka, a ja nadal nie mogę się w tym wszystkim połąpać. Wygląda na to, że Iwan Michajłowicz będzie musiał przystąpić do realizacji swojego planu.

Rozległ się stukot obcasów i do sypialni wbiegła zarumieniona, śliczna jak obrazek Kicia. Rzuciła się na fotel i zaczęła składać sprawozdanie z przeprowadzonej akcji.

Anton wrócił półtorej godziny później i namówił ją na spacer.

Najpierw spacerowali w centrum, potem zaprosił ją na wystawę, gdzie, prezentując godną pozazdroszczenia erudycję, wygłosił cały wykład o sztuce awangardowej. Dzień zakończyli w małej, przytulnej knajpce. Anton chętnie mówił o sobie. Mieszka na Polance razem z wiekowym ojcem. Mama dawno umarła. Ma własną firmę sprzedającą sprzęt do kopiowania, z wykształcenia jest inżynierem, ukończył MIL - Moskiewski Instytut Lotnictwa. Zbudował daczę pod Moskwą, ale nie ma tam komu mieszkać, bo on do tej pory się nie ożenił. Na pytanie Kici „dlaczego?” odpowiedział, że żadnej jeszcze nie pokochał, a żenić się tylko po to, by założyć rodzinę, to nie dla niego. Po tych zwierzeniach zainteresował się biografią Olgi. Przeszkolona przeze mnie, nie wdawała się w żadne szczegóły, powiedziała jedynie, że jest mężatką i ma dwoje dzieci. Dorzuciła jeszcze tylko, że mąż to nieczuły prostak, prawdziwy burak, a jego mamunia to babajaga. Pogadali trochę o tym i owym i rozstali się, umawiając się na

spotkanie następnego dnia o dwunastej pod McDonalodem na Twerskiej.

- No dobrze - powiedziałam - ale jutro spróbuj wydobyć jego adres, albo przynajmniej telefon.
- Myślisz, że nie poprosiłam go o telefon? Ale mi nakłamał, że w jego dzielnicy jest uszkodzony kabel, i poprosił o mój numer.
- A ty mu, oczywiście, dałaś... - pokiwałam głową.
- Domowy, nie komórkę, i uprzedziłam, że telefon może odebrać teściowa albo mąż, wątpię, żeby próbował dzwonić.

Bardzo mi się nie spodobało, że Anton miał numer naszego telefonu. Dom zaczął się wypełniać gwarem. Wróciły starsze panie, podekscytowane psy stukwały pazurkami po parkiecie, pojawiła się Mania z Bekasem i natychmiast posprzeczali się przy komputerze. O dwudziestej, wściekle punktualny, przyjechał pułkownik. Wyciągnął z bagażnika ogromne pudło. Aleksander Michajłowicz jest mężczyzną starej daty, dlatego zjawia się zawsze z prezentami, nikogo nie pomijając. Tak samo było tym razem: psy dostały po gumowej kości, kotki - piłeczki z dzwoneczkami, starsze panie rozplynęły się w uśmiechach na widok bombonierek. Kicia podziękowała za porcelanowego pieska, ja z ciekawością kartkowałam nowy kryminał Rexa Stouta. Arkady załapał się na zamszową ściereczkę do polerowania szyb w mercedesie, nawet milczek Giera stał się posiadaczem nowego krawata.

- A gdzie Mania? - zainteresował się przyjaciel, wyciągając grubaśny tom Choroby zakaźne psów.
- Tutaj! - pisnęła Maniunia i wpadła do pokoju.

Za nią miękkim kocim krokiem wsunął się Bekas. Pułkownikowi - prawdziwemu profesjonalście - dość było rzucić okiem, by zrozumieć, co to za ptaszek. Na wszelki wypadek nie podał mu ręki, burknął jedynie słowa powitania. Kolacja przebiegała bez zakłóceń. Po zjedzeniu tarty z serem zostawiliśmy domowników w salonie i poszliśmy na spacer do cudownie pachnącego ogrodu.

- Skąd się tu wziął ten młody człowiek? - zapytał mało życzliwym tonem Aleksander Michajłowicz.
- Kola? To syn znajomych, mieszka niedaleko stąd, przyjaźni się z Manią. - Postarałam się, by zabrzmiało to szczerze.
- Doprawdy? - burknął.

Zacząłam rozmawiać najpierw o psach, potem o bliźniakach i płynnie przeszłam do Maksyma. Poużalałam się, że w jego celi jest ponad sto osób, wreszcie zapytałam:

- A tę dziewczynę, Janę Sokołową, znaleźliście już?
- Nie, rozplynęła się jak dym. Na uniwersytecie wzięła roczny urlop dziekański, do domu nie wróciła, zarządziliśmy poszukiwania.

W ogrodzie pojawił się Kieszka i przypiął się do Aleksandra Michajłowicza, wypytując go o jakieś niezrozumiałe „pogwałcenie norm prowadzenia śledztwa”. No cóż, niczego więcej już się nie dowiem, niepotrzebnie kazałam Katierinie skakać przez całe popołudnie przy tarcie serowej.

Rozdział 25

Cały ranek zmagalam się z wątpliwościami. Kompletnie nic nie rozumiałam, jeszcze trochę, a zacznę wierzyć, że Maksim jest zabójcą. A w dodatku ta Jana! Gdzie jej szukać?! Jedyna możliwość - przez Antona. Ale nie znam ani jego adresu, ani telefonu, a w książce telefonicznej go nie ma. Mimo to jest cieniutka niteczka. Wczoraj napomknął, że studiował w MILu, a nuż to prawda? Chociaż o ojcu skłamał. Przecież dobrze wiem, że ich ojciec umarł. No cóż, na razie to jedyna możliwość, więc ruszyłam do MILu.

- W którym roku? - zapytała sekretarka, stukając w klawiaturę komputera.

Ciekawe pytanie. A jedyna sensowna odpowiedź to „nie wiem”

- Ile ma lat? - nie poddawała się dziewczyna. - Zaraz obliczymy.

- Chyba około trzydziestu, nie pamiętam.

Pannica zaczęła przeglądać jisty. Po półgodzinie już wiedziałyśmy, że

wśród absolwentów Instytutu Lotnictwa nie ma ani jednego Antona Michajłowicza Miedwiediewa. Owszem, student o tym nazwisku, choć innym imieniem po ojcu - Leonidowicz, studiował w instytucie, ale go wyrzucono.

W dokumentach zachowało się zaświadczenie o relegowaniu z adnotacją - za brak wyników w nauce i zachowanie niegodne studenta MILu. Był też adres: ulica Kostomarowa 12, m. 76. Pewnie to nie ten Anton, o którego mi chodzi, ale warto sprawdzić.

Ta ulica jest w samym centrum, wychodzi na Sadowe Koko. Domy przy niej są stare, podwórka ciasne. Numer dwanaście to wyłącznie mieszkania komunalne. Dość szerokie schody doprowadziły mnie do mieszkania, którego szukałam. Przy drzwiach był jeden dzwonek. Otworzyła mi ładniutka dziewczuszka, mniej więcej siedmioletnia.

- Przepraszam, czy tu mieszka Anton?

- Nie - odpowiedziała przeciągle. Jej głos natychmiast zdradził „dziecię robotniczych przedmieść”. Z głębi mieszkania dobiegała piosenka niezwykle uboga, jeśli chodzi o treść i wykonanie. „Jesteś moja, oja, oja, a ja twój, ju, juj” - wydierał się śpiewak. Ale dziewczynka była wyraźnie zachwycona i wybijała rytm zgrabniutką bosą nóżką.

- Czy tu mieszkają państwo Miedwiediewowie?

- Kto?

- Anton.

- Jaki Anton?

Bosonóżka odwróciła głowę i zawołała w głąb mieszkania:

- Ciociu Ludo, znasz Antona?

Zza jakichś drzwi rozległo się niewyraźne burczenie. Dziewczynka powiedziała:

- Proszę wejść do jej pokoju, chyba pamięta kogoś takiego. Ruszyłam przez brudny przedpokój nieoczekiwanie dużego mieszkania.

Pokój, w którym mieszkała dama, posiadająca niezbędne informacje, był również duży, z dwoma ogromnymi oknami, zamkniętymi, mimo dławiącego upału, na głucho. Nie utworzono nawet lufcików. W kącie stało łóżko z mnóstwem poduszek i koców. Z trudem wypatrzyłam wśród tej góry pościeli drobną kobietę z ostrym nosem i niezdrowo obrzmiałą twarzą. Zaduch w pokoju był porażający i zrozumiałam, że chora jest sparaliżowana.

- Proszę usiąść - odezwała się kobieta - tam jest krzesło, niech się pani nie boi, to nic zaraźliwego, udar mózgu, leżę tak już ósmy rok i gniję. Dzięki Bogu, sąsiedzi mi pomagają, opiekują się, zapisałam im za to pokój, jak umrę, cały ten pałac będzie ich. A co pania sprowadza?

- W tym mieszkaniu mieszkał kiedyś Anton Miedwiediew, szukam go.

- Z milicji? - zapytała szybko kobieta.

- Nie - uznałam, że lepiej jej nie straszyć - z kancelarii adwokackiej. Jego ojciec umarł i zostawił mu mieszkanie, dachę, samochód i konto w banku. Ale nie możemy zrealizować zapisu, bo Miedwiediew zniknął. Poprosiliśmy więc w biurze meldunkowym o jego adres i podano nam ten!

- Leonid umarł - powiedziała przeciągle - i co, niby akurat Toszy zostawił majątek?

- A dlaczego nie, w końcu to syn.

- Przecież on go nigdy nie widział - westchnęła. - Owszem, pieniądze co miesiąc przysyłał, aż chłopak skończył osiemnaście lat, nie można powiedzieć. Tam w kredensie na górnej półce jest koperta z dokumentami.

Wyjęłam zieloną książeczkę. Świadectwo urodzenia. Anton Leonidowicz Miedwiediew, matka - Ludmiła Ernestowna Zimpanelli, ojciec - Leonid Siergiejewicz Miedwiediew.

- Pani jest jego matką?

Ludmiła skrzywiła usta w uśmiechu.

- Kiedyś nią byłam. W każdym razie, rodząc go, myślałam, że wydaje na świat syna, a okazało się, że potwora. W kredensie jest album ze

zdjęciami, niech pani obejrzy.

Na grubych, sztywnych kartach albumu tkwiły zdjęcia. Przerzuciłam szybko strony - niemowlę, uczeń, wyrostek... Na pierwszy rzut oka było jasne, że to zdjęcia tego samego chłopaka, który przysiadł się do Kici w bibliotece. Ale przecież byłam pewna, że Anton jest bratem Weroniki. Czyżbym się aż tak pomyliła i podała fałszywym tropem?

- Córci pani nie miała?

- Tylko syna. - Ludmiła pokiwała głową i z oczu pociekły jej łzy. - Chryste - zaszlochała. - Chryste, za co mnie tak karzesz?

Usiłowałam ją uspokoić, w końcu przestała płakać i zaczęła opowiadać smutną historię. Urodziła się w rodzinie artystów cyrkowych, Ernesta i Klary Zimpanelli. W kręgach sztuki to znane nazwisko. Pradziad przybył do Moskwy z Włoch i osiadł w stolicy, ożenił się z Rosjanką. Z pokolenia na pokolenie Zimpanelli byli cyrkowcami, a dokładniej - akrobatami. Życie dzieci cyrku jest zazwyczaj okropne. Ludoczka też zachowała z dzieciństwa tylko jedno wspomnienie - że nieustannie przemierza się gdzieś z rodzicami. Zimpanelli tłukli się po całym Związku Radzieckim. Gdy dziewczynka skończyła dwanaście lat, przestała liczyć miasta, w których przebywała. Niekiedy w ciągu trzech miesięcy zmieniała osiem szkół, mowy nie było o jakiejś systematycznej nauce. Ale ani Ernesto, ani Klara się tym nie przejmowali. Sami ledwie czytali i pisali, a wśród ich kolegów było kilkoro takich, którzy na liście płac obok swojego nazwiska stawiali krzyżyk. Od dziewczynki wymagano, by bezbłędnie wykonywała salta, arabeski, tiflaki, a nauka!... Pal ją licho, Ludmiła i tak miała spędzić życie na arenie. Zapewne tak by się stało, ale gdy skończyła osiemnaście lat, stwierdzono u niej wadę serca i musiała opuścić cyrk.

Rodzice, mimo zaawansowanego jak na cyrkowców wieku, nadal pracowali, a Ludmiłę wysłali do dalekiej krewnej w Moskwie. Dziewczyna wyuczyła się na prasowaczkę i podjęła pracę w zakładach, gdzie szyto garnitury. Koleżanki, dowiedziawszy się, że Miła jest była artystką cyrkową, zazdrośnie wzdychały. A dziewczyna po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa. Zakład pracy przydzielił jej pokój w mieszkaniu komunalnym, nareszcie pozostawała w jednym miejscu. Nie bolały ją już plecy i nogi, mogła kłaść się spać o dziewiątej wieczorem. Zakład pracy podarował jej także miłość. Na ładną ciemną oką i czarnowłosą dziewczynę zwrócił uwagę jeden z modeli, zatrudniony jako „wzorcowy rozmiar”. Krótki, burzliwy romans zakończył się ciążą. Leonid od razu uprzedził kochankę, że ma żonę, rozwodzić się nie zamierza, dlatego lepiej pozbyć się niechcianego płodu. Ale Miłoczką całkowicie zawiadnęły nowe odczucia. Pozbyć się dziecka? Nie dopuszczała do siebie takiej myśli i oto trzynastego kwietnia na świat przyszedł śliczny chłopczyk, dokładna kopia ojca. Leonid okazał się przyzwoitym człowiekiem, uznał syna, dał mu swoje nazwisko, skrupulatnie płacił alimenty, ale chłopca nie chciał widzieć na oczy. Mniej więcej rok później zwolnił się z pracy i Ludmiła już nigdy więcej go nie zobaczyła.

Mały Anton wyglądał jak aniołek - gęste, jasne kędziory, duże niewinne oczy. W szkole był świetnym uczniem. Zadziwiające, jakim sposobem półanalfabecie Ludoczce i niezbyt mądrymu „manekinowi” urodziło się takie zachwycające dziecko. W dzienniczku miał same piątki. Nauczyciele rozpytywali się, słuchając odpowiedzi chłopca, zawsze schludnie ubranego w wyprasowany przez kochającą mamę mundurek.

Nie zdążył Antosza przejść z wyróżnieniem do ósmej klasy, gdy w szkole wydarzyło się małe trzęsienie ziemi. Ktoś włamał się do gabinetu dyrektora i ukradł dużą sumę pieniędzy. Przyjechała milicja, długo przesłuchiowano uczniów ze starszych klas i nauczycieli, w końcu aresztowano pijaka dozorcę. Antosza nadal świetnie się uczył ku radości mamy.

Potem zaczęła się seria dziwnych kradzieży w szatni. Jakiś złodziej, którego nie przyłapano, wyciągał z kieszeni dzieciaków pieniądze,

otrzymane od rodziców na drogę i śniadanie. Jeszcze później zginęła torebka nauczycielki biologii z całą pensją. Znowu pojawiła się milicja, ale złodzieja nie znaleziono.

Gdy Antosza kończył ostatnią klasę, pewnie zmierzając do zdobycia medalu, z mieszkania jego najlepszego przyjaciela, syna znanego aktora Rogożyna, zniknęła cenna rzecz - zabytkowy srebrny puchar, prawdopodobnie dzieło samego Faberge. W kilka dni później do Ludmiły przyszła madame Rogożyna i oznajmiła, że puchar mógł zabrać tylko Anton. Do domu nie przychodzą właściwie żadni goście, a spośród przyjaciół syna - jedynie Miedwiediew.

Śmiertelnie wystraszona Miłoczka zawołała swojego prymusa. Podszedł do drzwi z podręcznikiem algebry w rękach. Wysłuchawszy oskarżenia ze szczerym spojrzeniem przejrzyście niebieskich oczu, chwilę milczał, a potem opowiedział zadziwiającą historię.

Nikita, syn Rogożynów, związał się z dziewczyną z rodziny alkoholików i bandytów. Ma zaledwie trzynaście lat, ale niejedną trzydziestolatkę zapędziłaby w kozi róg. Ukochana zaszła w ciążę, jej rodzice podnieśli raban, że poślą Nikitę do więzienia za deprawację nieletniej. Nie miał wyjścia, musiał wziąć puchar, żeby zatkać gębę krzykaczom okrągłą sumką.

Rogożyna złapała się za serce. W piątek wezwano Antona do domu aktora. Czerwony, zapłakany Nikita krzyczał, że owszem, prawdą jest, że była dziewczyna i że potajemnie zrobiono aborcję, ale pucharu nie wziął, pieniądze na operację pożyczył mu na lichwiarski wręcz procent... Anton, i to z pewnością on ukradł cenny przedmiot.

Miedwiediew spokojnie wysłuchał oskarżenia, po czym zwrócił się do aktora: „Niech pan pomyśli, skąd niby miałbym mieć tyle pieniędzy, całe dwieście rubli? Ojca nie mam, mama zarabia grosze, przecież my oszczędzamy na wszystkim, żeby związać koniec z końcem. Ja nawet przez chwilę nie marzyłem

o takim magnetofonie, jaki ma Nikita, bo wiem, że nie stać nas na to. Zarabiać też na razie nie mogę, bo przygotowuję się do egzaminu na uczelnię. Nikita po prostu wstydzi się przyznać, dlatego wszystko zwalił na mnie!”.

Aktor popatrzył uważnie na absolutnie spokojnego Antona i na czerwonego, spoconego, wściekłego Nikitę.

- Wynos się, łobuzie - warknął do syna.

Następnego dnia pani Rogożyna przyniosła Antonowi prezent - wspaniały magnetofon. Natomiast Nikitę, który uparcie nie przyznawał się do winy, odesłano ciupasem do dziadka do Władystoku.

Anton bez najmniejszego trudu dostał się na pierwszy rok MIŁu. Zimą tego roku Ludoczka zajrzała tam, gdzie nie zaglądała chyba od dziesięciu lat, czyli na duży, zakurzony pawlacz, gdzie w najdalszym kącie stała walizka z jej starymi kostiumami cyrkowymi i gdzie czekał na swoją kolej wspaniały gabardynowy garnitur dziadka Zimpanellego. Naiwna Ludoczka chciała przenieść go dla swojego studenta.

Gdy wreszcie, zasapana, ściągnęła walizkę na dół, znalazła w niej pięć książeczek oszczędnościowych. Każda była otwarta w innym banku i na każdej złożono równiutko tysiąc rubli. Suma ogromna jak na chudą radziecką rzeczywistość.

Syn po powrocie do domu usiłował zamydlić jej oczy historią o bogatym przyjacielu, który poprosił, aby Anton przechował mu kapitał, ale biednej Ludzie zasłona spadła z oczu.

Przypomniała sobie wszystkie dziwne sytuacje - drogie amerykańskie spodnie i buty, rzekomo podarowane Antonowi w ósmej klasie przez mamę Leny Woropajewnej, wyjazd latem na dwa miesiące z rodziną Kostii Safonowa na Krym, wspaniały zegarek, znaleziony na ulicy... Syn palił dobre papierosy i co rusz przynosił do domu nowe koszule, dżinsy, swetry, za każdym razem powtarzając to samo: „Dostałem od kumpla”.

Ale Luda nie знаła nikogo z jego przyjaciół, do domu nie przychodził żaden kolega ze szkoły czy studiów. Postanowiła zadzwonić do Kostii Safonowa, żeby się dowiedzieć, czy spędził wakacje z Antonem na Krymie. Ale ojciec chłopaka nie pozostawił jej żadnych złudzeń. Nie byli nad żadnym morzem, bo w maju okradziono im mieszkanie, wynosząc

nie tylko najcenniejsze rzeczy, ale i ukryte pieniądze. Ludoczka, zrozumiała, że jej syn jest złodziejem, przeplakała kilka dni. A pewnego dnia wiosną zadzwoniono z dziekanatu MILu, żeby Anton zabrał papiery. Akurat go nie było, wybrał się z kimś na daczę. Matka pojechała do instytutu, gdzie prorektor z grymasem obrzydzenia powiedział jej, że syn nakręcił film pornograficzny i sprzedał taśmę studentowi piątego roku.

- Niech się wynosi z instytutu - powiedział profesor zdecydowanie - a pani niech podziękuje, że ulitowaliśmy się nad nim i nie zgłosiliśmy sprawy do prokuratury.

Był rok 1984, w ówczesnym kodeksie karnym widniał odpowiedni paragraf, na mocy którego Anton za rozpowszechnianie pornografii mógł dostać solidny wyrok.

Gdy Anton przyjechał z daczki, strasznie się pokłócili. We wtorek, wróciwszy z pracy, Ludoczka zastała ogołocone mieszkanie. Złodzieje wywieźli prawie cały dość nędzny dobytek, nie pogardziwszy nawet starym telewizorem Rekord. Ze ściany zdjęli dwie ikony, należące jeszcze do prababki, znęciły ich pewnie srebrne koszulki, zniknęły też łyżeczki do herbaty i mizerne kosztowności Ludmiły - cieniutki łańcuszek i dwa pierścionki z rubinami.

Miłowka pobiegła na milicję. Funkcjonariusze ospale sporządzili listę skradzionych rzeczy. Do północy czekała na syna, ale Anton nie przyszedł. Nie pojawił się też w czwartek ani w piątek. Telefon milczał. I wtedy dotarło do niej, kto ją okradł.

Czerwona ze wstydu, wycofała z milicji zgłoszenie o kradzieży.

- Brat się wygłupił - powiedziała do dzielnicowego - zawiózł wszystko na daczę, a mnie nic nie powiedział.

Sprawa została zamknięta, a Anton nie wrócił do domu, zupełnie jakby się rozplątał w powietrzu. Nawet gdy zaczęły się okropieństwa „terapii szokowej” i pierestrojki, nie zatroszczył się o matkę, po prostu wykreślił ją ze swojego życia. A teraz, sparaliżowana, ma tylko nadzieję, że już nigdy w życiu go nie zobaczy.

Gdy wyszłam od Ludmiły, padał deszcz. Włączyłam wycieraczki i patrzyłam się tępo, jak brudna woda zżawo spływa po przedniej szybie. To dopiero synalek! Taki przed niczym się nie zawaha, byle zdobyć pieniądze. Ciekawe, dokąd się wyniósł, może do ojca?

Obróciłam w palcach karteczkę z adresem, którą dała mi Ludoczka - ul. Kopernika 9, mieszkania 146. Jedyna miłość nieszczęsnej kobiety sprzed lat, Leonid Miedwiediew, mieszkała pod tym właśnie adresem. A nie było to wcale daleko, ledwie dziesięć minut jazdy.

Drzwi otworzył pękaty facet z brzuchem piwośza. Rzadkie siwe kędziory kokieteryjnie zaczesane na bok, wyblakłe niebieskie oczy i zbyt miękkie jak na mężczyznę usta.

- Czy mówię z panem Leonidem Miedwiediewem? Mężczyzna skinął głową.

- Przychodzę od Ludoczki Zimpanelli.

Były ukochany rzucił mi wystraszone spojrzenie i szepnął:

- Proszę poczekać na podwórzu, zaraz przyjdę.

I rzeczywiście, wyszedł już po chwili, po drodze otwierając parasol.

Otworzyłam drzwi volva i zatrafiłam. Wskoczył do środka i wyjaśnił:

- Żona jest w domu, a ona nie chce słyszeć o Miłowce, natychmiast się wścieka. I co słyszeć u naszej cyrkówki?

- Nic szczególnego, jest bardzo chora.

- Starość nie radość - westchnął zużyty Romeo - ja też mam kamienie w woreczku żółciowym i zapalenie pęcherza moczowego, myślę, że i ja...

- Czy kiedykolwiek widział pan syna? - przerwałam jego wynurzenia.

Miedwiediew zrobił się czerwony jak samochód strażacki.

- Tylko raz.

- Kiedy?

- Dawno. Kiedyś odezwał się dzwonek u drzwi...

Leonid otworzył, w progu stał sympatyczny młody chłopak, bardzo przystojny. Miedwiediew od razu się domyślił, kim jest nieoczekiwany gość. Chłopak był niesamowicie podobny do niego w jego wieku. Na szczęście żona wyjechała na urlop, więc wpuścił syna. Anton poskarżył

się, że matka wyszła drugi raz za męża, a ojczym chce się go pozbyć, morzy głodem, ma ciężką rękę. Dlatego chłopak, zresztą student MIŁu, przyszedł prosić, żeby go ojciec przygarnął.

Leonid wpadł w popłoch. Jego żona Zinaida całymi latami leczyła się na bezpłodność, niestety, bez skutku, więc nie ucieszyła jej bynajmniej wiadomość, że mąż ma dziecko z inną. W domu nie wolno było wspomnieć choćby słowem o synu i jego matce. Mowy nie było, aby mógł przyjąć go pod swój dach.

Leonid przenocował Antona, a rano dał mu sporą sumkę i zaprowadził do swojego przyjaciela Iwana, który mieszkał z siedemnastoletnią córką w wielkim czteropokojowym mieszkaniu. Anton wprowadził się do Iwana i mieszkał u niego około pół roku. Potem coś tam zaszło i chłopak się wyniósł. U ojca więcej się nie pokazał.

- Nawet było mi to na rękę - zwierzał się Leonid - bo odkąd go poznałem, spotykały mnie różne przykrości. Wie pani, są tacy ludzie, którzy przynoszą nieszczęście. I on najwyraźniej był jednym z nich. Dwa tygodnie po naszym pierwszym spotkaniu okradziono mi mieszkanie, wszystko wynieśli. Jakiś czas później

ktoś napadł na Zinę, pobito ją w bramie, zabrano torebkę i futro. Długo potem chorowała, dobrze, że uszła z życiem. Podobnie z Iwanem... Ledwo Anton się wyniósł, włamano się do mieszkania. Iwan nie mógł się pogodzić z utratą znaczków -kolekcjonował je przez całe życie. Trochę później zaginęła jego córka, nie odnaleziono biedaczki, uznano za zmarłą! A dlaczego szuka pani Antona? - zapytał wreszcie zaciekawiony.

- Należy mu się spadek po krewnych z Włoch - zmyśliłam na poczekaniu i poprosiłam o adres Iwana.

Rozdział 26

Ni z tego, ni z owego wieczór zapowiadał się wspaniale. Teściowe razem z Gierą wybrały się z wizytą do znajomej Niny Andriejewny. Arkaszka odwiózł je na prospekt Lenina i obiecał wpaść po nie o jedenastej. Marusia pobiegła do Soni Hejfec, bliźniaki razem z Serafa Iwanowną spały spokojne na górze. Arkaszka obił drzwi pokoju dziecinnego z dwóch stron, mogliśmy więc włączać telewizor w salonie na cały regulator albo nawet strzelać z armaty - ani mali hultaje, ani niania niczego nie słyszeli. Kucharka Katierina pojechała na ślub siostrzenicy. Irka miała wychodne. Ostatnia wymknęła się z domu Kicia na spotkanie z Antonem. Postanowiłyśmy, że jeśli facet i tym razem nie da Kici swojego telefonu albo adresu, kończymy „romans”, bo gra robi się zbyt niebezpieczna.

Reasumując, pół do dziewiątej nastąpiła błogosławiona pora, gdy w domu nie było nikogo, nawet psy rozbiegły się po pokojach. Rozkoszując się spokojem i ciszą, wyciągnęłam się na kanapie z poduszką pod głową. Do pełnego błogostanu brakowało mi papierosa - zapalę, korzystając z tego, że żadne z wrednych dzieci nie marudzi o czystości powietrza. I wtedy odezwał się domofon.

Masz ci los - koniec balu, pogasły świece, skończona laba, ktoś przyszedł! Klnąc pod nosem, spojrzałam na ekran; przy bramie uśmiechał się miło sympatyczny młody człowiek w eleganckim letnim garniturze.

- Pan do kogo? - spytałam ostrożnie.

- Firma Markwet, przywiozłem karmę dla psów. Ponieważ w domu mamy psy różnych ras, dwa koty, papugę i gromadkę drobnych gryzoni, karmę dla nich kupujemy hurtem w sklepie Markwet. Arkady raz na miesiąc zapycha mercedesa workami Pedigree Pal i konserwami Purina. Sęk w tym, że każde ze stworzeń lubi co innego, dlatego zgarniamy prawie cały asortyment prezentowany w sklepie. Do tego dochodzą wszelkie gadżety - gumowe kości i zabawki, ciasteczka, witaminy, szampon, tabletki na pasożyty i różne inne głupstwa. Sprzedawcy witają syna jak upragnionego gościa i prześcigają się, żeby go obsłużyć. I wciąż coś mu wciskają: to absolutnie niepotrzebne koszyki z materacykami dla kotów, to wybitą sztucznym futrem budę dla Hootcha, to paltocik z karakułowym kołnierzem dla Snapa.

Czy ktoś może sobie wyobrazić rottweilera w takiej kreacji?

Z każdą naszą wizytą w Markwecie rozszerza się liczba bezpłatnych usług oferowanych przez sklep. Początkowo była to dodatkowa bezpłatna porcja karmy, potem bezpłatne szczepionki dla psów. Nic dziwnego, nie chcą stracić klienta, który zostawia w sklepie taki szmal! Takiego psiego oszołoma należy niańczyć i hołubić. Dlatego nie zdziwiłam się bynajmniej, gdy przybysz oświadczył, że przywiózł karmę. Wszak wczoraj wieczorem Arkaszka oznajmił głośno, że oto otwiera dla pitbulla ostatnią puszkę królika z warzywami. Najwyraźniej zdażył wpaść do sklepu, a sprzedawca obiecał, że dostarczy zakupy do domu. W dodatku przybyły robił bardzo miłe wrażenie. Otworzyłam bramę.

Na podwórze wtoczyło się stare żiguli. Chłopak wszedł do holu.

- A gdzie worki? - spytałam. Chłopak się zmieszał.

- Bardzo ciężkie, sam nie mogę sobie poradzić, może syn jest w domu?

- Nie.

- To może synowa, córka, razem byśmy przenieśli?

- Nie ma nikogo, nawet gosposi, jestem sama.

- Wspaniale - uradował się raptem i w jego rękach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się pistolet z jakąś nakrętką.

Wrzasnęłam przerażona i rzuciłam się w korytarz wiodący do kuchni.

Zabójca pognął za mną, wystrzelił, rozległo się ciche klaśnięcie i ogłuszający brzęk - kula trafiła w kredens z naczyniami. Zdrętwiałam ze strachu, kiler zaklął, wycelował ponownie, rzuciłam się w stronę okna, gdy rozległo się jeszcze jedno klaśnięcie, odgłos upadającego ciała, a potem zapadła przerażająca cisza. Dygocząc, usiłowałam otworzyć okno.

- Dario Iwanowno - usłyszałam znany, teraz najbardziej upragniony głos.

Bliska utraty zmysłów, obejrzałam się i zobaczyłam w drzwiach uśmiechniętego łagodnie Bekasa, który trzymał pistolet z taką samą nakrętką, jaką miał zabójca.

Kiler leżał twarzą w dół, z rozrzuconymi na boki rękami. Osunęłam się na podłogę i zajęczałam żałośnie niby nowo narodzony kociak.

- Uważam, że najlepiej zrobi nam teraz gorąca herbata z koniakiem - oświadczył Bekas i przeszedłszy nad trupem, z absolutnym spokojem zaczął płukać czajnik.

- E - spróbowałam wydobyć głos, patrząc, jak spod głowy zabójcy wycieka ciemna kałuża - e... a... dla... dlaczego on chciał mnie zabić?

Bekas rozłożył ręce.

- Nie zdażyłam zapytać, ale co do jego zamiarów nie mam żadnych wątpliwości. - Tracił butem zwłoki.

- I co teraz?

- Jak to co, zakopać. Przeraziłam się nie na żarty.

- Trzeba zadzwonić na milicję. Bekas prychnął.

- Nie, lepiej skontaktuję się z Iwanem Michajłowiczem, on to załatwi, a milicja narobi zamieszania, wystraszy domowników. Babki nie będą mogły spać, i tak już świrują, jeszcze w ogóle stracą rozum. I po co straszyć Maniunię? A Kieszka jak nic weźmie panią na smycz po tym wypadku!

Piętnaście minut później na podwórko wjechał mikrobus z zasłoniętymi oknami. Na drzwiach widniał napis „Ruchome laboratorium” i symbol radioaktywności.

Do holu bezszelestnie weszło dwóch młodych ludzi z czarnym foliowym workiem i noszami, a za nimi mężczyzna około trzydziestki ze stetoskopem na piersiach i dziewczyna.

Lekarz włożył gumowe rękawiczki, sprawnie przekreślił trupa na plecy i powiedział:

- Proszę spojrzeć, zna go pani?

Popatrzyłam z lękiem na młodą martwą twarz z małą okrągłą dziurką w czole. Tak, Bekas nie tylko doskonale znał się na silnikach, ale też celnie strzelał.

- Nie, pierwszy raz go widzę.

- Drugi - uśmiechnął się Bekas. - Pierwszy raz zobaczyła go pani

przed bramą.

Dwaj młodzi ludzie zaczęli wkładać zwłoki do worka, a dziewczyna wzięła się do sprzątania kuchni. Nie minęło dwadzieścia minut, a po całym pobojowisku nie było śladu. Mikrobus odjechał, jeden z chłopaków wsiadł do stojącego na podwórzu żiguli i ruszył w ślad za nim.

Usiedliśmy z Bekasem do herbaty.

- Chryste, Kola - dopiero teraz do mnie dotarło - a ty skąd się tu wzięłeś?

- Mania kazała mi napisać wypracowanie, siedziałem w gabinecie.

Usłyszałem domofon, trochę odczekałem, potem się domyśliłem, że w domu nikogo nie ma, a Serafina Iwanowna jest u bliźniaków i nie słyszy dzwonka. Pomyślałem, że pójdę zobaczyć, kogo przyniosło. A tu widzę, że jakiś idiota strzela. No to go załatwiłem. Co to za ludzie teraz! Strzelać nie umie, a bierze się do zabijania! Z dwóch kroków nie trafił w panią, w kredens rąbnął. Czy nie idiota?!

Nie podzielałam jego oburzenia na nieprofesjonalizm kilerka.

- Kto to jest?

- Diabli go wiedzą. - Bekas wzruszył ramionami. - Iwan Michajłowicz sprawdzi.

- Może to zwykły złodziej?

- Włamywacz nie używa pistoletów z tłumikiem. Na cholere ma sobie życie utrudniać? Bebeszy mieszkania i jest na to paragraf, ale jeśli przyłapią go z gnatem, nazywa się to już napad z bronią w rękę, a to zupełnie inna para kaloszy i inny wyrok.

Dopiliśmy w milczeniu herbatę. Bekas westchnął.

- Dario Iwanowno, niech się pani postara zapomnieć o wszystkim, a reszta to już nasze zmartwienie.

Łatwo mu mówić, w końcu niezbyt często próbuje mnie ktoś zabić. Kola podsunął mi prawie całą lampkę koniaku.

- Proszę to wypić i spać.

Posłusznie wlałam w siebie zawartość kieliszka. Jeszcze nigdy nie piłam szlachetnego remy martin takimi końskimi dawkami.

Albo koniak tak na mnie podziałał, albo Bekas ukradkiem rozpuścił w nim środek na sen, w każdym razie do jadalni zwlokłam się dopiero o piątej po południu.

Usta wyschnięte na wiór, głowa pęka, w oczach piasek. Czy tak wygląda kac?

Przy stole siedział Kieszka, przed nim stała ta sama butelka remy martin i kieliszek. Dziwne, syn w ogóle nie pije, a zapachu koniaku wręcz nie znosi. Jedyne, na co sobie pozwala, to pół kieliszka wytrawnego wina.

- Mam migrenę - uznałam za stosowne usprawiedliwić swój długi sen.

- Wiem, Bekas mi powiedział, że wczoraj już o ósmej poszłaś do łóżka.

No proszę, ten Kola to prawdziwy magik. Trupa się pozbył, mnie uspił, domownikom nakłamał!

- Gdzie są wszyscy?

- Babki na spacerze, Giera udał się na poszukiwania damy serca,

Mania z Bekasem w garażu - odpowiedział sucho Kieszka.

- A Kicia?

- Nie wiem, gdzieś się pałęta - burknął ze złością.

- Pokłóciliście się?

W odpowiedzi odwrócił się demonstracyjnie do okna. Od wczesnego dzieciństwa nie sposób było wyciągnąć coś z niego na siłę. Mówił tylko to, co chciał. Jest milczkiem, przez cały dzień potrafi wydusić z siebie ledwo kilka zdań. Można było konać ze śmiechu, gdy słuchało się jego rozmów z Manią, jeszcze nim ożenił się z Kicią. Mani buzia się nie zamyka i często powtarzała po dwa, trzy razy swoje historyjki, nim wreszcie brat rzucił od niechcenia: „Co ty powiesz? To bardzo ciekawe”.

Olgę bardzo kocha, ale jak każdy mężczyzna zbyt często zapomina, że żonie należałoby poświęcić ciut więcej uwagi niż samochodowi. A swojego mercedesa po prostu uwielbia. Najlepszym relaksem jest dla

niego mycie, czyszczenie i polerowanie tej gabloty. W garażu kilka półek ugina się pod rozmaitymi szamponami, woskami, pastami... Oczywiście, volkswagen Kici ani moje volvo nie zasługują na taką uwagę. Nasze samochody myje ogrodnik. Czasami, gdy Olga w chwili złości burczy, że merc byłby dla niego lepszą żoną, Kieszka milczy i nie oponuje. Kicia ma wspaniały charakter, nigdy nie kłóci się z mężem, nie wymyśla mu, choć, moim zdaniem, czasami dobrze by mu zrobiła porządna awantura z wrzaskiem i tłuczeniem naczyń. Bo na przykład zawsze zapomina o rocznicy ślubu i urodzinach Kici. Potem, owszem, kaja się, leci po prezenty. Olga prawie przez całe życie zbiera porcelanowe pieski. Jej kolekcja zajmuje już kilka szafek w sypialni. Niezdarny małżonek zdołał już zbić kilka drogocennych egzemplarzy, ale nawet wtedy nie dostał po łbie. Przyznać jednak należy, że Kieszka daje się wychować. W każdym razie zachwytu w rodzaju: „Ach, moja droga, pięknie wyglądasz, a jaka wspaniała sukienka! Muszę ci, Olu, też taką kupić” -żonom przyjaciół już więcej nie okazuje.

- Pokłóciliście się? - nie ustępowałam. - Co zbroiłeś? Znowu stłukłeś pieska?

Arkady milczał, ale ja nie dawałam za wygraną.

z- Całymi dniami cię nie ma, wziąłbyś Kicię do restauracji albo do znajomych.

Kieszka, widząc, że się nie wykręci, burknął:

- Mamy problemy.

- Jakie?

Milcząc, położył na stole kopertę. „Dla Arkadego Wasiljewa” -widniało na kopercie. Wewnątrz było około dziesięciu kolorowych fotografii. Roześmiana Kicia trzyma w ręku kieliszek z szampanem, siedzi na dużej czerwonej kanapie, to znów Anton obejmuje ją czule za ramiona...

- Widzisz tego lalusia? - warknął Kieszka. - Głupawy Belmondo! A Kicia! Tego się nie spodziewałem. I co mi radzisz? Rozwieść się? Żal mi dzieci.

Westchnęłam. Obrótny chłopak z tego Antona. Muszę powiedzieć Kieszce prawdę, choć awantura będzie na dwadzieścia cztery fajerki.

Postanowiłam podejść do sprawy ogródkami.

- Skąd masz te zdjęcia?

Otóż, wczoraj do biura przyszedł jakiś chłopak i zostawił kopertę z prośbą o przekazanie Arkademu.

Zerknęłam na zmartwioną twarz syna i zaczęłam się kajać. Następne pół godziny to był koszmar. Jeszcze nigdy w życiu Kieszka tak nie wrzeszczał, nawet nie przypuszczałam, że język rosyjski jest taki bogaty i obrazowy. Z ust synusia sypały się takie słowa i zwroty, że tylko zapisywać, a potem wydać podręcznik Rosyjskie wulgaryzmy. Wreszcie szanowny mecenas trochę się uspokoił.

- To u swoich podopiecznych w więzieniu tak się wyszkoliłeś?

Kieszka znowu otworzył usta, ale w tej właśnie chwili do jadalni wkroczyli domownicy: Nina Andriejewna, Rimma Borisowna i Giera. Ten ostatni przyprowadził dość niepozorną chudą kobietę.

- Poznajcie się - powiedziała z dumą Rimma Borisowna -Tamara, narzeczona Gieroczki! Jej ojciec jest członkiem Akademii, a ona wykłada filozofię.

Wspaniały zawód na dzisiejsze czasy, zapewne bardzo dochodowy, pomyślałam, patrząc na szczupłą istotę. No cóż, jedyną rzeczą, jaką się może poszczycić, jest chyba rzeczywiście tylko pozycja tatusia! Bo poza tym to najbardziej myszowata mysz, nawet kolor włosów ma mysi, bury i matowy. Może jest chora? Wieku też się nie da określić. Z taką mordką, niemal pozbawioną ust, można jej dać równie dobrze dwadzieścia, jak też trzydzieści, albo i czterdzieści lat. No, może czterdzieści to przesada, ale trzydzieści pięć na mur!

- Pani też zamieściła ogłoszenie matrymonialne? - nietaktownie spytała Maruśka, wbiegając do pokoju.

Kieszka dał jej kuksańca, ale wyblakła „narzeczona” uśmiechnęła się nieoczekiwanie, ukazując doskonale zęby, świadczące o tym, że odżywia się należycie.

- Nie.

Cóż, jeśli chodzi o gadatliwość, to Kieszka pobiliły ją na głowę!

- Tamaroczka jest córką mojej starej znajomej - wyjaśniła Nina Andriejewna - postanowiłyśmy zeswatać ją z Gierą. Toma ma wspaniałe maniery, nie to, co dzisiejsza młodzież. Ma dwadzieścia pięć lat, a już skończyła studia, teraz robi doktorat i równocześnie wyklada na uczelni.

Zerknęłam na zwyczajną płócienną sukienkę, na chińskie szmacianki na nogach. Albo szanowny tatuś jest skąpy jak Harpagon, albo stracił już wszelką nadzieję pozbycia się córeczki z domu. Gdyby tak przyodziać biedaczkę, ożywić delikatnym makijażem wyblakły pyszczyk, rozpuścić ściągnięte recepturką włosy... Kto wie, może dałoby się z niej coś wykrzesać.

W tym momencie do pokoju wpadła uśmiechnięta radośnie Kicia. No, tej z pewnością niczego nie brakuje! Ma taką karnację, że gdyby choć dziesięć procent kobiet miało równie brzoskwińskie rumieńce i soczyste usta, producenci kosmetyków zbankrutowaliby jeden po drugim. Jasne włosy spływające na ramiona, błyszczące ciemne oczy. Olga opadła na krzesło i pocałowała Kieszę w policzek. Najpierw się uchylił, potem westchnął i otoczył żonę ramieniem, ukradkiem grożąc mi pięścią. Dobra nasza. Wprawdzie Olgę i tak czeka wieczorem niezbyt miła rozmowa z mężem, ale główna nawałnica spadła na moją biedną głowę.

Starsze panie szczebiotały radośnie, usiłując wciągnąć „młodych” do rozmowy. Ale Giera chyba w ogóle nie umie rozmawiać, w każdym razie ja prawie nie znam jego głosu, a Tamara odpowiadała półsłówkami.

Dobrana parka! Głowę dam, że będą się porozumiewać za pomocą karteczek, przyczepionych do lodówki: „Zupa na kuchence, poszłam do pracy”, „Drugiego nie zjadłem, pojechałem do mamy”.

Maniunia, widząc, że atmosfera jest wciąż napięta, zawołała psy i zaczęła prezentować je gościowi. Ale gość ze strachem chował nogi pod krzesło.

- Nie lubi pani zwierząt? - zapytała Mania, w jednej chwili tracąc zainteresowanie Tamara.

- Mam psa na daczce, w Pietuchowie - wydusiła z siebie doktorantka. Znam tę nazwę, ale skąd? Pietuchowo! Już wiem, jajka z Pietuchowa! Mieszka tam szefowa kurzej fermy, która zjawiała się u Maksa. Jak mogłam o niej zapomnieć!

- Ładne miejsce - włączyłam się do rozmowy - i jajka świeże można zawsze kupić, i kurkę.

- Skąd ten pomysł? - Tamara po raz pierwszy okazała cień emocji.

- Przecież tam jest ferma brojlerów. Tamara potrząsnęła głową.

- Mój tata nie jest zbyt towarzyski, nie lubi hałasu i daczki szukał w cichym miejscu. Pietuchowo to dziura zabita deskami. Mieszka tam tylko Faina Lwowna, która pilnuje naszego domu i karmi Markizę. Nikogo więcej nie ma.

- Coś takiego - zmyślałam na poczekaniu - ja też mam znajomą Fainę Lwowną, może to ona? Taka wyzywająca osoba z dużym biustem!

- Nie, ta jest chuda, zawsze okutana w chustkę: Nawet się zdziwiłam, gdy mi powiedziano, że ma dopiero trzydzieści lat, myślałam, że to staruszka. Wygląda okropnie.

Zostawiłam gości przy torcie i przeszłam do biblioteki. Niecierpliwie wyciągnęłam szczegółowy atlas obwodu moskiewskiego. Fantastyczna rzecz, jest w nim wszystko: pojedyncze budynki, osady, wioski, miasteczka, nie tylko szosy, ale i drogi gruntowe, nieomal ścieżki. O, jest Pietuchowo, na czterdziestym kilometrze Szosy Riazańskiej. Zgadza się, jest uwaga: „Wioska wysiedlona”, wkoło jedynie lasy i pola. Najbliższe zamieszkałe miejsce to Kostylewo, piętnaście kilometrów na południe. Cudne zadupie znalazł sobie akademik, tu z pewnością - nikt mu nie zakłóci spokoju.

Bardzo dokładnie obejrzałam całą mapę i upewniłam się, że w rejonie Moskwy jest jedno Pietuchowo. Owszem, dużo było nazw związanych z drobiem, choćby wioseczka Wielkie Kury, ale Pietuchowo było tylko jedno.

Sapiący nad francuskim tekstem Bekas podniósł głowę i zapytał z ciekawością:

- Czego pani szuka, może będę wiedział?
- Pietuchowa.
- Tutaj jest - wskazał palcem w indeksie - widzi pani, Pietuchowo. Westchnęłam bezradnie. No owszem, jest Pietuchowo, ale wygląda na to, że cała historia o fermie i tanich jajkach to wielka bujda. Tylko czyja? Tajemniczej paniusi czy też Maksa?

Do pokoju weszli Arkady i Kicia.

- Matka, pozwól z nami do sypialni - zaczął syn, gdy do pokoju wbiegła rozdygotana gosposia Ira.
- To nie do pojęcia - zawołała - ktoś potłukł prawie wszystkie filiżanki z czerwonego serwisu, a dwie, jakie zostały, ukrył za talerzami. A to, sami zobaczcie, walało się na górnej półce, za wazą do zupy...

Wyciągnęła dłoń, na której leżał jakiś dziwny podługowaty przedmiot.

- Co to? - zapytałam.
- Kula - powiedział wolno Arkady, rzuciwszy okiem na smarującego coś pilnie w zeszyt Bekasa. - Kula, przypuszczalnie z TT. No, matka, marsz na górę. Musimy poważnie pogadać.

Rozdział 27

Kłóciliśmy się prawie do rana. Najpierw oberwało nam się za awanturę z Miedwiediewem. Tym razem Kiszą nie kłał, wymyślał jedynie żonie i matce od „tępych kur” i „bezmózgich indyczek”. Nie wiem, doprawdy, czym mu się aż tak naraził miły i smaczny drób. Potem przeszedł do kuli.

Ale tu poszłam w zaparte, powtarzając, że wszelkie pistolety to dla mnie czarna magia.

- To by się nawet zgadzało - burknął zmęczony Kiesza. - Pewnie nie wiesz, z którego końca się ładuje. Dobrze, jutro dobiorę się do Bekasa.

Ale nazajutrz, gdy ja i Kicia, strapione i potulne, zeszyliśmy do jadalni, naszego dręczyciela już nie było. W trybie pilnym pognał do pracy, bo jego podopieczny znalazł się w jakiejś arcytrudnej sytuacji.

- Ale się nam dostało - szepnęłam do Olgi.
- Dobrze, że nas nie sprzął - odszepnęła.
- Kto? - natychmiast wtrąciła swoje trzy grosze Mania. - Kto kogo miał sprząć?

- Masza - skarciła ją surowo Rimma Borisowna - dzieci nie powinny wtrącać się do rozmów starszych, siedź prosto, jedz przyzwoicie i przestań karmić psy.

- Właśnie - wykazała się refleksem Nina Andriejewna - Bundy je stanowczo za dużo, dzisiaj brzydko się wykupkał, bardzo rzadko. Olga parsknęła śmiechem, ale dostrzegłszy surowe spojrzenie teściowej numer dwa, skupiła się na grzebaniu łyżką w talerzu z niezmienną owsianką.

- Aha, póki pamiętam - znów zabrała głos Rimma Borisowna - idziemy dzisiaj na koncert estradowy. Początek o siódmej wieczorem, sala „Rosja”.

Otworzyłam już usta, ale babsko zdusiło bunt w zarodku.

- Dario, Giera zaprosił Tomoczkę, dziewczyna musi się przekonać, jaka z nas zgodna rodzina. Dlatego podkreślam, że na koncert idziemy wszyscy. Tamara to najlepszy nabytek z dotychczasowych kandydatek. I mieszkanie, i dacza, i ojciec na stanowisku.

Moim zdaniem należało raczej zostawić kawalera z panną samego, może wreszcie udałoby się im zamienić choć kilka słów. Ale kochająca mama patrzyła na tę sprawę inaczej.

Po śniadaniu poszłam do Kici.

- Masz adres?
- Właśnie na dzisiaj umówiliśmy się u niego na kawę - powiedziała, wsadzając protestującego Wańkę do kojca.
- To się zbieraj, o której się umówiliście?

- O drugiej w McDonalddie na Twerskiej. Ale może lepiej nie iść? Kieszka nas udusi, gdy się dowie, że go nie posłuchałyśmy.

- Muszę mieć adres, żeby w spokoju zadać mu kilka pytań. Przypuszczam, że Jana Sokołowa ukrywa się w jego mieszkaniu, a ta dziewczucha to najważniejsze ogniwo w całej historii.

- Niech będzie - mruknęła synowa - przekonałaś mnie, ale jeśli Arkaszka będzie się czepiał, powiem, że mnie zmusiłaś.

Wypchnawszy Olgę na randkę, pojechałam do przyjaciela Leonida Miedwiediewa, Iwana. Ciekawe, dlaczego Anton zwał od niego po pół roku?

Ulica Andriejewa to świetny punkt, dwa kroki od Twerskiej. Centrum miasta, a cicho jak na wsi, domy z początku wieku, wysokie stropy, ogromne schody i rozległe korytarze. Iwan był w domu.

- Nawet słuchać nie chcę o tym draniu - warknął na pytanie o Antona. - Żeby zdechł jak najszybciej, parszywy łobuz.

- Dlaczego parszywy - zdziwiłam się szczerze - przecież to piękny chłopak.

- Diabeł często przybiera anielską postać - odrzekł filozoficznie. - Piękny jak obrazek, ale od razu mi się nie spodobał.

- Dlaczego?

- Kim pani jest i po co szuka Antona? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Bajeczka o spadku tutaj nie przejdzie.

- Daria Iwanowna Wasiljewa, major milicji. Anton Miedwiediew jest podejrzany o ciężkie przestępstwo, a jego ostatni znany adres to właśnie ulica Andriejewa.

- Czyżby znowu zabił jakąś nieszczęsną kobietę? Proszę do środka. Mieszkanie miało dziwny rozkład. Do pokoju wchodziło się przez wielką zagraconą kuchnię. Najwyraźniej Iwan mieszkał sam. W oknie nie było firanek, półki pokrywała gruba warstwa kurzu, na biurku cichutko buczał włączony komputer.

I wszędzie książki, książki, książki...

A większość, o dziwo, po francusku.

- Tłumaczę powieści kryminalne - wyjaśnił, widząc moje zaciekawione spojrzenie.

Coś takiego. Chętnie pożyczyłabym tę nowiutką książeczkę Skarby w walizce, ale gospodarz mógłby nabrać podejrzeń. Bo kto widział milicjanta znajomego języki obce?

Dlatego jeszcze raz obrzuciłam tęsknym wzrokiem książkę i zaczęłam przesłuchanie.

- Dlaczego nie spodobał się panu Anton i czemu utrzymuje pan, że kogoś zabił?

Gospodarz wyjął grube cygaro, starannie odciął koniuszek i wypuścił kłęb okropnie cuchnącego dymu.

- Antona przyprowadził do mnie Leonid Miedwiediew. Matką Antona była artystka cyrkowa Ludmiła Zimpanelli, z którą Leonid miał romans.

Potem Anton pokłócił się z matką

i zjawił się u ojca. Żona Leonida była straszną zazdrośnicą, mowy nie było, żeby mogli mieszkać razem. Dlatego przyprowadził do mnie swoją latorośl.

Chłopak uśmiechał się powściągliwie, chciał zrobić jak najlepsze wrażenie, ale Iwanowi od razu nie spodobały się oczy potencjalnego współmieszkańca - niebiesciutkie, przezroczyście niczym szkło i szczerze aż do bólu. Tak nienaturalnie szczerze, że zaniepokoiło to Iwana. Ale nie znalazł, niestety, pretekstu do odmowy. Mieszkanie wielkie, a w nim tylko on i córka Faina. W dodatku Anton na wstępie zaznaczył, że zatrzyma się u nich na krótko, bo uczelnia obiecała mu akademik. Iwan nie chciał zawieść najlepszego przyjaciela.

Przez pierwszy miesiąc sublokator nie sprawiał najmniejszych kłopotów. Chciał dać przyzwoitą sumę na utrzymanie, a gdy Iwan odmówił przyjęcia, chłopak kupił nowy telewizor. Całe dni spędzał w instytucie, a wieczorami razem z Fainą oglądali filmy gangsterskie i komedie. Dziewczyna była w dziewiątej klasie, więc Iwan, który wówczas często wyjeżdżał w delegacje, pomyślał, że może istotnie

przyda się sublokator, bo zawsze z lękiem zostawiał córkę samą. Mijały tygodnie, Anton przestał wspominać o akademiku. Iwan też nie poruszał tego tematu. Mógł teraz spokojnie pracować. Córka nie siedziała już całymi wieczorami sama, a Anton okazał się bardzo przyzwoitym młodzieńcem: nie pił, nie palił, nie sprowadzał do mieszkania żadnych znajomych oprócz Loni Biezczonego. W pogoni za pieniędzmi Iwan zaczął jeździć po całej Rosji. Rubel szybko tracił na wartości, ale profesjonalny tłumacz, w dodatku symultaniczny, był rozchwytywany. Poza tym cieszył się doskonałą opinią: rzetelny, z wielkim doświadczeniem, a przy tym niezbyt drogi. Kiedyś trafiła mu się świetna delegacja do Primorja. Francuzi budowali tam jakąś fabrykę i potrzebowali tłumacza aż na trzy miesiące. Iwan wahał się, czy może zostawić córkę na tak długo, ale oferowano mu niezwykle atrakcyjną płacę. Koniec końców, pojechał. Przepracował uczciwie dwa miesiące, a potem między Francuzami a lokalną władzą zaczęły się jakieś tarcia i specjaliści wrócili do Paryża. Iwan przyjechał do Moskwy i zjawił się w domu późnym wieczorem, kiedy nikt się go nie spodziewał. Otworzył

drzwi sypialni córki i już chciał zawołać wesoło: „Jestem!”, gdy słowa uwięzły mu w krtani na widok obrzydliwej sceny. Ukochana córeczka, jego mała Faina, hołubiona, chowana bez matki, miłość i duma ojca, leżała naga w łóżku z... dwoma roslymi facetami. Na dodatek jeden z nich był czarnoskóry. Poza, w jakiej ojciec zastał Fainę, byłyby w sam raz dla pisma „Playboy”. Ale najbardziej poraziło go to, że przy łóżku stał Anton z amatorską kamerą w rękach i filmował tę wyuzdaną scenę. Nieszczęsnemu ojcu pociemniało w oczach, rzucił w Antona walizką. Zaczęli się szarpać, tamci dwaj zerwali się z łóżka i uciekli. Młody i silny Anton pobił Iwana i też wyszedł. Faina nadal leżała w łóżku, chichocząc głupio. Nie zareagowała na polecenie ojca, żeby wstała i coś na siebie narzuciła. W pewnej chwili zamknęła oczy i zaczęła rzeźzić. Iwan przeraził się i wezwał pogotowie.

Przybyły lekarz z odrazą zbadał Fainę, ledwo osłoniętą szlafrokiem, i powiedział:

- Wezwanie do narkomanów jest płatne.

- Co pan plecie! - Iwan kompletnie zbaraniał. - Przecież to coś z sercem.

- I z nerkami, i wątrobą, i żołądkiem. - Lekarz grzebał ponuro w walizce z lekarstwami. - Popatrz, bracie, na jej ręce.

Iwan wlepił wzrok w chudziutkie, pokryte siniakami ręce córki i zatrząsł się od płaczu. Lekarz ulitował się nad biedakiem i dał mu relanium. Noc i połowę następnego dnia Iwan przedrzemkał. Ocknął się około południa i poszedł do łazienki, żeby się umyć. A tam, na pralce, siedziała Faina. Jej lewą rękę obcisnął pasek, którego koniec trzymała w zębach. Obok leżała pusta fiołka.

- Co robisz? - zapytał cicho Iwan.

Faina podniosła na niego duże ciemne oczy.

- Przepraszam, tatusiu, ale nie wytrzymam bez działki.

Następny miesiąc był dla obojga koszmarem. Faina opowiedziała, że już dawno została kochanką Antona. Potem wciągnął ją w narkotyki i zaczął filmować w pornosach. Zdemoralizowana i kompletnie pozbawiona woli, za jeden zastrzyk gotowa była skoczyć w ogień.

- Kocham go, tatusiu - płakała, obejmując ojca - rozumiesz, kocham. Daj mi go.

Początkowo Iwan usiłował postępować z nią po dobroci. Był na rozmowie w szkole, wynajął nauczycieli i lekarza, specjalistę od narkomanii. Ale wszystkie wysiłki szły na marne. Faina nie chodziła na lekcje, kłamała, że idzie na korepetycje, a biegła do dilerów. Wtedy Iwan nawiązał współpracę z wydawnictwem, zaczął tłumaczyć kryminały i nie ruszał się z domu. Przez cały dzień nie spuszczał córki z oczu - karmił ją regularnie, podawał przepisane przez lekarza tabletki, ale wystarczyło, by wyszedł po zakupy, a Faina natychmiast uciekała z domu. Wracała nad ranem, zawsze pokłuta i zadowolona. Na wszystkie błagania ojca miała jedną odpowiedź:

- Daj mi Antona, znajdź go i przyprowadź.

Pewnego dnia do Iwana zadzwoniono z zarządu cmentarza, gdzie pochowana była jego żona, że nieznani wandale rozbili pomnik. Natychmiast pojechał do Mitina. Na miejscu okazało się, że grób jest w zupełnym porządku. Pełen jak najgorszych przeczuć, złapał taksówkę i pognął do domu. Został mieszkanie prawie doszczętnie ogołoczone. W ciągu trzech godzin, jakie spędził poza domem, złodzieje wynieśli niemal wszystko, pozostawiając jedynie stare meble. Obrazy, ikony, srebrna cukiernica, komputer, telewizor, wideo - musieli mieć ciężarówkę, żeby to załadować. Ale nie to było najstraszniejsze. Na stole w pustej sypialni Fainy leżała kartka: „Nie jesteś już moim ojcem, odchodzę do tego, którego kocham”.

Iwan rzucił się do pokoju, który zajmował Anton, otworzył szafę i zobaczył, że rzeczy chłopaka zniknęły. Zrozumiał, że to on okradł mieszkanie i wprowadził Fainę.

Poszukiwania córki nic nie dały. Zniknęła jak kamień w wodzie. Jej zdjęcia pokazywano w telewizji, kilka razy zamieszczano w gazetach, ale bez efektu. Przepadła. Iwan z czasem przyjął do wiadomości, że córka zginęła. Ostatnią próbę poszukiwań podjął kilka lat temu. Wziął zdjęcie siedemnastoletniej Fani i poszedł do znanego jasnowidza. Ten długo wpatrywał się w zdjęcie, wreszcie oświadczył:

- Nie widzę jej wśród żywych.

Od tej pory Iwan nie szukał już córki. Nie chciał się żenić drugi raz i mieszkał sam.

- Powinien pan odszukać Antona - poradziłam. - On z pewnością wie, co stało się z Fainą.

- Szukałem go, a jakże. Z instytutu go wyrzucili, u matki nie mieszka, z ojcem się nie widuje, gdzie mam go szukać?

Jedynym śladem był jego przyjaciel Lonia Biezczastry, ale on też powiedział, że nie ma kontaktu z Antonem.

- A gdzie on mieszka? - spytałam czujnie.

- Teraz nie wiem, a kiedyś na Sadowym Kolcu.

Wzięłam adres Loni i wyszłam na ulicę. Po nieznośnym upale nagle bardzo się ochłodziło, wiał przenikliwy wiatr, pogoda bardziej przypominała koniec września, a nie czerwca.

W McDonalddie było pełno ludzi, więc rada nie rada, dosiadłam się do miłej starszej pani.

- Zmarzła pani? - zapytała uprzejmie, patrząc, jak łapczywie łykam gorące kakao. - Trzeba się cieplej ubierać.

- Przecież włożyłam spodnie - wybełkotałam, odgryzając kęs bigmaca.

- Są takie szerokie, że pewnie podwiewa, dlatego zimno. Faktycznie, są szerokie, rozkloszowane prawie od biodra.

Supermodny strój Valentino. Ale cwany projektant wpadł na to, że w takich dzwonach będzie zimno, i zastosował mały trik. Podszewka została skrojona w formie szarawarów ujętych w gumkę - szerokaśne spodnie, a w środku ciepło i wiatr nie ma dostępu. Ale przecież nie będę się z tego zwierzała miłej staruszce.

Zjadłam i ruszyłam do wyjścia, gdy nagle poczułam pewien dyskomfort. Musiałam zawrócić do toalety. Zamknęłam się w kabinie i sięgnęłam do podszewki spodni. W kieszeni, jak zawsze, mam sporą dziurę. Ale tylko w prawej, lewa jest w największym porządku. Zawsze brakuje mi czasu, by dziurę zaszyć, przypominam sobie o niej wtedy, gdy wsuwam do „feralnej” kieszeni komórkę. I tym razem mały ericsson wypadł przez dziurę z kieszeni i utkwił przy kostce w ściśniętej gumką podszewce. Nie sądzę, by Valentino przewidział taką sztuczkę, ale i tak dzięki mu za to, bo inaczej znacząco wzrosłaby liczba zniszczonych przeze mnie komórek, i bez tego nie mała.

Włożyłam komórkę do całej kieszeni i ruszyłam do wyjścia, gdy zadzwoniła Mania.

- Mamula! - wrzasnęła w słuchawkę. - Pamiętasz o koncercie?

- Jasne, kochanie.

- To nie musisz wracać do domu, spotkamy się za piętnaście siódma przed „Rosją”.

Spojrzałam na zegarek. Mam sporo czasu. Dobrze, pojedę do Loni

Bieczastnego. Dom w centrum, na Sadowym Kolcu.

Tam jednak spotkał mnie zawód. Za wielkimi brązowymi drzwiami panowała absolutna cisza. Przez wizjer niczego nie mogłam dostrzec. Słyszałam, jak w mieszkaniu dzwoni telefon. Nikogo nie było. Albo jest w pracy, albo wyjechał. Trzeba wracać do samochodu.

Nagle pociemniało mi w oczach, poczułam ucisk w uszach i żeby nie upaść, szybko usiadłam na schodach. Do licha, przecież wiem, że przy gwałtownej zmianie pogody raptownie spada mi ciśnienie. Oksana jako ratunek kazała mi nosić przy sobie kilka kostek cukru. Posłusznie włożyłam do schowka w aucie pudełko cukru w kostkach. Niestety słabo zrobiło mi się na schodach, a cukier leży w samochodzie. Tylko tego brakowało, żebym zemdląła na schodach obcego domu. W głowie mi huczało, przed oczami fruwały czarne muszki.

- Źle się pani czuje? - usłyszałam.

Z trudem odwróciłam otumanioną głowę. Drzwi sąsiedniego mieszkania były otwarte, na progu stała młoda dziewczyna.

- Zaraz mi przejdzie - wymruczałam, z trudem otwierając usta - proszę się nie bać, ja nie piję, po prostu gwałtownie spadło mi ciśnienie.

- Co też pani, potrafię przecież odróżnić porządnego człowieka od alkoholika - oburzyła się dziewczyna. - Proszę wejść do mnie, pracuję w służbie zdrowia.

Na sztywnych nogach wkroczyłam do pokoju i opadłam na pachnącą stęchlizną kanapę. Dziewczyna przyniosła aparat do mierzenia ciśnienia.

- Sześćdziesiąt na czterdzieści pięć. Trzeba zrobić zastrzyk.

- Poproszę raczej mocną herbatę z cukrem.

Lipton okazał się życiodajnym płynem, szum w głowie ucichł.

- Pomogło?

- Dziękuję - odpowiedziałam, siadając prosto. Popatrzyłam uważnie na moją wybawicielkę. Skąd ja znam

tę twarz? Gdzieś już widziałam te mocno umalowane oczy, czarne włosy i zgrabną, dość pulchną figurę.

- To świetnie - ucieszyła się dobra samarytanka. - Teraz poleży sobie pani jeszcze ze dwadzieścia minut i będzie dobrze.

- Och nie, dziękuję, muszę jechać.

- Mowy nie ma, wprawdzie nie jestem lekarzem, tylko zwykłą pielęgniarką, ale wiem, że z zaburzeniami wegetatywno-naczyniowymi nie ma żartów. Ma pani szczęście, zerknęłam w wizjerek, żeby sprawdzić, kto to się do sąsiadów dobija, a pani już na schodach siedziała, zielona na twarzy...

Nie przestawała szczebiotać i nagle uświadomiłam sobie, skąd ją znam.

- Pani ma na imię Gala?

- Tak. A skąd pani wie?

- Byłam w szpitalu, u doktor Rewienko.

- No jasne - rozpromieniła się - cóż za zbieg okoliczności. Leczyła się pani na oddziale.

- Nie, przyszedłam po zaświadczenie. Tylko że u was tam niezły bałagan, a Rewienko niczego nie pamięta, jakaś dziwna!

- Lepiej nie mówić - roześmiała się Gala. - Rewienko to ciapa. Inni lekarze są zręczni, szybcy, a ta! Nim wykombinuje, co do czego, minie tydzień. Ciepłe kluchy. O wszystkim zapomina, myli chorych, a poprosić ją o coś to głupiego robota, bo i tak natychmiast zapomni. Ma pani pojęcie, w jakiej głupiej sytuacji się przez nią znalazłam? Wyciągnęła z szafki paczkę papierosów, zapaliła i zaczęła z lubością tokować. Kilka tygodni temu przyszedł do niej sąsiad z prośbą o pomoc. Jego dziewczynę, studentkę, tak bardzo pochłonęła miłość, że zapomniała zupełnie o studiach. Całą wiosnę przebałaganili, oddając się uciechom cielesnym, aż przyszła sesja. Mowy nie było, żeby zdała egzaminy, wydział mechaniczno-matematyczny to nie w kij dmuchał, w ciągu kilku dni nie sposób opanować ani analizy matematycznej, ani mechaniki teoretycznej. Dziewczyna sąsiada się opamiętała, tyle że trochę za późno. Postanowiła nadrobić zaległości latem, dlatego potrzebne jej było zwolnienie ze szpitala, żeby mogła przełożyć

egzaminy.

- Napisz, że złamała rękę albo nogę i leżała u was na oddziale - błagał sąsiad. - Pomóż, bądź człowiekiem.

Gala się zgodziła i uprzedziła Rewienko, by na pytania o dziewczynę odpowiadała, że wypisano ją do domu. Sporządzenie zwolnienia to żaden problem - blankiety z podpisami i pieczętkami walają się po pokoju lekarskim.

Ale rozkojarzona Rewienko natychmiast o tym zapomniała i gdy zadzwoniono z uczelni, pytając o Sokołową, spokojnie odpowiedziała, że taka chora nie przebywała w szpitalu. W dodatku mówiła to w obecności Gali, która, krzywiąc się niemiłosiernie, dawała jej znaki, a gdy lekarka przestała rozmawiać, wybuchnęła:

- Przecież prosiłam!

Rewienko uniosła powoli senne oczy i mruknęła apatycznie:

- A... Zapomniałam.

- Jeszcze chwila, a przyłożyłabym jej jak nic - gorączkowała się dziewczyna - więc niech się pani nie zdziwi, jeśli zgubiła dokumenty.

- A jak się nazywała tamta dziewczyna?

- Sokołowa. Anna, nie, jakoś inaczej.

- Może Jana?

- Właśnie, nawet pomyślałam, że to nie jest rosyjskie imię. A pani ją zna? - zdziwiła się.

Nie, Galoczko, jeszcze nie znam, ale od dawna o tym marzę.

- A gdzie mieszka sąsiad?

- Tam, gdzie pani pukała.

- Anton Miedwiediew?

- Jaki Anton? Lonia Biezczastry, przez całe życie mieszkamy obok siebie, już nasi rodzice się przyjaźnili. A dlaczego go pani szuka?

- Przyjechałam z Paryża, przywiozłam mu od przyjaciół list i prezenty.

- Coś takiego! - Gala wpadła w zachwyt. - On wszędzie ma znajomych. Ale nic dziwnego, jest reżyserem, skończył szkołę filmową. Tylko że teraz go nie ma, wyjechał na zdjęcia, wróci jutro, kręca gdzieś na prowincji.

Rozdział 28

Pod salą koncertową zjawiłam się za pięć siódma. Przed wejściem niecierpliwie podskakiwała Masza, ściskając w rękę dwa bilety.

- Musik - zawołała - pospiesz się, wszyscy już poszli, zaraz się zacznie.

Depcząc po nogach siedzącym, precyzyjnie się na swoje miejsca i wreszcie odsapnęłam. No, mam nadzieję, że muzyka nie będzie zbyt głośna i pozwoli mi na rozmyślanie. Na proscenium wyszedł właśnie konferansjer i chichocząc głupawo, zapowiedział grupę „Skunksy”. Co za pomysł, żeby się tak nazwać. Może w czasie występów puszczają cuchnący dym?

Muzyka ryczała i natychmiast wypłoszyła mi z głowy wszystkie myśli.

Nie cierpię ostrych dźwięków, drażni mnie nawet donośny głos, a tu przekrzykują się z perkusją. Wreszcie popisy się skończyły i zza kulis wyszła Ałła Pugaczowa we własnej osobie. Publiczność, nie wiedząc czemu, powitała pojawienie się pierwszej damy rosyjskiej estrady dzikim chichotem i gwizdami. Jak na mój gust, dość dziwaczna reakcja.

Uciszywszy władczym gestem szalejących widzów, Pugaczowa zaśpiewała jedną zwrotkę Na promie i poszła sobie. Zdumiał mnie taki krótki występ. Ale na scenę wniesiono kilka stołów, pojawił się magik i zaczął machać chusteczkami.

Po iluzjoniście na scenę wyskoczył Filipp Kirkorow. I znowu śmiechy, tupot, gwizdy. Fila też zaśpiewał tylko jedną zwrotkę i się zmył. Nic nie rozumiałam. Co się dzieje z tymi gwiazdoram?

Koncert szedł pełną parą. Między numerami pojawili się po kolei Nikołaj Rastorgujew bez grupy, Walery Leontjew, Irina Ponarowska, śpiewali po kilka zwrotek i znikali. Gdy w świetle jupiterów ukazała się postawna, wspaniała Jelena Obrazcowa i odśpiewała swoim

niepowtarzalnym głosem początek arii z Cyganerii, miałam wrażenie, że zwariowałam! Diwa tej miary zgodziła się na udział w takiej składance, w dodatku wyszła na scenę zaledwie na trzy minuty?!

- Niezły jest - szturchnęła mnie łokciem Mania - ale daje czadu!

- Kto? - zapytałam cicho, obserwując, jak Obrazcowa majestatycznie niesie swoje okazałe ciało za kulisy.

- No coś ty, mamó, przecież to parodysta Bieriestow, spójrz... Podsunęła mi program. Rozdziawiłam usta: to znaczy, że Pugaczowa, Kirkorow, Jelena Obrazcowa to w rzeczywistości przebrany mistrz parodii Oleg Bieriestow? Jak on to robi? Zgoda, włosy to głupstwo - włoży perukę, ale wzrost? Fila ma prawie dwa metry, a Leontjew niecały metr siedemdziesiąt... Niesłychane!

- Ja go znam - pochwaliła się Maniunia - w porządku gość, jak przyjeżdża po Lizkę, zawsze przywozi czekoladki dla całej klasy.

- Kto po kogo przyjeżdża?

- Musiu - syknęła karcąco - znów mnie nie słuchasz. Do mojej klasy chodzi córka Olega Bieriestowa, Liza. Ojciec przyjeżdża po nią często do szkoły i przychodzi do klasy.

Mania nie przestawała trajkotać, ale ja się wyłączyłam. Chryste Panie, chyba zrozumiałam, w jaki sposób z Maksa i Ady zrobiono morderców. I tylko nie wiem jeszcze drobnego szczegółu - kto i po co organizował te przedstawienia?!

Następnego ranka poczekałam, aż Maniusza zbiegnie na śniadanie i zagaiłam:

- Świetny koncert.

- Och, wspaniały - odpowiedziały chórem teściowe - co za parodysta!

- A wiecie - dodałam, uśmiechając się przebiegle - że jego córka Liza chodzi do jednej klasy z Manią? Jeśli chcecie, to możecie zadzwonić do niego do domu i wyrazić mu swój zachwyt. Na pewno masz jej telefon?

Prostoduszne dziecko zawołało radośnie:

- Jasne, i adres też!

Marusia pognęła po swój notesik, a Rimma Borisowna zażądała od Giery, by przyprowadził Tamarę na obiad. Odczekałam, aż Mania obwieściła na głos numer telefonu, i wymknęłam się do sypialni.

Bieriestow jeszcze spał. No cóż, niełatwo jest pracować do północy, pomyślałam, słysząc senny głos, i sumitując się, powiedziałam:

- Proszę wybaczyć, że dzwonię tak wcześnie, ale pan Casaris prosił, abym koniecznie złapała pana w domu.

- Kto? - nie zrozumiał parodysta. - Jaki pan?

- Casaris, właściciel klubu „Gardenia” w Paryżu. Upoważnił mnie, bym porozmawiała z panem o ewentualnym tournee.

W słuchawce rozległo się zduszone sapnięcie i zaraz zostałam poproszona, by natychmiast przyjechać.

Jeszcze by nie. „Gardenia” dla artystów estradowych to tyle co Oscar dla filmowców. Wystarczy raz pojawić się na scenie słynnego klubu, by zyskać miano gwiazdy wyższej kategorii, superelity światowego show-biznesu. Wielu krytyków zarzuca Casarisowi tendencyjny dobór wykonawców, ale on ma to w nosie. Na widowni zawsze jest komplet. Od czasu do czasu zaprasza na występy młodego wykonawcę, który w ciągu jednego dnia staje się modny, znany i bogaty. A trzeba dodać, że artyści z Rosji niezwykle rzadko goszczą na tej upragnionej scenie. Nie dziwiło mnie więc podekscytowanie Bieriestowa. Dla takiego spotkania odwoła wszystko i zaprezentuje wszelkie swoje umiejętności. Kiedy idziesz między wrony, musisz krakać jak i one. Dotyczy to też ubioru. Przekopałam szafę i wystroiłam się w te swoje szerokie spodnie i paskudną obcisłą bluzkę z aksamitu, ledwie sięgającą talii. Na szyi namotałam wszelkie możliwe korale i popatrzyłam w lustro. Nie, to jeszcze nie to. Casaris, wysoki, tęgi mężczyzna, zawsze pojawia się w jaskrawozielonych skórzanych spodniach i cytrynowokanarkowej koszuli. Długie włosy ufarbowane na kolor miedzianego drutu ściągają na karku złotą zapinką, obrazu dopełniają bordowe buty i kółko w uchu.

A ja, nawet omotana wszystkimi swoimi łańcuszkami, wciąż nie

wyglądałam na jego przedstawicielkę. Trzeba zdecydowanie zmienić image.

Dobrze, spodnie zostawię, w końcu na dworze jest zimno jak jesienią. Zamiast bluzeczki włożę długą trykotową koszulę w kolorze wściekłej sałaty, a na nią skórzaną kamizelkę z frędzlami i zatrzaskami. Tak wystrojona, poszłam do Kici. Wczoraj nie spotkała się z Antonem, nie przyszedł o drugiej na spotkanie.

- I co teraz? - zapytała. - Mam siedzieć i czekać, aż zadzwoni?
- Siedź i czekaj - poleciłam i wzięłam z półki flakonik jasnoczerwonej pianki barwiącej. Naniosłam na włosy zwariowany kolor i natychmiast przeobraziłam się w odlotowe indywiduum z krwawą czupryną. Podkreśliłam mocno oczy, usta pociągnęłam pomarańczową pomadką i nie pożałowałam białego pudru ryżowego. Wreszcie wcisnęłam na nogi jaskrawoniebieskie pantofle na piętnastocentymetrowych obcasach i kołysząc się lekko, podeszłam do lustra. Spojrzała na mnie dziwaczna istota - coś między dworcową prostytutką, śpiewaczką Lika Tanc i postacią z akwaforty Goi Do samej śmierci. Wspaniale, jeszcze tylko jako kropkę nad i przyczepiłam do lewego nozdrza klipsik-kółeczko, który Maniunia przywiozła z Paryża. Wtedy zaczęła się właśnie moda na piercing i Maszka nie chciała się odróżniać od francuskich nastolatków. Ale nie posunęliśmy się aż do tego, żeby przekłuć nos, ograniczyliśmy się do klipsika. Ten jednak szybko znudził się Mani i wcisnęła go do szkatułki z moimi precjozami.

Wyszłam na korytarz i od razu natknęłam się na Ninę Andriejewnę.

- Boże, a ty dokąd? - wykrztusiła wstrząśnięta.
- Jestem egzaminatorem na egzaminie wstępnym - palnęłam. Ciekawe, co zrobiliby abiturienti na widok takiego egzaminatora?
Rejon ulic Czerniachowskiego, Usijewicza i Krasnoarmiejskiej to prawdziwy rezerwat. Tutaj od lat pięćdziesiątych w ładnych, wygodnych domach z jasnej cegły mieszka inteligencja twórcza - aktorzy, pisarze, malarze.

Dom Bieriestowa, dość nowy szesnastokondygnacyjny wieżowiec, prezentował się elegancko. Gospodarz mieszkania w niczym mi nie ustępował. Miał na sobie coś do złudzenia przypominającego kombinezon kosmonauty, a na nogach kapcie w kształcie piesków. Odlot, jak by powiedziała Maniunia.

Przez piętnaście minut rozmawialiśmy o tournee, wreszcie oznajmiłam:

- Pan Casaris pyta, ile pan ma personelu.
- Czterech charakteryzatorów, ośmiu kostiumerów - zaczął wyliczać.
- Ilu? - zdziwiłam się szczerze.
- Moja charakteryzacja jest ogromnie skomplikowana, a kostiumy bardzo szczególne.

- Kompletnie nie mogę pojąć, jak pan zmienia wzrost.
- To akurat jest najłatwiejsze. Wkładam specjalne buty -znane już aktorom greckim koturny - albo, wręcz przeciwnie, wychodzę w samych skarpetkach. Ludzie zazwyczaj rejestrują ogólne wrażenie. Wszyscy wiedzą, że Kirkorow jest bardzo wysoki. Ale jeśli on ma metr dziewięćdziesiąt pięć, a ja zdołam się „wydłużyć” zaledwie do metra dziewięćdziesięciu, to nikt tego nie zauważy. Przecież wzrost staje się widoczny w porównaniu z inną osobą, a ja jestem na scenie sam.

- A Jelena Obrazcowa? Pan jest szczupły...
- Drobiazg, specjalna sukienka z poduszczkami, sztuczne piersi, brzuch, biodra...
- Ale chyba jednak nie sposób się ucharakteryzować tak, żeby nikt nie poznał.

W tym momencie w sąsiednim pokoju zadzwonił telefon, Bieriestow przeprosił i wyszedł. Trafił mu się najwyraźniej gadatliwy rozmówca, bo po dziesięciu minutach do pokoju wbiegła dziewczyna.

- Tata bardzo przeprasza, ale dzwoni babcia z innego miasta. Na razie ja pani dotrzynam towarzystwa.
Popatrzyłam na nią zdumiona. Jakim cudem temu dość pospolitemu paradyście mogła urodzić się taka ślicznotka! Jasne włosy prawie do pasa, talia jak u osy, kształtne piersi, które nawet mnie, kobiecie,

wydały się pociągające, nogi do samej ziemi. Trochę za mocny makijaż, ale dziewczyny teraz tak właśnie się malują.

Gawędziłyśmy sobie mile o sztuce Odrodzenia, dziewczyna miała głosik dźwięczny jak dzwoneczek. Raptem roześmiała się ochryplym, zupełnie niekobiecytm śmiechem i ściągając z głowy perukę, powiedziała miłym tenorem:

- A co, nieźle panią nabrałem?

Zbaraniała, patrzyłam, jak dziewczyna ściąga przez głowę koszulkę razem z piersiami, a następnie wyskakuje z minispódniczki i gorsetu. Przede mną stał Oleg Bieriestow z dziewczęcą twarzą i w damskich rajstopach.

- No co, nie poznała mnie pani? Pokiwałam głową.

- Byłam przekonana, że do pokoju weszła pana córka.

- No właśnie. - Był wyraźnie zadowolony. - Ucharakteryzowałem się w pośpiechu, a pani i tak mnie nie poznała. Tylko że w moim fachu zrobić twarz, włożyć sukienkę albo odpowiedni kostium, nawet zmienić głos to jeszcze nie takie trudne. Najważniejsze to podpatrzeć nawyki, gesty parodiowanego. Jak chodzi, zapala papierosa, potrząsa włosami... Gdybym poobserwował panią kilka dni, mógłbym tak panią udawać, że wyprowadziłbym w pole nawet męża i dzieci.

- Nie mam męża, więc to by się panu nie udało. A psa można oszukać? Oleg się uśmiechnął.

- No cóż, z psami ten numer nie przejdzie. Miałem taką śmieszna historię. Swego czasu studiowałem w MIlu, z matematyką nigdy nie miałem trudności. Zostałbym inżynierem, ale w MIlu był świetny teatrzyk studencki. Grałem tam i w rezultacie trafiłem na profesjonalną scenę.

Kiedyś brat Bieriestowa, Jura, również studiujący w MIlu, miał pojechać do swego promotora na konsultację. Profesor był dosyć wredny, mowy nie było, by się nie stawić. Działo się to pod koniec kwietnia, Jura chciał spędzić ze swoją dziewczyną trzy dni na dacy, dlatego ta konsultacja bardzo psuła mu szyki. Zaczął łązić za bratem, żeby poszedł za niego. Oleg, wtedy występujący już zawodowo, zgodził się pomóc.

Początkowo wszystko szło jak po maśle. Ani staruszek profesor, ani jego żona niczego nie podejrzewali. I tylko mały piesek, mieszaniec bolończyka z terierem, wściekle ujadał na Olega, a wreszcie capnął go za nogę.

- Pojęcia nie mam, co się stało Maluni - sumitowała się gospodyni, przemywając jodyną ślady po zębach. - Owszem, zawsze szczeka na widok nieznanym i usiłuje gryźć. Ale przecież pana, Juroczka, dobrze zna, nigdy na pana nie szczekała. Zdaje się, że ostatnim razem wpakowała się nawet panu na kolana...

- Tak więc psa nie udało się nabrać - śmiał się Oleg. - Rozpoznaje po zapachu, a nie wyglądzie. Choć z drugiej strony, Malunia to chyba moja jedyna porażka. W młodości zrobiłem taką sztuczkę - do dziś mi wstyd. To w nawiązaniu do naszej wcześniejszej rozmowy, że współmałżonka nie można oszukać. Nasz reżyser miał żonę Alonę. Piękna jak anioł i bardzo wierna.

Przed Nowym Rokiem Oleg podpisał sobie i założył się z przyjacielem, że przebierze się za męża Alony, a ona nic nie zauważy. Następnego ranka chciał się wycofać z awantury, która na trzeźwo wydała mu się dość obrzydliwa, ale przyjaciel, śmiejąc się, pokazał mu papierek „Zobowiązuję się do oddania pożyczonych pięciu tysięcy rubli. Bieriestow”.

- Płać - domagał się koleżka. - Albo idź skompromitować Alonę.

Pięć tysięcy w tamtym okresie to były ogromne pieniądze, tak więc Oleg, rad nie rad, musiał się zachować jak świnią.

- Do dzisiaj nie mogę sobie tego wybaczyć! Nikt poza Antonem nie wiedział o tym kretyńskim zakładzie, a jednak wszystko się wydało, pojęcia nie mam, jak! Musiałem odejść z teatru.

- Jak się nazywał ten perfidny przyjaciel?

- Anton Miedwiediew, przez jakiś czas razem studiowaliśmy. Tylko ja na szóstym roku, a on przyszedł na pierwszy i od razu wkręcił się do

teatru. Od tamtego wydarzenia nie kontaktuję się z nim. Podły człowiek i podstępny. Najpierw mnie spił, potem zaczął się nabijać: „Nie zrobisz tego, nie potrafiisz, nie nadajesz się”. A już absolutnie nie pamiętam, kiedy podpisywałem zobowiązanie. Zagroził mi, drań, że jeśli nie oddam pieniędzy, pójdzie na milicję i oskarży mnie o kradzież. Pamięta pani, jakie to były czasy? Do Moskwy przyjechałem z Tweru, tu miałem zameldowanie czasowe, mieszkałem w akademiku, mogli mnie w każdej chwili szurnać ze stolicy.

Opowiedziałem pani tę historię, by pani nie wątpiła, że jestem wielkim artystą, mistrzem imitacji, pan Casaris nie popełni błędu, jeśli mnie zaprosi.

- W porządku, to wszystko brzmi przekonująco, spróbuję namówić szefa. Ale jestem jedynie pracownica, więc na razie niech się pan jeszcze zbyt nie cieszy. A ten pana były przyjaciel, Anton, co teraz porabia?

- Cholera go wie, nic mnie to nie obchodzi. Jeśli dobrze pamiętam, chciał zostać aktorem, nieustannie obrabiał Jakowa.

- Kogo?

- No, naszego czołowego reżysera, Jakowa Mironowicza Kogtiewa, męża Alony.

Pogoda zepsuła się ostatecznie, gdy wróciłam do samochodu, chowając do kieszeni adres i telefon Kogtiewa. Siąpił obrzydliwy kapuśniaczek. Z ulgą ściągnęłam ze zdrętwiałego nozdrza klipsik, usiadłam za kierownicą i zadzwoniłam do Jakowa Michajłowicza.

- Jest na próbie.

- Gdzie?

- Jak to gdzie - zirytował się damski głos - w teatrze oczywiście, przy bulwarze Smirnowskim.

Dumną nazwę Teatr Kogtiewa nosiła suterena na jakieś sto miejsc. W ciemnej sali paliła się tylko jedna lampka nocna, przy której siedział mężczyzna z plikiem kartek w ręce.

Na scenie też panował półmrok.

- O, powiedz mi, za co? - pytał błagalnie damski głos.

- Los tak chciał - odpowiedział męski.

- A, a, a - zawył skądś spod sufitu chór - o, o, o. Mężczyzna zaklaskał.

- Świetnie, godzina przerwy, a potem wszystko od początku. W sali zapaliło się światło. Mrużąc oczy, reżyser odwrócił się i zapytał:

- Pani do mnie?

Wyglądał szokująco - jaskrawoturkusowa marynarka, niebywale żółte dżinsy, białe skarpetki i różowe pantofle. Może to był kostium sceniczny?

- O co chodzi? - zapytał poirytowanym tonem. - Aktorka? Na próbę?

- Major Daria Iwanowna Wasiljewa z wydziału osób zaginionych. Muszę zadać panu kilka pytań.

- Proszę do gabinetu - rzucił ostro i poprowadził mnie korytarzem gdzieś za scenę.

W małej dziupli, gdzie stało tylko biurko i dwa krzesła, włączył czajnik elektryczny i wyciągając z szuflady puszkę kawy rozpuszczalnej, odezwał się:

- No, no, bardzo się zmieniła nasza milicja, to teraz wolno wam tak się ubierać na służbie?

Zagotowałam się: jak się nosi różowe pantofle, to wara wytykać biednej pani major trochę wyzywający makijaż. Ale nie powiedziałam tego głośno, tylko od razu przystąpiłam do rzeczy:

- Poszukujemy Fainy Lwowej, siedemnastolatki, czy nie zgłaszała się do teatru?

- Nie - odpowiedział ze zdziwieniem - nic o tym nie wiem. Jasne, że nie wie, przecież zaginęła Bóg wie kiedy, i jeśli żyje, ma już około trzydziestki.

- Dlaczego pani sądzi, że mogę pomóc?

- Ostatni raz widziano ją z aktorem pańskiego teatru, Antonem Miedwiediewem.

Reżyser poczerwieniał.

- Jeśli ten bubek ośmielił się podawać za członka naszego zespołu, to chcę powiedzieć, że jest beczelnym kłamcą. Owszem, dość utalentowany, ale skończony łobuz. Proszę w mojej obecności nigdy nie wymieniać tego nazwiska.

I prostując się wyniośle, przeszył mnie spojrzeniem, które dałoby się porównać jedynie z kiepsko zaostrzonym oszczepem.

Daremny trud, jakowie Mironowiczu. Może aktorzy ulegają tym płomiennym spojrzeniom i czują przed panem respekt, ale przecież nie major milicji.

- Orientuję się już z grubsza, co zaszło, Oleg Bieriestow mi to wyjaśnił.

- Zbiera pani plotki - wysyczał „Stanisławski” - babrze się pani w cudzych brudach. Ni łyzy matki, ni smutek, ni ból, nic pani nie powstrzyma.

Utrapienie z tymi aktorami, wiecznie coś cytują.

- Taka praca - rozłożyłam ręce - że trzeba tytłać się w gównie. Dla pana byłoby lepiej, gdyby pan sam opowiedział, co to było z Miedwiediewem, bo inaczej trzeba będzie wypytywać innych: znajomych, przyjaciół, współpracowników. Ludzie zazwyczaj chętnie paplą, często nawet o tym, czego nie wiedzą. Dlatego lepiej, jak pan sam o wszystkim powie.

- Czy pani zamierza protokołować? - zapytał niespokojnie, zerkając lękliwie na moją małą niczym pudełko zapalek torebkę.

- Nie - uspokoiłam go - doskonale rozumiem, jak nieprzyjemne muszą być takie wspomnienia. A moich szefów nie interesuje, w jaki sposób doszło się do prawdy. Dla pułkownika liczy się rezultat, a nie proces poszukiwań. Umówmy się - pan opowie o Miedwiediewie, a ja obiecuję pełną dyskrecję.

Kogtiew nerwowo łyknął gorącej kawy.

- To prawda, wspomnienia są nieprzyjemne. Mówi pani, że zaginęła kobieta?

- Tak, bardzo młoda dziewczyna, a właściwie jeszcze dziecko. Dlatego bardzo nam zależy, żeby poznać adres Miedwiediewa...

- Obawiam się, że niewiele zdołam pomóc - westchnął - widywaliśmy się tylko w teatrze, choć raz jeden pojechałem szukać Aleny w jej mieszkaniu, które dostała od ciotki...

- Proszę opowiedzieć od początku - poprosiłam.

Rozdział 29

Na początku lat osiemdziesiątych Jaków Mironowicz, wtedy człowiek jeszcze młody, reżyser z wykształcenia, ale wykonujący zawód dozorca, zgodził się pokierować studenckim teatrem amatorskim. Widocznie Kogtiew rzeczywiście był zdolny, bo rok później do klubu MIlu waliła cała Moskwa. Wśród studentów trafiały się prawdziwe talenty, zresztą, wielu z nich po dyplomie przeszło na scenę profesjonalną. Jaków Mironowicz w ciągu czternastu miesięcy zdołał przygotować pięć premier, wręcz płonął na scenie, kompensując sobie lata spędzone z miotłą w rękach. Wśród pierwszego składu wykonawców znalazła się Alona Potapowa, siedemnastoletnia studentka pierwszego roku, dziewczyna niezwykle zdolna. Reżyser wdał się z nią w płomienny romans, a rok później, gdy tylko Alona skończyła osiemnaście lat, wzięli ślub.

Jaków Mironowicz stał się człowiekiem absolutnie szczęśliwym. Po pierwsze, młoda żona miała niezwykle miłe usposobienie. Po drugie, była wzorową gospodynią, i wreszcie po trzecie - namiętną kochanką. Bogiem a prawdą, coś takiego zdarza się tylko w bajkach.

Teatr „Przy Kominku” zaczynał być coraz bardziej znany. Kilka razy przejechano się po nim w recenzjach, w efekcie trudno się było dostać na spektakle. Bywanie u Kogtiewa stawało się coraz bardziej modne.

Rektor MIlu, dumny, że na uczelni powstał taki znany teatr, załatwił Jakowowi i Alonie wspaniałe trzypokojowe mieszkanie w okolicach stacji metra Sokół. Życie zajaśniało tęczowymi barwami.

Biedny Kogtiew ani podejrzewał, że przyjmując na okres próbny

studenta pierwszego roku Miedwiediewa, ściąga na swoją głowę nieszczęście. Chłopak był taki miły, utalentowany. Obsadzono go w spektaklu i zadziwił Jakowa umiejętnością wcielania się w inne osoby. Potem Antona z hukiem wywalono ze studiów, rektor zażądał, by Kogtiew pozbył się chłopaka, opowiedział o historii z pornografią. Ale w ustach Antona cała historia wyglądała zupełnie inaczej. Zjawił się u reżysera w domu późnym wieczorem i nieomal płacząc, opowiedział „prawdę”. Chciał się sprawdzić jako scenarzysta i reżyser. Napisał scenariusz i sam zaczął kręcić zdjęcia. Owszem, było w nim kilka scen łóżkowych, ale wcale nie chodziło o pokazanie seksu dla seksu, jedynie o pełniejsze oddanie zamysłu autora. Teraz wyrzucono go ze studiów, grozi mu areszt, a za co? Za to, że szczerze i otwarcie wypowiedział swoje przekonania artystyczne.

Jaków Mironowicz przypomniał sobie od razu, jak to jego nikt nie chciał zatrudnić, jak od szóstej rano machał ciężką łopatą, odgarniając zmrożony śnieg, i w jednej chwili postanowił, że weźmie chłopaka pod swoje skrzydła.

Uświadomił rektorowi, że teatr jest jednostką autonomiczną i na scenie występować będą ci, których zaprosi dyrektor teatru, czyli on. A jeśli szanownej władzy to nie w smak, to proszę bardzo, on w jednej chwili wyniesie się razem z zespołem do Instytutu Budowy Samochodów, do czego od dawna go namawiają.

Rektor musiał pójść na kompromis. Anton pozostał w podstawowym składzie aktorów.

Jakiś czas potem z sejfu zginęła dość duża suma, choć po prawdzie, określać sejfem zwykłą skrzyneczkę, która przy silniejszym wstrząsie niemal sama się otwierała, mógł tylko Jaków

Mironowicz. Podejrzenie padło na stróża i wiecznie pijanego chłopinę wyrzucono na zbity pysk. Niebawem zniknęły brylantowe kolczyki i pierścionek Alony, pozostawione w garderobie.

Dziewiętnastego września Kogtiew poczuł się źle i pojechał do domu, zawiadamiając aktorów, że odwołuje próbę. Po drodze uświadomił sobie, że zapomniał kluczy, i wrócił.

W gabinecie przy otwartym „sejfie” z paczką banknotów stał Anton. Jaków Mironowicz od razu zrozumiał, kto dokonał poprzednich kradzieży. Miedwiediew natychmiast zaczął opowiadać, że właśnie przechodził obok gabinetu, gdy usłyszał szmer i zobaczył cień, wymykający się przez okno. Wszedł do pokoju, postanowił zamknąć skrzyneczkę, a pieniądze na wszelki wypadek zabrać, bo to wiadomo, czy złodziej nie wróci...

Mówił bardzo przekonująco, patrzył szczerze prosto w oczy, uśmiechał się nieśmiało. Ale tym razem Jaków nie dał się nabrać. Wskazał palcem na zakratowane okno i wycedził:

- Masz rację, jak nic był to cień, bo człowiek z krwi i kości w żaden sposób nie przecisnąłby się przez pręty.

Wywalił Miedwiediewa z hukiem, informując cały zespół, z jakiego powodu. Rektor, kiwając głową, powtarzał uradowany: „Uprzedzałem o obliczu moralnym tego typu. Chce pan zobaczyć, jaki film ten drań sprzedawał?”. I wręczył Jakowowi kasetę wideo.

To był kolejny cios. Zamiast artystycznego filmu o związkach między ludźmi reżyser zobaczył prymitywnego pornosa według scenariusza typu „ksiuty w krzakach”. Biedak o mało nie dostał ataku serca. Ale prawdziwe nieszczęście dopiero miało nastąpić.

Ukochana żona Alona zaczęła nagle niedomagać. Przez kilka dni leżała w łóżku, odwrócona twarzą do ściany, nic nie jadła, wreszcie późnym wieczorem weszła do gabinetu i zakomunikowała mężowi coś, co spadło nań jak grom z jasnego nieba.

- Zdradziłam cię. Najpierw myślałam, że to ty, ale w łóżku od razu poznałam, że to nie ty, ale nie uciekłam, bo ty...

- Jaków Mironowicz wysłuchiwał tych wszystkich „ty” i niczego nie rozumiał. Wtedy Alona zaczęła opowiadać.

Tydzień wcześniej Kogtiew wyjechał na jeden dzień do

Petersburga. Alona położyła się spać, ale około pierwszej w nocy mąż zadzwonił do drzwi i powiedział, że zgubił bilet i nie mógł wyjechać.

Nie zdziwiło jej to. Jaków był strasznie roztargniony i to było absolutnie w jego stylu. Wróciła do łóżka i prawie zasnęła, gdy mąż zaczął ją pieścić. W pewnej chwili, nagle zupełnie rozbudzona, zrozumiała, że leży w objęciach całkowicie obcego mężczyzny, który nie wie o czemu ma głos i wygląd Kogtiewa.

Na pytanie męża, dlaczego nie zaczęła krzyczeć i nie wygnała intruza, Alona odpowiedziała wyzywająco:

- Ty nigdy mnie tak nie pieściłeś i nigdy nie odczuwałam w twoich ramionach czegoś podobnego... Zresztą, tylko prawdziwie kochający mężczyzna mógł się zdobyć na taki fortel.

- Jaki mężczyzna?

Tamtej nocy Alona zasnęła zmęczona. Rano znalazła na poduszce kartkę: „Przepraszam, później wszystko wytłumaczę, nie mów nic Jakowowi, on jest w Petersburgu”.

Alona gubiła się w domysłach. Wtedy właśnie zadzwonił Anton Miedwiediew. Powiedział, że od dawna jest w niej nieprzytomnie zakochany, ale nie wiedział, jak jej to okazać. Dlatego odczekał, aż Kogtiew wyjechał, ucharakteryzował się i spróbował zdobyć ukochaną takim wyszukany sposobem.

No i Alona odchodzi od Miedwiediewa. Jaków Mironowicz wpadł w rozpacz. Zaczął błagać żonę, by nie robiła głupstw.

- Wcale mnie nie zdradziłaś - przekonywał żonę - przecież myślałaś, że jesteś ze mną.

- Nie - zaprzeczyła Alona - od razu poznałam, że to ktoś inny, ale nie uciekłam i było mi niesamowicie dobrze.

Tak oto się rozstali. Żona wyjechała. Ale w niecały miesiąc później ktoś podrzucił Jakowowi na biurko anonim. Nieznany życzliwy informował, że autorem i wykonawcą kretyńskiego pomysłu był Bieriestow, ulubiony uczeń Kogtiewa. Wezwany na dywanik Oleg nie wypierał się i musiał w rezultacie opuścić teatr. A Jaków ruszył na poszukiwanie Miedwiediewa.

Najpierw pojechał na Zamoskworieczje w poszukiwaniu mieszkania przy ulicy Fogla, które Alona nie tak dawno dostała w spadku po zmarłej ciotce. Długo błądził po zaułkach, wreszcie znalazł właściwy dom. Drzwi otworzyła Alona, mizerna i wychudzona. Nie wpuściła męża do mieszkania, wyszła do niego na schody.

Kogtiew zaczął gorączkowo wyjaśniać, kto był tym prawdziwym żartowniszem. Ale żona przerwała:

- Wiem.

Jaków zbaraniał.

- Więc wracaj, zaczniemy od nowa.

- Za nic - odpowiedziała.

W jej oczach dostrzegł jakiś dziwny blask. I choć na dworze był zupełnie niejesienny upał, ona drżała w ciepłym serdaku i wełnianej chuście.

- Idź - szepnęła - idź i wystąp o rozwód.

Jaków Mironowicz odszedł, niczego nie wskórawszy. W jakiś czas później zadzwoniono do niego z milicji. W parku Izmajłowskim znaleziono tors młodej kobiety, bez rąk, bez nóg. Okaleczony kawałek ciała w sukience, przerażający grymas na zmasakrowanej twarzy; tylko włosy przypominały Alonę.

Z trudem dobrnąwszy do stołu w prosektorium, Jaków rzucił spojrzenie na żalosne szczątki i zemdlął. Od razu poznał ulubioną sukienkę żony. Milicja natychmiast zaczęła poszukiwania Miedwiediewa, ale ten przepadł. Sąsiedzi mówili, że wyjechał z jakąś młodą kobietą. Przyczyna śmierci Alony była oczywista: wiele ran zadanych nożem, jedna w okolicy serca.

Jaków pochował żonę na cmentarzu Wagańkowskim. A Miedwiediew zapadł się pod ziemię. Bieriestow zaczął występować, zyskując niezwykłą popularność. Teatr studencki zamienił się w zawodowy i zmienił siedzibę. Kogtiew ożenił się ponownie, stopniowo tragiczna śmierć pierwszej żony zacierała się w jego pamięci i teraz niezwykle rzadko wspominał Alonę. Czasami spotykał gdzieś Olega Bieriestowa i wtedy

kłaniali się sobie chłodno. Antona nigdy więcej nie widział. Wyszedłam na ulicę i wstrząsnęłam się z zimna. Ależ potwora wychowała nieszczęsna Ludoczka Zimpanelli. Nie mogłam tylko w żaden sposób zrozumieć, dlaczego Weronika nazywała go bratem. Może jest dwóch Antonów? Te same imiona i nazwiska, tylko imiona ojców różne? Tak czy owak, potrzebny mi jest syn Ludoczki, nie Anny. Ale gdzie go szukać?

Jaków Mironowicz pamiętał, że mieszkanie ciotki Alony było przy ulicy Fogla, ale zapomniał numeru domu. Jedyne, co majaczyło mu w głowie, to to, że na parterze był sklep zoologiczny.

Pojadę, rzucę okiem.

Ulica Fogla, jak większość w Zamoskworieczju, była krótka i wąska. Zaledwie dziesięć domów, a w żadnym ani śladu po sklepie z chomikami i ptaszkami.

- Był taki - potwierdziła miejscowa staruszka - ale już dawno go zlikwidowano, teraz zbudowano na tym miejscu uniwersam. Razem z tym budynkiem zburzono też trzy inne. Ale bo też na nic więcej nie zasługiwały - jednopiętrowe drewniane rudery. Mieszkały tam same męty i alkoholicy.

Popatrzyłam w zadumie na okazały sklep. Pozostały mi dwa nikle ślady. Najpierw zadzwoniłam do Anatola Igoriewicza na Gorbuzzkę.

Przedstawiłam się, a wtedy on powiedział niezwykle uprzejmie:

- Dario Iwanowno, proszę mi wierzyć, uczciwie szukaliśmy Antona Miedwiediewa, ale takiego reżysera w pornobiznesie nie ma. A ściśle biorąc, nie ma go wśród tych trzydziestu osób, które regularnie dostarczają nam filmy.

No cóż, muszę się chyba pogodzić z własną bezsilnością. Pozostał mi jedynie Lonia Biezczastry.

Tym razem był w domu i od razu otworzył drzwi.

- O co chodzi? - burknął opryskliwie.

- Major Wasiljewa z wydziału osób zaginionych.

- Proszę pokazać legitymację.

Widzicie go, jaki podejrzliwy! Na ogół moskwianie charakteryzują się zadziwiająco beztroską. Dawno już zauważyłam, że wystarczy mieć kamienną twarz i burkliwym głosem oświadczyć: „Nadzór energetyczny” albo „Milicja”, a jeszcze lepiej „Badanie opinii publicznej na temat zbliżających się wyborów”, i drzwi natychmiast się otwierają. O dokumenty nikt nie pyta, a przecież może to być zwykły przestępca. Nieważne, wpuszczają radośnie każdego. W telewizji ostrzegają, gazety alarmują - na próżno. Tyle osób już przepytывałam i tylko Biezczastry okazał czujność.

Ale na taką okoliczność mam bordowe okładki ze złotymi literami MSW. Kupiłam je na bazarze za dwadzieścia pięć rubli. W środku nakleiłam zdjęcie, wpisałam imię i nazwisko. A pieczętka, hokus-pokus, powstała z kawałka gumki. Szczerze mówiąc, rzadko posługuję się tym „dokumentem”, ale teraz wyjęłam książeczkę, otworzyłam i pokazałam Loni. Chciał ją wziąć, ale zręcznie zatrzasnęłam kartonik i oświadczyłam:

- Nie wolno nam wypuszczać legitymacji z ręki.

- W porządku - ulitował się - przepraszam, pomyślałem, że to sąsiedzi z dołu wezwali dzielnicowego. Wciąż się skarżą, że hałasują po nocach.

Wpuścił mnie do mieszkania. Mijając zamknięte drzwi, przeszliśmy do kuchni.

- Słucham panią - rzekł Lonia.

- Poszukujemy kobiety, FainyLwowej.

- Nie znam takiej - odpowiedział szybko. - Po raz pierwszy słyszę to nazwisko.

Popatrzyłam na niego uważnie. Robił wyjątkowo niemiłe wrażenie. Obrzydliwie gruby, po prostu góra rozlającego tłuszczu. Wielkie brzuszysko wylewało się spod paska spodni. Twarz okrągła, świecąca, małe oczka nad opuchniętymi policzkami niczym rodzyнки w cieście, perkaty nos i czerwone mięsiste wargi. Na dodatek mówił przez nos, jakby zapomniano usunąć mu w dzieciństwie trzeci migdał.

- Wiem, że nie pierwszy raz - zgasiałam go - ale nam potrzebny jest pana koleżka Anton Miedwiediew.

- Kto? - udał zdziwienie Lonia.

- Pana bliski kumpel, serdeczny przyjaciel, Anton Miedwiediew, drobny złodziej, reżyser filmów pornograficznych i uwodziciel.

- A... kiedyś się znaliśmy, ze sto lat temu, nawet zapomniałem o jego istnieniu!

- W porządku, wobec tego proszę mi powiedzieć, gdzie jest Jana Sokołowa?

- Kto? - udał głupiego. - Jaki Jan?

- To kobieta, studentka.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie znałem kogoś takiego.

- Brzydko jest kłamać! - skarciłam go surowo. - Skoro nie zna pan Jany, to dlaczego prosił pan swoją sąsiadkę Galę, by wypisała dla Jany zaświadczenie o hospitalizacji?

- A, to o to chodzi - wycedził. - Już sobie przypomniałem. Przepraszam, ale nie skojarzyłem tego od razu. W porządku, zaraz wszystko opowiem. Liczę tylko na pani dyskrecję. Otóż, jestem żonaty, wiele lat po ślubie i moja żona Marina, jak by to delikatnie ująć...

- Ależ proszę się nie krępować, lekarzy i milicjantów nic nie zaskoczy.

- No więc czasami wyszukuję dziewczyny - wydusił - głównie aktorki, bo musi pani wiedzieć, że jestem reżyserem.

- O, ciekawe - udałam kretynkę. - Co pan nakręcił? Uwielbiam kino. Niech sobie myśli, że milicjantka jest idiotką, odpręż się, może coś palnie. Przy głupim rozmówcy nawet ludzie przezorni mniej się kontrolują.

- Nie ma pani pojęcia, jaka u nas konkurencja - westchnął. - Ale mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł nakręcić swój pierwszy film. Jestem jeszcze młody.

Jasne, tak na oko prawie czterdziecia. W tym wieku Bergman, Fellini czy Charlie Chaplin byli już bardzo znani.

- A teraz jak pan zarabia na życie?

- Filmuję śluby, urodziny, różne inne uroczystości - zwierzył się „filmowiec”. - Płacą dobrze, na chleb wystarczy. A Sokołową poznałem w restauracji. Niebrzydka lalunia! Spędziłem z nią tydzień, gdy Marina wyjechała do matki. Potem ją przegoniłem. A Galkę faktycznie poprosiłem o zaświadczenie, bo Jana się bała, że zawali sesję. Pomogę dziewczynie, pomyślałem, zwłaszcza że nic mnie to nie kosztowało. Gala nie wzięła nawet pudełka czekoladek. Mieszkamy po sąsiedzku od lat, pamiętam, jak się urodziła. A gdzie mieszka Sokołowa, nie mam pojęcia. Nie wziąłem od niej ani telefonu, ani adresu.

Nagle z korytarza dobiegł kapryśny głosik:

- Łończyk, ile mam czekać! Albo mnie zwolnij, albo pracuj. I do kuchni wszedł wspaniale zbudowany chłopak, którego całym przyodziewkiem był mały ręcznik owinięty wokół bioder. Biezczerwony spurpurowiał i ze straszną miną szybko przerwał chłopakowi.

- To mój siostrzeniec z prowincji, Wołodia. „Siostrzeniec” w osłupieniu popatrzył na „wujka”.

- Daria Iwanowna jest majorem milicji i poszukuje zaginionej - dorzucił czym prędzej gospodarz. W oczach przystojniaka pojawił się lęk i chłopak szybko się wycofał. Ale z pośpiechu nie zamknął drzwi do kuchni, dzięki czemu mogłam zobaczyć pokój naprzeciwko. Duże okrągłe łóżko, kilka statywów z kamerami i reflektory.

Idąc za moim spojrzeniem, Lena poderwał się błyskawicznie i zamknął szczelnie drzwi.

- Wowa zamierza wstąpić do szkoły filmowej, robimy zdjęcia do portfolio. To bardzo kosztowne, a ja mu pstryknę za frajer. No i robimy wszystko, żeby zaprezentował się przed komisją jak najbardziej kinogenicznie.

Udałam, że wierzę, i wyszłam. Volvo marzło w ulewnym deszczu. Co za wredna pogoda, a ja tu muszę siedzieć w samochodzie nie wiedząc ile

i obserwować bramę.

Dobrze wiem, że portfolio, czyli po prostu albumu ze zdjęciami, wymaga się od modelek. Od studentów szkoły filmowej niczego takiego się nie oczekuje. Dlatego poczułam wielką potrzebę porozmawiania z pięknym „siostrzeńcem”. Na dodatek Biezczastry kłamał jak z nut. Nazwał niepozorną Janę niebrzydka lalunią i powiedział, że poznał ją w restauracji. Wierutna bzdura!

Rozdział 30

Czas ciągnął się niemiłosiernie. Skończyłam czytać Krwawe palce, zmarzłam, zgłodniałam i omal nie posikałam się w majtki. Okazuje się, że obserwacja to ciężkie zadanie. Dobrze choć, że dom jest stary, ma niewiele mieszkań i drzwi wejściowe rzadko się otwierają. Deszcz się nasilił, przechodząc w ulewę. Strugi wody zalewały przednią szybę, wycieraczki ledwo nadażały je zbierać. Była punkt dziewiąta.

Właściwie co mi strzeliło do głowy, żeby czekać na „siostrzeńca”? A jeśli postanowi zanoć u „wujka”? Przecież strasznie leje. Nie, trzeba się zbierać do domu, mam dość, papierosy też mi się skończyły. Dobrze,

zadzwoń tylko do domu i powiem, że żyję. Podstępny telefon znowu wpadł przez dziurę do nogawki i telepał się gdzieś przy kostce. Ale nie zdażyłam się pochylić, gdy stuknęły drzwi i na ulicę wybiegł „siostrzeniec”. Miał świetny strój na taką pogodę - białe spodnie, jaśniutką koszulkę i saboty.

Przez chwilę stał niezdecydowany, w końcu najwyraźniej machnął ręką na swój ubiór i ruszył przed siebie, nabierając wody do butów, bynajmniej nieprzeznaczonych na taką pogodę.

Włączyłam silnik, podjechałam cicho do chłopaka i zawołałam:

- Siadaj, podwiozę cię!
- Bardzo dziękuję - ucieszył się i klapnął na przednie siedzenie. - Wystarczy, jak mnie pani podrzuci do metra.

- A gdzie mieszkasz?

- Na prospekcie Leningradzkim.

- DYNAMO pasuje? Przejeżdżam tamtędy.

- Świetnie, to pod sam dom. - I szybko dodał: - Ale mam tylko dwadzieścia rubli.

- Też coś, od znajomych pieniędzy nie biorę - uśmiechnęłam się.

- A myśmy się już kiedyś spotkali? - zapytał zdziwiony, mrużąc krótkowzroczne oczy.

- Dopiero co, Wowowczka, w kuchni u pana Biezczastrnego.

- Aha, pani jest z milicji. - Wyraźnie zmarmotniał. - O co chodzi?

- Jadł pan dzisiaj obiad? - odpowiedziałam nie na temat.

- No, raczej nie... - wybałał. - Jadam w pracy, bezpłatnie.

Zahamowałam przy małej restauracyjce „Telewizor”.

- Przegryźmy coś, zapraszam pana.

Usadowiliśmy się w kacie zupełnie pustej sali i zajęliśmy się szaszłykiem.

- Gdzie pracujesz?

Wołodzia zalotnie potrząsnął schnącymi puklami.

- W klubie „W górę - w dół”.

- Jako kelner?

- Jako tancerz, wykonuję striptiz.

- Jesteś gejem?

- Biseksualistą - sprostował urażony. - Zresztą, co komu do mojej orientacji...

Otóż to. Niemniej, poszłam na całość. Niezbyt mądry i tchórzliwy striptizer szybko się poddał. Z Lonią wiążą go dawne „twórcze” kontakty. Biezczastry kręci filmy pornograficzne, które cieszą się dużym wzięciem.

Praca w pornobiznesie nie jest łatwa i Wowa dostał wręcz alergii na seks. Inaczej niż Lonia, który często zostawia u siebie „aktorki”.

Znajduje „wykonawców” w różnych miejscach. Niekiedy korzysta z usług profesjonalistów - prostytutek i tancerzy z barów striptizowych.

Często też wciska ciemnotę abiturientom szkół teatralnych, obiecując

naiwnym dzieciakom światową sławę i pracę w Hollywood.

Sam Biezczasny nie zażywa narkotyków, ale większość „artystów” siedzi na igle. Wołodia przypuszcza, że reżyser specjalnie podsuwał głupim dziewczynom „drugi”. Za nakręcony film wypłaca honorarium.

Wowa z dumą wymienił kwotę - tysiąc dolarów, ale zaraz dorzucił:

- Ja jestem superprofesjonalistą, dlatego tak świetnie zarabiam.

Lonia nie brzydzi się żadnymi zdjęciami. Niekiedy zamawiający przynosi własny scenariusz. Wołodia grał już w filmach z seksem grupowym, był też sadomasochizm i orgie homoseksualne. Za wszystko płacono tak samo.

- A co na to jego żona?

- Nic. - Wowa wzruszył ramionami. - Biznes to biznes. Mieszkanie jest wielkie, a studio tylko w jednym pokoju, no, chodzimy do toalety i łazienki. Zresztą, jej całymi dniami nie ma w domu, pracuje do nocy, ale gdzie - nie mam pojęcia.

Kim jest Anton Miedwiediew i Jana Sokołowa, nie wie i niczego o nich nie słyszał. Chudej nieładnej dziewczyny z rudym „językiem” na głowie nie widział. Lonia zawsze zamykał drzwi na korytarz, gdy przychodził ktoś niewtajemniczony.

Podrzuciłam chłopaka do metra Dynamo i wróciłam do Łożkina. Było już około jedenastej, pewnie wszyscy rozeszli się do swoich sypialni.

Tymczasem dom powitał mnie jasno świecącymi oknami na parterze. Z salonu słychać było podekscytowane głosy.

- Musieczko - zawołała Mania, która wypadła mi na spotkanie - mamy nowinę!

Policzki miała czerwone, oczy płonące, włosy rozwichrzzone...

- Co się stało? - przestraszyłam się.

- Giera oświadczył się Tamarze, a ona go przyjęła.

No, wreszcie Rimma Borisowna zdołała ustawić swoją pociechę. Ciekawe, jak też młodym udało się dogadać, oboje milczą, jakby wody w usta nabrali.

W salonie panował radosny nastrój. Rimma Borisowna o mało nie upadła, rzucając mi się na szyję.

- Daszeńko, masz pojęcie, co za radość!

Usta jej się nie zamykały. Zazwyczaj powściągliwa, by nie rzec - sztywna, teraz cieszyła się jak dziecko, które dostało upragnioną zabawkę.

Giera będzie mieszkał w Moskwie. Wczoraj był z wizytą u przyszłych teściów. Teść akademik bardzo życzliwie odniósł się do wyboru córki. Mieszkać będą w dwupokojowym mieszkaniu Tamary, teść obiecał też, że poszukają dla Giery pracy. Rimma Borisowna wręcz odmłodziła o dwadzieścia lat, bo oto spełniały się jej najśmielsze marzenia. Od czasu gdy jej starszy syn, a mój trzeci mąż, wyjechał na stałe do Australii, biednej kobiecie pozostała tylko jedna pociecha - Giera. Tamara sprawiała wrażenie z lekka otumanionej. Na stoliku przed nią piętrzyły się stosy żurnali. Wybierano właśnie fason sukni ślubnej.

- Będzie długa, do ziemi, z szeroką spódnicą i koniecznie z trenem - gorączkowała się Rimma Borisowna.

- Wspaniale! - zawołała Nina Andriejewna. - Będą go niosły dwie małe dziewczynki, prawdziwe aniołki w perłoworóżowych sukieneczkach, tylko skąd je wziąć?

- Ja i Sania Hejfec możemy targać tren - zgłosiła się natychmiast Marusia.

- Wy w żadnej mierze nie przypominacie aniołów - kategorycznie oświadczyła Rimma Borisowna - to muszą być małe dziewczynki, najwyżej pięcioletnie.

Maniunia ciężko westchnęła.

- Aha, i jeszcze taki słodki kapeluszek z dużym rondem i woalką - rozmarzyła się Nina Andriejewna.

- Tak - podchwyciła Rimma Borisowna - a w restauracji Tomoczka go zdejmie i włoży na głowę stroik ze sztucznych lilii. Bardzo elegancko i szymbonnie.

- Chcieliśmy mieć cichy ślub - szepnęła ledwo dosłyszalnie Tamara.

- A przyjęcie w domu, w wąskim kręgu - dorzucił Giera. Matrony

rzuciły się na młodych.

- Nigdy! - zawołała Rimma Borisowna. - Tak długo czekałam na ten dzień, marzyłam, że będzie uroczysty.

- Za mąż wychodzi się tylko raz - wtórowała Nina Andriejewna, po czym spojrzała na mnie i najwyraźniej przeliczywszy w myślach wszystkie siedem żon Maksa, dorzuciła: - W każdym razie pierwszy ślub powinien być szczególnie uroczysty.

- A gdzie spędzą miesiąc miodowy? - zainteresowała się Mania.

- O tym potem, najpierw ślub! - obruszyły się i zaczęły z zapalem kartkować pisma.

Olga przysunęła się do mnie cicho.

- Biedacy - szepnęła - rzuciły się na nich jak harpie.

- To jeszcze nic - parsknęłam śmiechem. - Gdy wychodziłam za Maksa, Nina Andriejewna ganiała po całej Moskwie samochodem z lalką na masce i składała kwiaty przy Wiecznym Ogniu. A gdy pobraliśmy się z Kiryłem, Rimma Borisowna pierwszej nocy co chwilę pukała do drzwi i pytała: „Dzieci, zamknęliście lufcik? Jeszcze się zgrzejecie i przeziębicie”.

Kicia westchnęła obłudnie.

- One szczerze martwią się o dzieci, a ty co? Wcisnęłaś mi Kieszę i cała jesteś szczęśliwa, że się pozbyłaś dzieciaka.

Roześmiałam się.

- A właśnie, gdzie on jest?

- Poszedł spać przed dziewiątą, mówił, że go boli głowa. No i dobrze. Przynajmniej porozmawiamy sobie w spokoju.

Zostawiwszy więc w salonie nieszczęsnych narzeczonych, rozgorączkowane teściowe i wtracającą się we wszystko Manię, przeszliśmy do gabinetu.

Kicia nie miała dobrych wiadomości. Anton jakby się zapadł pod ziemię. Czekala na „kochanka” aż do zamknięcia i wróciła do domu.

- Dobrze - zdecydowałam - podejmiemy ostatnią próbę. Jeśli się nie uda, trzeba będzie się pogodzić z porażką. Słuchaj uważnie, jutro pójdziesz prosto do salonu „Wyrocznia” i zwrócisz się do jasnowidzącej Mariny Mak.

- Po co? - Olga zbaraniała. - Za cholerę nie wierzę w żadne wróżby.

- Powiesz tej damie, że przysłała cię Weronika Miedwiediewa. Twój ojciec po śmierci mamy zamierza ożenić się z młodą siksą. Trzeba temu przeszkodzić. Zapłacisz i pokażesz zdjęcie. A ja będę obserwować szanowną wiedźmę. Przecież musi przekazać zdjęcie Antonowi.

- A jeśli się domyśli, że to podstęp?

- Coś ty, z niej taka jasnowidząca, jak ze mnie księżniczka. To zwykła szarlatanka.

- A czyje zdjęcie pokażemy?

- Jak to czyje, moje!

- To niby ty jesteś tą siksą? - wyzłośliwiła się Olga.

- Poczekaj, przypomnę ci te słowa za dwadzieścia lat - odgryzłam się. - Wyjmiemy z albumu moje stare zdjęcie, kiedy miałam koło trzydziestki.

Następnego rana przystąpiłyśmy do działania. Na szczęście w domu było pusto. Panie pognały z nieszczęsnymi narzeczonymi do sklepów. Ojciec Tamary przysłał samochód z kierowcą. Mania dołączyła do nich. Arkady już pracował w pocie czoła.

Ubrałyśmy się bez pośpiechu. Na dworze wciąż padało, więc znowu włożyłam ukochane spodnie, powtarzając sobie w duchu, że wieczorem muszę koniecznie zaszyć dziurę w kieszeni.

Olga zaparkowała volkswagena przed wejściem do „Wyroczni”, ja wcisnęłam się swoim volvem tuż przy krawężniku po przeciwnej stronie ulicy. Po czterdziestu minutach Kicia wyszła, siadła za kierownicą, kiwnęła do mnie i odjechała. Mijały godziny. Mają rację ci, którzy mówią, że najtrudniej jest czekać i gonić.

Do „Wyroczni” bynajmniej nie waliły tłumy. Czy dlatego, że salon nie cieszył się powodzeniem, czy może okropna pogoda skłoniła ludzi do pozostania w domu. O czwartej z salonu wyszła kobieta. Mimo obszernego okrycia, poznałam ją od razu po długim grubym warkoczem,

ozdobie niezwykle rzadkiej w dzisiejszych czasach.

Marina Mak otworzyła parasolkę i ruszyła szybkim krokiem, nie bacząc na kałuże. Poraziła mnie nagła myśl: a co będzie, jeśli wsiądzie do metra? Co wtedy robić? Ale Marina machnęła ręką i wskoczyła do przejeżdżającej wołgi.

Pełna napięcia zagryzłam wargi i ruszyłam za nią. Na szczęście kierowca nie szalał, zważał na znaki i udało mi się ich nie zgubić. Dopiero kiedy Marina wysiadła i podeszła do bramy, uświadomiłam sobie, że stoję przed domem Loni Bieczczastnego. Kobieta weszła do bramy, a ja rzuciłam się za nią, z pośpiechu nie włączwszy autoalarmu. Usłyszałam, jak warknęła:

- Otwieraj szybciej!

Zapisał domofon i Bieczczastny spytał nosowo:

- Dlaczego tak wcześniej?

- Przecież nikogo nie ma - odpowiedziała i zatrzasnęła drzwi.

Usiadłam na stopniu. To ci nowina! Marina jest żoną Loni! W rozmowie ze mną kilka razy wymieniał imię żony, ale do głowy mi nie przyszło, że chodzi o panią Mak. No i proszę, jaki kłamca. Wszak jeśli ktokolwiek wiedział, gdzie są Anton i Jana, to właśnie on.

Wyszłam na ulicę i wsiadłam do samochodu. I co teraz?

W tym momencie zadzwoniła komórka.

- Musieczko - zaszczębiotała Mania - kupiliśmy piękną sukienkę, białą na różowym spodzie, z trenem, pasek czerwony, a na dole wyhaftowane kwiaty. I jeszcze dzwonił do ciebie Maks Polański i prosił, abys czekała na niego o szóstej w McDonalddie przy metrze Twerska.

- Na kogo mam czekać?

- Na Maksa.

- Wypuszczono go?

- Nic więcej nie wiem - trajkotała Mania - on tak szybko mówił, ledwie rozumiałam.

Chyba zwariuję! Czyżby Iwan Michajłowicz wykombinował, że wyciągnie przyjaciela w zamian za pisemną deklarację, że ten nigdzie nie wyjedzie? Trudno uwierzyć, choć wszystko jest możliwe. Spojrzałam na zegarek - piąta! Pojadę już powoli na miejsce spotkania.

Jeszcze nie tak dawno rosyjscy miłośnicy motoryzacji, czekający na zakup samochodu w kolejce po kilka lat, kompletnie nie rozumieli kierowców na Zachodzie. W Paryżu zawsze należy mieć zapas czasu, jeśli zamierza się przejechać przez centrum w godzinach szczytu. A jeżeli ktoś wpadł na pomysł, by zaparkować w okolicy nadrzecznych bulwarów, to pół godziny musi szukać dziurki, żeby się wcisnąć.

Teraz podobnie dzieje się w Moskwie. Tkwiłam bezradnie w gigantycznym korku na Mamontowskiej, prawie nie ruszając się z miejsca. Między pasami podskakiwał o kulach jednonogi chłopak z tabliczką na piersiach: „Weteran wojny w Afganistanie. Zbieram na protezę”. Stanowczo przesadził, pomyślałam, podając mu parę groszy. Tak na oko miał ze dwadzieścia lat, a weterani wojny w Afganistanie są raczej w moim wieku. Ale ludzie dawali mu pieniądze, chłopak zręcznie skakał na jednej nodze między stojącymi samochodami.

Na miejsce spotkania dojechałam za piętnaście szósta i wpadłam do sali pełnej ludzi i hałasu. No więc, gdzie jest Maks? Chociaż mam jeszcze kwadrans, więc coś przegryzę.

Usiadłam przy oknie i zaczęłam rozwijać szeleszczący papier.

Natychmiast pociekła mi ślinka. „Dziecię fast-foodów” -jak nazywa własną matkę rozkoszny Arkady. Owszem, fakt -po prostu uwielbiam wszelkie hamburgery, bigmaki i ociekające cholesterolem frytki. W naszej rodzinie miłość do tego rodzaju pożywienia dzieli ze mną jedynie Mania. Ale liczę na to, że niebawem podrosną bliźnięta i armię wielbicieli paskudnego jedzenia zasila nowe kadry.

Z lubością oddawałam się rozpuście, czując, jak opada ze mnie napięcie ostatnich dni. Bogu dzięki, Maks jest na wolności. Teraz niech sam rozwiązuje wszystkie problemy - szuka zwariowanej Jany, pomaga Adzie... Od tej chwili to już nie moje zmartwienie!

I wtedy spostrzegłam idącego przez salę Maksa.

- Maks! - wrzasnęłam tak, że siedząca obok mnie para rozlała kawę na stolik. - Maksik, chodź tutaj.

Były małżonek podszedł do mnie szybko i wysyczał:

- Przestań się wydzierać, ludzie patrzą.

- Chryste - zaczęłam zawodzić nie gorzej niż baby w więziennej poczekalni - Chryste, wypuścili cię, co za szczęście. To na pewno Iwan Michajłowicz pomógł. Ach, ten Iwan Michajłowicz!

- Chodźmy stąd - syknął.

- Poczekaj, skończę jeść.

- Nie ma czasu, czekają na nas.

- Kto? - zdziwiłam się.

- Iwan Michajłowicz. W samochodzie. Pospiesz się, musimy jechać.

- Dokąd? - Skołowana, wepchnęłam do ust ostatni kęs hamburgera.

- Na łono przyrody - uśmiechnął się mój były i dodał: - Ruszaj się.

Nigdy wcześniej nie rozmawiał ze mną podobnym tonem, ale miesiąc spędzony w Butyrkach najwyraźniej pozostawił ślady. Maks twarz miał bardzo blada, lekko świecąca, zupełnie jakby się wysmarował podkładem.

- No już, szybciej - ponaglał mnie, niecierpliwie odrzucając z czoła jasne włosy. - Nie chcę, by Iwan Michajłowicz musiał czekać.

Coś mnie uderzyło w wygładzie jego włosów, ale nie zastanowiłam się nad tym, tylko potulnie ruszyłam do samochodu -połyskującego bmw.

Tylne drzwi otworzyły się natychmiast. Wsunęłam głowę i zobaczyłam w środku czarnowłosa i czarnooką dziewczynę. Maks pchnął mnie, opadłam na siedzenie, a wtedy błyskawicznie zatrzęsnał drzwi.

- Gdzie jest Iwan Michajłowicz? - zapytałam głupawo.

- Poszedł po papierosy - odpowiedział Maks, siadając przy kierownicy.

- Stoi tam, przy kiosku, niech pani spojrzy - podchwyciła dziewczyna.

Wyciągnęłam szyję, usiłując dojrzeć wśród tłumu pod parasolkami sylwetkę Obłego, gdy nagle na twarz spadła mi cuchnąca szmata...

- Zdaje się, że się budzi - usłyszałam jak przez mgłę.

- Polej jeszcze, tylko uważaj, żeby się nie porzygała - odpowiedział ktoś - nazarła się w McDonalddie, jeszcze siedzenia zapaskudzi, świntucha.

Odór nasilił się, wcisnął mi się w nozdrza. Usiłowałam nie oddychać, ale jak długo mogłam wytrzymać? Znow zaczęłam tracić świadomość, poczułam zawroty głowy. Resztką zanikającej świadomości nagle pojęłam, co mnie uderzyło we fryzurze Maksa. Nie tak dawno widziałam go w Butyrkach, ostrzyżonego prawie na łyso. A dzisiaj potrzasał bujną, opadającą prawie na oczy grzywką. Jak to możliwe, że włosy tak szybko mu odrosły?

Rozdział 31

Najpierw odzyskałam słuch. Ktoś bełkotał coś niewyraźnie, potem poczułam jakiś odór, skisły, stęchły. Wreszcie otworzyłam oczy. Zamiast zwykłej sztukaterii mój wzrok napotkał gładki biały sufit. Spróbowałam wstać. Potwornie bolała mnie głowa, w ustach zupełnie zaschło... W żaden sposób nie mogłam się podnieść. Wiłam się na plecach niczym nowo narodzony szczeniak, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ciało stawia mi opór. Już po chwili poznałam odpowiedź - ręce miałam skute kajdankami, i to najwyraźniej od dawna, bo przeguby były opuchnięte i silnie bolały. Mam bardzo cienką skórę i kruche żyły, dlatego najmniejsze uderzenie powoduje paskudne siniaki. Gdzie jestem? Jak się tu znalazłam? Do otumanionej głowy powolutku zaczęły powracać wspomnienia. Maksym wpycha mnie dość obcesowo do auta, syczy do ucha w McDonalddie, potrzasa grzywką. Boże, przecież to nie był on! Ale kto? Anton Miedwiediew? Pamiętam, że wszyscy wspominali o przezroczystoniebieskich oczach syna cyrkówki, a Maks, co rzadko się spotyka, przy jasnych włosach ma brązowe, prawie czarne oczy. No dobrze, przypuśćmy, że włożył soczewki. Ale głos, świetnie mi znany tembr Polańskiego - on nie wymawia r, często połyka

końcówki...

Jestem krótkowidzem, a okularów z próżności nie noszę. I oto podchodzi do mnie w McDonalddie człowiek niesamowicie podobny do byłego męża. Tak podobny, że niczego nie podejrzewam. Ale przecież głos! Jak to możliwe? Jak każdy nauczyciel języka obcego, ucho mam wyczulone na najmniejsze błędy wymowy. I w przeciwieństwie do oczu, uszy mam w najlepszym porządku. Maks odzywał się do mnie nie w swoim stylu, ale swoim głosem. Tylko że on za nic nie używałby takich słów, jak rusz się... Choć, kto wie, jak się zmienił przez ten miesiąc. A jednak to zupełnie do niego niepodobne, żeby popchnąć kobietę, nawet była żoną... czyli to nie Maks, ale jego sobowtór o identycznym wyglądzie i głosie. Tylko skąd wie o Iwanie Michajłowiczu? To musi być Maks! A może nie Maks? Przecież to ja pierwsza wymieniłam w McDonalddie nazwisko Obłego. Co tu dużo mówić - albo to jest Polański, albo jego brat bliźniak!

Dość tych próżnych spekulacji. Ktokolwiek to był, zakuł mnie w kajdanki i przywiózł tutaj. Dlaczego? A właściwie - po co? Zaczęłam się rozglądać. Wąskie mroczne pomieszczenie, długie na jakieś siedem, osiem metrów i szerokie na dwa. Łóżko zajmowało całą przestrzeń od ściany do ściany. Po drugiej stronie było małe okienko, a pod nim jeszcze jedno łóżko, starannie zaścielone, z dwiema kolorowymi poduszkami. Gdzieniegdzie w ścianie tkwiły zardzewiałe gwoździe. Wisiał na nich serdak, niebieski satynowy szlafrok, jakieś rozciągnięte spodnie od dresu. Z sufitu zwisała na drucie goła żarówka. W kącie kupka jakichś łachmanów, wyglądających jak szmaty albo podarty koc. Pokój wyklejony był milutką taną tapetą w sraczkowatym kolorze, która gdzieniegdzie wisiała w strzępach, odsłaniając drewniane ściany.

To nie jest miejskie mieszkanie, tylko wiejska chałupa. Wreszcie sobie uświadomiłam, co to za odór - to zatęchła wilgoć.

O dach bębnił deszcz. No dobrze, zobaczymy, kto tu mieszka. I wrzasnęłam na całe gardło:

- Hej, ludzie!

Uchyliły się małe, zupełnie niewidoczne, oklejone taką samą tapetą drzwi. Szum deszczu się nasilił.

- Hej - wydzierałam się - jest tu kto?

- Czego wrzeszczysz? - zaszeleścił absolutnie bezpłciowy głos.-Śpij.

- Chcę do toalety.

Do pokoju z łoskotem wpadło brudne cynowe wiadro.

- Co to? - zapytałam osłupiała.

- Waterklozet - parsknął śmiechem głos - postaw w kącie i sraj, ile dusza zapagnie.

- Mam kajdanki na rękach, nie zdejmę spodni - zajęczałam, licząc na to, że tajemnicza istota wejdzie do pokoju.

- To nie zdejmuj - usłyszałam i drzwi się zatrzęsęły. Popatrzyłam niepewnie na „muszlę klozetową”. Jeszcze poczekam.

- Hej - zawołałam znowu - jestem głodna, dajcie pić!

Ale nikt się nie odezwał. Oczy zaczęły mi się kleić, głowa zrobiła się ciężka i zapadłam w ciężki sen.

Obudził mnie hałas. Za ścianą coś upadło z łoskotem. W okno świeciło ostre słońce. Spełzłam z łóżka i zbliżyłam się do źródła światła. Rama zabita gwoździami, a za brudną, zakurzoną szybą ciągnęło się kartoflisko. Deszcz już nie padał, zielona, lśniąca nać przeżyła się w słońcu. Okno waziutkie, ale ja jestem szczupła, gdybym tak wypchnęła szybę, powiedzmy, w nocy, to może zdołałabym się przecisnąć...

- Nawet o tym nie myśl - rozległ się za mną skrzekliwy głos - po podwórzu cały czas biegają trzy psy, głodne jak wilki, w jednej chwili cię zagryzą. I ziemia stanie się dla ciebie mogiłą...

Obejrzałam się. Na progu stała chuda staruszka, okutana w brudną, przetartą chustę. Twarzy prawie nie widać, jedynie kształtny nos. Babcia ubrana była w wytłuszczony flanelowy szlafrok, na nogach miała grube pończochy, wełniane skarpety i nie wiedzieć czemu, kalosze. W rękach trzymała poobtlukiwaną emaliowaną na miskę.

- Jedzenie podano, chodź żreć, uprzejmie proszę. Miska ze stukotem spadła na drewniany stół przy łóżku. Zapachniało zgniłą kapustą.

- Co to?

- Kapuśniak - odrzekła lakonicznie i wyszła. Podeszłam do „talerza” i zajrzałam do środka. W mętnawej wodzie pływały duże kawałki kapusty, które wyglądały jak ścierki. Nie, czegoś takiego nie da się jeść.

Ciekawa staruszka! Ubrana jak strach na wróble, mieszka w jakiejś szopie, ale nie jest ze wsi. Po pierwsze wczoraj powiedziała „waterklozet”. Skąd niby półanalfabетка miałaby znać takie słowo? Zdanie: „I ziemia stanie się twoją mogiłą” - to cytat ze sztuki. A wreszcie: „jedzenie podano, chodź żreć, uprzejmie proszę”. Z jakiego to filmu?

- Babciu - zawołałam - babciu!

- No? - rozległo się zza drzwi.

- Bądź człowiekiem, zaprowadź mnie do toalety, nie mogę do wiadra.

- To się męcz.

- Ach tak - wściekłam się - to ci tu zaraz wszystkie poduszki zębami poszarpię, tapety pozdzieram, szyby nogami wytłukę. Nie boję się twoich psów.

- Stąd nie ma dokąd uciec, w całej wiosce tylko dwa domy, a ten drugi i tak pusty. Wkoło las. A uciekaj na zdrowie, w zeszłym roku wilki krowę mi zagryzły.

- Ej - nie ustępowałam - chcę pić!

Ale za ścianą zapadła głucha cisza. Popatrzyłam na obrzydliwą breję - nie, nie będę tego jadła. Natomiast w innej sprawie muszę się poddać. Chwyciłam wiadro i poszłam do kąta. Dzień kończył się powoli, słońce stoczyło się w róg okna. Leżałam otępiała na łóżku. Kucając nad wiadrem, odkryłam w podszewce przy kostce u nogi telefon komórkowy, który wpadł tam przez dziurę w kieszeni. A więc mogę zadzwonić, jeśli jest zasięg, bo możliwe, że wywieziono mnie w jakąś głuszę. W każdym razie poczułam radość, mały aparacik obudził w sercu nadzieję. Choć to trochę dziwne: nie ma mnie w domu drugą dobę, a nikt się nie zaniepokoił i nie zadzwonił. Z trudem wyciągnęłam komórkę. Masz ci los, dzwonek wyłączony. Już wcześniej się to zdarzało, nawet myślałam, żeby wymienić aparat na porządniejszy, ale na myśleniu się skończyło.

Moi domownicy pewnie szaleją z niepokoju, ale w żadnym wypadku nie mogę włączyć aparatu, bo po pierwsze, wredna starucha może słyszeć, a po drugie, co im powiem? Siedzę nie wiadomo gdzie, ratujcie mnie nie wiadomo przed kim? Nie, najpierw muszę się zorientować, gdzie jestem, a potem cichutko poinformować Aleksandra Michajłowicza, a jeszcze lepiej Iwana Michajłowicza. Zresztą, zadzwonię do obydwu, byle bateria nie siadła. Skrzypnęły drzwi, starucha wsunęła głowę.

- Dać herbaty?

Patrzcie państwo, jaka troskliwa.

- Dać - odpowiedziałam z wdzięcznością. Wczłapała do środka, zobaczyła pełną miskę i burknęła:

- Czego nie zjadłaś kapuśniaku, w ząbki kłuje? Jutro przestaniesz wybrzydzać. Tutaj życie proste, czarnego kawioru nie ma.

Postawiła na stole obtłuczony kubek, w którym kolebała się jasnożółta ciecz.

Miała paskudny smak, ale wyglądała trochę lepiej niż zupa, więc wypiłam do dna.

Czas dłużył się niemiłosiernie, nie wiedziałam, która godzina, bo zegarek, tak zresztą jak i torebkę, mi odebrano. Bardzo chciało mi się zapalić.

- Ej - wrzasnęłam - babciu!

- No? - rozległo się zza drzwi.

- Daj papierosa.

- Nie palę i tobie też nie radzę, jeszcze dom spalisz! Co za cholera!

- Nie bądź świnia - prosiłam - co ci szkodzi, rzuć choćby peta.

Babsko otworzyło drzwi.

- Wyłaż.

Weszłam do dużego pokoju, zastawionego zbieraniną mebli. Sześć wiedeńskich krzeseł, stół na wysoki połysk, tania bułgarska meblościanka, kilka wygniecionych foteli i kanapa z wystrzępionym oparciem.

Babucha wyjęła z paczki primy jednego papierosa i oświadczyła:

- Niech ci będzie, znaj moje dobre serce. Stój tutaj i pal, żebym cię widziała.

- Przynajmniej rozwiąż mi ręce, nie mogę już wytrzymać, tak mi spuchły.

- Jak będziesz wydziwiać, niczego nie dostaniesz - ostrzegła.

Zamknęłam się i z rozkoszą zaciągnęłam papierosem, po czym natychmiast zaczęłam kasłać.

- Zasłoń usta - skarciła mnie - czego rozsiewasz bakterie! Po papierosie uspokoiłam się trochę i zaczęłam się rozglądać.

Ani śladu telewizora, telefonu również. Za to na stole pełny komfort - elektryczny czajnik marki Tefal. Bielutki, lśniący, zupełnie nowy. Droga rzecz jak na możliwości wiejskiej emerytki, której najwyraźniej nie spodobało się moje zainteresowanie.

- Wypaliłaś. To wynocha.

Zaczęłam marudzić, wskazując leżącą na kanapie gazetę:

- Daj poczytać, umieram z nudów.

Stara wahała się przez chwilę, wreszcie uznawszy najwyraźniej, że z czytaniem nie wiąże się żadne zagrożenie, podała mi wymięte strony. Zagapiłam się na jej dłonie. Z szerokiego brudnego rękawa wysunął się delikatny nadgarstek. Jasna skóra bez plam wątrobianych i ani śladu zmarszczek. Starucha niepojętym sposobem miała ręce trzydziestolatki. Spojrzałam uważniej na twarz, prawie całkiem ukrytą pod chustą. Zgadza się, spod chusty zerkają błyszczące piwne oczy, prawie nie dostrzegłam zmarszczek. To nie żadna starucha, ale dość młoda kobieta, tyle że ubrana jak stuletnia babajaga. Spróbuję ją wyciągnąć na rozmowę.

- Posłuchaj, a dlaczego mnie tu przywleczono?

- Nie bój się, nic złego ci się nie stanie. Zapłacą twój okup, to cię wypuścimy.

- Coraz gorzej, to znaczy, że porwali mnie, żeby dostać pieniądze. Ale kto?

- Wynoś się już - ofuknęła mnie. - Zaraz gospodarz przyjedzie, nie pochwalili mnie, jak cię tu zobaczy.

Popatrzyłam na nią uważnie; niska, drobna, popchnę ją i prysnę stąd. Nie ma żadnych psów, to wszystko kłamstwa.

- No, czego sterczysz, wracaj do izby.

Zrobiłam krok do przodu, oceniając, kiedy najlepiej rzucić się na nią, kiedy nagle wyciągnęła duży pistolet i cicho wycedziła:

- Nie będziesz mnie słuchać, to cię zastrzelę. Tu miejsce zabite dechami, zakopiemy, nikt cię nie znajdzie. Nie lepiej to odejść stąd spokojnie? Niedługo wróci gospodarz z dolarami i odwiezą cię, skąd zabrali.

Patrząc na lufę pistoletu, wycofałam się do swojej izdebki. Nie wierzyłam jej za grosz. Akurat mnie wypuszczą... Zastrzelą i zakopią. Poczekam do nocy i spróbuję wypchnąć szybę. Wygląda na to, że ona jest tu sama.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam przeglądać gazetę „Życie Teatralne”. Jak na wiejską półanalfaberkę to dość dziwne pismo. Na marginesie listonosz napisał ołówkiem: „Poczta Kostylewo, wieś Pietuchowo, Faina Lwowa”.

Z zaskoczenia omal nie spadłam z łóżka. Pietuchowo! Opuszczona wioska, gdzie są zaledwie dwa domy. W jednym latem mieszka niezbyt towarzyski akademik, ojciec Tamary. A w drugim - Faina Lwowa, która pilnuje sąsiadom gospodarstwa i karmi ich psa. Tak właśnie, jeśli dobrze pamiętam, opowiadała Tamara. Wtedy nie zwróciłam uwagi na imię i nazwisko jej sąsiadki na dacz. Faina Lwowa! Czyżbym odnalazła córkę Iwana? Powinna chyba mieć około trzydziestki.

Teraz mogę już zadzwonić. Mam nadzieję, że rzeczywiście jestem w

Pietuchowie. Lepiej nie myśleć, że ktoś inny po prostu zabrał gazetę. Wygląda jednak na to, że naprawdę jestem w opuszczonej wiosce. Z ulicy nie dobiega żaden, najmniejszy nawet hałas: nie pieją koguty, psy nie szczekają, krowy nie muczą, nie kłóca się baby, nie wrzeszcza pijane chlopy. Cicho jak w grobie.

Wzdrygnawszy się na takie porównanie, wydłubałam komórkę zza podszewki, przeszłam w odległy kąt, gdzie stało śmierdzące wiadro, i wystukałam pierwszy numer.

- Halo - odpowiedział drżący starczy głos.

Zbita z tropu, szybko sobie jednak uświadomiłam, że Iwan Michajłowicz uprzedzał, iż wiadomość odbierze dyspozytorka.

- Proszę przekazać papie - wyszeptalam gorączkowo - że Duża Świnka w ogniu, płonie w opuszczonej wiosce Pietuchowo, w domu Fainy Lwowej. Niech się pospieszy, bo z Dużej Świnki zrobią wędzoną kiełbasę.

- Koniec informacji? - zapytała beznamiętnie stara i dodała: - Przyjęto.

Na komórce zamrugala informacja: „Naładuj baterię”. Szybko wybrałam numer Aleksandra Michajłowicza. Odebrał Zeńka.

- Pisz szybko - wyszeptalam - wieś Pietuchowo, dom Fainy Lwowej, trzymają mnie tu w kajdankach.

- Zrozumiałem - odpowiedział przyjaciel.

Usiadłam na wiadrze i popatrzyłam na telefon. Lampka już nie mrugała, świeciła ciągłym światłem. To koniec, w rękach miałam bezużyteczny kawałek plastiku. Wetknęłam aparat pod łóżko i wczużałam się na brudny koc. Nie mogłam zasnąć. Czy ktokolwiek próbował spać z rękami w kajdankach? Lepiej nie próbować, nic ciekawego, potwornie niewygodnie. Zwłaszcza gdy się zwykło, tak jak ja, spać na brzuchu, a nie na plecach.

Ciekawe, ile czasu potrzeba przyjaciołom, żeby się tu dostać? Godzinę? Dwie? Trzy? A jeśli tymczasem wróci tajemniczy porywacz z okupem i zabije mnie? Aż mi się zimno zrobiło. Czas dłużył się niemiłosiernie.

Drzwi się uchyliły, Faina wsunęła kolejną miskę. Tym razem na dnie przetaczały się dwa duże kartofle w mundurkach, obok zobaczyłam szczyptę szarej soli i kilka piórek szczypioru. Królewska ucza! Chwyciłam kartofle i prawie połknęłam, oskubawszy z grubsza brudną skórę. Poczulałam straszne pragnienie.

- Hej - krzyknęłam - daj mi pić!

Ale Faina wpadła do pokoju i odepchnawszy mnie, zaczęła ze stękaniem podnosić ciężkie deski. Pod nimi pojawiła się ciemna, wilgotna jama.

- Właż - syknęła.

- Za nic.

- Właż, mówię.

Nie miałam wyjścia. Nad moją głową stuknęły deski. Znalazłam się w nieprzeniknionych ciemnościach w wilgotnej, zimnej piwnicy. Po jakimś czasie w górze pojawiły się jaśniejsze smugi. Przez szczeliny w deskach przeniknęło światło.

Usłyszałam kroki i głosy.

- Hej, babciu, a gdzie twój gość?

- Co wy, synkowie, jaki gość, tu nikt nie przyjeżdża - zaczęła zawodzić Faina - mieszkam tu jak sowa, mówić się oduczyłam.

Siedziałam cicho, usiłując rozpoznać, kto przybył - przyjaciel czy wróg.

- Nie wciskaj nam kitu - usłyszałam upragniony głos Bekasa - gadaj, gdzieś ukryła Daszę, suko.

- Tu, w dole! - wrzasnęłam jak opętana i zaczęłam walić skrepowanymi rękami w deski. - Tutaj, Bekas, kochany, jedyny, tutaj!

Rozległ się łomot, pojaśniało i do piwnicy zajrzał Bekas.

- Dario Iwanowno, proszę podać rękę. Uniosłam skute przeguby.

Bekas zręcznie, bez najmniejszego wysiłku wciągnął mnie na górę. W małej izdebce tłoczyły się barczyste typy w czerni. Gdy spojrzałam uważniej, przekonałam się, że jest ich tylko czterech, ale roślących. Bekas wyglądał przy nich jak wata roślinka. Wszyscy trzymali w rękach automaty, dwóch miało na plecach jakieś dziwne rurki.

Faina siedziała w kącie izdebki.

- Dawaj kluczyk do bransoletek - warknął któryś z chwatów.

- Nie mam.

Jeden z obstawy wymierzył jej siarczasty policzek. Z nosa pociekła strużka krwi, Faina otarła ją w milczeniu. Chusta się zsunęła, odsłaniając ładną bledziutką twarz.

- Coś takiego - zdumiał się ten, który ją uderzył - ale laska, a myślałem, że to starucha.

I znów się zamachnął.

- Nie bij jej - krzyknęłam. - Nic złego nie zrobiła.

- Racja, przestań, Snickers, nie strasz mi tu Darii Iwanowny -

powiedział łagodnie Bekas. - Krokus, masz przy sobie gitarę?

Chłopak nazwany Krokusem kiwnął głową, wyciągnął z kieszeni komplet wytrychów i już po chwili z rozkoszą rozcierałam nadgarstki.

- Boli? - zapytał ze współczuciem jeden z osiłków. - To jeszcze nic, nie uwierzy pani, jak mnie męty do wagonu wsadzili, gdy przewożono mnie z Moskwy do Niżnego Nowogrodu.

- Jak? - zainteresowałam się, wpatrzona w swoich wybawców.

- Skuli mi ręce, następnie przypięli do trzech współwięźniów, kazali ukucnać, przez kajdanki przeciągnęli linę i pognali nas tak, pochylonych, na zgiętych nogach, wałac po łbach pałkami i...

- Te, Gnat - rozeźlił się Bekas. - Nie bądź taki Edward Radziński, patrzcie go, literat. Wszystkich z Moskwy tak wywożą, nie szpanuj.

- Zgadza się - westchnął Snickers. - Ja po drodze swój tobołek z żarciami i ciuchami musiałem rzucić. Ledwo z paczką papierosów dobiegłem! Wszystko straciłem, a jaranko doniosłem...

Faina poruszyła się lekko.

- Ona ma broń - powiedziałam szybko.

- Ten? - Gnat wskazał leżący przy oknie rewolwer. - To nie żadna giza.

- Co? - nie zrozumiałam.

- To atrapa - wyjaśnił inteligentny Bekas i dorzucił z dumą w głosie: - Mitraillette.

- Reuher - poprawiłam odruchowo - mitraillette to automat. -

Najwyraźniej przerabiają z Manią temat „Drużyna światowa”.

- Ale nawija - zachwycił się Snickers.

Wyszliśmy na podwórze. Był ładny czerwcowy wieczór. Nie gorąco i nie zimno, bez deszczu, lekki wietrzyk przyjemnie owiewał twarz. W taką pogodę miło się siedzi na daczce przy ognisku, je świeży szaszłyk, pije czerwone wino i śpiewa przy gitarze.

Ja tymczasem stoję na wielkim zaśmieconym podwórzu z dziesięcioma typami, uzbrojonymi po zęby w automaty i noże, a ten tam czarniawy, jak mi się wydaje, ma też wiązkę granatów.

- Dobra - odezwał się Bekas - idziemy, a wy róbcie, co do was należy.

Trzech zuchów odwróciło się i ruszyli do izby. Przestraszyłam się.

- Bekas, nie zabijaj Fainy, nic złego mi nie zrobiła.

- Jasne, tylko w kajdanki zakuła, breją karmiła i kibel postawiła - prychnął. - Ale nikt tu jej nie chce stuknąć, kto by się chciał tak babrać! Trochę sobie tylko pogadamy. Każdy głupi przecież rozumie, że ona to pionek.

Wypchnął mnie za bramę. Na drodze stał niebieski mikrobus z białym pasem po bokach, za nim kilka brudnych żiguli.

Bekas wyjął telefon i przekazał jakąś krótką wiadomość. Z pobliskiego lasku natychmiast wyłoniła się jeszcze jedna gablota. Z wnętrza poobijanego samochodu wysiadł Iwan Michajłowicz i ruszył ku mnie z uśmiechem.

- Miła moja, jak się pani znalazła w tak niemiłym miejscu?

- Poszłam się spotkać z Maksem, to znaczy, nie był to Maks, ale ja myślałam, że Maks, i Maks wepchnął mnie do samochodu, choć teraz wiem na pewno, że to nie był Maks...

- Zaraz, chwileczkę - przerwał - chce pani powiedzieć, że porwał panią Polański? Ale jak? Przecież on siedzi?

- Pomyślałam, że pan go uwolnił, a...

W tym momencie rozległ się warkot silnika i na drodze pojawił się mikrobus i czarna wołga. Bekas pognął na podwórze. Chwilę później z samochodu wysypali się omonowcy w moro i czarnych kominiaarkach. Z wołgi wyskoczył Aleksander Michajłowicz. Z podwórza wybiegli chłopcy Bekasa, ściągając z pleców automaty. Boże, co ja narobiłam, za chwilę moi przyjaciele pozabijają się nawzajem!

Rzuciłam się do przodu, stanęłam między nimi i machając rękami jak kura skrzydłami, wydarłam się na całe nauczycielskie gardło:

- Stójcie, stójcie, wszyscy przyjechaliście mnie ratować, wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi, musicie podać sobie ręce!

Jedni i drudzy popatrzyli na swoich szefów, którzy powiedzieli coś krótko i podwładni natychmiast opuścili broń. Pułkownik i Iwan Michajłowicz podeszli do mnie szybko.

- Co tu się dzieje? - zapytał ostro Aleksander Michajłowicz.

- Właśnie, Daszeńko, proszę nam wytłumaczyć, jak doszło do tej, delikatnie mówiąc, dwuznacznej sytuacji.

Popatrzyłam na dwa identyczne mikrobusy z białymi pasami, na stare samochody, na zimnych, wysportowanych, barczystych młodzieńców. I jedni, i drudzy mają takie same automaty, podobne noże, na nogach jednakowe buty... Nawet szefowie w połowie nazywają się tak samo - Michajłowicz. Co za cyrk!

Ale pułkownik z automatem nie dzielił mojej radości.

- Przez czysty przypadek miałam przy sobie telefon - zaczęłam wyjaśniać. - Torbę mi odebrali, zegarek, a komórkę przeoczyli.

- A gdzie ją wsadziła? - zainteresował się pułkownik. Podniosłam nogę i pstryknęłam gumką.

- Tutaj wpadła.

- Całkiem oryginalnie - zauważył Obły. - Niekiedy przy kostce przyczepia się broń. Najwyraźniej nie byli to profesjonaliści. Moi by od razu obmacali nogi i kazali zdjąć buty.

- A moi by i w tyłek zajrzeli - dogryzł mu pułkownik.

- Zupełnie słusznie - zgodził się pojednawczo Obły - nigdy nie zaszkodzi. Pańscy ludzie to profesjonaliści całą gębą. O panu zresztą też dużo słyszały, chłopaki mówią o panu z respektem.

- I mnie pańska osoba nie jest obca, choć nasz wydział do pana osobiście nie ma pretensji.

- No i dobrze - ucieszyłam się - usiadźmy sobie, zapalimy papieroska.

Pułkownik i Obły usadowili się na koślawej ławce. Pierwszy wyciągnął gauloise'y. Z radością złapałam papierosa i zaciągnęłam się zachłannie. Omonowcy i ferajna również się rozluźnili i wsiedli do mikrobusów. Moi dwaj towarzysze uśmiechali się niczym boa dusiciele - usta od ucha do ucha, a spojrzenie zimne, wrogie.

Muszę ich rozweselić. Ale nie zdażyłam otworzyć ust, gdy na drodze pojawił się jeszcze jeden niebieski mikrobus.

- Nie dzwoniłaś przypadkiem do ONZ? - zapytał pułkownik, podrywając się z miejsca.

- Albo do NATO? - dorzucił Obły.

Omonowcy i drużyna Bekasa wyskoczyli z samochodów. W kompletnym osłupieniu patrzyliśmy, jak samochód staje przy sąsiedniej bramie. Drzwi się otworzyły i ze środka wysypała się gromadka ludzi - Nina Andriejewna, Rimma Borisowna, Giera, Tamara, Masza i nieznana mi para w średnim wieku.

- Musiu! - wrzasnęła Maniunia i rzuciła się do mnie. - Co za niespodzianka, skąd wiedziałaś, że przyjedziemy na dachę Tomy?

Dziewczynka podskakiwała z radości, opowiadając, że ojciec Tamary załadował wszystkich do służbowego samochodu i przywiózł na dwa dni za miasto, na odpoczynek.

- Jak się tu znalazłaś, już przyleciałaś?

- Skąd?

- Jak to skąd? - zdumiała się Maniunia. - Kicia i Kiesza powiedzieli, że pojechałaś do Kijowa, z wizytą do rodziców Olgi!

Dopiero teraz spostrzegła obecnych i zawołała:

- Och, dzień dobry, Aleksandrze Michajłowiczu, dzień dobry, Iwanie

Michajłowiczu, cześć, Bekas! A po co ci automat?

Rimma Borisowna podpłynęła do nas statecznie.

- Bardzo nam miło, że zechcieliście uczestniczyć w naszym pikniku!

- Piknik! - odezwali się unisono pułkownik i Obły. - Jesteśmy uszczęśliwieni, wprost marzyliśmy o tym.

- Daszeńko - włączyła się do rozmowy Nina Andriejewna - poznajcie się, Siergiej Filippowicz i Karelia Lwowna - rodzice Tamary.

- Bardzo mi miło - zadudnił akademik, z niepokojem zerkając na uzbrojoną gromadę facetów. - Proszę nas przedstawić swoim przyjaciołom.

- Och nie, to zbyt cenne - uchyliłam się, przekonana, że ani pułkownik, ani Iwan Michajłowicz, ani Bekas nie pałają pragnieniem, by wraz z całym towarzystwem rozkoszować się pieczonymi kiełbaskami. W końcu to tylko moja ochrona.

Rozdział 32

Następnego dnia rano, umyta, uczesana, najedzona, z paczką gauloise'ów w torebce siedziałam w gabinecie Aleksandra Michajłowicza, który zapytał szyderczo:

- I co, znalazłaś mordercę?

Krew mnie zalała. Myślałby kto, że sam zawsze rozwiązuje wszystkie sprawy.

- Nie.

- No tak - powiedział przeciągle - to szkoda, tyle czasu zmarnowałaś.

- Wcale nie zmarnowałam - rzuciłam się na uśmiechniętego przyjaciela. - Teraz wiem już na pewno, że to nie Maks zabił, ktoś go udawał. Chcesz, to ci wyjaśnię, w jaki sposób. Z Adą zrobili zresztą tak samo.

- Wszystko w swoim czasie - zapewnił mnie zagadkowo. - A pamiętasz jeszcze, kogo zabił Maksym Polański?

- Jasne, swoją ostatnią żonę, Weronikę Miedwiediewą, aktorkę i modelkę.

- Czy kiedykolwiek widziałaś wzmiankowaną damę?

- Kilka razy, u wspólnych znajomych na przyjęciach, w teatrze, mam nawet zdjęcie - zaczęłam szperać w torebce.

- Rzadko się spotyka była żonę, która nosi w torebce zdjęcie następczyni. - Przyjaciel parsknął śmiechem.

- Po pierwsze, nie jest twoją następczynią, między nami był cały łańcuszek kolejnych małżonek, a po drugie, chciałam komuś pokazać to zdjęcie, ale nie zdażyłam.

- Czy to znaczy, że poznasz Miedwiediewą, jeśli ją zobaczysz?

- Tylko proszę mi nie pokazywać zwłok! - przeraziłam się. - Okropnie boję się trupów.

Uśmiechnął się.

- A mnie się wydawało, że nie. Popatrz tutaj.

I odsunął zasłonkę, ukrywającą nieduże okno. Wiedziałam, że można przez nie zajrzeć do sąsiedniego pokoju, natomiast ja jestem niewidoczna, bo z tamtej strony okno wygląda jak zwykłe lustro.

W ładnie umeblowanym gabinecie siedział przy biurku mężczyzna.

Widziałam tylko jego plecy w szarej marynarce. Naprzeciw niego, z opuszczoną głową, przycupnęła na krześle chuda dziewczyna o krótko obciętych rudych włosach. Twarz kryła pod chusteczką, jej ramiona lekko drżały. Najwyraźniej płakała.

- Znalazłeś Janę! - zawołałam z zachwytem.

- Poczekaj. - Aleksander Michajłowicz podniósł słuchawkę i powiedział: - Roman, nie widać.

Mężczyzna w pokoju odłożył słuchawkę na widełki i poruszył ustami.

Jana odjęła ręce od oczu i zobaczyłam delikatną, rasową, niezwykle piękną twarz... Weroniki Miedwiediewej.

- Podoba ci się niespodzianka? - zaciekawiał się pułkownik. No... to znaczy... „A teraz niespodzianka. Batonik Milky Way

w czekoladzie...” - zadzwieczało mi w głowie. Innych myśli w tej chwili tam nie było.

- Nieźle, co? - triumfował Aleksander Michajłowicz, widząc, że bezwładnie opadłam na fotel. - Troszeczkę wody? Trzymałem ją specjalnie w tym celu, przegotowana, bez obaw. Jeszcze się znęca. A więc ona żyje! To kto został zamordowany w mieszkaniu Maksa? A może ją wyleczyli? Nie, to raczej niemożliwe. - Jak myślisz, czyje zwłoki były w kostnicy? Nie domyślasz się? - Nie. - No cóż, tak bywa, gdy ma się w głowie trociny. Zrób wysiłek i rusz mózgowicę. Po co Weronika miałaby obcinać wspaniałe jasne włosy i robić sobie idiotyczną fryzurę... Cienki promyk zrozumienia przeniknął do mojej ogłupiałej głowy. - Jana! Zabili Sokołową! Ale przecież Nina Andriejewna rozpoznała Nike?

Pułkownik strzelił palcami.

- Biedna staruszka nie przyjrzała się jak należy. Przecież strzelali prosto w twarz, wszystko się rozprysnęło, mózg, krew, potworność. Kto by się wpatrywał! Zreszta, co miała myśleć? Ciało leży w łóżku Weroniki, ubrane w jej wspaniałą negligię! My sami domyśliliśmy się dopiero po trzech dniach. Grupa krwi się nie zgadza, wszystko inne jest identyczne. Młode kobiety bez znaków szczególnych. Jedynie Jana miała niedużą bliznę po operacji.

- Nic nie rozumiem - potrząsnęłam głową.

- No dobrze - zlitował się - niech ci będzie, posłuchaj. Zacznę od początku.

Weronika, pozostawszy w Moskwie, by się uczyć na tynkarza, postanowiła się jakoś urządzić. Do tej pory los niezbyt jej sprzyjał. Głodne dzieciństwo, łachmany - wszystko to w zasadniczy sposób zaważyło na charakterze dziewczyny. Pragnęła pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Wzorcowe wychowanie się nie sprawdziło. Nika stała się osobą interesowną, chciwą. Dla szeleszczących banknotów i kosztowności gotowa była na wszystko.

Ale na razie, leżąc na niewygodnym łóżku w internacie, piętnastoletnia Weronika zastanawia się, czy nie wyjść na ulicę po lekki zarobek. I wtedy uśmiecha się do niej szczęście. Wygrywa konkurs na modelkę. Jest rok 1987, wydaje się, że ludzie ogarnął amok, wszyscy chcą się nachapać jak najwięcej, właściciele agencji nie zwracają uwagi, że dziewczyna nie ma dowodu, i przyjmują ją do pracy.

Nika trafia do innego świata. Zamiast spranych sukienek - wspaniałe stroje, zamiast grubych, prostackich, zaniedbanych koleżanek z internatu - zachwycające urodą modelki... Ale pieniędzy nadal tyle co kot napłakał. A teraz tym bardziej się ich pragnie. Inne modelki mają modne stroje, firmowe kosmetyki, wspaniałe perfumy, samochody, bogatych kochanków. Nika zaś na razie guzik z pętelką! Z internatu, oczywiście, ją wyrzucono, musiała wynająć pokój u jakiejś głupawej baby. Mieszkanie na zadupiu, czterdzieści minut autobusem od metra Wychino, ale przynajmniej tanie. Tyle że mimo wszystko idzie na to prawie cały zarobek.

Wiosna 1987 roku stała się dla Miedwiediewej prawdziwym wyzwaniem. Żeby zdażyć do pracy na dziesiąta, musi zrywać się o siódmej, a potem prawie dwie godziny tłuc się przez miasto. Je tylko na pokazach i prezentacjach. Biega też na rozmaite balangi w poszukiwaniu bogatego sponsora. Ale ten wciąż się nie pojawia.

W kwietniu jedna z modelek poznaje Nike z Lonią Bieczastnym. Ten nieustannie kręci się wokół agencji dla modelek w poszukiwaniu „aktorek”. Reżyser proponuje, że zaangażuje ją do filmu, Weronika się zgadza, jedzie do niego do domu, a tam w kuchni siedzi Anton. To spotkanie okazuje się brzemienne w skutki.

Anton do tego czasu też już zdażył sporo przeżyć. On, tak jak i Nika, był bardzo urodziwy, w dodatku dobry Bóg obdarował go bystrym umysłem, świetnym refleksem i nieprzeciętnymi zdolnościami aktorskimi. Inaczej niż Weronika, Anton uczył się świetnie, dużo czytał i od pierwszej chwili sprawiał jak najlepsze wrażenie. Ale piękne czerwone jabłko niekiedy bywa robaczywe. Rozkroi się soczysty

miażdż, a w środku tłusty robak, otoczony zgnilizną. Już w szkole Anton zaczął kraść. Ludoczka Zimpanelli żyła bardzo skromnie, odkładając z groszowej pensji prasowaczki po kilka rubli na urlop. A Anton dostał się do elitarnej szkoły z językiem angielskim. Przyjęto go tam, bo naiwna matka, oddając dokumenty, w rubryce „wyszkolenie rodziców” napisała bez chwili wahania - artystka cyrkowa. Kiedy po roku dyrektorka zorientowała się, że arena to już dawno przebrzmiała pieśń, że teraz mamulka drepcze przez osiem godzin dziennie z gorącym żelazkiem, było już za późno. Młody Miedwiediew uczył się świetnie i doskonale zachowywał.

Gdzieś tak w szóstej klasie dziecięcą głowę Antoszy wypełniła po brzegi zawiść. Jego koledzy w klasie byli zawsze świetnie ubrani. Wielu rodziców regularnie wyjeżdżało za granicę, przywozili upragnione dżinsy, gumę do żucia i chipsy. Chłopcy, choć tak rozpieszczani, byli dobrymi kolegami, zapraszali Antona, ale to go jeszcze bardziej złościło. A najbardziej Nikita Rogożyn. Jego ojciec, znany aktor, często kręcił filmy, a to w NRD, a to w Czechosłowacji, i mieszkanie Nikity aż pękało od wszelkich cennych rzeczy. Już na początku siódmej klasy Antosza dokonał pierwszej kradzieży. Zaniósł do pokoju nauczycielskiego dziennik. W pokoju nikogo nie było. W uchylonej szufladzie biurka dyrektora dostrzegł gruby plik banknotów. Ręce same się po nie wyciągnęły.

Za pierwszy „zarobek” Tosza kupił w toalecie obok metra amerykańskie dżinsy i koszulę w kratę. Kolegom, którzy dostrzegli jego nowy strój, rzucił niedbale: „Dziadek przywiózł z tournée do Włoch”. Biedny Ernesto Zimpanelli, wtedy już od dawna nieboszczyk, pewnie przewrócił się w grobie. A potem już poleciało. Z kieszeni okryć uczniów regularnie wyciąga niekiedy kopiejkę, a niekiedy i ruble. Potem kradnie pensję nauczycielce biologii. W szkole trwają usilne poszukiwania złodzieja, ale nikomu ani przez myśl nie przemknie, że to Antosza Miedwiediew - najlepszy uczeń w szkole, jej duma. Gdy Anton przeszedł do dziesiątej klasy, Ludoczce udało się wysłać swojego skarba na obóz pionierski nad morzem, do Eupatorii, aż na trzy turnusy.

Tam Anton poznał Lonię Bieczczastnego. Przyciągnęło ich do siebie niczym gwóźdź do magnesu. Ale bo też trafił swój na swego. Pewnej ciepłej lipcowej nocy włamali się do niestrzeżonego biura kołchozu i ukradli dużą sumę pieniędzy. I kolejny raz Antonowi wszystko się upiekło.

W Moskwie przyjaźń się zacieśniła. Mało tego, nabrała wręcz rozmachu. Lonia mieszkał z matką alkoholizką w mieszkaniu komunalnym. Jeden z pokoi zajmował Rodia, wielkie drabisko z wytatuowanymi na palcach sygnetami. Właśnie jemu Anton nadawał mieszkania bogatych kolegów z klasy. Zaczynają się kradzieże. Potem Anton połaskoczył się na cenny puchar i zwalił winę na Nikitę. Pieniądzy nie przepuszcza, składa je na różnych książeczkach oszczędnościowych.

Czas mija szybko i przyjaciele, pokończywszy szkoły, zdają na studia. Anton wybiera MIL, Lonia - Instytut Budowy Samochodów.

- Co takiego? - zdziwiłam się. - Myślałam, że Bieczczastny skończył szkołę filmową.

- Uwierzyłaś Loni? - uśmiechnął się pułkownik. - Nie, szkoła filmowa to był tylko parawan dla naiwnych.

Ale Bieczczastny ma kamerę i lubi kręcić. To nasuwa przyjacielom pomysł na lekki zarobek.

Przy trzech dworcach znajdują prostytutki i kręcą film pornograficzny. Ponieważ odczuwają deficyt wykonawców ról męskich, muszą „występować” sami.

Anton ma już zresztą praktykę aktorską. W MILu jest świetny teatr studencki i Miedwiediew szybko dostaje się do pierwszego składu. Jest prawdziwym mistrzem... Bez trudu odgrywa role komiczne, tragiczne, a nawet kobiece, wspaniale imituje inne głosy.

Wyprodukowany „próbój filmowy” Anton rozprowadza wśród studentów

piątego roku. Wybucho skandal. Miedwiediewa wywalają z uczelni. Na dodatek matce strzela do głowy, żeby ni z tego, ni z owego zrobić porządek na pawlaczu, znajduje tam książeczki oszczędnościowe i zaczyna go wypyttywać. Zrozumiawszy, że matka nie popuści, troskliwe dziecie daje dyla, nie omieszkawszy okraść rodzicielki.

Kilka dni mieszka u Loni, ale wiecznie pijanej madame Biezczałnej wkrótce ma jeszcze bardziej dość niż własnej matki. Jedzie więc do ojca. Wystraszony Leonid wiezie latorośl do Iwana Lwowa. W podzięcie Tosza napuszcza Rodię na jego mieszkanie i organizuje napaść na wredną macochę Zinaidę.

U Lwów poczuł się nagle jak lis w kurniku. Prostytutek miał już dosyć, przygodnych znajomości również. A tu miła, przyzwoita dziewczuszka, ładna i inteligentna.

Ze swoim anielskim wyglądem wcale nie musiał się wysilać, żeby rozkochać w sobie naiwną uczennicę. Faina po prostu straciła głowę, a kiedy zaaplikował jej kilka szpryc, stała się absolutnie uległa.

Lonia i Anton zdobyli dyspozycyjną „aktorkę”, gotową na wszystko za miłe słowo od Antona i dodatkową szprycę. Filmy, kręcone jeden po drugim, świetnie się sprzedają.

I wtedy nieoczekiwanie wraca Iwan. Anton musi uciekać. Fainy ze sobą wziąć nie może, bo ojciec dzień i noc pilnuje córki. Wobec tego dzwoni do Lwowa i informuje go, że wandale zdewastowali grób jego żony.

Trzech godzin wystarczy, by on i jego kompani ogołocili mieszkanie prawie do czysta, włącznie z kolekcją znaczków. Nagle przykre niepowodzenie - Rodię zatrzymuje milicja. Wystraszeni kompani trzęsą się ze strachu, ale Rodia, nie zdążywszy złożyć zeznań, wdaje się w celi w bójkę i zostaje zabity. I znowu Anton ma szczęście, a Lonia jeszcze większe. Okazuje się bowiem, że jego matka alkoholiczka na starość zaszła w ciążę i pokój Rodi przyznano Biezczałnym. W ten oto sposób Lonia ma do dyspozycji całe wielkie mieszkanie. Do jednego pokoju wprowadza się Anton z Fainą, w drugim robią studio filmowe, pozostałe zajmują gospodarze.

Teraz jednak Anton wykombinował sobie, że jeszcze raz okradnie roztargnionego Jakowa Mironowicza. Reżyser to łatwa zdobycz, wierzy w każde słowo. Poza tym jest dziany. Kiedy żonie giną brylanty, następnego dnia kupuje inne. Takiego nie grzech oskubać jeszcze raz. Ale szczęście opuszcza Antona, Kogtiew wyrzuca go z teatru na zbitą mordę. Anton zaczyna obmyślać zemstę i wpada mu do głowy oszałamiający plan.

Zmusza Olega Bieriestowa, żeby podszedł Alonę, a potem okłamuje ją, że to z miłości do niej zorganizował tę mistyfikację. Naiwna kobieta wierzy i odchodzi do niego. Ale tam mieszka już Faina Lwowa, i choć jest zdemoralizowaną narkomanka, co nieco jeszcze do niej dociera. Miedwiediew przedstawia ją jako swoją chorą siostrę. Alona początkowo wierzy, ale niebawem coś jej zaczyna świtać. Anton jednak nie pozwala dziewczynie odejść. Potrzebuje lokum, a była żona Kogtiewa ma własne nieduże mieszkanie przy ulicy Fogla. Anton nie zamierza do końca życia gnieździć się u Biezczałnego, zwłaszcza że jego matka lada dzień urodzi dziecko. A Fainy ma już po dziurki w nosie. Wskutek nadużywania narkotyków świeża dziecinna twarzyczka zaczęła przypominać zmiętą szmatkę, nawet do spraw łóżkowych Faina straciła wszelkie zainteresowanie i stała się dla Antona ciężarem. Co więc robi miły przystojniak Tosza? Opracowuje plan, a działać musi szybko, bo Alona lada chwila wróci do swojego mieszkania.

Pewnego wieczoru świętują urodziny Fainy. Anton często dolewa Alonie alkoholu, a następnie, widząc, że obie dziewczyny nieźle sobie podpiły, napuszcza je na siebie.

Pijana Alona łapie za nóż i zaczyna się uganiać za „siostrą”. Żeby ją uspokoić, Anton wznosi jeszcze jeden toast, ale tym razem do wódki Alony wsypuje środek na sen.

Przebudzenie staje się dla Alony koszmarem. Na podłodze obok łóżka widzi martwą Fainę. Ręce Alony, jej sukienka -wszystko jest we krwi, na kocu leży duży nóż. Anton wchodzi, wydaje okrzyk przerażenia i

mówi, że Alona przez cały wieczór biegała za „siostrą” z nożem. Ledwo ją uspokoili. Wszystko potwierdza Lonia Biezczastry.

- Pomożemy ci - zapewniają - nic się nie bój.

Ciało nieszczęsnej Fainy dzielią na kawałki, niczym wołowinę. Na tułów wkładają ulubioną sukienkę Alony, miażdżą twarz. Następnie sprofanowane zwłoki ukrywają w parku Izmajłowskim. Miedwiediew lekko przysypuje je ziemią. Alona jedzie do swojego mieszkania przy Fogla. Następnego dnia przepisuje je na Antona. Był to akurat czas, kiedy kwitł czarny rynek mieszkaniowy. Podziemie notarialne, fałszywe zaświadczenia - żaden problem. Anton staje się posiadaczem upragnionego dwupokojowego mieszkania.

Teraz musi się uwolnić od Alony. Początkowo zamierzał zwrócić ją mężowi. Wysłała anonim, w którym zdradza prawdziwego „autora” zakładu i opowiada o wszystkim Alonie. Jaków Mironowicz natychmiast przyjeżdża po żonę. Ale Alona panicznie boi się zdemaskowania i zatrzaskuje przed nim drzwi.

Widząc, że Alona potwornie się boi, Anton zaczyna ją jeszcze bardziej straszyć. Mówi, że krzyki umierającej Fainy słyszeli sąsiedzi, kłamie, że przychodził dzielnicowy, kilka razy symuluje telefony z milicji, informuje biedaczkę, że był wzywany na komendę i przesłuchiwany...

Alona z przerażenia niemal traci rozum, co widząc, Anton daje jej dowód Fainy Lwowej i wywozi dziewczynę do Pietuchowa. Jest tam dom należący do matki Biezczastryego.

Anton jeździ tam regularnie i utrzymuje byłą kochankę w ciągłym strachu. Opowiada niestworzone rzeczy: że w całej Moskwie rozwieszono jej zdjęcia, w telewizji podano, iż trwają poszukiwania, wzburzona opinia publiczna żąda kary śmierci... Alona we wszystko wierzy. Ubiera się jak staruszka, ukrywa twarz pod chustką i potwornie się boi, że ją odnajdą. Jej życie staje się koszmarem.

Tymczasem Antona nie opuszcza szczęście. Po pierwsze, wiecznie pijana mamuśka Biezczastryego wpada pod samochód, jeszcze przed porodem. Dom przy ulicy Fogla idzie do rozbiórki, a Anton dostaje mieszkanie, tyle że trochę daleko, bo w Północnym Butowie. W tym samym czasie Lonia żeni się z „jasnowidzącą” Mariną Mak.

Marina staje się godną partnerką dobranej paczki. Wymyślają nowy sposób zarabiania pieniędzy: robią z Antona „specjalistę od rozwodów”. Interes kwitnie. Marina znajduje klientów, Miedwiediew w ciągu dwóch-trzech tygodni rozprawia się z głupimi babami, Lonia fotografuje „miłosne schadzki”. Pieniądze płyną rzeką. Zdziwiająco łatwy i czysty zarobek.

W tym właśnie okresie swojego życia Anton poznaje Weronikę.

Dziewczyna ma dopiero siedemnaście lat, zresztą on też niewiele więcej. I staje się cud. Złodziej i morderca, człowiek bez żadnych zasad, nagle zakochuje się w Nice. I to do tego stopnia, że się z nią żeni. Zanoszą do urzędu stanu cywilnego zaświadczenie, że panna młoda jest w ciąży, i dostają ślub bardzo szybko, nie muszą czekać, aż Weronika skończy osiemnaście lat. Tak oto Nika ma wreszcie własne mieszkanie, a Tasza - ukochaną, uwielbianą żonę.

Codziennie szczęśliwy małżonek odkrywa w młodej żonie wciąż nowe zachwycające cechy. Młoda, piękna, mądra, przebiegła... I do tego pozbawiona wszelkich zasad i tak jak on marząca o wielkim bogactwie. Zainteresowawszy się, czym zajmuje

się mąż, Nika zaczyna mu pomagać. Nikomu nie mówią, że wzięli ślub, wręcz przeciwnie, nielicznym znajomym przedstawiają się jako brat i siostra. Przez czysty przypadek noszą takie same nazwiska, a Weronika ma na dodatek rodzzonego brata Antona, który od dawna mieszka gdzieś na Północy.

W tym czasie Weronika bierze udział w wyborach miss i poznaje Polańskiego. Razem z Antonem natychmiast obmyślają plan. Nika ma wyjść za bogatego frajera, a potem jakimś sposobem, nie wymyślili jeszcze jak, oskubie naiwniaka do czysta.

Tak też zrobili. Weronika „gubi” dowód, dostaje nowy, bez pieczętki, i śmiało idzie do urzędu stanu cywilnego z Polańskim.

Pierwsze lata z Maksem przynoszą jej same przyjemności. Polański nie jest skąpy, obsypuje młodą żonę kosztownościami i futrami, załatwia angaż do filmu. Nika oświadcza Antonowi, że odpowiada jej takie życie i postanowiła zostać z Maksem. Mąż bynajmniej nie rozpacza. Nika przez cały czas podsyła Marinie Mak klientów, a Anton się bogaci. Prostoduszny, kochliwy Polański lekkomyślnie wtajemnicza żonę we wszystkie swoje sekrety, opowiada o współpracy z Obłym.

Po jakimś czasie płomień namiętności przygasa i Maks zaczyna patrzeć na żonę bez różowych okularów. Stopniowo zarysowuje się przed nim dość niemiły obraz zachłannej, złej, chciwej baby. Stosuje więc swój sprawdzony sposób - proponuje rozwód i pieniądze. Nika jest jego siódmą żoną i technikę rozstań opracował do ostatniego szczegółu. Ale Weronika się nie zgadza, nie zamierza poprzestać na części pieniędzy, chce dostać wszystko.

Razem z Antonem główkują, jak by tu zabić Maksa. I wtedy Nika dowiaduje się o istnieniu Jany Sokołowej. Sama też nie jest bez winy, często wdawała się w krótkie romanse, ostatni był z najbliższym przyjacielem Maksa, Siemionem.

Ale świadomość, że mąż ma kochankę, doprowadza ją do szału. Urażona miłość własna domaga się zemsty. A gdy w dodatku zobaczyła Janę i zaskoczył ją brak urody rywalki, zrozumiała, że Maks się zakochał. A to było niebezpieczne, mogła zostać bez pieniędzy.

Pewnej chłodnej kwietniowej nocy dobrana szajka wymyśliła plan. Zabić Polańskiego to zbyt duże ryzyko. Kilka osób wie już o jego romansie ze studentką, milicja natychmiast zacznie podejrzewać zdradzaną żonę. W ich przestępczych głowach rodzi się pomysł na zbrodnię stulecia. Maksa należy wsadzić do więzienia za zabicie... Niki.

Przygotowali się do tego bardzo starannie. Najpierw Weronika obcina krótko swoje wspaniałe włosy i farbuje je na taki kolor jak u Jany. Tłumaczy to bardzo prosto - zaproponowano jej rolę w nowym filmie i reżyser zażądał, by zmieniła fryzurę.

Zabójstwo zaplanowali na piątego czerwca. Nika wie, że czwartego wieczorem mąż przyniesie od Obłego milion dolarów i schowa je do sejfu. Szóstego rano specjalny kurier jak zwykle wyekspeduje pieniądze do Emiratów Arabskich. Kwota jest dostatecznie wysoka, by pokusić się o tak wielkie ryzyko.

W pierwszych dniach czerwca Nika odwiedza różnych swoich znajomych, w tym modelkę Giulnarę. Skarży się na okropne zachowanie Maksa, mówi o swoim lęku, o pistolecie...

Wpada też na uczelnię do Jany i specjalnie robi jej awanturę w obecności wielu świadków.

Czwartego rano dzwoni do Jany i płacząc, prosi, by ta przyjechała na stację metra Praska. Błaga, by nikomu o tym nie wspominała, prosi o pomoc, udaje histerię, mówi, że Maks usiłował ją zabić.

Przerażona Jana, nikomu nie wspominając o telefonie, przyjeżdża na wyznaczone miejsce. Tam czeka na nią Anton w samochodzie. Uśpić dziewczynę za pomocą szmaty z eterem to dla niego chwila. Wiozą Janę do Północnego Butowa, tam wstrzykują jej mocny środek nasenny i na razie zostawiają w spokoju.

Nika pilnuje ofiary, a Anton w tym czasie przebiera się za Janę. Dzwoni do Rady Sokołowej, opowiada o olimpiadzie w Kijowie i prosi o przywiezienie na dworzec rzeczy. Chodzi o to, by nikt nie szukał Jany. Uczynna Tanieczka dostarcza na dworzec bagaż i wręcza go Antonowi. Pociąg rusza, Jana odjeżdża. Ani ciotka, ani koleżanka niczego nie podejrzewają.

Anton wysiada w Fomińsku. Je na peronie paszteciki.

- Wsunął pięć sztuk - powiedziałałam powoli - aż się baby zdziwiły, że taka chudзина, a apetyt jak u tęgiego chłopca.

- Zgadza się. Ale tu popełnił pierwszy błąd. Z przyzwyczajenia wszedł do męskiej toalety. Prędko się przebrał, włożył czarną perukę, przykleił wasy i wyszedł, zostawiając niepotrzebną torbę i wprawiając babcię klozetową w osłupienie.

Akcja toczy się szybko, o ósmej Anton jest z powrotem w Moskwie.

Teraz telefon, do Maksa w imieniu nieistniejącej dyrektorki zakładów drobiarskich. I tu drugi błąd: wymienia nazwę wioski - Pietuchowo. Zapamiętuje ją sekretarka Maksa.

Polański cierpliwie czeka na zapowiedzianą wizytę. W tym czasie Weronika raczy łąsą na słodczyce Ninę Andriejewnę tortem z relanium i teściowa zasypia kamiennym snem. Podobnie zresztą jak Polański przy biurku po wypiciu kawy z tym samym środkiem, który zaaplikował mu Anton przebrany za dyrektorkę. Zaczyna się najtrudniejsza część planu.

Przywożą nieprzytomną Janę, przebierają we wspaniałą negliz Weroniki i... zabijają z zimną krwią, umyślnie masakrując twarz. Następnie wyjmują z sejfu pieniądze i napełniają popielniczkę niedopałkami, które przewidujący Anton zabrał z gabinetu Maksa.

- To właśnie wydało mi się od razu podejrzane - przerwałam. -

Przebywał w domu piętnaście minut, a wypalił całą paczkę.

- Nie ma przestępcy, który by nie zostawił śladów - odparł filozoficznie przyjaciel.

Około jedenastej jest po wszystkim. Anton idzie do samochodu, Nika z pieniędzmi wychodzi kuchennymi drzwiami. Nikt jej nie widzi, zresztą wcale nie boi się przypadkowego spotkania, bo ma czarną perukę i ciemne okulary.

I wreszcie następuje punkt kulminacyjny. Anton przebiera się za Maksa Polańskiego i przyjeżdża do „domu”. Szczęśliwym trafem na podwórze siedzą dwie sąsiadki, rozkoszując się piękną pogodą - Anna Michajłowna i Natasza Simonowa. „Maks” rzuca do nich w przelocie kilka słów i wbiega do budynku.

- I tu pozostawia kolejny ślad - wtraciłam. - Jamniczka Nataszy Simonowej jest bardzo przyjacielska dla tych, których zna, ale szaleje na widok obcych. I oto rzuca się na „Maksa” ze szczekaniem, a Simonowa zachodzi w głowę, co napadło jej ulubienicę. To od razu wydało mi się podejrzane. Zwierzęcia

nie da się oszukać. Ono poznaje nie po wyglądzie, tak jak człowiek, ale po zapachu. Suczka najpierw podbiegła do Polańskiego, merdając ogonem, a zaraz potem zaczęła ujadać jak opętana.

- Ciekawy szczegół - zgodził się pułkownik. - Nie wiedzieliśmy o tym.

Akcja toczy się dalej. Morderca wyskakuje z domu, na spodniach wyraźnie widać ciemne plamy. Druga para, specjalnie umazana w krwi Jany, leży już w koszu z brudną bielizną, ukryta też została beretta, z której strzelano.

„Polański” coś bełkocze, jest wyraźnie zdenerwowany. Sąsiadki patrzą zaciekawione, jak odjeżdża dżipem. Koniec, kropka, przedstawienie skończone.

Teraz Nika musi się zmienić w Janę. Najpierw, podając się za siostrę Jany, zawozi na uczelnię zwolnienie lekarskie, które zdobył Lonia Biezczastry. Sprytny Anton nie zamierza bynajmniej powiedzieć przyjacielowi o milionie dolarów. Po prostu poprosił go: „Załatw u Galki zwolnienie lekarskie dla mojej baby”. Lonia nie dostrzegł w tym niczego podejznanego i dostarczył papierek.

Nika spokojnie chodzi sobie po Północnym Butowie w czarnej peruce i okularach. Mordercy stają się jeszcze bardziej bezczelni. Do tej pory szczęście sprzyjało im niebywale, więc osłabili czujność. I to był błąd!

Późnym wieczorem w najdalszym zakątku Butowa przy budce z obrzydliwymi waflami Weronika wpada na... Siemiona, najlepszego przyjaciela Maksa i swojego byłego kochanka. Obydwoje przeżywają szok.

Sienia, zobaczywszy „zabita”, upuścił na ziemię plastikową butelkę z fantą i zapomniał języka w gębie. Mimo peruki natychmiast poznał Nike. A ona w pierwszej chwili też straciła głowę, bo zupełnie nie spodziewała się spotkania z kimś znajomym na tym zadupiu.

Należy oddać sprawiedliwość jej opanowaniu - natychmiast się pozbierała, padła w ramiona Sieni i ze łzami w oczach zaczęła opowiadać „prawdę”.

Polański pojechał w delegację, a u niej nocowała bliska koleżanka.

Nika odstąpiła jej swoje łóżko, a sama położyła się w salonie. Tymczasem w nocy wrócił mąż i strzelił do biedaczki. Ponieważ to nieporozumienie jeszcze nie zostało wyjaśnione, Weronika musi się ukrywać.

Pląkała, czepiała się rak Sieni, wreszcie zmusiła ostatecznie ogłupiałego faceta, by wezwał taksówkę i zabrał ją do siebie na noc. Chciała mieć go na oku, żeby nikomu nie powiedział o spotkaniu. Nad ranem sprytnie wspomniała o milionie, kazała Sieni trzymać język za zębami i obiecała, że się z nim podzieli.

Rano sobie poszła.

- Teraz rozumiem - westchnęłam.

- Co?

- W żaden sposób nie mogłam pojąć, czym tak przeraziłam Sienie. Widziałam, jak odprowadzał do drzwi czarnowłosa zgrabną dziewczynę. A ponieważ nie zechciał ze mną rozmawiać, nastraszyłam go, że powiem Adzie o jego panience. Zbladł, zaczął się trząść i wypierać wszystkiego. Wtedy mu oświadczyłam, że znam imię nieznanym, kończy się na „a”. Sienia o mało nie zemdleł, ale wtedy wróciła z dacy Ada i wyszłam.

- Domyśliłaś się, że to była Weronika? - zdumiał się.

- Skądże, przecież większość imion żeńskich kończy się na „a”.

Swietłana, Tatiana, Anna, Masza, Dasza... Po prostu tak chlapnęłam.

- Po prostu tak chlapnęłam! - zdenerwował się Aleksander Michajłowicz. - Masz pojęcie, co by się stało, gdyby Sienia powiedział Nice o twojej wizycie?

Wzruszyłam ramionami.

- Ale przecież nie powiedział.

- Nie zdażył. Dlatego że zabił go Anton, przebrany za Adę. Takiego obrotu zdarzeń zbrodniarze nie przewidzieli, ale w ciągu nocy obmyślili wyjście z sytuacji. A dalej poszło już według wcześniej przeciwionego scenariusza charakterystyczna, ubiór, ostentacyjne zdenerwowanie, ciekawscy sąsiedzi. Następnie awantura w sklepie, żeby zwrócić na siebie szczególną uwagę, porzucona w kącie sukienka ze stretchu.

Nawiasem mówiąc, ta właśnie sukienka pomogła ustalić, że Ada nie ma z tym nic wspólnego. Ekspertyza wykazała ponad wszelką wątpliwość, że żona Worobjowa nigdy nie miała na sobie tego stroju.

- Wiedziałaś i bez twojej ekspertyzy, że Ada jest niewinna. Zabójca miał duże ręce i nogi, a małżonka Sieni, mimo okazałych gabarytów, posiada piękne dłonie i stopy. Nie miałam też wątpliwości, że to nie Maks przyszedł do Siemiona w przeddzień zabójstwa.

- Zgadza się, to był Anton. Zbrodniarze chcieli, aby jak najwięcej osób mogło potwierdzić przestępcze zamiary biznesmena. Ale jak to wydedukowałaś?

- Nic trudnego. „Polański” skarżył się Sieni, walił pięścią o stół, bransoleta się rozpięła i złoty zegarek spadł mu z ręki, tłukąc talerzyk. Tak to w każdym razie opisał Worobjow.

- No to co? - zdziwił się pułkownik. - Anton bardzo udatnie odgrywał rozwścieczonego męża.

- Zgoda - uśmiechnęłam się. - Przeoczył tylko jeden drobny szczegół. Miedwiediew ma złotego roleksa, też droga zabawka, ale Maks nosił numerowanego platynowego longinesa. A platyna jest biała. Dlatego Sienia powinien mówić o srebrnym zegarku, a on się upierał, że złoty... Maks nie rozstawał się z longinesem, uwielbiał go.

- A niech cię! - zachwycił się Aleksander Michajłowicz. Zrobiłam minę, która miała wyrażać, że i ja sroce spod ogona nie wypadłam.

Ani Nika, ani Anton nie czują żadnego dyskomfortu. Usunęli zbędnego świadka, zwalając winę na Adę. Jeszcze tylko Anton dzwoni do Amalii i udając Adelajdę, prosi siostrę o przebaczenie.

Przestępcy całkowicie uwierzyli, że są bezkarni. Apetyty rosną, teraz już nie wystarczy im milion dolarów. Nim wyjadą z Moskwy, a na początek lipca kupili już bilety na Cypr, chcą zagarnąć wszystko, co

się da.

Najpierw Nika wraca do swojego mieszkania, żeby zabrać kosztowności.
- No to już wiem, kto podniósł kapelusze w przedpokoju! - wyrwało mi się.

- Potem przypomina sobie o kosztownym sygnecie Maksa i o zegarku. Rozumując całkiem rozsądnie, że mąż nie zabrał tych rzeczy do więzienia, znów jedzie do domu, zabiera to... i wtedy do mieszkania wchodzi ty. Weronika ledwie ziała. Nawiasem mówiąc, bardzo ułatwiłaś jej zadanie, zabierając Ninę Andriejewną do Łożkina. Następną akcja - kosztowności Rady Sokołowej. Niszę Zająca okradli już wcześniej.

- Jak? Skąd dowiedzieli się o kosztownościach? - Aż podskoczyłam z emocji.

- To bardzo łatwe. Ada opowiedziała mężowi, że Igor Kac zdołał uratować rodzinny majątek i zostawił Radzie Sokołowej ogromne bogactwo, natomiast jej ojciec bełkotał jedynie coś o dziewięćdziesięcioletnim zającu. Sienia, będąc na dobrym rauszu, podzielił się z Niką tymi wiadomościami. Ta początkowo puściła je mimo uszu. Ale kiedyś, towarzysząc Ninie Andriejewnie na grób generała...

- Zobaczyła grób Zająca i wszystko zrozumiała - dokończyłam.

- Właśnie tak. Bogiem a prawda, Nika i Anton nie liczyli na powodzenie, ale sprawdzić nie zawadzi. I trafili w dziesiątkę. Skarb, troskliwie ukryty przez Henryka Kleina dla córek, znalazł się w rękach chciwych drani. Przekonawszy się, że informacje od Sieni są prawdziwe, zapragnęli też zgarnąć kosztowności Rady Sokołowej. Uciekają się do starej sztuczki. Anton, przebrany za Janę, dzwoni do Rady i mówi: „Ciociu, wróciłam, zaraz będę w domu”. Rada naturalnie niczego nie podejrzewa i otwiera drzwi, „Jana” wchodzi do kuchni i zabija nieszczęsną kobietę oraz sąsiadkę Tanieczkę, która na swoją zgubę przyszła właśnie z wizytą. Miedwiediew przez trzy lata był w sekcji strzeleckiej i nigdy nie pudłuje.

Następnie usiłuje wydostać ukryty skarb, ale nic z tego. Otwór w podłodze jest zbyt wąski i szeroka dłoń mordercy nie może się przecisnąć, a palcami w żaden sposób nie da się uchwycić węzła.

Trzeba obejść się smakiem. Na wszelki wypadek Anton zabiera ze sobą album ze zdjęciami, żeby utrudnić poszukiwania Jany.

Po pewnym czasie dobrana parka przypomina sobie Żenię Polakową. Anton dzwoni do dziewczyny i mówi: „Już wróciłam, ale jutro jadę na daczę do znajomych, nie mogę się z tobą zobaczyć”. Żenieczka nic z tego nie rozumie, a potem na swoje nieszczęście postanawia jechać po zeszyt.

Nika, przebrana za Janę, szpera w tym czasie w szafie. Naturalnie bardzo ryzykowali, wchodząc do mieszkania, z którego dopiero co wyszła milicja. Ale, po pierwsze, bali się, że skarb znajdzie kto inny, a po drugie, Nika przebrana za Janę wcześniej długo siedziała w samochodzie przed bramą i przez przyciemnione szyby widziała odjazd ekipy śledczej. Wyciąga kosztowności, wkłada do torebki i wtedy... do drzwi dzwoni Żenia. Nika prowadzi ją do samochodu, w którym siedzi Anton przebrany za czarnowłosa dziewczynę.

Żenieczkę najpierw ogłuszają, potem dają jej zastrzyk, wreszcie duszą. Ale tu sfuszerowali robotę, Żenia przeżyła. A kiedy doszła do siebie, uświadomiła sobie, że Jana wyglądała dziwnie, była mocno umalowana i bardzo energiczna.

Tak czy owak, przestępczy maraton dobiega końca. W rękach Niki i Antona znalazły się niezmiernie bogactwa, mogą wreszcie złapać oddech i jechać na Cypr. Ciekawe tylko, jak zamierzali przemyścić to wszystko przez cło.

Są pewni, że sprawa zakończona, a tu figa z makiem! Oto wścibia do niej nos uparta, pełna entuzjazmu Dasza Wasiljewa.

Westchnęłam. Owszem, wścibiłam, ale chciałam jak najlepiej.

- A wyszło jak zawsze - dokończył niewypowiedzianą myśl pułkownik. - Zaczęłaś robić koszarne idiotyzmy! Po co wynajęłaś Antona?

- Żeby się uwolnić od Kici - parsknęłam śmiechem.

- Jak trafiłaś na „Wyrocznie”?

- Znalazłam w dziupie Maksa paragon z „Wyroczni”, zapaćkany tuszem z długopisu. Nina Andriejewna powiedziała mi, że Maks często wyjeżdżał z Moskwy, a wtedy Nika, korzystając z jego nieobecności, brała samochód i załatwiała jakieś sprawy. Pewnie podwoziła Marinę, a ta wytarła ciekący długopis w paragon, który akurat miała pod ręką, i rzuciła go na podłogę.

- To miłe - wycedził Aleksander Michajłowicz - tyle że Anton natychmiast się zorientował, who is who. Zwłaszcza że na bajdurzyłaś Marinie Mak o swojej przyjaźni z Weroniką. A właśnie, bądź uprzejma wyjaśnić mi jedną dziwną sprawę. Anton przyznał się, że wysłał do Łożkina kiler. Ale chłopak przepadł, nie wykonawszy zlecenia, po prostu wyparował. Nie wiesz przypadkiem, co się z nim stało?

Przypomniałam sobie pracownika sklepu Markwet i odpowiedziałam bez zająknięcia:

- Nie mam pojęcia, widzisz przecież, że jestem żywa i zdrowa. A to znaczy, że kiler się do mnie nie dobrał.

- Aha. - Pułkownik pokręcił głową. - Patrzcie państwo, taki obciach dla profesjonalisty! Ale ty, moja droga, mimo wszystko działałaś dalej. Dotarłaś do Loni Biezczonego, zaczęłaś mu zadawać idiotyczne pytania, przyczepiłaś się do striptizera Wołodii... Wsadziłaś patyk do gniazda os i dźgałaś nim we wszystkie strony. Aż mi się nie chce wyliczać wszystkich twoich głupot. A efekt tych działań poczułaś na własnej skórze. Nika i Anton, którzy, pewni swej bezkarności, utracili wszelkie hamulce, postanawiają się uwolnić od namolnej baby...

Scenariusz jest wciąż ten sam. Miedwiediew przebrany za Polańskiego wpycha ofiarę do samochodu, a tam przebrana Nika czeka już ze szmatą nasączoną eterem. Po dwóch sekundach Daria jest unieszkodliwiona, samochód jedzie do Pietuchowa.

- Dlaczego mnie nie zabili?

- Z chciwości, moje ty szczęście. Chcieli najpierw wycisnąć z Kieszy okrągłą sumkę, równiutkie pięćset tysięcy dolarów!

Arkady stanął na wysokości zadania. Natychmiast zgodził się na wszystkie warunki i w towarzystwie Kici ostentacyjnie udał się do banku.

Teściowym i Maszy powiedzieli, że pojechałaś do Kijowa odwiedzić rodziców Olgi. Bardzo rozsądnie, bo wyobrażasz sobie, jaki lament by podniosły?

Przytaknęłam z westchnieniem. O ile je znam, atak serca u obu muirowany.

- A co dalej?

- Dalej - finał! Aresztowaliśmy Antona, gdy odbierał pieniądze. Bez chwili wahania wydał Nike. Teraz śpiewają jak słowiki, zwałając winę jedno na drugie. Obrzydliwy spektakl. W tej całej historii żal jedynie biednej Alony. Jest absolutnie niewinna.

Doprowadzili ją niemal do obłędu. Gdy cię przywieźli, powiedzieli jej... że jesteś winna Antonowi wielkie pieniądze i nie chcesz oddać. Jeśli więc ona przetrzyma bezczelną dłużniczkę u siebie, to rodzina się wystraszy i zwróci dolary. Wtedy Anton odda je Alonie i ta będzie mogła wyjechać za granicę. Masz pojęcie? I biedaczka uwierzyła. Bardzo potrzebna jest jej pomoc psychiatry.

- A Maksa ci nie żal? - oburzyłam się.

- Widziały gały, co brały, a jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz - odpowiedział filozoficznie. - Przecież wiedział, z kim się żeni, no to ma za swoje!

Nie mogłam zaprzeczyć.

Epilog

W piątek siedziałam sobie spokojnie przed telewizorem, jak przystało na prawdziwą kurę domową. Rimma Borisowna i Giera pojechali do mieszkania Tamary.

- Ślub już za pasem - wyjaśniła teściowa numer trzy - muszę pomóc

dzieciom.

Kiesza prychnął pod nosem, słysząc te słowa. Zadzwoił telefon.

- Daszeńko, nie przegoni mnie pani, jeśli wpadnę?

- Bynajmniej, Iwanie Michajłowiczu.

Obły przyjechał z prezentami - gumowe kości dla psów, bombonierki dla mnie i dla Kici, a dla Marusi wielki kot z czekolady, co najmniej trzy kilogramowy.

- Moja droga - powiedział, gdy po herbacie usiedliśmy na ganku, by zapalić papierosa - chciałbym panią uprzejmie prosić, żeby nie wdawała się już pani w żadne awantury kryminalne.

Zdjęłam z palca pierścień i podałam mu.

- Dziękuję. Uśmiechnął się.

- Moi przyjaciele są nimi do końca życia albo...

- Albo?

- Albo w ogóle się nimi nie stają. Pierścionek proszę zatrzymać, choć mam nadzieję, że już nie będzie pani potrzebny. Takie sprawy proszę zostawić profesjonalistom. Mogła pani zginać z rąk gnojków, którzy nie uznają żadnych reguł, kanalii, dla których, gdy w grę wchodzi pieniądze, zabić człowieka to tyle, co splunąć.

Gapiłam się na niego w osłupieniu. Jeszcze jeden do prawienia mi kazań.

- No dobrze - westchnął - a teraz proszę się zgodzić na wspólną kolację w najbliższych dniach.

Nie zdażyłam odpowiedzieć, gdy na podwórze wjechał samochód z kogutem na dachu. Drzwi się otworzyły i z auta wysiadł blady, wychudzony Maks, a za nim Aleksander Michajłowicz. Spostrzegłszy Obłego, nerwowo przełknął ślinę, ale głośno powiedział spokojnie:

- Oto pan Polański. A gdzie teściowa?

Ale Nina Andriejewna już wypadła na werandę i oblewała łzami odzyskanego syna. No i naturalnie zasłabła. Kicia i Arkady niemal zanieśli ją do domu.

Maks poszedł za nimi.

Aleksander Michajłowicz usiadł obok nas na schodach.

- Próbuje właśnie uświadomić Daszy - odezwał się Obły - jak niebezpieczna i niewdzięczna jest rola prywatnego detektywa.

- Bardzo dobrze - ożywił się pułkownik - bo to doprawdy zdumiewające, by w wieku lat czterdziestu mieć mentalność podfruwajki!

- A co wiek ma z tym wspólnego? - ofuknęłam go.

- Świat zwariował - sarknął Obły. - Wszędzie roi się od gnojków, dla których nie ma nic świętego.

- Celna uwaga - burknął Aleksander Michajłowicz. - Zabijają i nawet się nie obejrzą. Wszystkich mają za nic - i nas, i pana. W takich czasach trzeba się mieć na baczności...

I w zadziwiającej zgodzie zaczęli mnie ochrzaniać, nie przebierając w słowach. Wreszcie miłe zajęcie im się znudziło i Iwan Michajłowicz odjechał.

Pułkownik popatrzył na mnie podejrzliwie.

- A ten po co tu się zjawił?

- Mania leci we wtorek z Bekasem do Paryża, omawialiśmy szczegóły.

- No cóż - wyraźnie się uspokoił. - Czas na mnie. Ruszył w stronę samochodu, ale nagle przystanął i zapytał:

- A może wybralibyśmy się wkrótce na kolację?

Tak mnie zaskoczył, że wsadziłam sobie papierosa do ust zapalonym końcem. Coś takiego! Ostatni raz zaprosił mnie na kolację mniej więcej dziesięć lat temu! Dziwne rzeczy dzieją się w państwie duńskim!

Następnego dnia po obiedzie zegnaliśmy Ninę Andriejewną i Maksa, którzy odjeżdżali do domu. Rano, jeszcze przed śniadaniem, teściowa uroczyście wprowadziła Polańskiego do mojej sypialni.

- Daszeńko - powiedziała znacząco - Maks musi się teraz z tobą ożenić. Tyle zrobiłaś dla niego, a i dla mnie jesteś wspaniałym przyjacielem. Będzie wam razem dobrze. Prawda, Maks?

Były małżonek kiwnął głową bez przekonania, w jego piwnych oczach

mignął niepokój. No cóż, jako człowiek honoru uznał za stosowne ofiarować mi rękę i serce! Wyobraziłam sobie jego przerażenie na myśl, że się zgodzę.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - pospieszyłam uspokoić biedaka. - Mam romans z innym mężczyzną, sama go pani widziała przy śniadaniu.
- Wielka szkoda. - Nina Andriejewna przygryzła wargi.

Około czwartej wsadziliśmy ich do taksówki. Teściowa ucałowała wszystkich domowników i wszystkie psy. Bundy'ego zostawiła na koniec. Nie mogła przestać głaskać trójkątną mordkę pita. Miałam wrażenie, że za chwilę się rozplacze.

Wtedy pojawili się Arkady i Mania. Dziewczynka niosła coś zawiniętego w grubą chustę.

- To dla pani - powiedziała, podając tłumoczek swojej dręczycielce.
- Co to? - zdziwiła się Nina Andriejewna i wyjęła z zawiniątka chudziutkiego szczeniaczka pitbulla, z łapkami jak patyczki.
- Nie możemy oddać pani Bundy'ego - westchnęła Mania -nie oddaje się dzieci z domu.
- Ale to jest jego syn - oznajmił Kiesza - absolutnie rasowy i zdrowy. Dostaliśmy go jako zapłatę za „usługi” Bundy'ego, teraz należy do pani i niech się zdrowo chowa.

Po umalowanych policzkach staruszki popłynęły duże łzy. Kiwnęła głową i tuląc delikatnie syna Bundy'ego do piersi, wsiadła do samochodu. Silnik ryknął, goście odjechali, koszmarne czerwienie dobiegał końca. Weszliśmy wszyscy razem do jadalni i usiedliśmy do herbaty.

- Czegoś tu brak - mruknęła Kicia, mieszając herbatę. - Jakoś tak pusto.
- Wiem czego! - zaśmiał się Kiesza. - Nie trzeba dawać Bundy'emu tłustego pokarmu, bo dzisiaj znowu brzydko kupkał...
- Za rzadko! - dodaliśmy wszyscy radośnie.

KONIEC